



SEVEN

PATRICIA
CORNWELL

POST
MORTEM

KAY SCARPETTAN
TUTKIMUKSIA

PATRICIA CORNWELL

POST MORTEM

(Post mortem)

Przełożyła: Małgorzata Kicana



Prószyński i S-ka

1998

Spis treści

Karta tytułowa

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Przypisy

Rozdział pierwszy

W piątek, szóstego czerwca, w Richmond padał deszcz.

Ulewa, która zaczęła się o świcie, strąciła wszystkie kwiaty lilii, a chodniki i dachy domów bardzo szybko pokryła opadłymi liśćmi. Ulicami płynęły małe rzeki, a na trawnikach i boiskach utworzyły się niewielkie sadzawki. Zasnęłam przy akompaniamencie deszczu bijącego w dachówki, i w czasie gdy noc zamienia się w pierwsze, zamglone godziny sobotniego poranka, przyśnił mi się koszmarny sen.

Za szybą, po której spływały strugi deszczu, zobaczyłam białą, nieludzką twarz, przypominającą główki lalek zrobionych ze starych pończoch. Okno mojej sypialni było ciemne, aż nagle pojawiła się w nim ta straszna maska, emanująca złowrogą inteligencją. Obudziłam się, wpatrzona z przerażeniem w ciemność nocy. Nie wiedziałam, co mnie obudziło, dopóki ponownie nie odezwał się dzwonek telefonu. Bez trudu znalazłam aparat i chwyciłam słuchawkę.

– Doktor Scarpetta?

– Tak, słucham. – Sięgnęłam do lampy i włączyłam światło; była 2:33 rano.

Serce zaczęło mi walić jak oszalałe.

– Mówi Pete Marino. Mamy trupa na Berkeley Avenue, pod numerem 5602. Dobrze by było, gdybyś przyjechała jak najszybciej. Ofiara nazywa się Lori Petersen, trzydziestoletnia biała kobieta. Jej mąż znalazł ciało mniej więcej pół godziny temu.

Nie potrzebowałam więcej szczegółów. W chwili gdy podniosłam słuchawkę i usłyszałam głos sierżanta Marino, wiedziałam. Być może

wiedziałam już w chwili, gdy usłyszałam dzwonek telefonu. Ludzie wierzący w wilkołaki obawiają się pełni księżyca; ja zaczęłam się bać godzin pomiędzy północą a trzecią rano, gdy piątek zamienia się w sobotę i całe miasto śpi.

Zazwyczaj na miejsce zbrodni wzywa się patologa z dyżuru, lecz w tym wezwaniu nie było nic zwyczajnego. Po drugiej sprawie dałam wszystkim jasno do zrozumienia, że bez względu na porę dnia czy nocy, jeżeli zostanie popełnione jeszcze jedno morderstwo, mają mnie o tym powiadomić. Marino bardzo się ten pomysł nie podobał. Odkąd zostałam mianowana naczelnym koronerem stanu Wirginia, niecałe dwa lata temu, sierżant stwarzał problemy. Do tej pory nie byłam pewna, czy nie znosi wszystkich kobiet na całym świecie, czy tylko mnie.

– Berkley Avenue znajduje się w Berkley Downs, w Southside – dodał protekcjonalnie. – Wiesz, jak tu dojechać?

Przyznając, że nie mam pojęcia, zapisałam wskazówki w notesie, który zawsze trzymam przy telefonie. Odłożyłam słuchawkę i pospiesznie spuściłam stopy na podłogę, a adrenalina płynąca w moich żyłach obudziła mnie niczym filiżanka mocnej kawy. W domu panowała cisza. Złapałam czarną medyczną torbę, wytartą i znoszoną przez lata używania.

Nocne powietrze było niczym chłodna sauna, a okna w domu sąsiadów wyglądały jak ciemne oczodoły. Wycofując granatowy służbowy samochód z podjazdu, spojrzałam na światło palące się nad gankiem i w okna pokoju na piętrze, w którym spała moja dziesięcioletnia siostrzenica, Lucy. Zapowiadał się kolejny dzień z życia dziecka, który mnie ominie. Odebrałam ją z lotniska w środę wieczorem, lecz od tamtej pory rzadko kiedy miałam czas choćby zjeść z nią wspólnie posiłek.

Dopóki nie dojechałam do Parkway, na drodze nie było ani jednego samochodu; kilka minut później pędziłam mostem nad rzeką James.

Widziałam małe czerwone światełka samochodów jadących przede mną, a we wstecznym lusterku majaczył zarys wieżowców śródmieścia Richmond. Gdzieś tam, pomyślałam, czai się mężczyzna. Może to być każdy; chodzi wyprostowany, śpi w zwyczajnym domu i ma normalną liczbę palców u rąk i nóg. Prawdopodobnie jest biały i dużo mu brakuje do czterdziestki. Jest zwykłym obywatelem, najpewniej nie jeździ BMW, nie chodzi do modnych barów ani nie robi zakupów w najdroższych sklepach miasta.

Ale, z drugiej strony, może właśnie tak robi? Mógł to być każdy i nikt zarazem. Pan Nikt. Ten typ faceta, którego twarzy nie zapamiętasz, nawet gdybyś przejechała z nim sam na sam dwadzieścia pięter w windzie.

Stał się bezprawnym władcą tego miasta, obsesją tysięcy ludzi, których nigdy nie widział na oczy; a także moją. Pan Nikt.

Ponieważ te morderstwa zaczęły się dwa miesiące temu, mógł zostać niedawno wypuszczony z więzienia lub szpitala psychiatrycznego. Tak podejrzewano jeszcze w zeszłym tygodniu, lecz teorie ciągle się zmieniały.

Moja była taka sama od początku: niedawno przyjechał do miasta, a wcześniej robił to samo w innym miejscu i ani jednego dnia nie spędził w więzieniu czy też za szpitalnymi murami. Nie był niezorganizowany, nie był amatorem, i z całą pewnością nie był po prostu szalony.

Za następnymi światłami, po lewej stronie znajduje się Wilshire, a zaraz potem, po prawej – Berkley.

Już dwie przecznice wcześniej zobaczyłam migające czerwono-niebieskie światełka. Ulica przed domem o numerze 5602 była rozświetlona niczym choinka. Karetka, z włączonym silnikiem wyjąłym jak czołg, stała tuż obok dwóch nieoznakowanych wozów patrolowych i trzech radiowozów z migającymi na dachach kogutami. Mikrobusik z zespołem dziennikarzy z kanału 12 właśnie podjechał i zatrzymał się obok nich. W

oknach kilku sąsiednich domów paliły się światła, a wielu ludzi w pidżamach lub szlafrokach wyszło na ganki.

Zaparkowałam za mikrobusem w chwili, gdy młody dziennikarz kłusem biegł na drugą stronę ulicy. Wysiadłam z samochodu i z pochyloną głową oraz wysoko postawionym kołnierzem płaszcz przeciwdeszczowego koloru khaki ruszyłam szybko w stronę frontowych drzwi domu Petersenów. Nigdy nie lubiłam patrzeć na siebie w wieczornych wiadomościach. Odkąd w Richmond zaczęły się te morderstwa, moje biuro przeżywało prawdziwy szturm dziennikarzy, a ci sami reporterzy wielokrotnie dzwonili do mnie z tymi samymi, okrutnymi i bezsensownymi pytaniami.

– Doktor Scarpetta, jeżeli mamy do czynienia z seryjnym mordercą, czy to nie oznacza, że zabójca może znowu uderzyć?

Jakby chcieli, żeby tak się stało.

– Czy to prawda, że na ciele ostatniej ofiary znalazła pani ślady po ugryzieniach?

Nie była to prawda, lecz bez względu na odpowiedź i tak nie mogłam wygrać. „Bez komentarza” i założyliby, że to prawda. Powiedziałabym „nie” i w wieczornym wydaniu gazety przeczytałabym, że „Doktor Kay Scarpetta zaprzecza, by na ciele ofiar znaleziono ślady ugryzień...”. Morderca, jak każdy człowiek, czytuje gazety i przychodzi mu do głowy nowy pomysł.

Ostatnie doniesienia prasowe były kwieciste i przerażająco szczegółowe; posuwały się znacznie dalej niż pożyteczne ostrzeżenie społeczeństwa o grożącym mu niebezpieczeństwie. Kobiety, szczególnie te, które mieszkały same, były przerażone. W tydzień po trzecim morderstwie sprzedaż pistoletów i rewolwerów oraz dodatkowych zamków do drzwi wzrosła aż o pięćdziesiąt procent, a miejskie schronisko wyzbyło się wszystkich psów –

fenomen, który, rzecz jasna, także trafił na pierwsze strony gazet. Wczoraj ciesząca się złą sławą reporterka z kroniki policyjnej, Abby Turnbull, zademonstrowała swój niezwykły tupet, przychodząc do mego biura i strasząc personel artykułem o wolności dostępu do informacji, by zdobyć kopie raportów z autopsji ofiar Dusiciela.

Odkąd pamiętam, dziennikarze z kroniki policyjnej zawsze byli bardzo agresywni w mieście Richmond, stolicy stanu Wirginia, liczącym dwieście dwadzieścia tysięcy mieszkańców i w zeszłym roku umieszczonym przez FBI na drugim miejscu na liście miast mających najwyższy odsetek zabójstw w Stanach Zjednoczonych. Nie było niczym niezwykłym, by patolog z Anglii przyjeżdżał tu i przez miesiąc pracował w moim biurze, by więcej dowiedzieć się o ranach postrzałowych. Nie było też niczym niezwykłym, by karierowicze w stylu Pete'a Marino porzucali szaleństwo Nowego Jorku i przyjeżdżali tu tylko po to, by się przekonać, że w Richmond wcale nie jest lepiej.

Niezwykłe były tylko te morderstwa na tle seksualnym. Przeciętny obywatel nie przejmuje się zabójstwami narkomanów, domowymi strzelaninami ani bójką na noże dwóch pijaków, którzy pokłócili się nad butelką taniego wina, gdyż nie dotyczy go to osobiście. Jednak zamordowane kobiety były koleżankami, obok których siedziałeś w pracy, przyjaciółkami, z którymi chodziłaś na zakupy, znajomymi, z którymi gawędziłaś na przyjęciach, kobietami, obok których stałaś w kolejce w banku. Były czyimiś sąsiadkami, siostrami, córkami, kochankami. Znajdowały się w swych domach, leżały we własnych łóżkach, kiedy Pan Nikt wtargnął nieproszony przez okno.

Dwaj umundurowani policjanci stali po obu stronach frontowych drzwi, otworzonych na oścież i zagrodzonych w połowie żółtą taśmą, z wydrukowanym napisem: MIEJSCE ZBRODNI – NIE ZBLIŻAĆ SIĘ.

– Dzień dobry, pani doktor – pozdrowił mnie chłopak w niebieskim uniformie, odsuwając się nieco i podnosząc taśmę, by ułatwić mi przejście; mógłby być moim synem.

Salon, schludny i ładnie urządzony, tonął w ciepłych, różowych kolorach. Na ładnej wiśniowej komódce w rogu stał nieduży telewizor i odtwarzacz płyt kompaktowych. Nieopodal znajdował się pulpit pod nuty i skrzypce. Pod oknem wychodzącym na trawnik przed domem stała niska sofa, a przed nią na szklanym stoliku leżało kilka równo ułożonych magazynów; pomiędzy nimi dojrzałam „Scientific American” i „New England Journal of Medicine”. Po drugiej stronie chińskiego dywanu ozdobionego motywem smoka na kremowym owalu stała biblioteczka z drewna orzechowego, której dwie półki wypełnione były równo ustawionymi tomami podręczników medycznych.

Otwarte drzwi wychodziły na korytarz, który biegł przez całą długość domu; po prawej stronie znajdowało się kilka pokoi, a po lewej – kuchnia, gdzie Marino i drugi policjant rozmawiali z mężczyzną, który, jak założyłam, był mężem ofiary.

Ledwie zwróciłam uwagę na czyste blaty, linoleum i utensylia w tym przyćmionym białym odcieniu, którzy fachowcy nazywają „migdałowym”, oraz na bladożółtą tapetę i także zasłony w oknach. Moją uwagę przyciągnął czerwony nylonowy plecaczek leżący na blacie stołu, który najwyraźniej został już przetrząśnięty przez policjantów; obok niego znajdował się stetoskop, ołówkowa latareczka medyczna, plastikowe pudełko na kanapki i ostatnie wydania „Annal Surgery”, „Lanceta” i „Journal of Trauma”. Wszystko to bardzo mnie niepokoiło.

Kiedy przystanąłam przy stole, Marino spojrzał na mnie chłodno i przedstawił mnie Mattowi Petersenowi, mężowi ofiary, który zszokowany i zgarbiony siedział na krześle. Był niezwykle przystojny, nieomal piękny;

miał delikatnie wyrzeźbione rysy twarzy, kruczoczarne włosy, a skórę gładką i lekko opaloną. Szczupły o szerokich barach, ubrany był w biały podkoszulek i sprane dżinsowe spodnie. Ręce zacisnął mocno, a wzrok wbił w podłogę.

– Czy ten plecak należał do niej? – Musiałam to wiedzieć. Medyczne wyposażenie mogło w końcu należeć do męża.

– Taak – mruknął Marino.

Petersen z wolna podniósł wzrok. Jego przekrwione, błękitne oczy spoczęły na mnie z wyrazem ulgi; przyjechał doktor, pojawił się cień nadziei, choć nie było żadnej.

Zaczął mówić urywanymi zdaniami, jak gdyby nie mogąc dojść do ładu z myślami.

– Rozmawiałem z nią przez telefon. Wczoraj. Powiedziała, że wróci do domu około wpół do pierwszej... ze szpitala, z ostrego dyżuru. Kiedy przyjechałem, zobaczyłem, że światła są pogaszone... pomyślałem, że już się położyła. I poszedłem tam. – Głos mu zadrżał, podniósł się sztywno i urwał. Odetchnął głęboko. – Poszedłem do sypialni. – Łzy napłynęły mu do oczu, w których paliła się desperacja. – Proszę. Nie chcę, żeby ktoś na nią patrzył. Nie chcę, by widzieli ją w takim stanie. Proszę!

– Muszę ją zbadać, panie Petersen – odezwałam się łagodnie.

Nagle walnął pięścią w stół, zaskakując nas tym niespodziewanym wybuchem gniewu.

– Wiem! – wykrzyknął trzęsącym się głosem; wzrok miał rozbiegany. – Ale nie oni wszyscy! Nie policja! Wiem przecież, jak to jest! Dziennikarze i wszyscy inni będą wtykać nos w każdy kąt. Nie chcę, by byle frajer z ulicy na nią patrzył.

Marino nawet okiem nie mrugnął.

– Hej, ja też mam żonę, Matt. Wiem, co musisz teraz przeżywać, okay? Masz moje słowo, że potraktujemy ją z należnym szacunkiem. Z takim samym szacunkiem, jakiego bym oczekiwał, gdybym tu siedział na twoim miejscu.

Słodki balsam kłamstw.

Zmarli są bezbronni, a bezczeszczenie ciała tej kobiety dopiero się rozpoczęło; nie skończy się, dopóki Lori Petersen nie zostanie rozłożona na czynniki pierwsze, a każdy jej fragment nie zostanie sfotografowany i wystawiony na widok ekspertów, sędziów, policjantów, adwokatów i członków ławy przysięgłych. Na pewno słyhać będzie uwagi na temat jej fizycznych atrybutów lub ich braku. Będzie słyhać idiotyczne żarty i cyniczne uwagi, podczas gdy ofiara, a nie zabójca, znajdzie się pod lupą społeczeństwa i każdy aspekt jej codziennego życia oraz osobowości zostanie dokładnie zbadany, opisany i w pewien sposób zdegradowany do rangi dowodu rzeczowego.

Gwałtowna śmierć jest wydarzeniem publicznym i właśnie ten aspekt mojego zawodu sprawiał mi najwięcej kłopotów i nieprzyjemności. Robiłam, co w mojej mocy, by zachować godność ofiar, lecz cóż można zrobić po tym, jak ktoś stanie się kolejnym numerkiem, fragmentem śledztwa, podawanym sobie z rąk do rąk. Prywatność niszczy się równie łatwo, jak ludzkie życie.

Marino wyprowadził mnie z kuchni, zostawiając z Petersenem policjanta, który miał go dalej przesłuchiwać.

– Zrobiliście już zdjęcia? – spytałam.

– Teraz są tam ludzie z wydziału identyfikacyjnego, zbierają odciski palców – odrzekł. – Powiedziałem im, żeby pod żadnym pozorem nie ruszali ciała.

Zatrzymaliśmy się w korytarzu.

Na ścianach wisiało kilka ładnych akwarelek i zbiór szkolnych zdjęć młodych małżonków; na jednej, bardziej artystycznej fotografii widać było ich stojących ramię w ramię na plaży, nieopodal mola, z nogawkami spodni podwiniętymi do kolan, włosami potarganymi przez wiatr i twarzami zaczerwienionymi od słońca. Za życia Lori była ładną blondynką o delikatnych rysach twarzy i ujmującym uśmiechu. Uczyła się w Brown, a potem w akademii medycznej na Harvardzie; jej mąż także spędził kilka lat na tej uczelni – pewnie tam się poznali. Zdążyłam się już zorientować, że Matt był od niej młodszy.

Lori Petersen. Brown. Harvard. Nadzwyczaj inteligentna. Trzydziestoletnia. Właśnie ziszczał się jej sen, jej marzenie. Po ośmiu wycieńczających latach medycznego szkolenia miała zostać lekarzem. I wszystko to zostało zniszczone, bo jakiś nieznajomy postanowił się zabawić.

Marino dotknął mojego łokcia.

Odciągnął mą uwagę od zdjęć na ścianach i wskazał otwarte drzwi po lewej stronie korytarza.

– Tędy wszedł – mruknął.

Było to maleńkie pomieszczenie o podłodze wyłożonej białymi kafelkami i ścianach wyklejonych błękitną tapetą. W kącie stała toaleta, nieco bliżej umywalka i słomiany kosz na bieliznę. Okno nad toaletą było szeroko otwarte – prostokąt ciemności, przez nie wpadało do pomieszczenia wilgotne, chłodne nocne powietrze i poruszało białymi zasłonami. Dalej, w ciemnościach, między drzewami słychać było śpiew cykad.

– Siatka na oknie została przecięta. – Kiedy Marino spojrział na mnie, na jego twarzy nie zobaczyłam żadnych emocji. – Na ziemi, tuż pod oknem

stoi drewniana ława... najwyraźniej przyciągnął ją tu, by mieć się po czym wspiąć.

Przyjrzałam się podłodze, zlewowi i desce sedesowej; nigdzie nie było widać śladów butów czy choćby smugi błota. Jednak z tej odległości trudno było dostrzec więcej szczegółów, a nie chciałam wchodzić do środka, by nie zniszczyć ewentualnych dowodów czy śladów, jakie mógł zostawić zabójca.

– Czy to okno było zamknięte od wewnątrz? – spytałam.

– Nie wydaje mi się. Wszystkie inne są pozamykane; już sprawdziłem. A wydawałoby się, że na zamknięciu tego okna powinno jej zależeć przede wszystkim: wychodzi na tyły domu i znajduje się bardzo nisko... gdyby ktoś przy nim majstrował, niepotrzebna byłaby mu drabina, nikt i tak by go nie zauważył. Możliwe, że jeżeli zachowywał się naprawdę cicho, nawet nie usłyszała, jak przecina siatkę i wchodzi do domu. Do sypialni jest stąd kawałek drogi.

– A drzwi? Czy były zamknięte, gdy jej mąż wrócił do domu?

– On mówi, że tak.

– W takim razie zabójca wyszedł tą samą drogą – mruknęłam.

– Na to wygląda. Schludny świrus, co? – Przytrzymując się framugi drzwi, Marino wychylił się daleko w głąb łazienki, nie wchodząc jednocześnie na podłogę. – Nic tu nie widać. Zupełnie jakby posprzątał po sobie, byśmy nie zebrali jego śladów z podłogi albo z sedesu. Cały dzień padało. – Spojrzał na mnie, lecz w jego oczach nie dostrzegłam żadnego uczucia. – Musiał mieć mokre buty, może nawet utyłane w błocie.

Zastanawiałam się, do czego Marino zmierza. Nie mogłam go zrozumieć, a do tej pory nie byłam pewna, czy jest doskonałym pokerzystą, czy też po prostu wolno myśli. Był dokładnie takim typem detektywa, jakiego starałam się unikać, gdy tylko miałam wybór – zadziorny, pewny

siebie i absolutnie nieprzystępny. Dobiegał pięćdziesiątki, twarz miał pooraną bruzdami, a długie kosmyki siwiejących włosów rozdzielał przedziałkiem po jednej stronie głowy i zaczesywał na drugą, by przykryć łysiejącą czaszkę. Miał przeszło sześć stóp wzrostu i głos zżarty przez dziesiątki lat picia piwa lub czegoś mocniejszego. Niemodny, szeroki krawat w czerwono-niebieskie pasy był nieco upačkany. Marino stanowił doskonały przykład twardego gliniarza – ordynarnego, gruboskórnego wyrzutka społeczeństwa, który pewnie miał w domu przeklinającą papugę, a na stoliku do kawy stertę pism pornograficznych.

Przeszłam przez korytarz i stanęłam przed drzwiami do sypialni; czułam, jak ogarnia mnie pustka.

Policjant z sekcji identyfikacyjnej był zajęty pokrywaniem wszystkich powierzchni czarnym pyłkiem; drugi filmował wszystko ręczną kamerą.

Lori Petersen leżała na łóżku, z którego zwieszała się do podłogi biało-niebieska kapa. Pod jej stopami dostrzegłam skopaną w ogromny kłęb kołdrę, a prześcieradło ściągnięte z rogów odsłaniało materac; poduszki zgarnięte były w kąt łóżka po prawej stronie od jej głowy. Łóżko wyglądało tak, jakby przeszedł po nim huragan, co stanowiło tym większy kontrast z ładnie umeblowaną w jasnym dębie sypialnią.

Lori była naga. Na kolorowym dywaniku leżącym po prawej stronie łóżka znajdowała się jej jasnożółta, bawełniana koszula nocna. Została rozcięta od kołnierzyka po sam dół, podobnie jak w trzech pierwszych przypadkach. Na nocnej szafce, tej stojącej bliżej drzwi, zobaczyłam telefon, z kablem wyrwanym ze ściany. Lampy po obu stronach łóżka były wyłączone, a kable odcięte – jeden posłużył oprawcy do związania rąk ofiary na plecach; pętlę sporządzoną z drugiego zarzucono na jej szyję, po czym kabel przeciągnięto za jej plecami, zawiązano dokoła nadgarstków i pociągnięto dalej, do kostek nóg. Dopóki miała zgięte kolana, pętla dokoła

szyi pozostawała luźna, lecz gdy tylko wyprostowała nogi – pod wpływem bólu lub czując ciężar zabójcy na plecach – kabel zaciskał się na jej szyi, niczym stryczek.

Śmierć przez uduszenie trwa kilka minut; to bardzo długi czas, szczególnie gdy każda komórka w twoim ciele domaga się tlenu.

– Proszę wejść, pani doktor – odezwał się policjant z kamerą. – Już wszystko sfilmowałem.

Stapając bardzo ostrożnie, podeszłam do łóżka, postawiłam torbę na podłodze i wyciągnęłam lateksowe rękawiczki chirurgiczne. Potem wyjęłam aparat fotograficzny i zrobiłam kilka zdjęć ofiary in situ. Jej twarz była groteskowo opuchnięta, tak bardzo, że trudno było rozpoznać rysy, i ciemnofioletowa, z powodu zatrzymania krążenia krwi wywołanego zaciśnięciem pętli dokoła szyi. Z nosa i ust wypływał krwawy płyn, plamiąc prześcieradło; jasnoblond włosy miała potargane. Była wysoka i nieco pulchniejsza niż na zdjęciach zawieszonych w korytarzu.

Jej wygląd był dla mnie bardzo ważny, gdyż brak metody z czasem może stać się metodą. Wydawało się, że cztery ofiary Dusiciela nie mają żadnej wspólnej cechy fizycznej, nawet rasy. Trzecia ofiara była bardzo szczupła i czarna, pierwsza pulchniutka i ruda, a druga – drobna brunetka. Pracowały w zupełnie innych zawodach: jedna była nauczycielką, druga pisarką, trzecia recepcjonistką, a teraz czwarta – lekarzem. Mieszkały w różnych dzielnicach miasta.

Wyciągnęłam długi chemiczny termometr z torby i zmierzyłam temperaturę w pokoju, a potem ciepłość ciała ofiary. Powietrze miało 71 stopni^[1], ciało 93,5. Ustalenie czasu śmierci jest o wiele trudniejsze, niż wydaje się to większości ludzi. Nie można określić go z dokładnością co do minuty, chyba że ktoś był świadkiem morderstwa albo zegarek ofiary przestał nagle działać. Jednak Lori Petersen nie żyła mniej więcej od trzech

godzin; ciało stygło około jednego, dwóch stopni na godzinę, a drobne mięśnie już zaczęło obejmować stężenie pośmiertne.

Poszukałam jakichś fragmentarycznych dowodów, które mogłyby nie dojechać wraz z ciałem do kostnicy; na ciele Lori Petersen nie znalazłam żadnych włosów, lecz było tam mnóstwo różnego rodzaju włókien, pochodzących bez wątpienia z kołdry i kapy na łóżku. Pęsetą zebrałam kilka z nich do plastikowej torebki – kilka białych oraz parę pochodzących z ciemnego, może czarnego materiału. Najbardziej oczywistym dowodem był piżmowy zapach unoszący się w pokoju oraz plamy przezroczystej, kleistej, na wpół zaschłej substancji znajdujące się na jej plecach i tylnych powierzchniach ud.

Podczas każdej ze spraw znajdowaliśmy płyn nasienny na ciele ofiary, lecz jak na razie niewiele nam to pomogło. Zabójcą mógł być każdy mężczyzna z dwudziestu procent populacji, który należał do grupy nonsekreterów^[2] – co oznacza, że antygenów jego grupy krwi nie można było wykryć na podstawie innych płynów ustrojowych ciała, takich jak ślina, nasienie czy pot. Innymi słowy, z powodu braku próbek krwi nie mogliśmy określić, czy w jego żyłach płynie krew grupy A, B, AB, czy O.

Jeszcze dwa lata temu status nonsekretera zabójcy byłby okrutnym ciosem dla biura medycyny sądowej, ale teraz mamy już testy DNA, niedawno wprowadzone i dostatecznie wiarygodne, by zidentyfikować mordercę; wystarczy złapać go, pobrać próbki i upewnić się, że nie ma brata bliźniaka.

Obok mnie stanął Marino.

– Jeżeli chodzi o to niezamknięte okno w łazience... – zaczął, patrząc na ciało. – Wedle słów męża – wskazał kciukiem w kierunku kuchni – jest otwarte, bo on sam otworzył je tydzień temu.

Słuchałam, nie komentując.

– Mówi, że właściwie nie używają tej łazienki, chyba że mają gości. Podobno wymieniał siatkę w oknie w zeszły weekend; twierdzi, że mógł zapomnieć zamknąć potem okno. Cały tydzień z łazienki nikt nie korzystał. Ona – raz jeszcze spojrział na ciało – nie miała powodu się tym przejmować, pewnie po prostu założyła, że jest zamknięte. – Urwał na chwilę. – Dziwne jest w tym wszystkim to, że morderca nie usiłował się dostać do domu przez żadne inne okno. Na żadnym siatka nie jest przecięta. Od razu trafił do otwartego.

– Ile okien wychodzi na tyły domu? – spytałam.

– Trzy. Kuchenne, kibelka i łazienki.

– I wszystkie są suwane do góry, zamykane na haczyk?

– Aha.

– Czyli gdyby zaświecić w nie z zewnątrz, na przykład latarką, można by się zorientować, czy są zamknięte, czy nie?

– Może. – Znowu spojrział na mnie tym nieprzyjemnym, chłodnym wzrokiem. – Ale tylko pod warunkiem, że wcześniej byś się na coś wdrapała. Z ziemi nie widać haczyka. Okna są za wysoko.

– Wspomniałeś o ławce ogrodowej – przypomniałam mu spokojnie.

– Problem polega na tym, że trawnik na tyłach domu jest błotnisty i nasiąknięty jak nieszczęście. Gdyby ten facet podciągnął ławkę pod jakiegokolwiek inne okno i wspiął się na nią, by zajrzeć do środka, na trawie zostałyby odciski nóg ławki. Kilku moich ludzi właśnie się tam teraz rozgląda. Pod pozostałymi dwoma oknami na tyłach domu nie ma żadnych śladów; wygląda na to, że zabójca nawet się do nich nie zbliżył. Chyba od razu podszedł do okna łazienki.

– A czy jest możliwe, że było uchylone i właśnie dlatego przyciągnęło uwagę zabójcy?

Marino spojrział na mnie z powątpiewaniem.

– Hej, wszystko jest możliwe. Ale gdyby zostało uchylone, być może ona też by to zauważyła... w czasie tego tygodnia, kiedy go nie było.

Może tak, a może nie. Nietrudno być spostrzegawczym z perspektywy czasu, jednak większość ludzi nie zwraca uwagi na drobne szczegóły dotyczące ich codziennego otoczenia, zwłaszcza pomieszczeń, w których rzadko bywają.

Pod zasłoniętym oknem wychodzącym na ulicę stało biurko, na którym leżało kilka następných przedmiotów, boleśnie przypominających mi, że Lori Petersen wykonywała ten sam zawód, co ja. Na blacie leżały ostatnie wydania kilku miesięczników medycznych oraz dwa podręczniki akademickie. Przy nóżce stylowej mosiężnej lampki były dwie dyskietki komputerowe IBM-u o podwójnej pojemności, oznaczone flamastrem „6/1” i ponumerowane „I” i „II”. Zawierały prawdopodobnie coś, nad czym Lori pracowała w VMC^[3], gdzie stało wiele komputerów przeznaczonych do użytku lekarzy i studentów. W domu Petersenów jak na razie nie widziałam komputera.

Na wiklinowym krześle stojącym pomiędzy komodą a oknem leżały równo ułożone ubrania: białe bawełniane spodnie oraz koszulka z krótkim rękawem w biało-czerwone paski i stanik. Były lekko zmięte, jakby noszone przez cały dzień, a potem zdjęte i położone na krześle; sama często tak robię, gdy jestem zbyt zmęczona, by odwiesić ubrania do szafy.

Pospiesznie przejrzałam zawartość szafy ściiennej i łazienki przylegającej do sypialni; wszystko znajdowało się na swoim miejscu i nic nie świadczyło o dokonanej zbrodni, poza łóżkiem. Wskazywało to, że *modus operandi* zabójcy nie zawierał elementów włamania dla zysku i kradzieży.

Marino przyglądał się, jak policjant z sekcji identyfikacyjnej otwiera szuflady w komodzie.

– Co jeszcze wiemy o mężu? – zapytałam.

– Jest na studiach podyplomowych na uniwersytecie w Charlottesville; mieszka tam w ciągu tygodnia, a w piątki przyjeżdża do domu. Spędza tu weekend, a w niedzielę wieczorem wraca na uczelnię.

– Co studiuje?

– Podobno literaturę – odparł Marino, rozglądając się po pokoju, lecz starannie omijając mnie wzrokiem. – Właśnie pisze pracę.

– Z czego?

– Z literatury – powtórzył Marino, powoli wypowiadając każdą sylabę.

– Ale jakiej literatury?

Wreszcie spojrzenie jego brązowych oczu zatrzymało się na mnie bez cienia sympatii.

– Mówi, że amerykańskiej. Odniosłem jednak wrażenie, że najbardziej interesują go przedstawienia. Właśnie jest w trakcie prób do „Hamleta” Szekspira. Tak mówi. Podobno grywał w reklamach telewizyjnych, a także jakieś drobne role w filmach kręconych tu, u nas.

W tej samej chwili policjanci nagle przerwali pracę; jeden z nich zamarł z pędzelkiem w wyciągniętej ręce i spojrzał na nas.

Marino wskazał na dyskietki leżące na biurku.

– Lepiej sprawdzimy, co jest na tych maleństwach – powiedział tak głośno, że wszyscy popatrzyliśmy na niego ze zdziwieniem. – Ciekawe, czyżby sam pisał jakąś sztukę?

– Możemy je przejrzeć w moim biurze; mam kilka komputerów kompatybilnych z IBM-em – zaproponowałam.

W tym momencie jeden z policjantów wyciągnął spod sterty ubrań wojskowy nóż o długim ostrzu, jeden z tych zaopatrzonych w kompas i pudełko na zapalniczki w rękojeści. Ostrożnie, aby nie pozacierać śladów, włożył go do plastikowej torebki na dowody rzeczowe.

Z tej samej szuflady wyciągnęli pudełko kondomów, co było dość dziwne – czego nie omieszkałam wytknąć Marino – jako że Lori Petersen stosowała doustne tabletki antykoncepcyjne.

No i rozpoczęły się cyniczne uwagi, których się spodziewałam.

Ściągnawszy rękawiczki, wepchnęłam je do torby i powiedziałam:

– Możecie ją zapakować.

Mężczyźni odwrócili się jak na komendę, jakby dopiero teraz przypomnieli sobie o zmalretowanej martwej kobiecie leżącej na pogniecionym, rozkopanym łóżku. Spomiędzy warg wystawały zęby, a powieki tak spuchły, że tylko przez wąskie szparki widać było źrenice martwo wpatrujące się w sufit.

Przez radio poinformowano karetkę i kilka minut później do pokoju weszło dwóch sanitariuszy w niebieskich kombinezonach z noszami, które przykryli białym prześcieradłem i ustawili tuż obok łóżka.

Lori Petersen została podniesiona na moją komendę, z pościelą zawiniętą dokoła ciała, tak by dłonie w rękawiczkach nie musiały jej dotykać. Delikatnie położono ją na noszach, a prześcieradło spięto na górze; dzięki temu ani jedno włókienko z dowodów nie zostanie przypadkowo zgubione albo dodane. Potem rozległ się głośny trzask, gdy rozerwano rzepy przy pasach mocujących i ponownie zapięto je na białym kokonie.

Marino wyszedł wraz ze mną z sypialni i zaskoczył mnie, mówiąc:

– Odprowadzę cię do samochodu.

Kiedy zeszliśmy na parter, zobaczyliśmy Matta Petersena; był zagubiony, a oczy błyszczały mu nieprzytomnie, gdy patrzył na mnie z desperacką, niemą prośbą o coś, czego nie mogłam mu dać. O pocieszenie. Zapewnienie, że jego żona zginęła szybko i bezboleśnie. Że nie cierpiała. Że została związana i zgwałcona już po śmierci. Nic podobnego nie

mogłam mu powiedzieć i Marino wyprowadził mnie z salonu i domu Petersenów.

Trawnik przed domem rozjaśniony był światłami kamer telewizyjnych, za którymi hipnotycznie pulsowały niebiesko-czerwone światła wozów policyjnych. Gwar głosów przebijał się przez szum włączonych silników samochodowych, a tymczasem deszcz zaczął przesiąkać przez gęstą mgłę.

Dziennikarze z notesami i dyktafonami byli wszędzie, czekając niecierpliwie na moment, w którym ciało ofiary zostanie wyniesione z domu i załadowane na tył ambulansu. Na ulicy czekała ekipa telewizyjna, a kobieta w modnym prochowcu mówiła do mikrofonu, nagrywając kolejny „rewelacyjny” program do niedzielnych wieczornych wiadomości.

Bill Boltz, prokurator okręgowy, właśnie zaparkował przy krawężniku i wysiadał z samochodu. Wyglądał na oszołomionego, na wpół zaspanego i bardzo niezadowolonego z obecności prasy. Nie miał im nic do powiedzenia, bo nic jeszcze nie wiedział. Zastanawiałam się, kto go powiadomił? Może Marino. Dokoła aż roiło się od gliniarzy: jedni przeczesywali trawnik przed domem, inni stali obok swych samochodów i rozmawiali. Boltz zapiął kurtkę po szyję, skinął lekko głową, napotkawszy mój wzrok, po czym poszedł pospiesznie do domu Petersenów.

Komendant policji i burmistrz siedzieli w beżowym, nieoznakowanym samochodzie, z włączonym wewnętrznym światłem; byli bladzi i mieli ponure miny. Kiwając od czasu do czasu głowami, odpowiadali na pytania reporterki Abby Turnbull. Mówiła coś do nich przez otwarte okno. Zaczekawszy, aż znajdziemy się na ulicy, podbiegła do nas.

Marino odgonił ją machnięciem ręki i krótkim:

– Hej, bez komentarza! – w tonie „odpieprz się!”

Szedł obok mnie i nagle jego obecność nieomal przyniosła mi ulgę.

– Ale bagno, co? – mruknął z obrzydzeniem, szukając po kieszeniach papierosów. – Regularny cyrk! Jezu Chryste.

Krople deszczu spływające mi po twarzy były drobne i chłodne; Marino otworzył drzwi samochodu. Kiedy przekreśliłam kluczyki w stacyjce, nachylił się do okna i powiedział z krzywym uśmiechem:

– Tylko jedź ostrożnie, doktoru.

Rozdział drugi

Biała tarcza zegara widniała na tle ciemnego nieba niczym księżyc w pełni, górując nad sklepionym dachem starej stacji kolejowej, torami i wiaduktem autostrady numer I-95. Misternie rzeźbione wskazówki ogromnego zegara zatrzymały się w chwili, gdy ostatni pasażerski pociąg opuścił stację – na godzinie 12:17. W tym zapomnianym zakątku miasta, gdzie Departament Zdrowia Publicznego postanowił wybudować szpital dla umarłych, zawsze już będzie 12:17.

Czas się tu zatrzymał. Domy są rozklekotane i w większości rozebrane do podmurówek; samochody na autostradzie i pociągi towarowe przetaczają się z wiecznym hukiem, niczym wzburzone morze. Ziemia przypomina zapomniany przez Boga, zatruty ugór porośnięty chwastami i ruinami, gdzie po zmroku nie pali się ani jedno światło. Nic tu się nie porusza, z wyjątkiem ciężarówek, aut komiwojażerów i pociągów sunących swymi ścieżkami wytyczonymi stalą i betonem.

Jadąc w ciemnościach, miałam wrażenie, że biała tarcza zegara obserwuje mnie dokładnie tak, jak biała twarz z mojego snu.

Przejechałam powoli przez bramę i zaparkowałam na tyłach ceglanego budynku, w którym spędziłam dosłownie każdy dzień ostatnich dwóch lat. Oprócz mojego, jedynym służbowym samochodem stojącym na parkingu był szary plymouth należący do Neilsa Vandera, eksperta od odcisków placów. Zadzwoiłam do niego chwilę po telefonie Marino. Po drugim morderstwie ustaliłam nową zasadę: jeżeli zdarzy się następne, Vander ma się natychmiast spotkać ze mną w kostnicy. Był już w pracowni rentgenowskiej i właśnie ustawiał laser.

Z otwartych drzwi kostnicy światło wylało się na asfalt, gdy dwóch sanitariuszy wyciągało z karetki nosze z ciemnym kształtem owiniętym w plastik. Zmarłych przywożono całą noc; każdy, kto umarł gwałtowną, nieoczekiwaną albo przynajmniej podejrzaną śmiercią w środkowej Wirginii, bez względu na porę dnia i nocy przysyłany był właśnie tutaj.

Młody mężczyzna w niebieskim kombinezonie spojrział na mnie ze zdziwieniem i przytrzymał drzwi.

– Wcześniej pani wstała, pani doktor.

– Mamy tu samobójcę z Mecklenburga – dodał drugi usłużnie. – Rzucił się pod pociąg... rozmazało go na przestrzeni pięćdziesięciu stóp.

– Aha. Nie było co zbierać.

Przetoczyli nosze przez drzwi i wepchnęli je do korytarza wyłożonego białymi kafelkami. Worek na ciało najwyraźniej był dziurawy lub nieszczelny, gdyż przez nosze przeciekała krew i wąskim pasemkiem kropelek znaczyła drogę.

Kostnica ma charakterystyczny, zatechły zapach śmierci, którego nie może ukryć żadna ilość dezodorantu. Gdyby przyprowadzono mnie tu z zawiązanymi oczyma, i tak wiedziałabym, gdzie jestem. O tak wczesnej godzinie zapach był jeszcze mocniejszy i bardziej nieprzyjemny niż zazwyczaj. Nosze klekotały głośno w pustym korytarzu, gdy sanitariusze wieźli samobójcę do ogromnej chłodni.

Skręciłam prosto do biura kostnicy, gdzie Fred, nocny strażnik, popijał kawę ze styropianowego kubka i czekał, aż sanitariusze podpiszą formularz dostarczenia zwłok i odjadą. Siedział na brzegu biurka, by nie widzieć, co dzieje się w głębi korytarza – zawsze tak robił, gdy przywożono ciało. Nawet przykładając mu pistolet do głowy, nikt nie zmusiłby go do pójścia do prosektorium czy chłodni. Tabliczki z nazwiskami, dyndające u stóp zmarłych, wystające spod prześcieradeł, dziwnie wpływały na niego.

Spojrzał spod oka na zegar wiszący na ścianie – jego dziesięciogodzinna zmiana powoli zbliżała się do końca.

– Mamy następną ofiarę Dusiciela, będzie tu lada moment – powiedziałam mu prosto z mostu.

– Mój Boże! Tak mi przykro. – Potrząsnął głową. – Mówię pani, że trudno jest mi sobie wyobrazić, by ktoś mógł robić coś podobnego. Biedne te dziewczyny... – Cały czas potrząsał głową.

– Zaraz powinni przywieźć ciało i chciałabym, żebyś dopilnował, by drzwi do kostnicy zostały za nim zamknięte, i abyś nikogo więcej tu nie wpuszczał, Fred. Dziennikarze już się dowiedzieli i szaleją. Nie chcę, byś pozwolił komukolwiek zbliżyć się na odległość pięćdziesięciu stóp do tego budynku, rozumiano? – Wiedziałam, że mówię zbyt ostro i autorytatywnie, lecz nerwy miałam napięte do granic wytrzymałości.

– Tak jest! – Fred energicznie przytaknął. – Oczywiście! Wszystkiego dopilnuję.

Zapalając papierosa, sięgnęłam po telefon i wykręciłam numer do mojego domu.

Bertha podniosła słuchawkę po drugim dzwonku, a sądząc po ochrypłym głosie, jakim powiedziała „halo?”, właśnie wyrwałam ją ze snu.

– Po prostu chciałam się upewnić, że wszystko w porządku.

– Przyszłam już jakiś czas temu. Lucy śpi jak zabita. Nawet nie drgnęła, odkąd tu jestem.

– Dziękuję, Bertho. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Nie wiem, kiedy uda mi się wrócić do domu.

– Zostanę tu tyle, ile będzie trzeba, doktor Kay.

Bertha w tych dniach miała ciężkie życie; jeżeli mnie wyrywano z łóżka w środku nocy, to ją także. Dałam jej klucz do frontowych drzwi oraz powiedziałam, jak się wyłącza alarm. Bardzo możliwe, że przyjechała

zaledwie parę minut po moim wyjeździe do domu Petersenów. Pomyślałam ponuro, że gdy Lucy obudzi się rano, w kuchni zamiast cioci Kay zostanie Berthę.

Obiecałam Lucy, że dziś zabiorę ją do Monticello.

Na wózku chirurgicznym stał niebieski zasilacz, mniejszy od kuchenki mikrofalowej, z rządkiem jaskrawych zielonych światełek na froncie. Zawieszony w ciemnościach pracowni rentgenowskiej przypominał małego satelitę wiszącego w mrokach przestrzeni kosmicznej; od zasilacza biegł spiralny przewód prowadzący do rurki wielkości ołówka, wypełnionej wodą morską.

Laser zakupiliśmy zeszłej jesieni i okazał się fantastycznym nabytkiem, stosunkowo prostym w obsłudze.

W zwyczajnych źródłach światła atomy i cząsteczki emitują światło niezależnie i na wielu częstotliwościach. Ale jeżeli atom zostanie wzbudzony i jeżeli zadziała się na niego promieniem o określonej częstotliwości, można go zmusić do emitowania spójnej wiązki światła.

– Daj mi jeszcze minutkę. – Odwrócony do mnie plecami Neils Vander pracował nad mnóstwem przełączników i pokręteł. – Jakoś powoli się dziś rozgrzewa... – Po chwili burknął pod nosem: – I ja też.

Stałam po drugiej stronie stołu, obserwując go przez bursztynowo zabarwione okulary ochronne. Tuż przede mną leżały zwłoki Lori Petersen; rozsunęliśmy prześcieradła, lecz wszystko, co zabraliśmy wraz z nią z sypialni, znajdowało się teraz przy jej ciele. Przez bardzo długi czas stałam w ciemnościach, czekając; nic nie zaprzętało mi umysłu, ręce mi nie drżały, a zmysły wyostrzyły się, dopasowując do mroku. Ciało było jeszcze ciepłe; życie opuściło je tak niedawno, że zdawało się go trzymać niczym stęchły zapach.

– Gotowe – mruknął Vander i włączył laser. Natychmiast z rurki popłynęło spójne światło, rażące, niczym jarzeniówka; jednak nie rozpraszało ciemności, lecz zdawało się je pochłaniać. Nie jaśniało, ale płynęło w mroku. Widziałam tylko zarys fartucha laboratoryjnego Vandera, gdy skierował jaśniejącą rurkę na głowę Lori.

Przeczesywaliśmy każdy cal nabrzmiałego ciała z wielką uwagą; maleńkie włókna rozżarzyły się niczym rozpalone do czerwoności druciki, a ja zaczęłam je zbierać za pomocą pesety. Wydawało się, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie; niezmordowanie poruszałam się od stołu i ciała do maleńkich pojemniczków na dowody i kopert leżących na pobliskim wózku. Tam i z powrotem. Miałam wrażenie, że wszystko w tym pokoju jest oderwane od rzeczywistości: światło lasera rozjaśniało to fragment wargi, to krwiaka na policzku, to nozdrze... wydzielając poszczególne rysy z twarzy. Zdawało mi się, że ręce w chirurgicznych rękawiczkach zbierające dowody należą do kogoś innego.

Gwałtowna zmiana między całkowitą ciemnością pokoju a jaskrawym światłem lasera przyprawiała mnie o zawroty głowy i jedynym sposobem na zachowanie jasności myśli było skupienie się na jednej rzeczy w danej chwili i wykonywanie pracy krok po kroku – jakbym ja także była tylko promieniem lasera, skupionym na jednym, jedynym fragmencie rzeczywistości.

– Jeden z sanitariuszy, którzy ją tu przywieźli, powiedział, że była stażystką na VMC – odezwał się w pewnej chwili Vander. Gdy nie odpowiedziałam od razu, dodał: – Znałaś ją?

To pytanie mnie zaskoczyło; coś zacisnęło się we mnie. Na VMC prowadziłam kilka wykładów z przedmiotów fakultatywnych, lecz tam studiowało i odbywało staż kilkaset osób. Niby dlaczego miałabym ją znać?

Nie odpowiedziałam na to pytanie; cały czas dawałam wskazówki Vanderowi, typu: „Przesuń trochę w lewo” czy „Zatrzymaj to tu”. Neils poruszał się powoli, z napięciem; był równie sfrustrowany jak ja. Zaczęło ogarniać mnie poczucie bezsilności – jak na razie laser w niczym nam nie pomógł, a włókna równie dobrze mogłam zebrać małym, przenośnym odkurzaczem.

Do tej pory używaliśmy lasera w dwudziestu przypadkach, ale tylko kilka z nich potwierdziło jego przydatność. Był użyteczny przy odnajdywaniu włókien wszelkiego rodzaju, ale także wykorzystywano go do znajdowania wszelkiego rodzaju obcych substancji na ciele ofiary, takich jak pot, nasienie czy nawet odciski palców, których nie można by było wykryć tradycyjną metodą za pomocą proszku i pędzelka. Wiedziałam tylko o jednej sprawie na Florydzie, gdzie na ciele ofiary znaleziono odciski palców – młoda kobieta została zamordowana w salonie piękności, a morderca miał na rękach oliwkę do opalania. Ani ja, ani Neils Vander nie spodziewaliśmy się żadnego wiekopomnego odkrycia.

W pierwszej chwili nie zauważyliśmy nawet tego, co pojawiło się przed naszymi oczyma.

Szklana rurka rozjaśniała kilka cali kwadratowych prawego ramienia Lori, gdy nagle, tuż ponad jej obojczykiem, wyskoczyły trzy nieregularne smugi, jakby namalowane farbą fluorescencyjną. Zamarliśmy w bezruchu; potem Neils gwizdnął cicho przez zęby, a mnie przebiegł po plecach zimny dreszcz.

Vander wziął do rąk słoik proszku i szeroki pędzel i delikatnie opylił to, co okazało się trzema podłużnymi odciskami palców, pozostawionymi przez kogoś na skórze Lori Petersen.

Ośmieliłam się mieć nadzieję.

– Dobrze?

– Fragmentaryczne – odrzekł; potem zrobił kilka zdjęć polaroidem i dodał: – Ale doskonale widać krawędzie. Moim zdaniem powinny się nadawać do klasyfikacji. Zaraz wrzucę te cudeńka do komputera.

– Wygląda, że to ta sama substancja – myślałam na głos. – Znowu miał to świństwo na rękach. – Potwór raz jeszcze podpisał swe dzieło; wydawało mi się to jednak zbyt proste. Niemożliwe, by tak łatwo udało nam się namierzyć zabójcę.

– Chyba masz rację. Ale tym razem musiał mieć tego na palcach znacznie więcej.

Morderca nigdy w przeszłości nie zostawił na ciałach ofiar odcisków palców, lecz błyszcząca substancja pojawiała się za każdym razem i właściwie już nas nie zaskakiwała. Tym razem było jej naprawdę dużo: kiedy Vander oświetlił szyć, od razu zobaczyliśmy tysiące maleńkich gwiazdeczek, błyszczących niczym rozbite szkło na drodze, oświetlone reflektorami samochodu. Neils przytrzymał laser, a ja sięgnęłam po wysterylizowaną gazę.

Na ciałach trzech pierwszych ofiar Dusiciela także znajdowaliśmy tę błyszczącą maź – na trzecim więcej niż na drugim, a najmniej na pierwszym. Próbkę odesłaliśmy do laboratorium i jak na razie nie dowiedzieliśmy się nic oprócz tego, że była to jakaś substancja nieorganiczna.

Ani trochę nie zbliżyliśmy się do odkrycia, co to takiego, choć mieliśmy już dość długą listę związków, którymi na pewno nie mogła być. W ciągu ostatnich kilku tygodni wraz z Vanderem przeprowadziliśmy serię testów, rozsmarowując wszystko na naszych przedramionach – od margaryny po olejek do opalania – by przekonać się, co reaguje na promień lasera, a co nie. Pod wpływem promieni naszej wspaniałej maszyny rozświeślało się znacznie mniej substancji, niż kiedykolwiek przypuszczaliśmy, a i tak nic

nie błyszczało tak wyraźnie, jak tajemnicza substancja pozostawiana przez mordercę.

Delikatnie podważyłam palcem kabel zaciśnięty dokoła szyi Lori; zobaczyliśmy czerwoną pręgę, a właściwie wręcz wgłębienie w miękkim ciele. Granice trochę się zamazały – proces duszenia był znacznie wolniejszy, niż początkowo przypuszczałam. Zobaczyłam delikatne pręgi w miejscach, z których kabel kilkakrotnie się zsuwał. Stryczek był dostatecznie luźny, by ofiara żyła przez dłuższy czas; dopiero potem zaciśnięto go gwałtownie i mocno. Do kabla przyczepiły się dwie czy trzy błyszczące gwiazdki, i to wszystko.

– Spróbuj z kablem na jej kostkach – powiedziałam cicho.

Przesunęliśmy się do nóg. Znowu te same białe gwiazdki, lecz bardzo mało. Czymkolwiek byłaby ta substancja, nie znajdowała się ani na włosach, ani na twarzy czy nogach ofiary. Kilka błyszczących punkcików dojrzeliśmy na przedramionach i piersiach. Konstelacja maleńkich gwiazdeczek czepiała się kabla, którym oprawca związał ręce Lori Petersen, a sporo ich znaleźliśmy także na rozciętej nocnej koszuli.

Odsunęłam się od stołu, zapaliłam papierosa i zaczęłam rekonstruować zdarzenia.

Zabójca miał na rękach jakąś substancję, którą zostawiał na każdym fragmencie ciała ofiary, jakiego dotknął. Kiedy już ściągnął koszulę nocną z Lori Petersen, możliwe, że złapał ją za ramię i zostawił odciski palców nad obojczykiem. Jednego byłam pewna: sądząc po ilości zostawionej substancji, było to pierwsze miejsce na jej ciele, którego dotknął.

Bardzo mnie to zastanowiło; niby pasowało do schematu, ale nie do końca.

Od początku byłam zdania, że zabójca szybko wiązał swe ofiary – być może terroryzował je nożem i krępował, a dopiero potem ściągał z nich

ubranie. Im więcej ich dotykał, tym mniej substancji zostawało na jego dłoniach. Skąd to zagęszczenie na obojczyku ofiary? Czy ten fragment ciała był najbardziej odsłonięty? Chyba jednak nie. Koszula nocna Lori Petersen zrobiona była z bawełny i przypominała długi, bardzo duży podkoszulek z długimi rękawami. Nie miała guzików ani zamka błyskawicznego; wciągało się ją przez głowę. Lori była przykryta od kolan po szyję, jak więc zabójca mógł dotknąć obojczyka, skoro nadal miała ją na sobie? Skąd w ogóle wzięło się aż tak ogromne zagęszczenie świecącej substancji? Jeszcze nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego.

Wyszłam na korytarz, gdzie stało kilku umundurowanych policjantów, opierających się o ścianę i gawędzących przyciszonymi głosami. Poprosiłam jednego z nich, by wywołał Marino przez radio i poprosił go, by natychmiast się ze mną skontaktował.

Chodziłam tam i z powrotem po sali, gdzie przeprowadzano autopsje; stoły z nierdzewnej stali błyszcząły, a narzędzia chirurgiczne lśniły na stolikach i wózkach. Gdzieś kapiała woda z niedokręconego kranu. W powietrzu unosił się słodkomydły zapach środków dezynfekcyjnych; pachniał przyjemnie tylko wtedy, gdy w powietrzu unosiły się znacznie gorsze zapachy. Czarny aparat telefoniczny stojący na biurku irytował mnie swoim milczeniem – Marino wiedział, że czekam na jego telefon i doskonale się tym bawił.

Na próżno mówiłam sobie, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem i wracając myślami do samego początku, zastanawiać się, co poszło nam nie tak. Od czasu do czasu jednak nie mogłam się przed tym powstrzymać. Co było ze mną nie tak? Kiedy po raz pierwszy spotkałam Marino, byłam dla niego uprzejma, podałam mu rękę i uśmiechnęłam się, lecz jego oczy pozostały martwe niczym dwa wypolerowane miedziaki.

Minęło dwadzieścia minut, zanim zadzwonił.

Powiedział, że nadal jest w domu Petersenów i rozmawia z Mattem, który jest jego zdaniem „równo rąbnięty, istny szczur kanałowy”.

Opowiedziałam o fluoryzującej substancji i powtórzyłam to, co już tłumaczyłam mu w przeszłości. Możliwe, że ślady na ciele ofiary zostawione zostały przez coś, co znajdowało się w jej domu, a co morderca za każdym razem dołącza do swego rytuału – puder, oliwka dla niemowląt, jakiś kosmetyk czy środek do czyszczenia.

Jak na razie udało się nam wykluczyć z tego spisu wiele rzeczy, co było nie mniej ważne. Jednak, jeżeli ta substancja nie pochodziła z domów ofiar, a tak moim zdaniem właśnie było, to morderca prznosił ją na rękach bezwiednie. Było to dla nas bardzo ważne, gdyż mogło doprowadzić do jego domu lub miejsca pracy.

– Taak – usłyszałam w słuchawce głos Marino. – Porozglądam się po szafkach. Ale mam własne podejrzenia.

– Jakie?

– Mężulek gra w sztuce, tak? W każdy piątkowy wieczór ma próby i dlatego tak późno wraca do domu, tak? Popraw mnie, jeśli się mylę, ale aktorzy często się malują. Mają nawet do tego specjalne farby.

– Ale używają ich tylko podczas przesłuchań i prób kostiumowych.

– Aha – odparł. – No, cóż... wedle jego słów, tuż przed powrotem do domu i znalezieniem ciała żony, miał właśnie próbę kostiumową. Zapaliła się mała lampka w mojej głowie. Mój wewnętrzny głosik podpowiada mi...

Przerwałam mu.

– Zdjąłeś Mattowi Petersenowi odciski palców?

– Oczywiście.

– To wsadź kartę do plastikowej torebki i dostarcz mi ją jak najszybciej. Nie zrozumiał, a ja nie miałam ochoty mu tłumaczyć.

Ostatnią rzeczą, jaką Marino powiedział mi przed odłożeniem słuchawki, było:

– Nie wiem, kiedy to nastąpi, doktoru. Mam wrażenie, że będę tu uwiązany przez większą część dnia. Przykro mi.

Bardzo wątpiłam, czy zobaczę jego albo kartę z odciskami palców Matta Petersena przed poniedziałkiem. Marino miał już podejrzanego.

Galopował tym samym szlakiem, którym pędzi od razu większość policjantów: mąż mógłby być samym świętym Antonim i przebywać w Anglii, kiedy jego żona została zamordowana w Seattle, ale i tak każdy gliniarz będzie uważał go za pierwszego podejrzanego.

Strzelanina w domu, otrucie, bicie czy pchnięcie nożem to jedno, ale morderstwo na tle seksualnym to zupełnie inna sprawa. Niewielu mężów miałoby odwagę związać, zgwałcić i udusić własną żonę.

Winę za swoją nerwowość zrzuciłam na zmęczenie.

Postawiono mnie na nogi o wpół do trzeciej nad ranem, a teraz była już szósta po południu. Policjanci, którzy przyszli do kostnicy, już dawno sobie poszli, Neils Vander pojechał do domu w porze lunchu; Wingo, jeden z techników autopsyjnych, wyszedł wkrótce po nim i teraz siedziałam sama. W całym budynku nie było nikogo oprócz mnie.

Minimalna ochrona biura nigdy nie martwiła nikogo poza mną – prośby o dofinansowanie na ten cel za każdym razem odrzucano. Komisarz rządowy myślał tylko w kategoriach straty majątku trwałego, a żaden złodziej nie wejdzie do kostnicy, nawet gdybyśmy wywiesili powitalne transparenty i znaki zachęcające go do odwiedzenia naszych skromnych progów. Ciała zmarłych skuteczniej odstraszą wszelkich nieproszonych gości niż psy obronne.

Jednak zmarli nigdy mi nie przeszkadzali; to ludzie żyjący napęłniają mnie obawą.

Po tym, jak kilka miesięcy temu szaleniec wszedł ze strzelbą do poczekalni lokalnego lekarza i otworzył ogień do pacjentów, poszłam do sklepu i kupiłam solidny łańcuch oraz kłódkę, którą dodatkowo zabezpieczałam podwójne szklane drzwi, gdy zostawałam sama w kostnicy.

Nagle, gdy pracowałam przy biurku, ktoś potrząsnął frontowymi drzwiami tak gwałtownie, że kiedy poszłam tam, by zobaczyć, o co chodzi, łańcuch z kłódką nadal się kołysał. Czasem ktoś z ulicy usiłuje wejść do kostnicy, by skorzystać z naszej toalety, lecz tym razem nikogo nie zobaczyłam za drzwiami.

Wróciłam do biura, lecz byłam tak zdenerwowana, że gdy usłyszałam drzwi windy otwierające się na moim piętrze, wyjęłam z szuflady długie nożyczki i przygotowałam się do obrony. Okazało się, że to tylko dzienny strażnik.

– Czy to pan usiłował się tu dostać przez szklane drzwi kilka minut temu? – spytałam.

Spojrzał ciekawie na nożyczki w mojej dłoni i zaprzeczył. Jestem pewna, że uważał to za wyjątkowo głupie pytanie: przecież wiedział, że drzwi frontowe są zamknięte na łańcuch, a poza tym dysponował kompletem kluczy do wszystkich innych drzwi w budynku. Nie miał najmniejszego powodu, aby wchodzić tu od frontu.

Wróciłam do biurka, by zacząć dyktować raport z autopsji Lori Petersen, lecz jakoś nie mogłam się do tego zabrać. Z jakiegoś powodu nie chciałam wypowiedzieć tych słów. Dotarło do mnie, że nikt, nawet moja sekretarka Rose, nie powinien ich usłyszeć; nikt nie powinien wiedzieć o błyszczącej substancji, spermie, odciskach palców czy głębokich obrażeniach na szyi Lori – były to dowody tortur i okrucieństwa. Morderca był degeneratem i stawał się coraz okrutniejszy.

Gwałt i zabójstwo już mu nie wystarczały. Dopiero gdy zdjęłam kable z ciała Lori Petersen i zrobiłam małe nacięcia na podejrzenie zaczerwienionych obszarach skóry oraz poszukałam obrażeń kości, zrozumiałam, przez co przeszła ta kobieta, zanim umarła.

Obicia były świeże, więc ledwie widoczne na powierzchni, ale nacięcie odsłoniło popękane naczynka krwionośne tuż pod skórą, co mogło powstać tylko wskutek uderzenia obłym obiektem, takim jak na przykład kolano czy stopa.

Miała złamane trzy żebra po lewej stronie i cztery palce. W ustach znalazłam sporo włókien, zwłaszcza na języku, co świadczyło o tym, że została zakneblowana.

Oczyrna duszy zobaczyłam skrzypce leżące przy stojaku w salonie oraz książki i czasopisma medyczne w sypialni. Jej ręce. Były najcenniejszym instrumentem zmarłej, czymś, dzięki czemu mogła uzdrawiać i grać na skrzypcach. Musiał łamać jej palce, jeden po drugim, już po tym, jak ją związał.

Dyktafon powoli buczał, obracając taśmę rejestrującą ciszę. Wyłączyłam go i okręciłam się na fotelu, do komputera. Monitor rozbłysnął niebieskim ekranem, włączyłam edytor tekstu i sama zaczęłam wpisywać raport.

Nie patrzyłam na notatki, które zrobiłam podczas autopsji; wiedziałam o niej wszystko. Wszystko pamiętałam. Zwrot „w normie” cały czas plątał mi się po głowie. Lori Petersen była zdrowa; jej serce, płuca, wątroba – nic nie nosiło śladu choroby. „W normie”. Umarła w doskonałym zdrowiu. Wpisywałam dane do komputera, linijka za linijką, strona za stroną, aż zdałam sobie sprawę, że za moimi plecami stoi Fred, nocny strażnik.

– Nadal pani tu siedzi? – spytał, po czym dodał z wahaniem: – Na dole są ludzie z domu pogrzebowego, ale nie mogą znaleźć ciała. Przyjechali aż z Mecklenburga. Nie wiem, gdzie jest Wingo...

– Poszedł do domu wiele godzin temu – odparłam. – O jakie ciało im chodzi?

– O kogoś o nazwisku Roberts; przejechał go pociąg.

Zastanowiłam się przez moment. Włącznie z Lori Petersen mieliśmy dziś sześć spraw; jak przez mgłę przypomniałam sobie samobójcę spod pociągu.

– Jest w lodówce.

– Mówią, że nie mogą go znaleźć.

Zdjęłam okulary i potarłam oczy.

– A ty sprawdzałeś?

Na twarzy Freda pojawił się barani uśmiech; wycofał się z mego pokoju, potrząsając głową.

– Przecież pani wie, doktor Scarpetta, że ja tam nigdy nie wchodzę. Nie ma mowy! Za żadne skarby świata.

Rozdział trzeci

Zaparkowałam na podjeździe przed domem; kamień spadł mi z serca na widok stojącego tam nadal pontiaca Berthy. Frontowe drzwi otworzyły się, zanim zdążyłam wygrzebać klucze z torebki.

– Jak pogoda? – spytałam prosto z mostu.

Stałyśmy z Berthą naprzeciw siebie w przestronnym holu; doskonale wiedziała, o co mi chodzi. Tę rozmowę prowadziłyśmy każdego wieczora, odkąd Lucy przyjechała do miasta.

– Bardzo źle, doktor Kay. To dziecko cały dzień siedziało w pani gabinecie i bawiło się przy komputerze. Coś niesamowitego! Gdy tylko przynosiłam jej kanapki albo pytałam, co robi, zaczynała unosić się i krzyczeć. Ale ja wiem... – W jej ciemnych oczach pojawiło się współczucie. – Ona jest zdenerwowana, bo pani znowu musiała pracować. – Mimo zmęczenia poczułam wyrzuty sumienia. – Widziałam wieczorne gazety, doktor Kay. Boże, zmiłuj się nad nami. – Powoli wciągała płaszcz przeciwdeszczowy. – Wiem, dlaczego cały dzień musiała pani siedzieć w pracy. Boże, Boże. Mam nadzieję, że policja złapie tego szaleńca. Przecież to czyste draństwo, co on robi.

Bertha wiedziała, czym się zajmuję, lecz nigdy nie zadawała mi pytań. Nawet, jeżeli któraś ze spraw dotyczyła kogoś mieszkającego w jej sąsiedztwie, nie pytała.

– Wieczne gazety leżą tam. – Wyciągnęła rękę w stronę salonu, po czym wzięła swą książkę z półki przy drzwiach. – Wepchnęłam je pod poduszki kanapy, żeby Lucy ich nie znalazła. Nie wiedziałam, czy chce

pani, żeby ona czytała te okropności, czy nie. – Poklepała mnie po ramieniu i wyszła.

Patrzyłam, jak idzie do samochodu i powoli wyjeżdża na ulicę. Niech ją Bóg błogosławi. Już od dawna nie przepraszałam jej za zachowanie swojej rodziny. Bertha ze stoickim spokojem znosiła krytycyzm i nieprzyjemne uwagi mojej siostrzenicy, siostry oraz matki. Wiedziała o wszystkim; nie współczuła mi ani mnie nie krytykowała, ale czasem podejrzewałam, że jest jej mnie żal, co tylko pogarszało sprawę. Zamknąwszy drzwi frontowe, poszłam do kuchni.

Było to moje ulubione pomieszczenie w całym domu, o wysokim suficie, nowocześnie urządzone, choć bez przesady, gdyż większość rzeczy, takich jak robienie makaronu czy ciasta, wolę robić ręcznie. Pośrodku części przeznaczonej do gotowania znajdował się klonowy pieńek do rąbania mięsa, akurat idealnej wysokości dla kogoś, kto ma niewiele więcej ponad pięć stóp. W części jadalnej, pod panoramicznym oknem wychodzącym na zalesiony trawnik z tyłu domu oraz karmnik dla ptaków, stał duży stół. Jedynymi barwniejszymi plamkami w kuchni urządzonej w jasnym drewnie były kompozycje z żółtych i czerwonych róż pochodzących z mego ukochanego ogródka.

Lucy tu nie było. Talerze po jej kolacji stały równo na suszarce do naczyń, więc założyłam, że moja siostrzenica wróciła do gabinetu.

Podeszłam do lodówki i nalałam sobie kieliszek chablis. Oparłam się o blat kuchenny, przymknęłam oczy i przez chwilę rozkoszowałam się chłodnym trunkiem. Nie miałam pojęcia, co zrobić z Lucy.

Zeszłego lata odwiedziła mnie tu po raz pierwszy, odkąd opuściłam posadę koronera w okręgu Dade i wyprowadziłam się na dobre z miasta, w którym się wychowałam i do którego powróciłam po rozwodzie. Lucy była moją jedyną siostrzenicą. Miała zaledwie dziesięć lat, lecz w szkole

przerabiała program z matematyki i fizyki na poziomie licealnym. Była małym geniuszem i postrachem wszystkiego, co żyje, niemożliwą do zniesienia, tajemniczą spadkobierczynią kultury łacińskiej, której ojciec zmarł, gdy była bardzo mała. Nie miała na całym świecie nikogo, oprócz mej siostry, Dorothy, zbyt pochłoniętej pisaniem książek dla dzieci, by martwić się czy zajmować swą córką. Lucy uwielbiała mnie ponad wszelkie wyobrażenie, a jej przywiązanie wymagało ode mnie więcej wysiłku i energii, niż w tym momencie mogłam z siebie wykrzesać. Jadąc do domu, rozważałam zmianę planów i wcześniejsze odesłanie jej do Miami, lecz nie mogłam się na to zdecydować.

Wpadłaby rozpacz. Nie zrozumiałaby. Byłoby to ostatnie z długiej serii odrzuceń, których doświadczała przez całe życie, jeszcze jedno przypomnienie, że była niechciana i niepotrzebna. Cały rok czekała na tę wizytę; podobnie jak i ja.

Popijając wolno wino, czekałam, aż w ciszy domu znikną zmartwienia i uspokoją się zszarpane nerwy.

Mieszkałam w nowej dzielnicy na zachodnim skraju miasta, gdzie ogromne domy stoją na zadrzewionych, jednoakrowych działkach, a ulicami jeżdżą głównie dzieci na rowerach. Sąsiedztwo było tak spokojne, a włamania czy kradzieże tak rzadkie, że nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam tu samochód policyjny. Za ciszę i bezpieczeństwo byłam gotowa zapłacić każdą cenę. Świadomość, że gdy jem samotnie śniadanie, jedynym przejawem brutalności tego świata jest kłótnia wiewiórki z rudzikiem o ziarenka w karmniku, dodawała mi odwagi.

Odetchnęłam głęboko i znowu pociągnęłam łyk wina. Niedawno zaczęłam obawiać się tych chwil w ciemnościach, gdy człowiek czeka na sen, a przed jego oczyma pojawiają się różne obrazy. Nie mogłam pozbyć

się sprzed oczu wizerunku Lori Petersen; tama pękła i wyobrażenia zaczęła podsuwać mi coraz gorsze, coraz straszniejsze wizje.

Zobaczyłam go z nią, w sypialni. Nieomal mogłam zobaczyć jego twarz, lecz nie potrafiłam rozpoznać rysów. Obudził ją pewnie cichy głos albo zimne ostrze noża przyciśnięte do szyi; może z początku usiłowała go przekonać, by nie robił jej nic złego; mówiła mu wiele rzeczy, na wiele sposobów usiłowała odwieść go od powziętej decyzji. Bóg jeden wie, jak długo to trwało; w tym czasie on prawdopodobnie odciął kable od lampek nocnych i związał ją nimi. Ukończyła Harvard, miała zostać chirurgiem. Na pewno usiłowała użyć swego umysłu przeciwko sile, która nie wie, co to rozum.

Potem obrazy oszalały, niczym film puszczony zbyt szybko; jej usiłowania spełzły na niczym i musiała poddać się okropności i przerażeniu. To było niewyobrażalne. Nie chciałam na to patrzeć; nie mogłam się zmusić do zobaczenia reszty. Zmusiłam się do myślenia o czymś innym.

Okna mojego gabinetu wychodzą na las za domem, lecz żaluzje są zazwyczaj spuszczone, gdyż nie potrafię skupić się na pracy, gdy mam przed sobą piękny widok. Zatrzymałam się w drzwiach i starałam opanować wzburzenie, podczas gdy Lucy z wigorem stukała w klawiaturę, odwrócona do mnie plecami. Nie sprzątałam tu już od wielu tygodni i teraz ze wstydem przyjrzałam się bałaganowi. Książki na półkach stały poprzecyłane w każdą stronę, kilka egzemplarzy czasopism medycznych leżało na podłodze, o ścianę opierały się moje dyplomy z uniwersytetów Cornell, Johna Hopkinsa, Georgetown i wiele innych. Miałam zamiar powiesić je w moim biurze w mieście, lecz jakoś nigdy nie miałam czasu się do tego zabrać. Na granatowym wschodnim dywanie leżały artykuły medyczne, które już dawno powinnam przeczytać, a dane wprowadzić do

komputera. Praca zawodowa uniemożliwiła mi zachowanie porządku, a jednak bałagan raził jak zwykle.

– Czemu mnie szpiegujesz? – burknęła Lucy, nawet nie odwracając się od monitora.

– Wcale cię nie szpieguję. – Podeszłam do niej i z uśmiechem pocałowałam ją w czubek wściekle rudej główki.

– A właśnie, że tak. – Cały czas pisała na klawiaturze. – Widziałam cię; zobaczyłam odbicie w monitorze. Stałaś w drzwiach i obserwowałaś mnie.

Objęłam ją, oparłam brodę na jej głowie i spojrzałam na monitor wypełniony dziwnymi komendami. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że ekran komputera może odbijać światło niczym lustro; dopiero teraz zrozumiałam, w jaki sposób Margaret, moja programistka i analityk komputerowy, pozdrawia po imieniu osoby przechodzące obok drzwi jej gabinetu, ani razu nie odwracając się od komputera. Odbicie twarzy Lucy było nieco rozmazane. Najwyraźniej widziałam jej okulary w szylkretowych oprawkach. Zazwyczaj na powitanie czepiała się mnie niczym mała małpka, lecz dziś wyraźnie była nie w humorze.

– Przepraszam, że nie poszłyśmy dziś do Monticello, Lucy – zaryzykowałam. Wzruszyła ramionami, więc spróbowałam jeszcze raz: – Jestem równie zawiedziona, jak ty.

Znowu wzruszenie.

– I tak wolę siedzieć przy twoim komputerze. – Nie chciała tego, lecz uwaga mocno mnie zabolęła. – Miałam cholernie dużo roboty – dodała, mocno uderzając w klawisze. – Twoja baza danych potrzebowała reorganizacji; założę się, że co najmniej od roku jej nie porządkowałaś.

Okręciła się gwałtownie w moim skórzanym fotelu, a ja cofnęłam się o krok i założyłam ręce na piersi.

– Więc się tym zajęłam.

– Co takiego?!

Nie, Lucy nie zrobiłaby mi czegoś takiego. Reorganizacja znaczyła dokładnie to samo co formatowanie, wymazywanie danych z całego twardego dysku i nadawanie im nowych nazw. Na twardym dysku w moim komputerze znajdują się – albo może znajdowały się – między innymi tabele statystyczne i całe pliki danych, którymi posługiwałam się przy pisaniu artykułów. Ostatnie kopie zapasowe zrobiłam kilka miesięcy temu; jeżeli Lucy to wykasowała, czeka mnie nadrabianie kilku miesięcy pracy.

Zielone oczy mojej siostrzenicy powiększone przez grube szkła okularów i wpatrzone we mnie wyglądały niczym oczy sowy.

– Zajrzałam do książki, żeby zobaczyć, jak to się robi – dodała; jej dziecięca, okrągła buzia miała twardy wyraz. – Wystarczy na Cprompt wpisać IORI, a po sformatowaniu zrobić Addall i Catalog.Ora. To proste. Byle palant dałby sobie z tym radę.

Nic nie odpowiedziałam; nawet nie ochrzałam jej za brzydkie słownictwo.

Czułam, że kolana się pode mną uginają.

Przypomniałam sobie, jak kilka lat temu zadzwoniła do mnie Dorothy, całkowicie rozhisteryzowana: kiedy ona była na zakupach, Lucy weszła do jej gabinetu i sformatowała dyskietki, wykasowując wszystko, co się na nich znajdowało. Na dwóch zapisane były ostatnie rozdziały książki, którą Dorothy pisała. Nie zdążyła jeszcze wydrukować ani zrobić kopii. Klasyczny przypadek samobójstwa.

– Lucy, powiedz, że tego nie zrobiłaś.

– Oj, nie martw się – odparła ponuro moja siostrzenica. – Najpierw przeniosłam wszystkie twoje pliki; tak napisano w książce. Potem znowu je wgrałam i połączyłam z bazą. Jest wszystko, co było, ale uporządkowane i

zagospodarowane. Wyczyszczone. No i masz teraz znacznie więcej wolnego miejsca.

Przyciągnęłam sobie fotel i siadłam obok niej. Dopiero wtedy, pod stertą dyskietek, zobaczyłam wieczorną gazetę, złożoną w taki sposób, jakby ktoś już ją przeczytał. Wyjęłam ją i spojrzałam na pierwszą stronę; ogromny nagłówek był ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę patrzeć.

ZAMORDOWANO MŁODĄ LEKARKE; POLICJA UWAŻA, ŻE TO JUŻ CZWARTA OFIARA DUSICIELA

Trzydziestoletnia stażystka została znaleziona martwa w swoim domu w Berkley Downs krótko po północy. Policja uważa, że istnieją mocne dowody na to, że jej śmierć ma związek z trzema poprzednimi morderstwami kobiet, które znaleziono uduszone w ich mieszkaniach w Richmond w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Ofiarę zidentyfikowano jako Lori Petersen, absolwentkę wydziału medycznego na uniwersytecie Hamarda. Ostatni raz widziano ją wczoraj, krótko po północy, gdy wychodziła z ostrego dyżuru na VMC, gdzie robiła specjalizację z chirurgii urazowej. Wszystko wskazuje na to, że pojechała prosto do domu i została zamordowana między wpół do pierwszej a drugą nad ranem. Prawdopodobnie morderca dostał się do domu przez niedomknięte okno w łazience...

I tak dalej, i tak dalej. Pod tekstem widniała ziarnista, czarno-biała fotografia sanitariuszy znoszących ciało ze schodków ganku i drugie, mniejsze zdjęcie kobiety w płaszczu przeciwdeszczowym koloru khaki – to byłam ja. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Doktor Kay Scarpetta, naczelny koroner stanu Wirginia, osobiście przyjechała na miejsce zbrodni”.

Lucy patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma. Bertha miała rację, ukrywając przed nią gazetę, ale Lucy była sprytna. Co też dziesięcioletnia dziewczynka może sobie pomyśleć po przeczytaniu takiego artykułu, szczególnie gdy jest on zaopatrzony zdjęciem jej „cioci Kay”?

Nigdy szczegółowo jej nie wyjaśniałam, na czym polega moja praca; nie chciałam wyjaśniać jej okropności świata, w którym żyjemy. Nie chciałam, by była podobna do mnie, odarta z niewinności i idealizmu, ochrzczona w krwawych wodach okrucieństwa i zbrodni.

– To tak jak w „Heraldzie” – powiedziała cicho, zupełnie mnie zaskakując. – Tam ciągle piszą o tym, że ktoś kogoś zamordował. W zeszłym tygodniu w kanale znaleźli człowieka, któremu odcięto głowę. Musiał być bardzo zły... bo inaczej po co ktoś obcinałby mu głowę?

– Mógł być zły, Lucy, ale to wcale nie usprawiedliwia tego, co mu się przydarzyło. Nie każdy, kto zostaje zamordowany, musi być złym człowiekiem.

– Mamusia mówi, że wszyscy z nich są źli. Mówi, że dobrzy ludzie nie giną taką śmiercią. Tylko dziwki, handlarze narkotyków i włamywacze. – Zamyśliła się przez moment. – No i policjanci, bo usiłują złapać złych ludzi.

Dorothy faktycznie mogłaby jej powiedzieć coś podobnego, a co gorsza, pewnie święcie w to wierzyła. Poczulałam przypływ dawnej złości.

– Ale ta pani, którą uduszono... – głos Lucy zadrżał, a jej oczy otworzyły się jeszcze szerzej – ...ta pani była lekarzem, ciociu Kay. Jak ona mogła być zła? Ty też jesteś lekarzem. To znaczy, że ona była taka jak ty.

Nagle zdałam sobie sprawę z upływu czasu; zrobiło się już bardzo późno. Wyłączyłam komputer, wzięłam Lucy za rękę i wyprowadziłam z gabinetu. Poszłyśmy do kuchni. Kiedy odwróciłam się do niej, by

zapropnować „małe co nieco” przed spaniem, ze zdumieniem zobaczyłam, że przygryza dolną wargę, a oczy ma wypełnione łzami.

– Lucy! Czemu płaczesz?

Objęła mnie gwałtownie i tuląc się, z jakąś dziką desperacją, zawołała:

– Nie chcę, żebyś umarła! Nie chcę, żebyś umarła!!!

– Lucy!... – Byłam zaskoczona, nie wierzyłam własnym uszom. Jej arogancja, wybuchy złości i dzikie krzyki to jedno. Ale coś takiego! Czulałam gorące łzy przesiąkające przez bluzkę i jej chudziutkie ciało przyciśnięte do mnie z niebywałą siłą. – Wszystko będzie dobrze, Lucy – zamruczałam, tuląc ją do siebie.

– Nie chcę, żebyś umarła, ciociu Kay!

– Ależ ja nie zamierzam umierać, Lucy.

– Tatuś umarł.

– Mnie nic się nie stanie, obiecuję.

Ale nic nie mogło jej pocieszyć. Artykuł w gazecie wywarł na niej większe wrażenie, niż się spodziewałam. Przeczytała go jak osoba dorosła, a jednak zareagowała nań jak dziecko, którym przecież była.

Och, Boże. Rozpaczliwie szukałam jakiegoś sposobu, by ją pocieszyć, lecz nic nie przychodziło mi do głowy. Oskarżenia matki zaczęły brzęczeć natarczywie w mej pamięci; jestem do niczego. Nie mam dzieci. Byłabym fatalną matką. „Powinnaś się urodzić mężczyzną – powiedziała mi kiedyś. – „Pochłania cię praca i ambicja. To nie jest naturalne dla kobiety. Wysychasz emocjonalnie, Kay. Skończysz jak chitynowy pancerzyk jakiegoś żuczka”.

W chwilach zwątpienia, gdy byłam przygnębiona i nie wierzyłam we własne siły, widziałam te chitynowe pancerzyki rozrzucone na trawie przed domem, w którym się wychowałam. Przezroczyście, kruche i wyschnięte. Martwe.

Zazwyczaj nie dałabym dziesięcioletniej dziewczynce wina do picia, ale to nie była zwykła okazja.

Zaprowadziłam Lucy do jej pokoju i wypiliśmy wino, leżąc u niej w łóżku. Zadała mi pytania, na które nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi:

– Dlaczego ludzie krzywdzą innych ludzi? Czy dla niego to jest zabawa? Chodzi mi o to, czy on to robi dla zabawy? Jak w MTV? W MTV robią takie rzeczy, ale tylko na niby, nikomu nigdy nie dzieje się krzywda. Może on wcale nie chce im zrobić krzywdy, ciociu Kay?

– Istnieją na świecie ludzie, którzy są po prostu źli, Lucy – odparłam cicho. – Jak psy; niektóre psy gryzą ludzi bez żadnego powodu. Są złe i zawsze takie będą.

– Ale tylko dlatego, że najpierw to ludzie byli źli dla nich. Dlatego, że zrobili im krzywdę.

– Niekiedy tak – wyjaśniłam – ale nie zawsze. Czasem nie ma wytłumaczenia dla złych uczynków. Niektórzy ludzie po prostu wolą być źli, okrutni. To jeden z tych brzydkich, smutnych aspektów naszego życia.

– Jak Hitler – mruknęła, przelękając łyżeczek wina. Gładziłam ją po włosach, a Lucy mówiła dalej, coraz bardziej śpiącym głosem: – Jak Jimmy Groome; mieszka na naszej ulicy i strzela do ptaków z wiatrówki. Lubi też wykradać jajka z ptasich gniazd i rozbijać je na chodniku. Nienawidzę go. Nienawidzę Jimmy’ego Groome’a. Kiedyś rzuciłam w niego kamieniem; trafiłam go, kiedy przejeżdżał obok na rowerze. Nie widział mnie, bo się schowałam za krzaki. – Popijałam wolno wino i głaskałam ją po głowie. – Bóg nie pozwoli, by stało ci się coś złego, prawda? – spytała.

– Nic mi się nie stanie, Lucy. Obiecuję.

– Jeżeli będę się modlić do Boga, by nic ci się nie stało, to On mnie wysłucha, prawda?

– On się nami opiekuje – rzekłam, choć nie wiedziałam, czy nadal w to wierzę.

Lucy zmarszczyła brwi; nie jestem pewna, czy i ona w to wierzyła.

– Czy ty się nigdy nie boisz?

Uśmiechnęłam się lekko.

– Od czasu do czasu każdy się boi. Ale jestem całkowicie bezpieczna. Nic mi się nie stanie.

Ostatnią rzeczą, jaką wymamrotała przed zaśnięciem, było:

– Chciałabym tu zostać już na zawsze. Chciałabym być taka jak ty, ciociu Kay...

Dwie godziny później, nadal rozbudzona, siedziałam w łóżku i wpatrywałam się w stronicę otwartej książki, lecz tak naprawdę zupełnie nie wiedziałam, co tam jest napisane. Nagle zadzwonił telefon.

Zareagowałam niczym pies Pawiowa: drgnęłam gwałtownie. Schwyciłam słuchawkę z mocno bijącym sercem; obawiałam się, że usłyszę głos Marino i koszmar minionej nocy się powtórzy.

– Halo?

Nic.

– Halo?

W tle usłyszałam cichą, przerażającą muzykę, która zawsze kojarzyła mi się z zagranicznymi filmami albo horrorami... albo może ochrypłymi zgrzytami starego gramofonu; chwilę później połączenie zostało przerwane.

– Kawy?

– Bardzo chętnie – odrzekłam.

To wystarczyło zamiast „dzień dobry”.

Kiedy tylko zatrzymywałam się rano w laboratorium Neilsa Vandera, zawsze pytał, czy chcę kawy, a ja zawsze przyjmowałam ofertę. Kofeina i nikotyna były jedynymi używkami, za które dałabym się posiekać.

Nigdy nie kupiłabym samochodu, który nie jest solidny niczym czołg, ani nigdy nie włączam silnika, nie zapiawszy wcześniej pasów bezpieczeństwa. W moim domu jest założony system wykrywania dymu oraz bardzo drogi i nowoczesny system alarmowy.

Jednak kofeina, papierosy i cholesterol, cisi mordercy przeciętnego człowieka – są moimi przyjaciółmi; niech Bóg broni, bym kiedykolwiek miała się ich wyrzec. Często jeżdżę na krajowe zebrania i siedzę na bankietach z ponad trzystu innymi patologami, światowej sławy ekspertami od śmierci i chorób. Siedemdziesiąt pięć procent z nas nie uprawia joggingu ani aerobiku, nie idzie, jeżeli tylko może jechać, nie stoi, gdy może siedzieć i notorycznie unika wchodzenia po schodach. Jedna trzecia z nas nałogowo pali papierosy, większość z nas pije, a wszyscy jemy tak, jakby każdy posiłek dnia miał być naszym ostatnim.

Stres, depresja, być może większa niż u przeciętnego człowieka, potrzeba śmiechu i doznawania przyjemności z powodu bólu i cierpienia, jakiego jesteśmy świadkami – któż może znać przyczynę? Jeden z moich bardziej cynicznych przyjaciół, asystent naczelnego koronera z Chicago, lubi powtarzać: „Co, u diabła. Każdy z nas prędzej czy później umrze. Można umrzeć zdrowym albo chorym. Właściwie, co za różnica?”

Vander podszedł do ekspresu do kawy stojącego za biurkiem i nalał dwa kubki; podawał mi kawę niezliczoną ilość razy, a jednak nigdy nie mógł zapamiętać, że lubię pić czarną.

Mój były mąż także nie pamiętał. Żyłam z Tonym sześć lat, a on nigdy nie pamiętał, że kawę piję czarną, a steki lubię średnio wysmażone, nie czerwone, jak szuba Świętego Mikołaja, tylko lekko różowe. Mój rozmiar sukienek, zapomnijcie! Noszę ósemkę i mam figurę, na której nieomal wszystko wygląda dobrze, lecz nie znoszę falbanek, koronek i tkanin typu frotte. Tony zawsze dawał mi coś w rozmiarze szóstym, zazwyczaj

koronkowe albo z gazy i przeznaczone do noszenia w łóżku. Ulubionym kolorem jego matki była jasna zieleń; nosiła rozmiar czternasty; uwielbiała falbanki, nie znosiła swetrów, wolała zamki błyskawiczne niż guziki, była uczulona na wełnę i nie lubiła zawracać sobie głowy niczym, co trzeba oddawać do pralni chemicznej czy prasować. Cierpiała na organiczną nienawiść do purpury, biały i beżowy uważała za niepraktyczne kolory, nigdy nie nosiła ubrań w poziome paski ani szkocką kratę; uważała, że źle wygląda w plisowanych spódnicach i bardzo lubiła kieszenie – im więcej, tym lepiej. Kiedy chodziło o jego matkę, Tony jakoś nie miał problemów z zapamiętaniem.

Vander wsypał równie czubatą łyżeczkę śmietanki do mego kubka, jak do swojego.

Jak zwykle był rozczochrany, kosmyki siwych włosów sterczały mu na wszystkie strony, ogromny fartuch laboratoryjny umazany miał czarnym proszkiem do barwienia odcisków palców, a kilkanaście długopisów i flamastrów wystawało mu z kieszonki na piersi. Był wysokim mężczyzną o długich rękach i nogach oraz nieproporcjonalnie zaokrąglonym brzuchu. Jego głowa miała zadziwiający kształt żarówki, a wyblakłe niebieskie oczy były wiecznie zamyślane.

Mojej pierwszej zimy w Richmond, pewnego późnego popołudnia, zatrzymał się w moim biurze, by uświadomić mi, że pada śnieg. Dokoła szyi miał owinięty długi czerwony szal, a na uszy naciągnął niesamowitą skórzaną pilotkę, najprawdopodobniej zamówioną z katalogu jakiejś republiki bananowej. Była to najcudaczniejsza zimowa czapka, jaką kiedykolwiek widziałam, i wydaje mi się, że Vander znacznie bardziej pasowałby do wnętrza myśliwca z drugiej wojny światowej niż do kostnicy. W biurze wszyscy nazywali go Latającym Holendrem – zawsze gdzieś

pędził, a jego długi fartuch często widać było powiewający w różnych częściach kostnicy.

– Widziałaś artykuły w gazetach? – spytał, dmuchając w swą kawę.

– Cały boży świat je widział – odparłam spokojnie.

Artykuły na pierwszych stronach niedzielnych gazet były jeszcze gorsze niż na sobotnich. Litery nagłówka miały chyba z cal wysokości i ciągnęły się przez całą długość strony. Dokładnie opisano w nich Lori Petersen i załączono jej szkolne zdjęcie; Abby Turnbull była na tyle agresywna czy może nieprzyzwoita, że pojechała do Filadelfii, mając nadzieję na zrobienie wywiadu z rodzicami Lori, lecz „byli zbyt zrozpaczeni”, by odpowiedzieć na jej pytania.

– Oj, nic nam to nie pomoże – stwierdził Vander. – Chciałbym wiedzieć, kto puścił farbę i powiesić go na suchej gałęzi.

– Gliniarze nigdy nie nauczą się trzymać języków za zębami – odparłam.

– Kiedy już opanują tę sztukę, nie będzie żadnych przecieków.

– Może to faktycznie wina glin. Tak czy inaczej, moja żona jest przerażona. Założę się, że gdybyśmy mieszkali w mieście, kazałaby mi już dziś wynająć wóz do przeprowadzek.

Podszedł do biurka, które było zasłane komputerowymi wydrukami, fotografiami i faksami, między nimi stała ćwierćlitrowa butelka po piwie, kafelek podłogowy z wyraźnym, krwawym odciskiem buta – oba przedmioty zawinięte w plastikowe torebki do przechowywania dowodów rzeczowych. Dopiero teraz zauważyłam, że w dziesięciu małych słoiczkach z formaliną znajdowały się koniuszki ludzki palców, odcięte elegancko i równo przy drugim stawie. W sprawach niezidentyfikowanych zwłok, które są zbyt rozłożone lub spalone, nie zawsze można uzyskać odciski palców zwyczajnymi metodami. Pomiędzy tymi wszystkimi

makabrycznymi przedmiotami stała sobie niewinna butelka kremu Vaseline Intensiv Care.

Vander wtarł odrobinę w ręce i wciągnął parę białych bawełnianych rękawiczek; stały kontakt z acetonem i innymi chemikaliami, na który był narażony w swej pracy, miał fatalne działanie na skórę i zawsze wiedziałam, kiedy zapomniał nałożyć rękawiczki przed pracą z ninhydryną, środkiem chemicznym pomocnym przy wywoływaniu odcisków palców, gdyż przez najbliższy tydzień chodził z purpurowymi dłońmi.

Kilka drzwi dalej w głębi korytarza znajdował się pokój komputerowy, czysty, nieomal sterylny, wypełniony srebrnoszarym sprzętem o przeróżnych kształtach. Wąska, wysoka skrzynka przypominająca automatyczną zmywarę do naczyń służyła do dopasowywania odcisków palców ofiar do odcisków znajdujących się w wielomilionowej bazie danych z całego kraju. Vander nazywał ją FMP, a dzięki nowoczesnym rozwiązaniom była zdolna porównywać osiemset odcisków na sekundę. Neils nie lubił siedzieć w tym pokoju i czekać na rezultaty; wszyscy wiedzieli, że często zostawia maszynę włączoną przez całą noc, a nad ranem przychodzi po wyniki.

Najwięcej czasu pochłaniało zawsze to, co Vander zrobił w sobotę – wprowadził dane o znalezionych odciskach palców do komputera. Wymagało to zrobienia zdjęć odcisków, pięciokrotnego ich powiększenia, nałożenia na zdjęcia prześwitującego papieru i obwiedzenia flamastrem najbardziej charakterystycznych szczegółów. Potem należało rysunek zmniejszyć do rozmiarów jeden-na-jeden cala, czyli identyczny z prawdziwą wielkością odcisku. Później trzeba było przykleić rysunki do odpowiedniego formatu tabeli przeznaczonej na fragmentaryczne odciski, którą dopiero wprowadzało się do maszyny; od tej chwili to ona wykonywała całą robotę.

Vander zasiadł przed ekranem z powolnością wielkiego wirtuoza przygotowującego się do występu; byłam niemal pewna, że odrzuci do tyłu poły fartucha i rozprostuje palce. W jego gabinecie znajdowała się stacja robocza, składająca się między innymi z monitora, klawiatury i skanera; podłączona była zdalnie do FMP w pokoju komputerowym, a skaner był przystosowany do odczytywania zarówno formularzy policyjnych, tak zwanych dziesięcioodciskowych, jak i zdjęć odcisków fragmentarycznych.

Patrzyłam, jak wstukuje kilka poleceń; potem nacisnął komendę „Drukuj” i na zielonobiałym papierze zaczęła się pojawiać lista podejrzanych.

Podciągnęłam sobie krzesło, podczas gdy Vander oderwał wydruk z drukarki i podzielił go na dziesięć części, rozdzielając różne sprawy.

W tej chwili interesowała nas sprawa numer 88-01651; był to numer identyfikacyjny odcisków palców znalezionych przez nas wczoraj na ramieniu Lori Petersen. Skomputeryzowane porównywanie odcisków palców jest podobne do kampanii politycznej. Podobne odciski, które mogą pasować do znalezionego, nazywa się kandydatami i określa ich prawdopodobieństwo liczbą punktów. Im jest ich więcej, tym więcej jest cech wspólnych – poszczególnych charakterystyk kandydata i nieznanego odcisku wprowadzonego do komputera. W sprawie numer 88-01651 był tylko jeden kandydat, miał on jednak aż tysiąc punktów – to mogło oznaczać tylko jedno.

Stuprocentowe prawdopodobieństwo.

Vander ujął to tak:

– Niezła sztuka.

Zwycięzca określony był na wydruku jako anonimowy numer NIC112. Tego się nie spodziewałam.

– Więc ten, kto zostawił ten odcisk na ciele Lori, jest już wprowadzony do bazy danych? – spytałam.

– Tak.

– Czyli ma przeszłość kryminalną?

– Możliwe, ale niekoniecznie. – Vander wstał i przesunął się do innego terminalu. Delikatnie oparł dłonie na klawiaturze i zaczął wpisywać polecenia. Po chwili dodał: – Możliwe, że zdjęto mu odciski palców z jakiegoś innego powodu. Może pracuje dla wymiaru sprawiedliwości albo ubiegał się o licencję taksówkarza.

Neils wszedł do odpowiedniego programu, wprowadził dane dotyczące odcisków i po chwili na ekranie, zamiast błękitnych zawijasów linii papilarnych, pojawiło się przetworzone przez komputer zdjęcie kandydata. Po prawej stronie znajdował się dokładny opis: płeć, rasa, data urodzenia i inne informacje o jego tożsamości. Wydrukowawszy te dane, Vander podał mi kopię.

Przyglądałam się jej uważnie przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad tożsamością numeru NICI 12.

Marino będzie wniebowzięty.

Wedle komputera, ale nie można mieć co do tego żadnych wątpliwości, fragmentaryczne odciski palców, które wczoraj wykrył laser na ramieniu Lori Petersen, należały do Matta Petersena, męża ofiary.

Rozdział czwarty

Właściwie wcale mnie nie zdziwiło, że Matt Petersen dotknął ciała Lori. Bardzo często ludzie odruchowo dotykają kogoś, kto wygląda, jakby nie żył – by sprawdzić puls albo złapać za ramię i potrząsnąć, jakby się chciało go obudzić. Zaskoczyły mnie dwie rzeczy: po pierwsze, zebraliśmy te odciski palców jedynie dlatego, że osoba, która je zostawiła, miała na rękach tę zadziwiającą świecą substancję, dowód, który znajdowaliśmy na każdej ofierze Dusiciela. Po drugie, odciski palców Matta Petersena jeszcze nie zostały przekazane do laboratorium. Komputer znalazł je i wskazał tylko dlatego, że już wcześniej zostały wprowadzone do bazy danych.

Właśnie mówiłam Vanderowi, że musimy się dowiedzieć, kiedy i dlaczego zdejmowano Mattowi Petersenowi odciski palców i czy ma jakąś przeszłość przestępczą, gdy do pokoju wszedł Marino.

– Twoja sekretarka powiedziała, że tu siedzisz – burknął zamiast powitania.

Jadł pączka, którego pewnie wziął z pudełka stojącego obok ekspresu do kawy na parterze; Rose zawsze przynosiła w poniedziałki pączki do pracy. Rozejrzawszy się po pomieszczeniu, bez pośpiechu podał mi dużą kopertę z tekturowego papieru.

– Przykro mi, Neils – wymamrotał – ale pani doktor kazała sobie oddać do rąk własnych.

Vander spojrział na mnie ze zdziwieniem; otworzyłam kopertę i znalazłam w niej plastikową torebkę z dziesięcioma odciskami palców Matta Petersena. Marino postawił mnie w wyjątkowo głupiej sytuacji i byłam na niego wściekła. Karta z odciskami palców w zwykłych

okolicznościach powinna powędrować prosto do laboratorium, a nie do mnie. Był to tego typu delikatny manewr, który mógł wytworzyć przykre animozje pomiędzy mną a moimi pracownikami, z czego Marino, bez wątpienia, doskonale zdawał sobie sprawę. Byłoby mi przykro, gdyby Neils Vander założył, że włązę z buciarami na jego teren, kiedy tak naprawdę chodziło mi całkiem o co innego.

– Nie chciałam, by Marino zostawił to u ciebie na biurku – wyjaśniłam Vanderowi. – Nie chciałam, by wpadło komuś w ręce; Matt Petersen, zanim w piątek wrócił do domu, miał próbę kostiumową, podczas której był podobno ucharakteryzowany. Jeżeli miał na rękach tę tajemniczą substancję, mogła także dostać się na kartę, kiedy zdejmowali mu odciski palców.

Vanderowi oczy się trochę rozszerzyły; najwyraźniej nie pomyślał o tym.

– Jasne. Przetestujemy ją pod laserem.

Marino przyglądał mi się ponuro.

– A co z nożem myśliwskim? – spytałam.

Wyciągnął spod pachy jeszcze jedną kopertę i powiedział:

– Zamierzałem oddać to Frankowi.

– Może najpierw przetestujemy go pod laserem? – zaproponował Neils.

Potem wydrukował jeszcze jeden egzemplarz danych na temat numeru NIC112 oraz odcisków placów, które Matt Petersen zostawił na ciele żony, i podał jej Marino.

Ten przyjrzał im się pobieżnie.

– Jasny gwint – mruknął i spojrział na mnie; w jego oczach jaśniał triumf. Było to znajome spojrzenie, którego się spodziewałam. Mówiło: „No i co, pani doktor? Może i masz wyższe wykształcenie, może i przeczytałaś mnóstwo książek, ale to ja znam życie”.

Już widziałam, jak Marino zaczyna przyciskać męża kobiety, którą, moim zdaniem, zamordował ktoś zupełnie nam nieznany.

Piętnaście minut później wraz z Marino i Vanderem staliśmy w ciemni przylegającej do laboratorium. Na blacie nieopodal zlewu leżała karta z odciskami palców i nóż myśliwski. W pokoju było ciemno choć oko wykol. Wielki brzuch Marino nieprzyjemnie ocierał się o mój lewy łokieć, kiedy z niepokojem obserwowaliśmy ogniste błyski rozświetlające się na karcie, a także na rękojeści noża, zrobionej z twardej gumy i zbyt szorstkiej, by można było zdjąć z niej odciski linii papilarnych.

Na szerokim, lśniącym ostrzu noża znajdowało się kilkanaście mikroskopijnych włókienek oraz parę wyraźnych fragmentarycznych odcisków, które Vander opylił i zdjął. Pochylił się nad kartą z dziesięcioma odciskami palców; szybkie, wizualne porównanie jego sokolim wzrokiem eksperta wystarczyło, by mruknął:

– Sądząc po wstępnym porównaniu najbardziej charakterystycznych szczegółów, odciski na nożu należą do Matta Petersena.

Laser się wyłączył, pogrążając nas w kompletnych ciemnościach; chwilę później Neils włączył jarzeniówkę i wróciliśmy do ponurego świata białych kafelków i pomalowanych farbą olejną ścian.

Zdjęłam okulary ochronne i zaczęłam wymieniać litanie argumentów przeciw pochopnym podejrzeniom, podczas gdy Vander bawił się z laserem, a Marino zapalił papierosa.

– Odciski palców na ostrzu jeszcze o niczym nie świadczą. Jeżeli nóż należy do Matta Petersena, to nic dziwnego, że znajdują się na nim jego odciski. A jeżeli chodzi o tę świecąca substancję – to owszem, najwyraźniej miał ją na rękach, gdy dotykał ciała żony i gdy zdejmowaliście mu odciski. Ale nie możemy mieć pewności, że to jest to samo świństwo, które znaleźliśmy przy pierwszych trzech ofiarach. Możemy sprawdzić pod

skaningowym mikroskopem elektronowym, czy struktura atomowa pasuje do substancji na reszcie ciała ofiary, i substancji, jaką znajdowaliśmy wcześniej, a także czy zgadza się widmo podczerwieni.

– Co takiego? – Marino spojrzał na mnie z niedowierzaniem. – Myślisz, że Matt miał jedną substancję na rękach, a zabójca drugą, i że to nie to samo diabelstwo, tylko podobnie wygląda pod laserem?

– Nieomal wszystko, co reaguje na promienie lasera, wygląda tak samo – odparłam, powoli dobierając słowa. – Wszystko świeci niczym białe światło neonowe.

– Taak, ale z tego, co mi wiadomo, większość ludzi nie chodzi po świecie z białym neonowym świństwem na rękach.

– Większość ludzi nie – musiałam się z tym zgodzić.

– Zdziwiający zbieg okoliczności, że Matt miał na rękach tę substancję, czymkolwiek by była.

– Przecież wspominałeś, że wracał z próby kostiumowej – przypomniałam mu.

– Tak mówił.

– Może nie byłoby takie głupie zebrać próbki szminek, których używał w piątek? Przynieś mi je tutaj, to przeprowadzimy testy.

Marino patrzył na mnie z jawną niechęcią.

W moim gabinecie stał jeden z niewielu komputerów osobistych znajdujących się na drugim piętrze; połączono go z głównym komputerem w głębi korytarza, lecz nie był zwykłym terminalem – nawet jeżeli główny komputer został wyłączony, mogłam na nim pracować.

Marino podał mi dwie dyskietki znalezione w sypialni Petersenów; wsunęłam je do stacji dysków i włączyłam edytor tekstu.

Na monitorze pojawił się wykaz znajdujących się na nich plików, czy może raczej rozdziałów dysertacji Matta Petersena. Tematem był Tennessee

Williams, „którego najpopularniejsze sztuki ujawniają frustrujący świat seksu i okrucieństwa, kryjący się pod powierzchnią romantycznej łagodności...”, jak przeczytaliśmy w pierwszym paragrafie wstępu.

Marino spoglądał mi przez ramię, potrząsając głową.

– Jezu – zamruczał. – To się robi coraz lepsze. Nic dziwnego, że czubek się wystraszył, gdy powiedziałem mu, że zabieram te dyskiety. Popatrz tylko na to draństwo...

Zjechałam kursorem w dół monitora.

Tu i ówdzie znaleźliśmy odniesienia do kontrowersyjnego podejścia Williama do homoseksualizmu i kanibalizmu; akapity na temat brutalnego Stanleya Kowalskiego z „Tramwaju zwanego pożądaniem” i kastrata-żigolaka ze „Słodkiego ptaka młodości”. Nie potrzebowałam żadnych telepatycznych zdolności, by wiedzieć, co chodzi po głowie Marino. Było to równie banalne, jak reklama mleka – dla niego tekst na monitorze stanowił źródło wszelkiego zła, paliwo, które napędza umysły psychopatów i karmi fantazje seksualnych zбочeńców. Marino nie widział różnicy między sceną a prawdziwym życiem i nie zobaczyłby jej, nawet gdyby zwała mu się na głowę.

Ludzie tacy jak Tennessee Williams czy nawet Matt Petersen, którzy tworzą podobne scenariusze, bardzo rzadko spotykają się z nimi w rzeczywistości, a już na pewno nie chcieliby wprowadzać ich w życie.

Spojrzałam Marino w oczy.

– A co byś pomyślał, gdyby Petersen studiował Stary Testament?

Wzruszył ramionami. Odwrócił wzrok i znowu wpatrzył się w monitor.

– Hej; to tutaj, to nie do końca materiał ze szkółki niedzielnej.

– Taak, podobnie jak gwałty, kamienowania i odcinanie głów nierządnicom. W prawdziwym świecie Truman Capote nie był seryjnym zabójcą, panie sierżancie.

Wycofał się i podszedł do krzesła; obróciłam się na fotelu i spojrzałam na niego poprzez zavalone papierami biurko. Zazwyczaj gdy wpadał do mego gabinetu, nie siadał, lecz stał i patrzył na mnie z góry. Tym razem usiadł, więc nasze oczy były mniej więcej na tym samym poziomie. Pomyślałam, że pewnie prędko się go nie pozbędę.

– Mogłabyś to dla mnie wydrukować? Coś mi się zdaje, że będzie z tego niezła lektura do poduszki. – Uśmiechnął się sarkastycznie. – Kto wie? Może ten amerykański świr cytuje tu markiza de Sade’a?

– Przecież de Sade był Francuzem.

– No i co z tego?

Powstrzymałam irytację. Zastanawiałam się, co by się stało, gdyby zamordowana została żona jednego z moich patologów? Czy Marino grzebałby w jego domowej biblioteczce? Czy znalazłszy wiele tomów o seryjnych mordercach i zbrodniach na tle seksualnym, także pomyślałby, że trafił w dziesiątkę?

Marino zapalił następnego papierosa i patrząc na mnie zmrużonymi oczyma, zaciągnął się głęboko. Wydmuchnął cieniutką strużkę dymu i dopiero wtedy się odezwał:

– Najwyraźniej masz dobre zdanie o panu Petersenie. Na czym je opierasz? Na tym, że jest artystą, czy może na tym, że chodzi do dobrego college’u?

– Nie mam żadnego zdania na jego temat – odrzekłam. – Nie wiem o nim nic, oprócz tego, że nie pasuje do portretu psychologicznego człowieka, który dusi te kobiety.

Marino zamyślił się.

– No, cóż... a ja wiem o nim to i owo, pani doktor. Widzisz, gadałem z nim przez ładnych kilka godzin. – Sięgnął do kieszeni sportowej marynarki, wyciągnął dwie mikrokasetki i rzucił na biurko. Ja także zapaliłam

papierosa. – Pozwól, że ci opowiem, jak ta rozmowa przebiegała. Razem z Beckerem siedzieliśmy z nim w kuchni, tak? Wszyscy inni wyszli z domu i nagle łup! Osobowość pana Petersena uległa całkowitej zmianie. Wyprostował się na krześle, zaczął myśleć logiczniej i gestykulować tak, jakby znajdował się na scenie! To było po prostu niewiarygodne. Od czasu do czasu oczy zachodzą mu łzami, głos się łamie, to blednie, to znów się czerwieni. Właśnie wtedy przyszło mi do głowy, że to żaden wywiad, tylko jedno wielkie cholerne przedstawienie! – Odchylił się na krześle i poluźnił krawat. – Pomyślałem sobie, że już gdzieś to wcześniej widziałem. Przede wszystkim w Nowym Jorku, gdy rozpracowywałem gogusiów w stylu Johnny’ego Andrettiego, ubranych we włoskie garnitury, palących importowane cygara; urok osobisty wprost od nich bije. Są tak mili, że człowiek w końcu zaczyna im iść na rękę i zapomina, że w czasie swej zawodowej kariery rąbnęli ze dwadzieścia osób, bo tak wypadło. Podobnie było z pewnym alfonsem o imieniu Phil. Bił dziewczyny metalowym wieszakiem na ubrania, dwie z nich zabił w ten sposób... przesłuchiwałem go w jego restauracji, która służyła za przykrywkę dla innych interesów. Phil był cały załamany, płakał. Pochylił się ku mnie przez stół i powiedział jednym tchem: „Proszę, znajdź tego, kto to zrobił, Pete. To jakieś chore bydło, nie człowiek. Masz, spróbuj trochę tego chianti, Pete. Jest naprawdę wyśmienite”. Chodzi mi o to, doktorku, że widziałem takie zagrywki już nie raz. Zachowanie Petersena uruchamia we mnie ten sam ostrzegawczy dzwoneczek, co bujanie Phila czy Andrettiego. Więc gdy się tak przed nami produkował, siedziałem tam i myślałem: „Za kogo ten studencina z Harvardu mnie uważa? Za idiotę czy co?”

Nic nie odpowiedziałam na tę przydługą tyradę, tylko wsadziłam kasetę do magnetofonu; Marino skinął głową, bym włączyła odtwarzanie.

– Akt pierwszy – obwieścił grobowym głosem. – Scena: kuchnia Petersenów. Główny bohater: Matt. Rola: tragiczna. Jest blady, a oczy ma zażawione. Wpatruje się w ścianę. A ja? Ja widzę przed oczyma stary film: nigdy w życiu nie byłem w Bostonie i nie poznałbym Harvardu nawet gdybym się o niego potknął, ale mam przed oczyma te stare ceglane mury i wijącą się winorośl pod oknami.

Ucichł, gdy z taśmy popłynęły słowa Petersena; mówił o Harvardzie, odpowiadając na pytanie, gdzie poznał Lori. Przez wiele lat pracy zawodowej słyszałam niejednen wywiad policyjny, lecz to pytanie mnie zaskoczyło. Jakie miało znaczenie? Co zaloty Lori i Matta miały wspólnego z jej zabójstwem? A jednak jakaś część mnie znała już odpowiedź na to pytanie.

Marino badał grunt; usiłował wyciągnąć z Petersena jak najwięcej szczegółów. Szukał czegokolwiek, najmniejszego drobiazgu, który mógłby świadczyć o tym, że Matt miał obsesję; że był niepoczytalny i skłonny do psychopatycznego zachowania.

Wstałam i zamknęłam drzwi, by nikt nam nie przeszkodził. Głos z magnetofonu dobiegał do mnie jasno i wyraźnie:

– ...widziałem ją już wcześniej, w kampusie. Zawsze nosiła mnóstwo książek i wyglądała tak, jakby wечно się jej gdzieś spieszyło.

Marino: – Co było w niej takiego, że zwróciłeś na nią uwagę, Matt?

– Trudno powiedzieć. Ale długi czas mnie intrygowała, choć nie mam pojęcia dlaczego. Może dlatego, że zazwyczaj była sama, zawsze w pośpiechu, nigdy nie włączyła się bez celu. Była bardzo pewna siebie i zdawało się, że zawsze wie, dokąd zmierza. Zaciekawiała mnie.

Marino: – Czy często ci się to zdarza? Chodzi mi o to, czy często widzisz gdzieś kobietę, w sklepie, na ulicy, która cię intryguje?

– Nie, chyba nie. Wiesz, zwracam uwagę na innych ludzi, jak każdy inny; ale z nią, z Lori... to było coś zupełnie innego.

Marino: – Mów dalej. Więc wreszcie ją poznałeś. Gdzie to było?

– Na przyjęciu; na wiosnę, zaraz na początku maja. Balanga odbywała się w mieszkaniu kolegi mojego współlokatora, poza campusem; okazało się, że facet jednocześnie chodził na laboratorium wraz z Lori i dlatego wpadła. Dotarła około dziewiątej, kiedy ja właśnie szykowałem się do wyjścia; ten koleś, gospodarz imprezy, otworzył jej piwo i zaczęli rozmawiać. Nigdy wcześniej nie słyszałem jej głosu; kontralt, bardzo miły, wpadający w ucho. Miała taki głos, że gdy ludzie go usłyszeli, odwracali się, by zlokalizować jego źródło. Opowiadała właśnie jakąś anegdotkę o którymś z profesorów i kilka osób dokoła niej się roześmiało. Lori miała dar przyciągania ludzkiej uwagi, mimo iż wcale się o to nie starała.

Marino: – Innymi słowy, nie wyszedłeś z przyjęcia, tak? Zobaczyłeś ją i postanowiłeś zostać?

– Tak.

– Jak ona wtedy wyglądała?

– Miała dłuższe włosy i nosiła je upięte... tak jak czasem baletnice upinają włosy. Szczupła, bardzo atrakcyjna...

– Podobają ci się szczupłe blondynki, tak? Uważasz te cechy za atrakcyjne u kobiet?

– Po prostu ją uważałem za atrakcyjną, to wszystko. Poza tym w niej było coś więcej: cechowała ją wyjątkowa inteligencja. Dzięki temu wyróżniała się w tłumie.

Marino: – Co jeszcze?

– Nie rozumiem. O co pan pyta?

Marino: – Zastanawiam się, co ci się jeszcze w niej podobało? – Po chwili przerwy: – Uważam, że to ciekawe.

– Naprawdę nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Ten jeden element jest zadziwiający; wymyka się opisowi. Czasem spotyka się osobę, która wywiera na tobie niezapomniane wrażenie i już. To tak, jakby coś w środku człowieka budziło się do życia... Nie wiem dlaczego. Dobry Boże... nie mam pojęcia.

Następna przerwa, tym razem znacznie dłuższa.

Marino: – Więc była typem kobiety, która przyciąga uwagę, tak?

– Tak, zdecydowanie tak. Cały czas. Kiedy tylko szliśmy gdzieś razem, do znajomych, na przyjęcia, gdziekolwiek... zawsze przyciągała uwagę. A mnie to wcale nie przeszkadzało; lubiłem wycofywać się w cień i obserwować reakcje ludzi na jej obecność. Analizowałem, co takiego było w niej, że tak na nią reagowali. Charyzmę albo się ma, albo się jej nie ma. A ona ją miała. Nie udawała.

Marino: – Kiedy wspominałeś, że często widywałeś Lori w kampusie, mówiłeś, że zdawała się pogrążona w myślach, że zawsze się gdzieś spieszyła. A jak było poza uczelnią? Chodzi mi o to, czy miała w zwyczaju rozmawiać z nieznajomymi? Wiesz, w sklepie czy na stacji benzynowej... czy miała zwyczaj rozmawiać z kimś, kogo spotkała po raz pierwszy w życiu? Albo gdyby ktoś przyszedł do domu, dostawca lub ktoś taki, czy zaprosiłaby go do środka?

– Nie. Rzadko rozmawiała z nieznajomymi i wiem, że nigdy nie zaprosiłaby obcego do domu. Nigdy. Zwłaszcza gdy mnie nie było w mieście. Kiedyś mieszkała w Bostonie i była przyzwyczajona do niebezpieczeństw wielkiego miasta. Pracowała na ostrym dyżurze, więc wiedziała to i owo o przemocy, o nieszczęściach, jakie mogą się człowiekowi przydarzyć, gdy jest nieostrożny. Nie zaprosiłaby obcego do domu; uważam, że pod tym względem nic jej nie groziło. W rzeczy samej, gdy rozpoczęły się te morderstwa, bardzo ją to przeraziło. Bywałem w

domu tylko w weekendy i bardzo się denerwowała, gdy musiałem znowu wyjechać... Nie lubiła być sama w nocy... teraz przeszkadzało jej bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Marino: – Wydaje mi się, że skoro była zdenerwowana tymi zabójstwami, powinna sprawdzić, czy wszystkie okna w domu są pozamykane.

– Już wam wyjaśniałem. Pewnie myślała, że wszystkie są zamknięte.

– Lecz ty akurat tamto zostawiłeś otwarte, kiedyś już naprawiłeś siatkę.

– Nie jestem pewien. Ale tylko takie wyjaśnienie przychodzi mi do głowy...

Głos Beckera: – Czy wspominała o kimś, kto przychodził ostatnio do domu? Albo o kimś, kogo spotkała na mieście? Kogoś, kto by się jej naprzykrzał? Może zauważyła w sąsiedztwie obcy samochód? Albo może podejrzewała, że ktoś ją śledzi? Może spotkała jakiegoś faceta, który usiłował ją poderwać?

– Nie, nic z tych rzeczy.

Becker: – A czy gdyby coś podobnego miało miejsce, powiedziałyby ci o tym?

– Z całą pewnością. Mówiła mi o wszystkim. Tydzień, może dwa tygodnie temu, wydawało się jej, że słyszy jakieś podejrzone hałasy za domem. Zadzwoiła na policję, przyjechał wóz patrolowy, ale okazało się, że to tylko kot buszował w kubie na śmieci. Zawsze mówiła mi o wszystkim.

Marino: – Czy oprócz pracy miała jeszcze jakieś zajęcia?

– Miała kilka przyjaciółek, lekarek z tego samego szpitala. Czasem chodziła z nimi na obiady albo na zakupy czy do kina. I to chyba wszystko. Była bardzo zapracowana; zazwyczaj po skończeniu dyżuru wracała prosto do domu. Uczyła się, grała na skrzypcach. W dni powszednie tylko

pracowała, jadła i spała. A weekendy przeznaczala dla mnie; to byly nasze dwa dni. Tylko w soboty i niedziele byliśmy razem.

Marino: – Czy to w zeszly weekend widziałeś ją po raz ostatni?

– W niedziele po południu; około trzeciej. Mniej więcej o tej porze pojechałem z powrotem do Charlottesville. Nigdzie nie wychodziliśmy tego dnia; od rana padał deszcz. Zostaliśmy w domu, wypiliśmy poranną kawę, rozmawialiśmy...

Marino: – Jak często rozmawiałeś z nią w czasie tygodnia?

– Kilka razy... gdy tylko mogłem. Marino: – A ostatni raz rozmawiałeś z nią wczoraj, w czwartek wieczorem, tak?

– Zadzwońłem, by jej powiedzieć, że przyjadę w piątek po przedstawieniu i że mogę się spóźnić, bo próba ma być kostiumowa. Mówiła, że ma wolny weekend; gdyby była ładna pogoda, planowaliśmy pojechać na plażę.

Cisza.

Petersen walczył ze sobą; słyszałam, jak oddycha głęboko, starając się opanować emocje.

Marino: – Kiedy rozmawiałeś z nią zeszłego wieczora, czy wspominała ci o jakichś problemach? O kimś, kto ją nachodził w domu? Albo może miała jakieś problemy w pracy? Czy może odbierała dziwne telefony? Cokolwiek?

Cisza.

– Nie, nic podobnego. Była w dobrym humorze... śmiała się... cieszyła się, uhm, na nasze spotkanie...

Marino: – Opowiedz o niej coś jeszcze, Matt. Każdy najdrobniejszy szczegół może nam pomóc. Może coś o jej pochodzeniu, osobowości, o rzeczach, które były dla niej ważne.

– Pochodziła z Filadelfii, jej ojciec sprzedawał polisy ubezpieczeniowe; miała dwóch młodszych braci. Najważniejszą rzeczą w jej życiu była medycyna; to było jej powołanie.

Marino: – Jaką chciała robić specjalizację?

– Z chirurgii plastycznej.

Becker: – A to ciekawe. Dlaczego zdecydowała się właśnie na to?

– Kiedy miała dziesięć, może jedenaście lat, jej matka dostała raka piersi, przeszła dwie mastektomie. Przeżyła, lecz jej poczucie własnej wartości zostało bezpowrotnie zniszczone. Chyba czuła się zdeformowana, bezużyteczna, brzydka. Lori czasem o tym mówiła... Myślę, że chciała pomagać ludziom, którzy mieliby podobne kłopoty.

Marino: – I grała na skrzypcach.

– Tak.

Marino: – Czy kiedykolwiek dawała koncerty? Grała w filharmonii czy dla jakiegokolwiek publiczności?

– Pewnie mogłaby. Wydaje mi się, że była wystarczająco dobra, ale brakowało jej na to czasu.

Marino: – Co jeszcze? Ty, na przykład, zajmujesz się aktorstwem. Czy ona się tym interesowała?

– Bardzo; była to jedna z tych rzeczy, które mnie w niej zafascynowały już na samym początku. Kiedy wyszliśmy z przyjęcia, tego, na którym się poznaliśmy, przez wiele godzin spacerowaliśmy po kampusie. Gdy zacząłem jej opowiadać o kilku kursach, które przerabiałem, zdałem sobie sprawę, że bardzo dużo wie o teatrze... zaczęliśmy rozmawiać o sztukach i takich tam. Wtedy bardzo interesowałem się Ibsenem. Długo o nim gadaliśmy, o realności i iluzji, o tym, co jest wspaniałe, a co paskudne w ludziach i społeczeństwie. Jednym z tematów, który Ibsen często poruszał, była alienacja... uhm, samotność i poczucie tęsknoty za domem. Długo o

tym rozmawialiśmy... i ona mnie wtedy zaskoczyła. Nigdy tego nie zapomnę: roześmiała się i rzekła: „Wy, artyści, myślicie, że tylko wy potraficie zrozumieć te emocje. Wielu z nas czuje dokładnie tę samą tęsknotę, samotność i pustkę, ale nie znamy sposobów na ich werbalizację. Więc nic nie mówimy, tylko po cichu staramy się z tym uporać i jakoś żyć dalej. Uczucia to uczucia. Uważam, że ludzie na całym świecie odczuwają te same emocje, tylko inaczej je wyrażają”. Nie zgodziłem się z nią; długo się o to spieraliśmy. Niektórzy ludzie odczuwają emocje znacznie silniej niż inni; przeżywają uczucia obce większości. To właśnie dlatego są tak osamotnieni, uważają się za innych...

Marino: – I ty uważasz się za takiego człowieka?

– Ja to rozumiem. Może i nie odczuwam tego wszystkiego, co inni ludzie, ale potrafię zrozumieć ich uczucia. Niewiele mnie dziwi. Jeżeli człowiek studiuje poezję, sztukę... zaczyna pojmować, jak rozległa jest przestrzeń ludzkich emocji, potrzeb i impulsów, zarówno dobrych, jak i złych. Moim zadaniem, jako aktora, jest wczuwanie się w osobowość innych ludzi i przeżywanie emocji tak, jak oni by je przeżywali; postępowanie tak, jak oni by postępowali... ale z drugiej strony, wszystkie te zachowania są tak naprawdę moje własne. Jeżeli cokolwiek różni mnie od innych ludzi, to właśnie potrzeba odczuwania i rozumienia tej ogromnej różnorodności emocji, o której przed chwilą wspomniałem.

Marino: – A czy potrafisz zrozumieć i wczuć się w osobowość człowieka, który zamordował twoją żonę?

Cisza.

Potem, nieomal bezgłośnie: – Dobry Boże, nie.

Marino: – Jesteś tego pewien?

– Nie. To znaczy, tak! Oczywiście, że jestem pewien! Nie chcę tego rozumieć!

Marino: – Wiem, że trudno jest ci teraz o tym myśleć, Matt. Ale bardzo byś nam pomógł, gdybyś miał jakieś pomysły... na przykład, gdyby wyznaczono ci rolę mordercy, to czy...

– Nie wiem! Cholerny sukinsyn! – Głos mu się łamał, lecz jednocześnie brzmiała w nim ledwie tajona furia. – Nie wiem, po kiego czorta zadajecie mi te wszystkie pytania! To wy jesteście gliniarzami, do kurwy nędzy! To wy powinniście siedzieć i go rozgryzać!

Umilkł nagle, jakby ktoś podniósł igłę gramofonową z płyty.

Kaseta obracała się wolno, choć z magnetofonu nie wydobywał się żaden dźwięk; potem Marino odkaszlnął.

Chwilę później usłyszałam jego głos mówiący do Beckera: – Masz może zapasową kasetę w samochodzie?

Odpowiedział Petersen, niewyraźnie, jakby płakał: – Mam kilka w sypialni, przyniosę.

– Ojej – rozległ się chłodny głos Marino. – To szalenie uprzejme z twojej strony, Matt.

Dwadzieścia minut później Matt Petersen zaczął opowiadać o tym, jak znalazł ciało swojej żony.

Okropne było słyszeć to wszystko, lecz nie widzieć mówiącego. Nic nie zakłócało mojej uwagi, więc dałam się ponieść jego słowom, wspomnieniom, zabierającym mnie w mroczne zakamarki świata, którego nie chciałam oglądać.

Taśma powoli się okręcała w magnetofonie.

– ...Uhm, nie, jestem tego pewien. Nie zadzwoniłem do niej przed wyjazdem, nigdy tego nie robiłem. Po prostu zaraz po próbie, gdy tylko zmyłem makijaż i zdjąłem kostium, wsiadłem do samochodu i pojechałem do Richmond. Było chyba około wpół do pierwszej w nocy. Bardzo się spieszyłem; nie widziałem się z nią cały tydzień. Koło drugiej

zaparkowałem samochód przed domem. Pamiętam, że zdziwiłem się, bo wszystkie światła były zgaszone... pomyślałem, że Lori już poszła spać. Miała bardzo wyczerpujący plan zajęć: dwanaście godzin na dyżurze i dwadzieścia cztery wolne. Pracowała w piątek do północy, miała mieć wolną sobotę... dzisiaj. Jutro miała pracować od północy, do południa w poniedziałek. Wolny wtorek i znowu środa, od południa, do północy. Tak to szło... Otworzyłem drzwi frontowe i zapaliłem światło w salonie; wszystko wyglądało normalnie. Zwróciłem na to uwagę, choć przecież nie miałem żadnego powodu, by szukać dziwnych szczegółów. Pamiętam, że światło w korytarzu było wyłączone, a Lori zazwyczaj zostawiała je dla mnie zapalone... zawsze najpierw szedłem do sypialni. Jeżeli nie była zbyt zmęczona, a prawie nigdy nie była, siedzieliśmy w łóżku, pijąc wino i rozmawiając... często zasypialiśmy dopiero nad ranem, a potem, w sobotę, spaliśmy do południa... Pamiętam, że byłem zdziwiony... coś mnie rozpraszało. W sypialni... z początku prawie nic nie widziałem, bo światła... światła, rzecz jasna, były zgaszone. Ale czułem, że coś jest nie tak. Zupełnie tak, jakbym to wyczuł, zanim jeszcze zobaczyłem. Tak jak zwierzę instynktownie wyczuwa niebezpieczeństwo. I czułem coś dziwnego, co jeszcze potęgowało mój niepokój.

Marino: – Co czułeś? Jakiś zapach?

Cisza.

– Usiłuję sobie przypomnieć. Ledwie zdawałem sobie z tego sprawę... ale niepokoił mnie. To był taki dziwny zapach... słodki, lecz jednocześnie jakby zepsuty. Bardzo dziwny.

Marino: – Masz na myśli coś podobnego do zapachu ciała?

– Podobny, ale nie do końca. Był taki jakby słodkawy. Nieprzyjemny. Trochę jak pot...

Becker: – Czy przypominał może jakiś inny znany ci zapach?

Chwila przerwy.

– Nie, to nie było podobne do niczego, co kiedykolwiek wcześniej czułem. Był ledwie wyczuwalny, lecz odbierałem go wyraźnie, może dlatego, że było tak ciemno i nic nie widziałem... kiedy wszedłem do sypialni, przez kilka chwil też nic nie widziałem. W środku było bardzo cicho i spokojnie... pierwsze, co uderzyło w moje zmysły, to ten zastanawiający zapach. Przeszło mi przez myśl, zupełnie nie wiem dlaczego, że może Lori jadła coś w łóżku. Nie wiem... to pachniało jak wafle... albo syrop. Ona czasem miała takie napady... gdy była zdenerwowana albo smutna, zjadała niesamowite ilości słodyczy. Odkąd zacząłem jeździć na zajęcia do Charlottesville, przybrała sporo na wadze.

Głos mu drżał coraz bardziej.

– Ten zapach był taki dziwny... jakby choroby. Pomyślałem, że może źle się czuje i cały dzień spędziła w łóżku. To by wyjaśniało, dlaczego światła były zgaszone i dlaczego nie zaczekała na mnie z pójściem spać.

Cisza.

Marino: – I co się dalej działo, Matt?

– Moje oczy zaczęły przyzwyczajać się do ciemności, lecz nie rozumiałem tego, co zobaczyłem. Z mroku wyłoniło się łóżko, lecz to, w jaki sposób zwisała z niego kapa i pościel, zupełnie nie miało sensu. I ona. Leżała na górze, w przedziwnej pozycji, i kompletnie nic na sobie nie miała. Boże... Serce podeszło mi do gardła, zanim jeszcze zrozumiałem, co widzę. A kiedy włączyłem światło i zobaczyłem ją... krzychałem, ale nie słyszałem własnego głosu. Zupełnie jakbym krzychał tylko we własnym umyśle. Jakby mój mózg... zobaczyłem plamę na pościeli, czerwoną, i krew wypływającą z jej nosa i ust. Twarz... To nawet nie wyglądało jak ona. To nie była ona, tylko ktoś inny. Jakiś żart, koszmary dowcip. To nie wyglądało jak moja Lori...

Marino: – I co było dalej, Matt? Czy dotykałeś jej, czy poruszyłeś cokolwiek w tym pokoju?

Długa chwila ciszy, podczas której słychać było tylko gwałtowny, urywany oddech Petersena.

– Nie. To znaczy, tak. Dotknąłem jej. Nie myślałem o tym, co robię, tylko jej dotknąłem... jej ręki, ramienia. Nie pamiętam. Była jeszcze ciepła. Ale gdy usiłowałem wyczuć puls, zupełnie nie mogłem znaleźć nadgarstków... bo leżała na nich. Były pod jej plecami, związane... Zacząłem dotykać jej szyi i wtedy zauważyłem kabel. Chyba usiłowałem sprawdzić, czy jej serce bije, ale nie pamiętam. Wiedziałem... wiedziałem, że nie żyje. Wyglądała... jakby już była martwa. Pobiegnąłem do kuchni i zadzwoniłem, ale nie pamiętam, co powiedziałem... nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak wykręciłem dobry numer. Wiem jednak, że zadzwoniłem na policję, a potem zacząłem przechadzać się po kuchni... chodziłem tam i z powrotem. W końcu wróciłem do sypialni. Oparłem się o ścianę, płakałem i mówiłem do niej. Po prostu mówiłem do niej, dopóki nie przyjechała policja. Powtarzałem jej, że to nie może być prawda. Podchodziłem do niej i znowu wycofywałem się pod drzwi, błagając ją, by to nie była prawda. Czekałem, aż ktoś wreszcie przyjedzie mi na pomoc, ale to trwało całą wieczność...

Marino: – Jeżeli chodzi o te kable, którymi była związana... Czy ruszałeś je? Czy dotykałeś jeszcze czegoś w tym pokoju? Pamiętasz?

– Nie. To znaczy nawet jeżeli czegoś dotknąłem, to nie pamiętam. Ale chyba nie. Coś mnie przed tym powstrzymywało. Chciałem ją okryć, lecz coś mnie powstrzymało. Coś mi powiedziało, że lepiej będzie, jeżeli nie będę jej dotykać.

Marino: – Masz w domu nóż?

Cisza.

Marino: – Pytałem cię o nóż, Matt. Znaleźliśmy nóż myśliwski, taki z kompasem i schowkiem na zapałki.

Zdziwienie: – Och. Taak. Kupiłem go kilka lat temu. To był jeden z tych noży, które można zamówić z katalogu... kosztował pięć dziewięćdziesiąt pięć czy coś takiego. Kiedyś chodziłem po górach i zabierałem go ze sobą na te wyprawy. Był bardzo poręczny... te zapałki, żyłka z haczykiem na ryby... i w ogóle.

Marino: – Gdzie go ostatni raz widziałeś?

– Na biurku. Leżał na biurku... wydaje mi się, że Lori otwierała nim listy. Nie mam pojęcia... wiem tylko, że leżał tam już od wielu miesięcy. Może lepiej się czuła, gdy miała go pod ręką... Bała się spać sama w pustym domu... chciałem kupić psa, ale była uczulona na sierść.

Marino: – Jeżeli dobrze słyszę, Matt, to mówisz mi, że nóż leżał na biurku, gdy go ostatni raz widziałeś. Kiedy to było? W zeszłą sobotę albo niedzielę, gdy byłeś w domu na weekend... kiedy wymieniałeś siatkę w oknie w łazience, tak?

Brak odpowiedzi.

Marino: – Czy znasz jakiś powód, dla którego twoja żona mogłaby przenieść nóż gdzie indziej, na przykład do komody? Czy robiła kiedyś coś podobnego w przeszłości?

– Nie sędzę. Od wielu miesięcy leżał na biurku przy lampie.

Marino: – A możesz nam wyjaśnić, dlaczego znaleźliśmy go pod jakimiś swetrami w szufladzie komody, obok pudełka z kondomami? Podejrzewam, że to była twoja szuflada, tak?

Cisza.

– Nie, nie potrafię tego wyjaśnić. Tam właśnie go znaleźliście?

Marino: – Taak.

– Kondomy... mój Boże, leżały tam już od bardzo dawna. – Usłyszałam śmiech, bez cienia wesołości. – Używaliśmy ich, zanim Lori przeszła na pigułki.

Marino: – Jesteś tego pewien?

– Oczywiście, że jestem pewien. Zaczęła brać pigułki jakieś trzy miesiące po naszym ślubie. Pobraliśmy się, zanim się tu przeprowadziliśmy... mniej niż dwa lata temu.

Marino: – Posłuchaj, Matt... muszę ci zadać parę osobistych pytań i chcę, byś wiedział, że nie wsadzam nosa w nie swoje sprawy ani nie staram się ciebie wprawić w zakłopotanie. Mam powody, by je zadawać... dla twojego dobra musimy ustalić kilka rzeczy, okay?

Cisza.

Usłyszałam trzask zapalniczki, a potem znowu głos Marino:

– No, dobrze. Jeżeli chodzi o kondomy... czy miałeś jakieś związki z kobietami? Chodzi mi o skoki w bok? Romanse?

– Oczywiście, że nie.

Marino: – Cały tydzień nie było cię w mieście, mieszkałeś na uczelni. Ja na twoim miejscu miałbym ochotę...

– Ale ja nie. Lori była dla mnie wszystkim. Nigdy jej nie zdradzałem.

Marino: – Nie podobała ci się żadna z dziewcząt, z którymi grałeś w przedstawieniu?

– Nie.

Marino: – Widzisz, chodzi mi o to, że wszyscy jesteśmy tylko ludźmi i wszyscy mamy małe grzeszki na sumieniu. Jesteś przystojny... Kobiety pewnie rzucały ci się na szyję. Kto mógłby mieć do ciebie pretensje, gdybyś skorzystał z okazji? Ale jeżeli się z kimś spotykałeś, musimy o tym wiedzieć. To mogłoby mieć jakiś związek z tą sprawą...

Nieomal niesłyszalnie: – Nie. Powiedziałem już przecież, że nie. Nie ma żadnego związku, chyba że mnie o coś oskarżacie.

Becker: – Nikt cię o nic nie oskarża, Matt.

Odgłos czegoś przesuwanego po blacie stołu; pewnie popielniczki.

I znowu Marino: – Kiedy ostatni raz kochałeś się z żoną, Matt?

Cisza.

– Jezu Chryste. – Głos Petersena drżał bardzo wyraźnie.

Marino: – Wiemy, że to twoja prywatna sprawa... ale musisz nam powiedzieć. Mamy swoje powody.

– W niedzielę rano. Tydzień temu. Marino: – Wiesz, że musimy przeprowadzić całą serię testów. Patolodzy będą badać próbki krwi i wszystkiego innego, byśmy mogli je porównać. Potrzebujemy próbek twojej krwi i chcielibyśmy zdjąć ci odciski palców, żebyśmy potem mogli spokojnie rozdzielić, co należy do ciebie, co do niej, a co do...

Taśma skończyła się raptownie. Zamrugałam gwałtownie powiekami i usiłowałam skupić wzrok na Marino. Sięgnął do magnetofonu, wyłączył go i wsadził kasety do kieszeni.

– Po tym zabraliśmy go do szpitala i pobraliśmy próbki. Podejrzewam, że w tej chwili Betty przeprowadza testy.

Skinęłam głową i zerknęłam na zegar wiszący na ścianie; było już prawie południe. Źle się czułam.

– Niezłe, co? – Marino stłumił ziewnięcie. – Słyszałaś? Mówię ci, że ten facet to świr. Chodzi mi o to, że każdy gość, który potrafi mówić o takich rzeczach z takim spokojem, musi być świrnięty. Zazwyczaj, po znalezieniu ciała, ludzie niewiele mówią, tylko wpatrują się w sufit... A on terkotałby do Bożego Narodzenia, gdybym mu nie przerwał. Mnóstwo gładkich słówek i dramatu... Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to on jest trefny. Facet jest tak popieprzony, że aż mnie to przeraża.

Zdjęłam okulary i rozmasowałam skronie. Bolała mnie głowa, a mięśnie karku wydawały się nieco za krótkie. Jedwabna bluzka, którą miałam na sobie pod laboratoryjnym fartuchem, była już przepocona. Miałam tak dość wszystkiego, że chętnie wyrzuciłabym Marino za drzwi, podparła się rękoma i zasnęła na biurku.

– Jego świat składa się ze słów, Marino – powiedziałam spokojnie. – Artysta namalowałby ci obraz; Matt zrobił to za pomocą słów. On tak właśnie żyje, tak wyraża swe emocje... poprzez odpowiednio dobrane słowa. Dla ludzi takich jak on myśli i słowa są ze sobą nieodwracalnie powiązane.

Włożyłam z powrotem okulary i spojrzałam na Marino; patrzył na mnie ze zdumieniem wypisanym na mięsistej, zaczerwienionej twarzy.

– A co z tym kawałkiem o nożu, pani doktor? Na ostrzu są jego odciski palców, choć twierdzi, że to jego żona używała go od miesięcy. Na rękojęści znaleźliśmy tę samą świecą substancję, którą miał na rękach. Ponadto nóż znajdował się w jego szufladzie w komodzie, zupełnie jakby ktoś go tam schował. Czy to cię nie zastanawia?

– Uważam, że jest prawdopodobne, by nóż znajdował się na biurku Lori, tak jak on twierdzi. Możliwe, że używała go bardzo rzadko, a otwierając listy, wcale nie musiała dotykać ostrza. – Widziałam to przed oczyma tak wyraźnie, że nieomal byłam pewna, tak właśnie to wyglądało. – Uważam, że jest bardzo prawdopodobne, iż morderca zobaczył nóż leżący na blacie i użył go...

– Dlaczego?

– A dlaczego nie? – spytałam. Wzruszył ramionami. Zasugerowałam: – Może po to, byśmy mieli się nad czym zastanawiać. Może z czystej perwersji. Przecież nie mamy zielonego pojęcia, co się tam wydarzyło. Mógł ją zapytać o ten nóż... mógł ją nim terroryzować i dręczyć... wszak

broń należała do jej męża. Jeżeli z nim rozmawiała, a przypuszczam, że tak właśnie było, sama mogła mu o tym powiedzieć. Drań mógł pomyśleć: „Posłużę się nim, a potem wrzucę go do komody, gdzie policja na pewno go znajdzie”. Z drugiej strony, równie dobrze mógł wcale o tym nie myśleć. Może jego powody były czysto utylitarne? Innymi słowy, może nóż Petersena był większy od tego, który morderca przyniósł ze sobą? Wpadł mu w oko, spodobał się, lecz po użyciu nie chciał go brać ze sobą, więc ukrył w szufladzie?

– Albo może to jednak Matt ją załatwił? – odparł sztywno Marino.

– Matt? Zastanów się nad tym. Czy mąż mógłby związać i zgwałcić żonę? Czy mógłby złamać jej żebra i palce? Czy mógłby powoli ją zadusić? Lori była kimś, kogo kochał. Spał z nią, jadł, rozmawiał, żył z nią pod jednym dachem. Była dla niego osobą, sierżancie, a nie zdepersonalizowanym obiektem pożądania. I jak chcesz połączyć zabójstwo żony z trzema pierwszymi ofiarami?

Marino najwyraźniej już wcześniej się nad tym zastanawiał.

– Pierwsze trzy morderstwa zostały popełnione tuż po północy, w nocy z piątku na sobotę, czyli mniej więcej w czasie, gdy Matt wracał do domu z Charlottesville. Może żona zaczęła go podejrzewać z jakiegoś powodu i postanowił ją załatwić? A może zabił ją w ten sposób, by upozorować kolejną robotę seryjnego mordercy? Albo może to ją chciał zabić przede wszystkim, a trzy pierwsze zaszlachtował po to, byśmy sądzili, że to seryjna robota jakiegoś anonimowego zabójcy?

– Wspaniały spisek rodem z powieści Agathy Christie. – Odsunęłam się od biurka i wstałam z fotela. – Ale jak zapewne wiesz, w prawdziwym życiu morderstwa są zazwyczaj przygnębiająco proste. Uważam, że te uduszenia także są proste. Są dokładnie tym, czym się wydają: anonimowymi zabójstwami popełnianymi na chybił trafił przez kogoś, kto

dostatecznie długo śledzi swe ofiary, by się przekonać, że mieszkają same, i uderzyć w odpowiednim momencie.

Marino także się podniósł.

– Taak, ale w prawdziwym życiu, doktor Scarpetta, ciała nie mają na sobie dziwacznych błyszczących gwiazdeczek, całkiem przypadkiem pasujących do błyszczącego świnstwa, jakie znaleźliśmy na rękach męża, który znalazł ciało swej żony i zostawił odciski palców w całym pokoju. W prawdziwym życiu ofiary nie mają za mężów lalusiowatych aktorów, którzy piszą dysertacje o przemocy, seksie, kanibalizmie i pedałach. Ot co.

– A ten zapach, o którym wspomniał Petersen? – spytałam spokojnie. – Czy gdy pojawiłeś się na miejscu, poczułeś coś podobnego?

– Nie. Zupełnie nic nie czułem. Prawdę mówiąc, coś mi się zdaje, że on poczuł tylko płyn nasienny i nic więcej.

– A może sobie przypominasz, czy przy poprzednich zabójstwach ktoś wspominał coś o dziwnym zapachu?

– Nie, łaskawa pani. A to tylko potwierdza moje podejrzenia, że albo Mattowi się przywidziało, albo zmyślił to sobie, by zmylić tropy.

Wtedy coś sobie uświadomiłam.

– Ale przecież w trzech pierwszych sprawach ciała nie zostały znalezione tak szybko... w każdym przypadku upłynęło co najmniej dwanaście godzin.

Marino zatrzymał się w drzwiach, a na jego twarzy zagościło zdumienie.

– Chcesz powiedzieć, że Matt wszedł do domu zaraz po tym, jak morderca wyszedł, i że drań ma jakiś charakterystyczny zapach ciała?

– Mówię tylko, że to prawdopodobne.

Skrzywił się ze złością, a gdy szedł już korytarzem, usłyszałam, jak mruczy pod nosem:

– Niech szlag trafi baby...

Rozdział piąty

Centrum handlowe Marketplace na Sixth Street jest jedną tych dużych, słonecznych budowli ze stali i szkła, znajdujących się na północnym krańcu handlowej dzielnicy Richmond. Rzadko mogłam wyrwać się gdzieś na lunch, a tego popołudnia z całą pewnością nie miałam czasu na zbytnie luksusy. Byłam umówiona na spotkanie za niecałą godzinę, w kostnicy czekały na mnie dwa przypadki nagłych zgonów i jeden samobójca, lecz musiałam się odprężyć.

Marino działał mi na nerwy; jego stosunek do mnie przypominał mi czasy akademii medycznej.

Byłam jedną z czterech kobiet w mojej grupie na zajęciach w Akademii Medycznej Hopkinsa. Z początku nie mogłam zrozumieć, co się dzieje; nagłe skrzypienie krzesel i głośnie przekładanie papierów, gdy profesor wzywał mnie do odpowiedzi, nie były przypadkowe. Gdy zeszłoroczne testy z egzaminów krążyły po wydziale, jakoś nigdy nie trafiały w moje ręce. Wymówki – „Nie dasz rady odczytać mojego pisma” czy „Ktoś inny w tej chwili pożyczył moje notatki” – były zbyt uniwersalne, gdy chodziłam od studenta do studenta przy tych kilku nieczęstych okazjach, kiedy nie uczestniczyłam w wykładzie i chciałam przepisać czyjeś notatki. Byłam tylko małym robaczkiem usiłującym dać sobie radę we wspaniale zorganizowanej sieci męskich szowinistów, którzy mogli mnie tolerować, lecz nigdy do końca nie zaakceptowali.

Izolacja jest najokrutniejszą karą i nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że jestem gorszym rodzajem człowieka tylko dlatego, że nie jestem mężczyzną. Jedna z moich koleżanek nie zniosła napięcia i rzuciła studia,

druga przeżyła załamanie nerwowe i także odeszła. Przetrwanie było moją jedyną nadzieją, a zemsty dopatrywałam się tylko w możliwości odniesienia sukcesu.

Myślałam, że te dni już na zawsze minęły, lecz Marino przypomniał mi o wszystkim. Obecnie byłam jeszcze bardziej narażona na ciosy, gdyż morderstwa tych kobiet mocno mnie poruszyły. Nie chciałam być zmuszona do samotnego radzenia sobie z tym; jednak zdawało się, że Marino miał już wyrobioną opinię nie tylko na temat Matta Petersena, ale także na mój.

Spacer w południe ukoił nieco moje zszarpane nerwy; słońce świeciło jasno i odbijało się w szybach przejeżdżających samochodów. Szeroko otwarte podwójne szklane drzwi Marketplace wpuszczały do środka wonne wiosenne powietrze, a bar na parterze był tak zatłoczony, jak się tego spodziewałam. Czekając na swoją kolejkę przy kontuarze z sałatkami, przyglądałam się ludziom przechodzącym obok i młodym parom siedzącym przy stolikach, śmiejącym się, rozmawiającym i jedzącym. Zwróciłam uwagę na kilka samotnych kobiet – pogrążonych we własnych myślach, modnie ubranych kobiet sukcesu w drogich kostiumach, popijających dietetyczną coca-colę lub skubiących kanapki z ciemnego chleba.

Możliwe, że to właśnie w takim miejscu on namierza swe ofiary; w jakimś ogromnym, anonimowym, zatłoczonym pomieszczeniu, gdzie jedyną cechą wspólną tych kobiet było jedzenie, jakie zamówiły przy kontuarze.

Jednak największym i najbardziej tajemniczym problemem w tym dochodzeniu było to, że zamordowane kobiety nie tylko nie mieszkały, ale także nie pracowały w tych samych dzielnicach. Richmond jest dużym miastem, zajmującym ogromną połąć ziemi, ma mnóstwo centrów handlowych i supermarketów w każdym z czterech podstawowych

sektorów: ludzie mieszkający na Northside zaopatrują się w Northside, tam załatwiają swe interesy i tam szukają rozrywki. Mieszkańcy dzielnic leżących po południowej stronie rzeki najczęściej nie jeżdżą z interesami na drugi brzeg; to samo dotyczy mieszkańców wschodniego dystryktu. Ja także ograniczałam się do robienia zakupów w supermarketach i centrach handlowych na zachodnim krańcu miasta, gdzie mieszkałam; chyba że byłam w pracy i chciałam się wyrwać gdzieś na obiad.

Kobieta za kontuarem, która przyjmowała moje zamówienie na grecką sałatkę, przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, jakby mnie skądś znała, tylko nie była pewna skąd. Z zażenowaniem pomyślałam, że mogła widzieć moje zdjęcie w sobotniej gazecie albo w telewizyjnej migawce z którejś z rozpraw sądowych.

Zawsze marzyłam o tym, by móc przejść przez miasto niezauważona i wykonywać swą pracę w ciszy i spokoju, lecz w moim przypadku nie było to takie proste. Po pierwsze w Stanach Zjednoczonych niewiele jest kobiet na stanowisku naczelnego koronera stanowego i dzięki temu reporterzy bardzo lubili mnie cytować w swych artykułach. Poza tym rozpoznawali mnie już z dużej odległości, gdyż jestem „naturalną blondynką”, mam „dumną posturę” i Bóg jeden wie, co jeszcze wypisywali. Moi przodkowie wyemigrowali z północnozachodniej Italii, gdzie mieszka sporo błękitnookich, jasnowłosych Włochów, w których żyłach płynie krew ich sąsiadów z Austrii i Szwajcarii.

Ród Scarpettów jest w zasadzie etnocentryczny – czyli moi przodkowie, nawet w tym kraju, żenili się i wychodzili za mąż tylko za Włochów, by zachować czystość rasową. Największą porażką mojej matki – o czym często mi przypominała – jest to, że nie ma syna, a jej dwie córki okazały się genetycznymi ślepyimi uliczkami. Dorothy zakończyła linię Scarpettów, wydając na świat Lucy, która jest pół Włoszką, pół Meksykanką, natomiast

mój status małżeński oraz wiek nie dają większej nadziei na to, bym jeszcze kiedykolwiek cokolwiek wydała na świat.

Moja matka nie może pogodzić się z tą myślą i często rozpacza nad faktem, iż krew jej przodków została zmarnowana. „Wszyscy ci wspaniali ludzie! – zdarza się jej zawodzić, zwłaszcza podczas świąt, kiedy powinna być otoczona wianuszkiem ślicznych i mądrych wnucząt. – Jaka to szkoda! Jaki wstyd! Nasi przodkowie w grobie się pewnie przewracają! Wszyscy ci architekci, malarze! Kay, Kay, dlaczego pozwoliłaś, by nasza krew się zmarnowała...”

Moja rodzina pochodzi z Werony, prowincji Romea z rodu Montekich i Julii z Kapuletów, Dantego, Tycjana, Belliniego i Paolo Cagliariego, wedle słów mojej matki. Cały czas z podziwu godnym uporem twierdzi, że w jakiś pokrętny sposób jesteśmy spokrewnieni z tymi wszystkimi sławnymi ludźmi, mimo iż często jej powtarzam, że choć Tycjan i Bellini owszem wpłynęli na szkołę z Werony, to pochodzili z Wenecji, Dante zaś był florentyńczykiem i gdy został wygnany z miasta, w Weronie zatrzymał się tylko na chwilę podczas podróży do Rawenny. W rzeczy samej nasi przodkowie wywodzą się od skromnych rolników i pracowników kolejowych, biedaków, którzy wyemigrowali ze starego kraju zaledwie dwa pokolenia temu.

Z białą torebką pod pachą radośnie wyszłam z powrotem na zalane słońcem miasto. Po chodnikach spieszyli ludzie idący na lunch lub wracający do pracy; kiedy czekałam na rogu na zielone światło, instynktownie spojrzałam na dwóch mężczyzn wychodzących z chińskiej restauracji po drugiej stronie ulicy. Znajomy widok jasnych włosów przyciągnął moje spojrzenie; Bill Boltz, prokurator okręgowy Richmond właśnie wkładał na nos okulary przeciwsłoneczne i zdawał się pogrążony w rozmowie z Normanem Tennerem, dyrektorem do spraw bezpieczeństwa

publicznego. Przez chwilę Boltz patrzył prosto na mnie, lecz nie odwzajemnił mego pozdrowienia; może jednak mnie nie widział? Nie machnęłam po raz drugi. Potem obaj mężczyźni zniknęli mi z oczu.

Kiedy wreszcie światło zamieniło się na zielone i przeszłam na drugą stronę ulicy, mijając sklep ze sprzętem komputerowym, pomyślałam o Lucy. Wstąpiłam do środka i kupiłam coś, co na pewno się jej spodoba; nie grę, lecz cały komplet płyt z historią sztuki, muzyki i malarstwa. Poprzedniego dnia wynajęliśmy łódkę i przez pół dnia pływałyśmy nią po maleńkim jezioru w parku; nakarmiłyśmy gęsi pokruszonym chlebem i tak długo lizałyśmy lody winogronowe, aż nasze języki zrobiły się zupełnie niebieskie. W czwartek rano Lucy odleci do Miami i nie zobaczę jej aż do Bożego Narodzenia, jeżeli w ogóle pojedę na święta do domu.

Była za piętnaście pierwsza, gdy weszłam do holu mojego biura; Benton Wesley przyjechał o kwadrans za wcześnie i właśnie siedział na kanapie, czytając „Wall Street Journal”.

– Mam nadzieję, że masz w tej torbie coś do picia – odezwał się, zwijając gazetę i sięgając po aktówkę.

– Taak, ocet. Na pewno ci będzie smakował.

– Do diabła. Właściwie wszystko mi jedno... Czasem jestem tak zdesperowany, że marzę o tym, iż basen przy moim domu wypełniony jest ginem.

– Coś mi się zdaje, że to tylko rozmienianie fantazji na drobne.

– Nieee, skądże! To po prostu jedyna fantazja, o której mogę rozmawiać z damą.

Wesley był psychologiem współpracującym z FBI, przydzielonym do placówki w Richmond, w której, tak naprawdę, spędzał zaskakująco mało czasu. Kiedy nie podróżował, siedział zazwyczaj w Akademii FBI w Quantico i uczył przyszłych agentów, jak prowadzić dochodzenie w sprawie

o morderstwo, oraz robił co w jego mocy, by VICAP wreszcie zaczęło działać. VICAP to akronim utworzony z pierwszych liter Violent Crime Apprehension Program – czyli Programu Zwalczania Okrutnych Zbrodni. Jedną z najbardziej innowacyjnych koncepcji tego programu było utworzenie regionalnych drużyn, składających się z psychologa FBI i doświadczonego detektywa. Departament Policji Richmond poprosił VICAP o pomoc po drugim morderstwie, a Marino oprócz tego, że prowadził dochodzenie w tej sprawie, był także partnerem Wesleya z drużyny VICAP.

– Wiem, że jestem za wcześnie – przeprosił Wesley, idąc za mną w kierunku mego gabinetu. – Przyszedłem do ciebie prosto od dentysty, ale jeżeli chcesz coś zjeść, to nie przejmuj się mną; nie będzie mi to przeszkadzać.

– No, cóż... bardzo to miło z twojej strony, ale mnie to będzie przeszkadzać – odrzekłam.

Spojrzał na mnie, nie rozumiejąc, a po chwili uśmiechnął się niemądrze.

– Zapomniałem. Przecież nie jesteś doktorem Cagneyem. Wiesz, że on zawsze trzymał krakersy serowe w biurku w kostnicy? Jeżeli zachciało mu się jeść, kiedy robił sekcję, to przerywał na moment, posilał się i jakby nigdy nic wracał do roboty. To było niesamowite.

Skręciliśmy do pokoiku, który rozmiarami bardziej przypominał wnękę kuchenną, gdzie stały ekspres do kawy, automat z coca-colą i mała lodówka.

– Miał szczęście, że nie dostał od tego zapalenia wątroby albo AIDS – mruknęłam.

– AIDS! – Wesley roześmiał się głośno. – To dopiero byłaby poetyczna sprawiedliwość!

Jak większość starych wiarusów, doktor Cagney znany był ze swej wprost niewiarygodnej homofobii.

– Znowu jakaś cholerna ciota – miał zwyczaj mówić, gdy na sekcję przywożono kogoś o wiadomej orientacji seksualnej.

– AIDS... – Wesley nadal cieszył się z podłego dowcipu, podczas gdy ja wsadziłam swą grecką sałatkę do lodówki. – Chciałbym usłyszeć, jak usiłuje się z tego wytłumaczyć.

Kiedy po raz pierwszy spotkałam Wesleya, byłam do niego nieco uprzedzona. Stanowił idealny przykład agenta FBI, włącznie z robionymi na zamówienie półbutami; miał ostre rysy twarzy i przedwcześnie posiwiąłą czuprynę sugerującą łagodne usposobienie, którego jednak wcale nie posiadał. Był szczupły i twardy, a w swym perfekcyjnie skrojonym garniturze khaki i niebieskim jedwabnym krawacie wyglądał na adwokata. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widziała go w innej koszuli niż białej, wyprasowanej i lekko wykrochmalonej.

Miał tytuł doktora psychologii i przed wstąpieniem do FBI był dyrektorem ogólniaka w Dallas; gdy zaczął pracować dla Biura, najpierw był zwykłym agentem, potem pracował w podziemiu, wyławiając członków mafii, aż wreszcie w pewnym sensie skończył tam, gdzie zaczął. Psychologowie są naukowcami, myślicielami, analitykami; czasem mam wrażenie, że są także cudotwórcami.

Nalaliśmy sobie kawy, po czym poszliśmy do pokoju konferencyjnego, gdzie przy długim stole siedział Marino, przeglądając grubą teczkę z aktami. Trochę się zdziwiłam; nie wiem dlaczego, ale po prostu założyłam, że się spóźni.

Zanim zdążyłam choćby usiąść, Marino odchylił się do tyłu na krześle i obwieścił lakonicznym tonem:

– Przed kilkoma minutami zatrzymałem się w laboratorium serologicznym. Pomyślałem, że zainteresuje was wiadomość, iż Matt Petersen ma krew grupy A i jest nonsekreterem.

Wesley spojrział na niego ciekawie.

– To ten mąż, o którym mi opowiadałeś?

– Aha. Nonsekreter. Dokładnie tak samo jak ten szajbus, co dusi kobiety.

– Jest to cecha, którą charakteryzuje się dwadzieścia procent populacji – przypomniałam mu chłodno.

– Taak, dwóch na dziesięciu – burknął Marino.

– Albo czterdzieści cztery tysiące osób w mieście o rozmiarach Richmond. Dwadzieścia dwa tysiące, jeżeli liczyć, że mężczyźni stanowią połowę tej liczby – dodałam.

Marino zapalił papierosa i spojrział na mnie ponad płomykiem zapalniczki.

– Wiesz co, doktoro? – Papieros kiwał mu się w ustach wraz z każdą wypowiedaną sylabą. – Zaczynasz mówić jak jakiś cholerny obrońca z urzędu.

Pół godziny później siedziałam u szczytu stołu, a dwaj mężczyźni zajmowali miejsca po moich obu stronach; przed nami leżały zdjęcia czterech zamordowanych kobiet.

Tak wyglądała najtrudniejsza i najbardziej czasochłonna część dochodzenia – określanie portretu psychologicznego mordercy, potem ofiar, a na koniec znowu mordercy.

Wesley opisywał właśnie zabójcę; było to coś, co robił wprost znakomicie. Bardzo często z wręcz niebywałą dokładnością potrafił odczytać emocje towarzyszące zabójcy w czasie popełniania zbrodni – w tych przypadkach była to zimna, wykalkulowana złość.

– Założę się, że jest biały – zaczął Wesley. – Lecz nie będę stawiał na to mojej reputacji. Cecile Tyler była Murzynką; lecz ofiara innej rasy jest czymś niezwykłym, chyba że zabójca ulega bardzo gwałtownej dekompensacji. – Wziął do rąk zdjęcie Cecile Tyler, ciemnoskórej, ślicznej recepcjonistki, która pracowała dla firmy inwestycyjnej w północnej dzielnicy miasta. Podobnie jak Lori Petersen, została związana i uduszona, a jej nagie ciało znaleźliśmy na łóżku w sypialni jej domu. – Jednak ostatnimi czasy mamy coraz więcej międzyrasowych zabójstw nas tle seksualnym, lecz najczęściej to czarny mężczyzna morduje białą kobietę, odwrotne wypadki zdarzają się bardzo rzadko... innymi słowy, biały mężczyzna raczej nie zgwałci i nie zamorduje czarnoskórej kobiety. Jedynym wyjątkiem są dziwki. – Przyjrzał się uważnie zebrany fotografom. – Te kobiety z całą pewnością nie trudniły się prostytutką; gdyby tak było, nasze zadanie byłoby o wiele prostsze – dodał cicho.

– Taak, ale ich niekoniecznie – wtrącił Marino.

Wesley nie uśmiechnął się.

– Przynajmniej miałyby ze sobą coś wspólnego, a na tym moglibyśmy zacząć budować sensowną teorię, Pete. – Potrząsnął głową. – A tak dziwny dobór ofiar mnie niepokoi.

– Co na ten temat mówi Fortosis? – spytał Marino, mając na myśli psychologa klinicznego, z którym FBI konsultowało się w tej sprawie.

– Niewiele – odrzekł Wesley. – Dziś rano zamieniłem z nim kilka słów... nie chce wydawać żadnych autorytatywnych sądów. Zdaje mi się, że zabójstwo tej pani doktor zmusiło go do powtórnego przemyślenia kilku teorii... Ale nadal idzie o zakład, że morderca jest biały.

Przed oczyma zobaczyłam nagle twarz z mego snu: białą, bez widocznych rysów.

– Ma pewnie jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści pięć lat – kontynuował Wesley. – Ponieważ te zabójstwa nie są związane z żadnym określonym okręgiem miasta, musi to być facet, który sporo podróżuje: samochodem, ciężarówką czy może motorem. Pewnie stawia swój pojazd w jakimś nie budzącym podejrzeń miejscu i resztę drogi pokonuje na piechotę... Jeżeli jeździ samochodem osobowym, to pewnie amerykańskim, jakimś niezbyt nowym modelem, w nierzucającym się w oczy kolorze, beżowym albo szarym. Innymi słowy, wcale bym się nie zdziwił, gdyby gość jeździł dokładnie takim samym wozem, jakich używają wasi detektywi czy nasi agenci operacyjni.

Wcale nie żartował. Tego typu zabójcy często byli zafascynowani pracą policjantów, a nawet zdolni do podszywania się pod stróżów prawa. Klasycznym zachowaniem psychopaty po dokonaniu zbrodni jest zaangażowanie się w śledztwo; chce pomóc policji, proponuje swój udział w szukaniu ciała, które na przykład porzucił gdzieś w lasach. Tego typu facet mógł spokojnie przesiadywać w ulubionych knajpach policjantów i stukając się z nimi kieliszkami, słuchać ich opowieści.

Szacuje się, że co najmniej jeden procent populacji to psychopaci. Genetycznie są to osobnicy niezdolni do odczuwania strachu; wspaniali manipulanci, którzy bezwstydnie potrafią wykorzystywać innych ludzi. Jeżeli trzymają się odpowiedniej strony prawa, zostają nadzwyczajnymi szpiegami, bohaterami wojennymi, pięciogwiazdkowymi generałami, miliarderami stojącymi na czele ogromnych korporacji i Jamesami Bondami. Jeżeli zaś ją przekraczają, stają się Neronami, Hitlerami, Richardami Speckami czy Tedami Bundy; antyspołecznymi, choć – z klinicznego punktu widzenia – psychicznie normalnymi ludźmi, którzy bez żalu czy wstydu popełniają okrutne zbrodnie.

– Jest samotnikiem – ciągnął Wesley. – Nie potrafi zaangażować się w bliskie związki emocjonalne, choć jednocześnie może być uważany za miłego, a nawet czarującego znajomego. Jednak nigdy z nikim nie zwiąże się naprawdę blisko. To ten typ faceta, który podrywa w barze obcą kobietę, lecz po przespaniu się z nią jest sfrustrowany i rozczarowany.

– Jakbym to skądś znał – mruknął Marino, ziewając.

Wesley nie zwrócił na niego uwagi.

– Pewnie o wiele więcej satysfakcji sprawiłoby mu oglądanie ostrej pornografii, magazynów detektywistycznych oraz sadomasochistycznych; podejrzewam, że miewał okrutne fantazje seksualne na długo przedtem, zanim zaczął je wprowadzać w czyn. Być może zaczął od podglądania kobiet mieszkających samotnie, potem je gwałcił, a na koniec zaczął mordować. Eskalacja będzie trwać, a każde następne morderstwo będzie bardziej okrutne. Nie jest już dla niego celem gwałt, lecz sam akt zabijania. Potem śmierć ofiary przestanie mu wystarczać i będzie to robił w coraz brutalniejszy sposób.

Wyciągnął rękę, pokazując perfekcyjnie zaprasowany mankiet koszuli, i ujął zdjęcia Lori Petersen. Przeglądał je powoli, obserwując każde z wielką uwagą; jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Potem odepchnął kupkę fotografii od siebie i odwrócił się do mnie.

– Wydaje mi się, że już w tej sprawie, przy morderstwie doktor Petersen, zabójca wprowadził elementy tortur. Mam rację?

– Tak – odparłam.

– Co takiego? Chodzi wam o to, że połamał jej palce? – Marino zadał to pytanie takim tonem, jakby przygotowywał się do kłótni. – To mafia bawi się w takie rzeczy, ale nie mordercy seksualni. Lori Petersen grała na skrzypcach, tak? Połamanie jej placów wydaje mi się rzeczą wyjątkowo osobistą; jakby morderca dobrze ją znał.

Odpowiedziałam na jego zarzuty najspokojniej, jak tylko mogłam:

– Na jej biurku leżały książki o tematyce lekarskiej... skrzypce także były doskonale widoczne. Zabójca nie musiał być geniuszem, by domyślić się o niej kilku rzeczy.

Wesley rozważył moje słowa.

– Jest jeszcze jedna możliwość: że odniosła obrażenia, usiłując się bronić przed napastnikiem.

– Nie. – Tego jednego byłam pewna. – Nie znalazłam nic, co by wskazywało, że Lori Petersen się z nim szarpała.

Marino spojrział na mnie z niechęcią.

– Doprawdy? A to ciekawe. Wedle twego raportu z autopsji, miała całe mnóstwo siniaków.

Napotkałam jego wzrok i wytrzymałam.

– Dobrym przykładem obrażeń odniesionych podczas samoobrony są złamane paznokcie oraz zadrapania lub rany na tych powierzchniach rąk, które byłyby wystawione na uderzenia, kiedy ofiara usiłowałaby odeprzeć atak. Rozłożenie obrażeń na ciele doktor Petersen nie pasuje do tego opisu.

– W takim razie zgadzamy się co do jednej rzeczy – podsumował Wesley. – Morderca robi się coraz bardziej brutalny.

– Ja bym powiedział, że okrutniejszy – odparł pospiesznie Marino, jakby chcąc postawić kropkę nad „i”. – I o to mi właśnie chodzi. Zabójstwo Lori Petersen różni się od pierwszych trzech.

Ledwie zdusiłam wściekłość; pierwsze trzy ofiary zostały związane, zgwałcone i uduszone. Czy to nie było okrutne? Czy musiały mieć też połamane kości?

– Jeżeli morderca znowu uderzy – przepowiedział ponuro Wesley – będzie jeszcze brutalniejszy. Zabija, bo to dla niego zachowanie kompulsywne; nie potrafi opanować potrzeby. Im więcej zabija, tym jego

potrzeba jest silniejsza i tym bardziej on jest sfrustrowany. Cierpi na coraz większą deprivację sensoryczną i potrzebuje coraz więcej stymulacji, by się zaspokoić; niestety, jego satysfakcja jest coraz bardziej przejściowa. Zmniejsza się liczba dni i tygodni, podczas których jego potrzeba rośnie. Przerwy między kolejnymi morderstwami będą ulegać poważnemu skróceniu; może się skończyć na tym, że będzie mordował co dzień albo nawet kilka razy na dzień, jak miało to miejsce w przypadku Teda Bundy'ego.

Zamyśliłam się; pierwsza kobieta została zamordowana dziewiętnastego kwietnia, druga dziesiątego maja, a trzecia – trzydziestego pierwszego maja. Lori Petersen zginęła tydzień później, siódmego czerwca.

Resztę wypowiedzi Wesleya łatwo było przewidzieć; morderca pochodził z „dysfunkcyjnego domu” i pewnie był napastowany – albo fizycznie, albo emocjonalnie – przez matkę. Zabijając ofiary, odreagowywał swą wściekłość, która była bezpośrednio połączona z jego żądzą.

Jego iloraz inteligencji lokował się pewnie grubo powyżej przeciętnej, miał osobowość obsesyjno-kompulsywną, był szalenie zorganizowany i cierpliwy. Być może usiłował sprawować kontrolę nad swym otoczeniem, oddając się swoistym rytuałom – takim jak zachowanie czystości, porządku czy odpowiedniej diety – mającym zapobiegać lękowi wywoływanemu przez natrętne myśli.

Zapewne pracował gdzieś jako robotnik fizyczny – mechanik, serwisant lub monter.

Zauważyłam, że z minuty na minutę Marino robi się coraz bardziej czerwony na twarzy; bez przerwy rozglądał się po pokoju konferencyjnym.

– Dla niego – kontynuował Wesley – najlepszą częścią jest oczekiwanie, fantazjowanie... obserwowanie ofiary i budowanie planu działania. Gdzie

znajdowała się ofiara, gdy zobaczył ją po raz pierwszy?

Tego nie wiedzieliśmy; nawet gdyby to przeżyła, pewnie sama by tego nie wiedziała. Mógł ją zobaczyć gdzieś tylko przez chwilę; ona mogła jego w ogóle nie widzieć. Może fatalne spotkanie odbyło się w jakimś centrum handlowym albo na skrzyżowaniu ulicy, gdy czekała na zielone światło, siedząc w swym samochodzie.

– Co spowodowało, że podążył za tą właśnie kobietą? – ciągnął Wesley.
– Co było w niej takiego, że przyciągnęła jego uwagę?

I znowu nie znaleźliśmy odpowiedzi na te pytania. Wiedzieliśmy tylko jedno – każda z tych kobiet była wystawiona na niebezpieczeństwo, gdyż mieszkała samotnie. Albo on uważał, że mieszka samotnie, jak było w przypadku Lori Petersen.

– Wydaje się, że mógł to zrobić każdy. – Przesiąknięta jadem uwaga Marino powstrzymała potok słów Wesleya. Strzepując popiół z papierosa, Marino pochylił się agresywnie nad stołem. – Hej! Wszystko, co mówicie, jest śliczne i gładkie, ale ja nie jestem Dorotką, która wędruje przez krainę Oz; nie wszystkie ścieżki prowadzą do Szmaragdowego Grodu, okay? Twierdzimy, że ten drań jest hydraulikiem albo kimś takim, tak? A przecież Ted Bundy był studentem prawa; kilka lat temu, gdy w Waszyngtonie mieli tę serię gwałtów, okazało się, że gwałcicielem jest pewien dentysta. Na miły Bóg, przecież ten świrus równie dobrze może być zastępowym skautów!

Marino okrężną drogą zmierzał do celu; wiedziałam, co chce powiedzieć, i tylko czekałam, kiedy zacznie.

– Chodzi mi o to, dlaczego niby nie miałby być studentem? Może nawet aktorem, kreatywnym typem, któremu całkiem się popieprzyło w głowie? Jedno morderstwo na tle seksualnym niewiele się różni od drugiego, niezależnie od tego, kto je popełnił, chyba że świrus zaczyna pić krew ofiary, albo smaży jej serce na patelni – na szczęście świr, z którym mamy

do czynienia w tym wypadku, nie jest żadnym Lucasem. Moim zdaniem portrety psychologiczne morderców-zboczeńców niewiele się od siebie różnią przede wszystkim dlatego, że ludzie są tylko ludźmi. Niezależnie od tego, czy mówimy o lekarzu, prawniku, czy wodzu indiańskim. Ludzie myślą i działają bardzo podobnie, nawet jeżeli cofnęlibyśmy się do czasów jaskiniowców, kiedy to mężczyźni wlekli swe kobiety za włosy.

Wesley zapatrzył się gdzieś w przestrzeń; potem powoli zwrócił spojrzenie na Marino i spytał cicho:

– Do czego zmierzasz, Pete?

– Zaraz ci powiem, do czego! – Żyły na szyi nabrzmiały mu jak postronki. – Szlag mnie trafia, jak słucham tego pieprzenia, kto pasuje do portretu psychologicznego zabójcy, a kto nie! Mam tu natomiast faceta piszącego pracę na temat przemocy, seksu, kanibalizmu i pedałów! Na rękach miał to samo błyszczące świństwo, które znaleźliśmy na ciałach wszystkich ofiar, odciski jego palców są na skórze jego martwej żony oraz na nożu myśliwskim, schowanym w szufladzie komody... na rękojeści noża znajduje się ta sama błyszcząca substancja. Co weekend wraca do domu mniej więcej w czasie, gdy popełniane były wszystkie zabójstwa, ale nie. Na pewno nie! To nie on jest mordercą, tak? A dlaczego nie? Bo nie jest robolem! Za porządny z niego facet!

Wesley znowu wpatrywał się w ścianę; spojrzałam na rozłożone na stole kolorowe, powiększone zdjęcia kobiet, które nigdy, nawet w najgorszych koszmarach, nie przypuszczały, że może im się przydarzyć coś podobnego.

– Pozwólcie, że powiem wam jedno. – Marino był w swoim żywiole i nie zamierzał tak szybko kończyć. – Lalusiowaty Matt wcale nie jest taki niewinny, jakby się mogło zdawać. Kiedy byłem na górze w laboratorium serologicznym, zadzwoniłem do Vandera, żeby sprawdzić, czego udało mu się dowiedzieć. Odciski Petersena znajdowały się bazie danych, zanim je do

ciebie przyniosłem, tak? A wiecie dlaczego? – Wpatrywał się we mnie nieprzyjaznym wzrokiem. – Zaraz wam powiem. Vander sprawdził to dla mnie; niewinny chłopiec Matt został sześć lat temu aresztowany w Nowym Orleanie; było to akurat tego lata, zanim poszedł na studia... zanim jeszcze poznał swoją panią doktor. Pewnie nawet o tym nie wiedziała.

– Niby o czym miała nie wiedzieć? – zapytał Wesley.

– Że jej kochaś-aktor był oskarżony o gwałt, ot co.

Przez długi czas żadne z nas nie odezwało się ani słowem.

Wesley powoli obracał w palcach swe wieczne pióro; tak mocno zacisnął szczęki, że na policzku drgał mu mały mięsień. Marino nie grał zgodnie z zasadami gry; nie dzielił się zdobytymi informacjami, lecz zaskakiwał nas nimi, jakbyśmy już byli w sądzie i stali po przeciwnych stronach barykady.

– Jeżeli Petersen faktycznie był oskarżony o gwałt – odezwałam się wreszcie – to albo został uznany za niewinnego, albo wycofano oskarżenie.

Marino znowu wlepił we mnie wzrok.

– A skąd możesz to wiedzieć, co? Nawet ja jeszcze nie zdążyłem sprawdzić.

– Uniwersytet, taki jak Harvard, sierzancie Marino, nie przyjmuje w swe progi skazańców.

– Jeżeli wiedzą o tym, że delikwent został skazany.

– Racja. – Nie mogłam się nie zgodzić. – Jeżeli o tym wiedzą, jednak trudno jest mi uwierzyć, że nie wiedzieliby, gdyby został skazany.

– Lepiej będzie, jeśli to sprawdzimy. – Tylko tyle miał Wesley do powiedzenia w tej sprawie.

W tej samej chwili Marino wstał i przeprosiwszy, wyszedł z pokoju; założyłam, że udał się do toalety.

Wesley zachowywał się tak, jakby w wybuchu Marino nie było nic dziwnego.

– Miałaś jakieś wieści z Nowego Jorku, Kay? – spytał tonem towarzyskiej pogawędki. – Są już jakieś wyniki badań laboratoryjnych?

– Testy DNA zajmują sporo czasu – odparłam; miałam kłopoty ze skupieniem się. – Próbki wysłaliśmy im dopiero po drugim morderstwie, lecz już wkrótce powinnam dostać wyniki. Niestety, w przypadku próbek z ostatnich dwóch spraw, czyli Cecile Tyler i Lori Petersen, myślę, że wyniki będą dopiero za jakiś miesiąc.

Wesley cały czas zachowywał się tak, jakby się nic nie stało.

– Wiemy przynajmniej to, że we wszystkich czterech przypadkach zabójca był nonsekreterem.

– Taak. To już coś.

– Naprawdę nie mam żadnych wątpliwości, że to wszystko robota jednego faceta.

– Ja również – odrzekłam i przez długą chwilę żadne z nas się nie odzywało.

Siedzieliśmy lekko spięci, czekając na powrót Marino; jego pełne złości słowa nadal dźwięczały mi w uszach. Pociłam się coraz bardziej i czułam, że serce bije mi szybciej niż zwykle.

Chyba Wesley musiał się jakoś domyślić po mojej minie, że nie chciałam mieć już nic więcej do czynienia z Marino i że relegowałam go do obszaru umysłu zarezerwowanego dla ludzi nieprzyjemnych, niemożliwych do zniesienia i stanowiących profesjonalne zagrożenie.

– Musisz go zrozumieć, Kay – odezwał się cicho.

– Nieprawda, wcale nie muszę.

– Jest dobrym detektywem; naprawdę świetnym.

Nie skomentowałam, znowu więc siedzieliśmy w milczeniu.

Zaczęłam się gotować ze złości; choć wiedziałam, że to błąd, nie potrafiłam już powstrzymać słów cisnących mi się na usta.

– Do diabła, Benton! Te kobiety zasługują na to, byśmy uczynili, co w naszej mocy, żeby złapać ich oprawcę. Jeżeli schrzanimy sprawę, ktoś może znowu zginąć! Nie chcę, by Marino ją spieprzył tylko dlatego, że ma jakieś uprzedzenia!

– Nie spieprzy.

– Już zdąża w tym kierunku. – Zniżyłam głos. – Już zarzucił stryczek na szyję Matta Petersena, a to oznacza, że nie szuka nikogo innego.

Dzięki Bogu Marino wcale nie spieszył się z powrotem.

Wesleyowi znowu zadrgał mięsień w szczęce; nie patrzył mi w oczy.

– Ja także wcale nie zwolniłem jeszcze Petersena z podejrzeń. Nie mogę sobie na to pozwolić. Wiem, że zamordowanie żony nie pasuje do trzech poprzednich zabójstw... ale to dość dziwny człowiek. Przypominasz sobie Gacy'ego? Nie mamy pojęcia, ilu ludzi tak naprawdę zamordował. Liczymy, że trzydzieści trzy osoby, ale możliwe, że setki. Wszystko to były obce mu dzieciaki. Nikt znajomy. A potem zarznął swą matkę, porąbał jej ciało i wepchnął do zsypu...

Nie wierzyłam własnym uszom. Popisywał się przede mną, jakbym była agentem-nowicjuszem, a on starym wygą. Terkotał jak najęty, niczym spocony szesnastolatek na pierwszej randce.

– Chapman miał w kieszeni „Buszującego w zbożu”, gdy załatwił Johna Lennona; Reagan – Brady oberwali od szaleńców ogarniętych obsesją na punkcie aktorek. Tu chodzi o przewidywalne związki. Czasem udaje się nam ich domyślić, a czasem nie.

A potem zaczął mi cytować statystyki. Dwanaście lat temu procent rozwiązanych spraw dochodzeniu o morderstwo oscylował między dziewięćdziesiąt pięć a dziewięćdziesiąt sześć. Teraz było to mniej więcej siedemdziesiąt cztery procent i widać było tendencję spadkową. Wzrastała

liczba morderstw osób nieznanymi w stosunku do zabójstw popełnianych w afekcie i tak dalej, i tak dalej... Ledwie słyszałam jego słowa.

– ...prawdę mówiąc, Kay, Matt Petersen poważnie mnie niepokoi. – Urwał. Teraz przysłuchiwałam mu się z uwagą. – To artysta; psychopaci są Rembrandtami wśród morderców. Jest aktorem, lecz nie wiemy, jakie role odgrywa w swych fantazjach. Nie mamy pojęcia, czy przypadkiem nie wprowadza ich w czyn. Nie wiemy, czy nie jest przypadkiem diabolicznie przebiegły. Możliwe, że zabójstwo żony było dla niego czynem czysto utylitarnym.

– Utylitarnym?! – Patrzyłam na niego z niedowierzaniem, szeroko otwartymi oczyma; potem przeniosłam wzrok na zdjęcia ciała Lori Perersen. Jej twarz była zastygłą maską agonii, nogi ugięte, a kabel elektryczny napięty niczym cięciwa łuku: wyginał jej ręce do tyłu i wrzynał się w szyję. To, co ten potwór z nią zrobił, było niewiarygodne. Nie wierzyłam własnym uszom.

– Chodzi mi o to, że może on musiał się jej pozbyć, Kay – wyjaśnił Wesley. – Na przykład, jeżeli wydarzyło się coś, co sprawiło, że zaczęła go podejrzewać o zamordowanie pierwszych trzech kobiet. Może spanikował i postanowił ją także zabić; a jak to zrobić, żeby nikt go nie podejrzewał? Dokładnie tak samo jak pozostałe.

– Już to wcześniej słyszałam – powiedziałam spokojnie. – Od twojego partnera.

– Musimy wziąć pod uwagę wszelkie możliwe scenariusze. – Słowa padały z jego ust wolno i wyraźnie.

– Oczywiście. I nie będę wam głowy zawracać, dopóki Marino naprawdę będzie brał pod uwagę wszelkie możliwe scenariusze i nie będzie nosił kłapek na oczach. Jak na razie zachowuje się tak, jakby miał obsesję

na punkcie Matta Petersena... albo jakiś problem z tym, że tamten jest aktorem.

Wesley zerknął w stronę otwartych drzwi.

– Pete ma swoje uprzedzenia – odezwał się nieomal niesłyszalnie. – Nie będę temu zaprzeczał.

– Lepiej od razu powiedz mi, czego te uprzedzenia dotyczą.

– Niech wystarczy ci to, że gdy Biuro postanowiło zwerbować Pete'a do VICAP, sprawdziliśmy go bardzo dokładnie; włącznie z tym, gdzie się wychował i jak wyglądała jego edukacja. Niektórych rzeczy człowiek nigdy nie zapomina; zdarza się, że choćby na najmniejszą wzmiankę o tym reaguje jak byk na czerwonej płachtę.

Jak na razie nie mówił mi nic, do czego sama bym już wcześniej nie doszła. Marino wychował się w biednej rodzinie, w najuboższej dzielnicy miasta; ludzie, w których obecności czuł się niepewnie jeszcze za młodu, teraz wywierali na nim dokładnie takie samo wrażenie. Zwycięzcznie szkolnych konkursów piękności czy kapitanowie szkolnych drużyn futbolowych nigdy nie zaszczycali go drugim spojrzeniem tylko dlatego, że nie mieszkał w ich okolicy, że jego ojciec miał brud pod paznokciami... dlatego, że pochodził z pospólstwa.

Tego typu łzawe historyjki słyszałam już nieraz; jedynym atutem takiego faceta był biały kolor skóry i tężyzna fizyczna – dzięki nim nosił odznakę i wreszcie czuł się ważny.

– Nie musimy go tłumaczyć, Benton – rzekłam krótko. – Nie wybaczymy kryminalistom tylko dlatego, że mieli nieszczęśliwe dzieciństwo. Nie mamy prawa karać innych ludzi tylko dlatego, że są podobni do tych, którzy nam spaprali dzieciństwo.

Nawet nie chodzi o to, że brak mi współczucia; doskonale rozumiałam, co przeżywa Marino, a jego złość nie była mi obca. Sama czułam ją

niejednokrotnie, stając w sądzie oko w oko z oskarżonym. Niezależnie od tego, jak przekonujące są dowody, jeżeli facet jest przystojny i odziany garnitur za dwieście dolarów, dwunastu ciężko pracujących mężczyzn i kobiet nigdy, w głębi serca, nie będzie go uważać za winnego.

Ostatnimi czasy byłam gotowa uwierzyć we wszystko, ale tylko pod warunkiem, że dowody były wystarczająco jednoznaczne. Czy Marino zwracał uwagę na dowody? Czy w ogóle ich szukał?

Wesley odsunął krzesło od stołu i wstał, by się przeciągnąć.

– Pete ma swoje wady, ale i zalety. Do niego trzeba się po prostu przyzwyczaić. Znam go od lat. – Podszedł do drzwi i wyjrzawszy na korytarz, rozejrzał się w obie strony. – A tak przy okazji, gdzie on się podziewa, u wszystkich diabłów? Wpadł do kibla?

Wesley zakończył przygnębiające sprawy w moim biurze i zniknął w zalanym słońcem popołudnia świetle żywych, gdzie inne przestępstwa wymagały jego obecności i uwagi.

Przestaliśmy czekać na Marino; nie miałam pojęcia, dokąd poszedł, ale wyprawa do toalety najwyraźniej zawiodła go znacznie dalej. Jednak nie miałam czasu zbyt długo się nad tym zastanawiać, ponieważ w chwili gdy wkładałam akta spraw Dusiciela z powrotem do szafy, do mego gabinetu weszła Rose i ciężko zatrzymała się w drzwiach.

Zobaczyłam jej ponurą minę i przygarbione ramiona i wiedziałam, że przynosi wieści, które z pewnością mnie nie ucieszą.

– Doktor Scarpetta, Margaret pani szukała i prosiła, bym powiedziała o tym, gdy tylko skończy pani spotkanie z agentem Wesleyem i sierżantem Marino.

Okazałam zniecierpliwienie, zanim zdążyłam się powstrzymać. Na dole czekało na mnie kilka autopsji, musiałam odpowiedzieć na niezliczoną ilość telefonów – wypełniłoby to cały dzień tuzinowi ludzi, i naprawdę nie

chciałam, by cokolwiek wydłużyło listę mych obowiązków na dzisiejszy dzień.

Podając mi stos listów do podpisania i spoglądając na mnie ponad szklami okularów, Rose wyglądała niczym dyrektorka szkoły.

– Margaret jest w swym gabinecie – dodała. – Coś mi się zdaje, że ta sprawa nie powinna czekać.

Rose nie zamierzała mi powiedzieć, o co chodzi, i choć tak naprawdę nie mogłam mieć do niej o to pretensji, byłam zirytowana. Mam wrażenie, że Rose orientowała się we wszystkim, co działo się w naszym biurze, lecz po prostu nie miała zwyczaju roznosić plotek – zawsze kierowała mnie wprost do źródła informacji. Mówiąc krótko, za wszelką cenę unikała bycia posłańcem złych wieści; zdaje się, że nauczyła się tego, pracując całe życie dla mego poprzednika, doktora Cagneya.

Maleńki, spartańsko wyposażony gabinet Margaret znajdował się na tym samym piętrze co mój, w połowie drogi do windy i był pomalowany taką samą jasnozieloną farbą jak cały budynek.

Ciemnozielone kafelki na podłodze zawsze wyglądały na nieco zakurzone, bez względu na to, jak często sprzątaczką je myła; na biurku i wszystkich możliwych płaskich powierzchniach piętrzyły się sterty komputerowych wydruków. Na biblioteczce stały tomy podręczników, dodatkowe kable, klawiatury i myszki oraz pudełka dyskietek. Nigdzie nie było ani śladu osobistych zdjęć, plakatów czy naklejek z dowcipnymi napisami. Nie mam pojęcia, jak Margaret wytrzymuje w tym sterylnym śmietniku, ale nigdy nie widziałam gabinetu analityka komputerowego, który wyglądałby inaczej.

Siedziała plecami do drzwi i jak zwykle wpatrywała się w monitor, trzymając na kolanach otwarty podręcznik programowania. Kiedy weszłam, obróciła się szybko i odsunęła na bok. Na jej twarzy widać było niepokój, a

krótkie czarne włosy miała w nieładzie, jakby bez przerwy, nerwowo przeczesywała je palcami.

– Prawie całe przedpołudnie byłam na zebraniu – zaczęła bez zbędnych wstępów. – Kiedy przyszedłam tu po lunchu, na ekranie znalazłam to.

Podawała mi wydruk; zobaczyłam na nim kilka komend SQL-owych^[4], pozwalających użytkownikowi na poruszanie się po bazie danych. Z początku nie wiedziałam, o co jej chodzi. Na górze wydrukowana była komenda „Describe” – czyli „Opisz” – a przez pół strony pod nią ciągnęły się kolumny nazw i nazwisk. Pod tym widniało kilka prostych komend typu „Select” – czyli „Wybierz”. Pierwsze dotyczyły numeru raportu z autopsji, której przedmiotem była osoba o nazwisku „Petersen” i imieniu „Lori”. Pod spodem była odpowiedź komputera, że „Nie znaleziono żadnych danych”. Druga komenda dotyczyła znalezienia numerów raportów z autopsji wszystkich zmarłych o nazwisku Petersen znajdujących się w naszej bazie danych.

Nazwiska Lori Petersen nie było na tej liście z prostego powodu: raport z autopsji oraz wszystkie dokumenty dotyczące jej sprawy nadal leżały na moim biurku; jeszcze nie zdążyłam oddać ich sekretarce, by wprowadziła je do komputera.

– O czym ty mówisz, Margaret? To nie ty wpisałaś te komendy?

– Z całą pewnością nie ja – odparła z naciskiem. – Nie zrobił też tego nikt z naszego biura. To nie byłoby możliwe. – Zyskała sobie moją całkowitą uwagę, więc ciągnęła: – Kiedy wychodziłam stąd w piątek, zrobiłam to samo, co robię wieczorem każdego innego dnia. Zostawiłam komputer w trybie automatycznego przyjmowania zgłoszeń, żebyś mogła się z nim połączyć z domu, gdybyś potrzebowała. Niemożliwe, by ktokolwiek wpisał to z mojego komputera, gdyż nie można go normalnie

używać po przełączeniu na tryb przyjmowania zgłoszeń; jedynym wyjściem jest połączenie się z nim przez modem innego komputera.

To miało dla mnie sens. Terminale biurowe były połączone sieciowo z tym, na którym pracowała Margaret, a który fachowo nazywała serwerem. Mimo iż Departament Zdrowia Publicznego znajdował się zaledwie po drugiej stronie ulicy, nie byliśmy z nim połączeni siecią komputerową, mimo stałego nacisku ze strony komisarza. Odmówiłam mu tego już nieraz i zamierzałam czynić to w przyszłości, gdyż nasza baza danych była niezwykle poufna, a dużo spraw aktualnie rozpracowywała policja. Gdybyśmy połączyli się z Departamentem, nasza baza danych byłaby dostępna dla każdego urzędnika, co mogłoby stworzyć ogromne problemy nie tylko nam, ale także policji oraz rodzinom zmarłych.

– Ja tego nie wpisałam – powiedziałam do Margaret.

– Nawet przez myśl mi to nie przeszło – odparła. – Nie wyobrażam sobie, po co miałybyś wpisywać te komendy; przecież ze wszystkich ludzi to właśnie ty powinnaś wiedzieć, że dane dotyczące sprawy Lori Petersen nie zostały jeszcze wprowadzone do bazy. Ktoś inny jest za to odpowiedzialny, ale na pewno nie nasze urzędniczki czy lekarze. Oprócz komputera w twoim gabinecie i tego na dole w kostnicy, wszystkie inne są tylko głupimi terminalami.

A głupie terminale – jak nie omieszkała mi przypomnieć – to mniej więcej dokładnie to, co sugeruje nazwa: bezmózgie jednostki składające się tylko z monitora i klawiatury. Wszystkie terminale znajdujące się w naszym biurze połączone były z serwerem stojącym w gabinecie Margaret. Jeżeli serwer nie działał, terminale także nie nadawały się do użytku – innymi słowy, były wyłączone z obiegu od piątku wieczorem, zanim Lori Petersen została zamordowana.

Bezprawny wstęp do bazy danych musiał zdarzyć się gdzieś podczas weekendu albo dziś wczesnym przedpołudniem.

Ktoś z zewnątrz dostał się do naszego systemu.

Ta osoba musiała być obeznana z systemem i bazami danych, których używaliśmy. Musiałam jednak pamiętać, że bazy SQL-owe są bardzo popularne i wcale nie takie trudne w obsłudze. Numer modemu komputera był taki sam jak wewnętrzny numer telefoniczny do gabinetu Margaret, a ten z kolei był zarejestrowany w spisie telefonów pracowników Departamentu Zdrowia Publicznego. Wystarczyło mieć komputer z odpowiednim oprogramowaniem i kompatybilny modem oraz wiedzieć, że Margaret jest analitykiem komputerowym zatrudnionym przez Departament, i zadzwonić pod jej numer wewnętrzny, by przy odrobinie szczęścia połączyć się z serwerem. Ale na tym koniec. Bez znajomości haseł i nazw użytkowników, nie można się dostać nawet do poczty elektronicznej, nie wspominając już o biurowych aplikacjach czy bazie danych.

Margaret wpatrywała się w monitor; ciemne brwi nad okularami miała lekko zmarszczone i przygryzała kciuk.

Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam obok niej.

– Jak? Jak ktoś mógł zdobyć hasło i nazwę użytkownika?

– Nad tym się właśnie zastanawiam. Bardzo niewiele osób je zna – ja, ty, inni lekarze oraz osoby wprowadzające dane do bazy. A nasze nazwy i hasła są inne niż te, które przydzieliłam pozostałym dystryktom.

Choć każdy z podległych mi dystryktów był skomputeryzowany siecią identyczną jak nasza, mieli własne bazy danych i brak bezpośredniego dostępu do centralnej bazy danych. Mało prawdopodobne – choć, w rzeczy samej, nie do końca niemożliwe – by któryś z podległych mi koronerów był odpowiedzialny za to włamanie.

– Może ktoś zgadł i mu się poszczęściło – zaproponowałam, sama nie wierząc w to, co mówię.

Margaret potrząsnęła głową.

– To prawie niemożliwe. Wiem, bo sama tego próbowałam – kiedy na przykład zmieniałam komuś hasło na skrzynce pocztowej i nie mogłam go sobie przypomnieć. Po trzech nieprawidłowych próbach komputer sam się rozłącza, poza tym ta wersja bazy danych nie przyjmuje nielegalnych zalogowań. Jeżeli wpiszesz wystarczająco dużo fałszywych haseł, na ekran wyskakuje ci komunikat „Context Error” – „Błąd Kontekstowy” – i wypadasz z gry.

– A czy nie ma ich gdzieś zapisanych? – spytałam. – Czy można w komputerze znaleźć miejsca, gdzie są zapisane? A co będzie, jeżeli to jakiś inny programista...

– Nie ma mowy. – Margaret była tego najwyraźniej pewna. – Jestem bardzo ostrożna... owszem, istnieje tabela systemowa, gdzie wpisane są nazwy użytkowników i ich hasła, ale można się do niej dostać tylko pod warunkiem, że wie się, co robić. Poza tym to i tak nie ma znaczenia, gdyż już od dawna się nią nie posługuję, by zapobiec właśnie tego typu problemom.

Nic nie odpowiedziałam.

Margaret przyglądała mi się z niepokojem, szukając jakichś oznak mego niezadowolenia; błysku w oczach mówiącego, że mam do niej o to pretensje.

– To doprawdy okropne – wypaliła nagle. – Nie mam pojęcia, co ta osoba zrobiła. Na przykład ABD nie chce działać.

– Nie chce działać? – ABD, czyli Administrator Bazy Danych, była to opcja dająca wybranej osobie, na przykład Margaret albo mnie, prawo dostępu do wszystkich tabel i plików oraz możliwość przeprowadzania na

nich różnego rodzaju działań. Powiedzenie, że ABD nie działa, było równoważne stwierdzeniu, że klucz do moich frontowych drzwi od dziś nie pasuje. – Co masz na myśli, mówiąc, że nie chce działać? – Z trudem zachowywałam spokój.

– Dokładnie to. Nie mogłam za jego pomocą wejść do żadnej z tabel. Z jakiegoś powodu hasło zostało uznane za niepoprawne. Musiałam wszystko przeprogramować.

– Jak to się mogło stać?!

– Nie mam pojęcia. – Margaret była coraz bardziej zdenerwowana. – Może ze względów bezpieczeństwa powinnam zmienić nazwy wszystkich użytkowników i przydzielić nowe hasła?

– Nie teraz – odparłam automatycznie. – Po prostu nie wprowadzimy sprawy Lori Petersen do komputera, to wszystko. Kimkolwiek byłaby osoba, która włamała się do komputera, nie znalazła tego, czego szukała.

Wstałam.

– Tym razem nie.

Zamarłam i spojrzałam na nią z góry. Na jej policzkach zobaczyłam dwie szkarłatne plamy.

– Nie wiem. Nawet jeżeli to miało miejsce kiedykolwiek w przeszłości, nie mam tego jak sprawdzić, gdyż echo było wyłączone. A te komendy – wskazała na wydruk, który nadal trzymałam w ręce – to echo komend wpisanych do komputera, który połączył się z moim. Zawsze zostawiam echo wyłączone... w ten sposób, gdy połączysz się z domu modemem, na moim komputerze nie widać, co robisz u siebie. W piątek bardzo się spieszyłam. Chyba przez niedopatrzenie zostawiłam echo włączone... – Potrząsnęła głową. – Nie pamiętam, ale wyszło to nam na dobre...

Odwróciłyśmy się jednocześnie i zobaczyłyśmy Rose stojącą w drzwiach. Jej mina mówiła wszystko: Och, Boże, dlaczego znowu ja?...

Zaczekała, aż wyjdę na korytarz, a potem powiedziała:

– Na pierwszej linii jest koroner z Colonial Heights, na drugiej detektyw z Ashland, a dopiero co dzwoniła sekretarka komisarza...

– Co takiego? – przerwałam jej gwałtownie; tak naprawdę usłyszałam tylko jej ostatnią wiadomość. – Dzwoniła sekretarka Amburgeya?

Rose podała mi różową kartkę z notesika, na którym zapisywała dla mnie wszystkie wiadomości telefoniczne.

– Komisarz chce się z panią widzieć.

– O co mu chodzi, na miłość boską? – Jeżeli mi powie, że sama muszę się tego dowiedzieć, chyba wybuchnę!

– Nie mam pojęcia – odrzekła Rose. – Jego sekretarka nic mi nie powiedziała.

Rozdział szósty

Nie mogłam wysiedzieć za biurkiem; musiałam wstać i przejść się gdzieś, bo inaczej straciłabym resztki opanowania.

Ktoś włamał się do mojej bazy danych, a Amburgey chciał mnie widzieć w swoim gabinecie za godzinę i czterdzieści pięć minut. Wątpię, by zaprosił mnie na herbatkę i przyjacielską pogawędkę.

Poszłam na obchód; zazwyczaj miało to na celu rozniesienie dowodów rzeczowych do różnych laboratoriów, a czasem po prostu obejście podwładnych i zobaczenie, jak się sprawy mają – dobry doktor zawsze odwiedza swoich pacjentów. W tej chwili musiałam się czymś zająć.

Biuro Medycyny Sądowej jest wiecznie wrzącym ulem, plastrem miodu o komórkach wypełnionych sprzętem laboratoryjnym oraz ludźmi w białych fartuchach i okularach ochronnych.

Kilku naukowców skinęło mi głową i uśmiechnęło się, gdy przechodziłam obok otwartych drzwi ich prywatnych królestw. Jednak większość z nich nawet mnie nie zauważyła, tak byli pochłonięci swą pracą. Myślałam o Abby Turnbull i innych dziennikarzach, których nie lubiłam.

Czy jakiś ambitny reporter zapłacił hakerowi za włamanie się do naszej bazy danych?

Jak długo to już trwało?

Nawet nie zauważyłam, kiedy doszłam do laboratorium serologicznego; zdałam sobie z tego sprawę dopiero, gdy mój wzrok padł na czarne blaty zastawione tubkami, probówkami, testerami i podgrzewaczami. Za szklanymi szybkami, na półkach, leżały plastikowe torebki z dowodami

rzeczowymi oraz słoiczki z chemikaliami. Na środku pomieszczenia znajdował się długi stół z prześcieradłem i pościelą z łóżka Lori Petersen.

– Wpadłaś w samą porę – powitała mnie Betty. – To znaczy, jeżeli chcesz dostać niestrawności.

– Nie, dziękuję. Obejdę się.

– Mnie to już dopadło – dodała. – Dlaczego niby ty masz być uodporniona?

Zbliżając się do wieku emerytalnego, Betty miała stalowoszare włosy, mocne rysy twarzy i piwne oczy, które mogły być obojętne lub pełne troski, w zależności od tego, czy człowiek zadał sobie tę odrobinę trudu, by się do niej zbliżyć. Polubiłam ją od pierwszego wejrzenia; jako szefowa laboratorium serologicznego była dokładna i wytrwała, a ogrom jej wiedzy za każdym razem wprowadzał mnie w zdumienie. Prywatnie była zapalonym obserwatorem ptaków i uzdolnioną pianistką, która nigdy nie wyszła za mąż i nigdy tego nie żałowała. Przypominała mi nieco siostrę Martę, moją ulubioną zakonnice ze szkoły przyklasztornej imienia Świętej Gertrudy, do której chodziłam jako dziecko.

Rękawy laboratoryjnego fartucha miała podwinięte do łokci, a dłonie osłonięte rękawiczkami. Przed nią, na blacie, stały probówki z zebranymi z miejsca zbrodni włókienkami oraz PERK^[5] ze sprawy Lori Petersen zawierający kartonowy folder wymazów oraz koperty z próbkami włosów i włókien. Folder, koperty i probówki były oznaczone przeze mnie etykietkami wydrukowanymi przez komputer – jeszcze jeden owoc ciężkiej pracy Margaret.

Jak przez mgłę przypominałam sobie plotki, że po nagłej śmierci burmistrza Chicago ponad dziewięćdziesiąt razy usiłowano włamać się do bazy danych lokalnego koronera. Podobno to jacyś nadgorliwi dziennikarze starali się uzyskać wyniki autopsji oraz testów toksykologicznych.

Kto to zrobił? Kto włamał się do mojego komputera?

I dlaczego?

– Już niedługo będą coś mieli... – mówiła Betty.

– Przepraszam... – Uśmiechnęłam się do niej przepraszająco, więc powtórzyła:

– Dziś rano rozmawiałam z doktorem Glassmanem; powiedział, że niedługo, za parę dni, będą już mieć wyniki z pierwszych dwóch spraw.

– Wysłałaś im próbki z dwóch ostatnich?

– Dopiero co poszły. – Odkręcała właśnie pokrywkę małego, brązowego słoiczka. – Bo Friend dostarczy im je osobiście...

– Bo Friend? – przerwałam.

– Albo inaczej posterunkowy Friendly, jak mówią o nim chłopcy z drogówki. Tak się nazywa, Bo Friend. Jak babcię Kocham. A teraz zastanówmy się, do Nowego Jorku jedzie się jakieś sześć godzin; dziś wieczorem powinien je odstawić do laboratorium. Coś mi się zdaje, że oni ciągnęli zapalki.

– Zapalki? – Popatrzyłam na nią baranim wzrokiem.

Czego może chcieć ode mnie Amburgey? Może chce znać wyniki testów DNA? Ostatnimi czasy tylko tym się wszyscy interesowali.

– Niektórzy z naszych policjantów jeszcze nigdy nie byli w Nowym Jorku – wyjaśniła Betty.

– Jeden raz powinien im w zupełności wystarczyć – skomentowałam. – Poczekaj, aż zachce im się zmienić pas albo znaleźć wolne miejsce na parkingu!

Ale przecież jeżeli miał jakieś pytania odnośnie do wyników testów, mógł mi przysłać wiadomość pocztą elektroniczną, jak zwykle. Do tej pory porozumiewał się ze mną prawie wyłącznie w ten sposób.

– Aha. Ale to i tak będzie jego najmniejszy problem. Nasz przyjaciel Bo urodził się i wychował w Tennessee i nigdzie nie rusza się bez swego gnata.

– Mam nadzieję, że do Nowego Jorku pojechał bez niego – odparłam bez zainteresowania. To moje usta z nią rozmawiały; mój umysł zaprzątnięty był całkiem czym innym.

– Aha – powtórzyła Betty. – Kapitan kazał mu zostawić broń w domu i wyjaśnił, jakie są przepisy dotyczące noszenia broni palnej w tym mieście Jankesów, ale Bo przyszedł po próbki z uśmiechem na ustach. I z uśmiechem poklepał się w miejscu, gdzie zapewne miał przypiętą kaburę. Ma taki sześciostrzałowy rewolwer w stylu Johna Wayne’a. Ci faceci i ich pukawki. To tak trąci Freudem, że jest aż śmieszne...

Gdzieś z zakamarków pamięci wydobyłam wiadomości o dzieciach włamujących się przez modem do baz danych ogromnych korporacji czy banków.

Pod telefonem stojącym na biurku u mnie w domu znajdował się modem umożliwiający mi połączenie z komputerem w biurze. Ale to było nie do pomyślenia; ściśle zastrzeżone. Lucy rozumiała powagę sytuacji i wiedziała, że nie wolno jej łączyć się z tutejszą bazą danych. Było to jedyne zastrzeżenie, jakie uczyniłam; wszystko inne mogła robić do woli, choć czasem źle się z tym czułam, jak przystało na osobę od lat mieszkającą samotnie i nie przyzwyczajoną do tego, by ktoś inny dotykał jej rzeczy.

Przypomniałam sobie gazetę, którą Lucy znalazła ukrytą pod poduszkami kanapy, i wyraz jej buzi, gdy wypytywała mnie o zabójstwo Lori Petersen.

Do korkowej tablicy wiszącej nad moim biurkiem między innymi przypięte były kartki z numerami telefonów – zarówno domowych, jak i biurowych – wszystkich moich pracowników, w tym także Margaret.

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że Betty od dłuższej chwili nic nie mówi; spojrzawszy na nią, zobaczyłam, że przygląda mi się z uwagą.

– Dobrze się czujesz, Kay?

– Przepraszam. – Westchnęłam ciężko.

Betty przez moment jeszcze się nie odzywała, po czym rzekła ze współczuciem:

– Wiem... to, że nie ma jeszcze żadnych podejrzanych, dobija nas wszystkich.

– Trudno jest mi się skupić na czymkolwiek innym. – Choć powinnam, przez ostatnią godzinę właściwie wcale o tym nie myślałam, zganiałam się w duchu.

– Cóż, przykro mi to mówić, ale wyniki testów DNA będą diabła warte, chyba że znajdziecie jakiegoś podejrzanego.

– Taak, najwyższy już czas, byśmy przechowywali w bazie danych nie tylko odciski palców, ale także dane genetyczne – mruknęłam. – Wtedy nasze życie byłoby o wiele łatwiejsze.

– Oj, to chyba prędko nie nastąpi.

Czy dzisiejszego dnia nikt nie miał dla mnie żadnych dobrych wiadomości? Czułam, jak u podstawy czaszki zaczyna mi się ból głowy.

– To doprawdy dziwaczne. – Betty właśnie zakrapiała organiczną pochodną kwasu fosforowego na małe krążki białego papieru. – Można by się spodziewać, że ktoś gdzieś widział tego faceta. Przecież nie jest niewidzialny. Nie wnika tak po prostu do domów tych kobiet, no i musiał je widzieć już wcześniej. Jeżeli kręci się przy parkach albo centrach handlowych, to ktoś powinien go zauważyć.

– Nawet jeżeli ktoś go widział, nic nam o tym nie wiadomo – odparłam. – I nie chodzi o to, że ludzie do nas nie dzwonią. Z tego, co słyszałam, telefony w studiach telewizyjnych programów o przestępczości aż się

urywają, bez względu na porę dnia i nocy. Lecz jak na razie nikt nie powiedział nic sensownego.

– Szukamy wiatru w polu.

– Coś w tym stylu.

Betty pracowała bez chwili przerwy. Ten etap testowania był w miarę prosty; wyjąwszy próbki z probówek, które jej przysłałam, zmoczyła je wodą i rozsmarowała po papierze. Pracując na kilku próbkach jednocześnie, Betty zakrapiała je pochodną organiczną, a potem dodawała niebieskiej soli, która w obecności spermy zabarwiała się purpurowo w przeciągu zaledwie kilku sekund.

Przyjrzałam się papierowym krążkom. Prawie wszystkie były purpurowe.

– Skurwysyn – mruknęłam.

– Tym razem spudłował. – Betty zaczęła mi wyjaśniać, co widzi. Wskazała kilka krążków: – To są próbki z jej ud... zabarwiły się nieomal natychmiast. Reakcja w wypadku próbek z pochwy i odbytu nie była tak natychmiastowa, lecz to mnie nie dziwi; jej własne płyny ustrojowe mogły zakłócić przebieg testu. Poza tym próbki pobrane z jamy ustnej także są pozytywne.

– Skurwysyn – powtórzyłam cicho.

– Ale próbki, które pobrałaś z jej przewodu pokarmowego, są negatywne; najwyraźniej większość płynu nasiennego została na zewnątrz ciała. I znowu pudło. Zgadza się co do joty z tym, co miało miejsce w przypadku Brendy, Patty i Cecile.

Brenda była pierwszą ofiarą Dusiciela, Patty drugą, a Cecile trzecią. Nutka zażyłości w głosie Betty, gdy mówiła o zamordowanych kobietach, mocno mnie zaskoczyła, lecz w rzeczy samej w jakiś przedziwny sposób

stały się częścią naszej rodziny. Za życia nigdy ich nie spotkaliśmy, lecz teraz znaleźliśmy je na wylot.

Betty odłożyła zakraplacz na miejsce, a ja podeszłam do mikroskopu stojącego na pobliskim blacie, spojrzałam przez okular i zaczęłam przesuwać próbkę po szkiełku. W spolaryzowanym świetle ukazało się kilka kolorowych włókien, płaskich, na oko przypominających wstążki, poskręcanych tu i ówdzie. Nie były to ani włosy pochodzenia zwierzęcego, ani też sztuczne włókna.

– Czy to to, co zebrałam z ostrza noża? – Prawie nie chciałam znać odpowiedzi.

– Tak, to bawełna. Nie daj się zwieść różowym, białym i zielonym włóknom, które widzisz. Farbowane tkaniny bardzo często składają się z wielokolorowych włókien, jakich nie da się odróżnić gołym okiem.

Koszula nocna, którą morderca przeciął i zerwał z ciała Lori Petersen, była bawełniana i żółta.

Dostosowałam ostrość i spojrzałam jeszcze raz.

– Podejrzewam, że nie ma szans, by te włókna pochodziły z papieru, co? Podobno Lori używała tego noża do otwierania listów.

– Nie ma mowy, Kay. Już zdążyłam zerknąć na włókna z koszuli nocnej Lori. Są identyczne z tymi zebranymi z ostrza noża.

Tak by powiedział ekspert, zeznając w sądzie. To się zgadza z tym, a tamto jest stuprocentowo pewne. Koszula nocna Lori Petersen została rozcięta nożem jej męża. Poczekajcie tylko, aż Marino się o tym dowie, pomyślałam. A niech to szlag trafi!

– Mogę ci też od razu powiedzieć – kontynuowała Betty – że włókna, na które patrzysz, nie są identyczne z tymi znalezionymi na jej ciele oraz na framudze okna, przez które, wedle słów policji, zabójca wszedł do domu.

Tamte są ciemne... czarne, granatowe i trochę czerwonych... mieszanka poliestru i bawełny.

Tamtej nocy Matt Petersen miał na sobie biały bawełniany podkoszulek, który z całą pewnością nie zawierał czarnych, granatowych ani czerwonych włókien, oraz dżinsy, a większość dżinsów także zrobiona jest z bawełny.

Było mało prawdopodobne, by to on zostawił włókna, o których wspomniała Betty, chyba że zdążył się przebrać przed przyjazdem policji.

– Taak, ale przecież Petersen nie jest idiotą – słyszałam już słowa Marino. – Od sprawy Wayne’a Williamsa wszyscy wiedzą, że przez głupie włókna można iść siedzieć.

Opuściłam laboratorium Betty, przeszłam długi korytarz i skierowałam się do sekcji balistycznej, gdzie blaty i biurka zavalone były rewolwerami, strzelbami, wiatrówkami oraz pistoletami automatycznymi uzi oznaczonymi jako dowody rzeczowe i czekającymi na swój dzień w sądzie. Wszędzie, nawet na podłodze, leżały puste łuski po nabojach do rewolwerów i strzelb, a w kącie z tyłu stał galwanizowany stalowy zbiornik na wodę, którego używano do próbnych strzałów. Po powierzchni wody spokojnie pływała sobie gumowa kaczuszka.

Frank, siwy specjalista od broni palnej, emerytowany oficer wojska, właśnie stał pochylony nad mikroskopem. Kiedy weszłam do jego pokoju, zapalił fajkę i nie uraczył mnie wiadomościami, które pragnęłam usłyszeć.

Z przeciętej siatki, usuniętej z okna łazienki Petersenów, nic nie można było odczytać. Siatka była z tworzywa sztucznego, więc bezużyteczna, jeżeli chodzi o znajdowanie na niej jakichkolwiek śladów. Nie mieliśmy jak się dowiedzieć, czy została przecięta z zewnątrz, czy od wewnątrz, ponieważ plastik w odróżnieniu od metalu nie wygina się przy cięciu.

To rozróżnienie było mi bardzo potrzebne, gdyż jeżeli siatka zostałaby przecięta od wewnątrz, wszystko stałoby się jasne. Oznaczałoby to, że

morderca nie włamał się do domu Petersenów, lecz tylko to pozorował, a teoria Marino dotycząca męża ofiary byłaby słuszna.

– Mogę ci powiedzieć tylko tyle – dodał Frank, pykając z fajki aromatyczne smużki dymu – że to bardzo czyste cięcie, zrobione czymś bardzo ostrym, na przykład brzytwą lub nożem.

– Możliwe, że tym samym narzędziem, którym przecięto jej koszulę nocą?

Zsunął okulary z nosa i zaczął je czyścić chusteczką.

– Do rozcięcia koszuli także użyto jakiegoś ostrego narzędzia, lecz nie potrafię ci powiedzieć, czy tego samego. Nie mogę nawet podać klasy... to mogło być wszystko, Kay. Od sztyletu, przez kuchenny nóż, aż po nożyczki.

Ale przecięte kable elektryczne i nóż myśliwski opowiedziały nam inną historię.

W oparciu o analizę mikroskopową, Frank miał mocne podstawy, by przypuszczać, że kable zostały odcięte od lamp za pomocą noża należącego do Matta Petersena. Ślady na ostrzu pokrywały się z tymi zostawionymi na końcach kabli. Marino, pomyślałam znowu, tym razem z rezygnacją. Ten fragment dowodu poszlakowego miałby mniejsze znaczenie, gdyby nóż znaleziono na biurku czy koło łóżka zamiast w szufladzie należącej do Matta Petersena.

Ale ja nadal trzymałam się swego scenariusza. Morderca zobaczył nóż na biurku Lori i postanowił się nim posłużyć. Tylko dlaczego potem go ukrył? Ponadto, jeżeli użyto go także do przecięcia koszuli nocnej Lori oraz kabli elektrycznych, zmieniało to kolejność wydarzeń, którą sobie wcześniej wyobraziłam.

Założyłam, że gdy zabójca wszedł do sypialni Lori, miał przy sobie własny nóż lub sztylet, którym posłużył się przy wchodzeniu do domu.

Jeżeli tak, to dlaczego nie użył go do odcięcia kabli od lamp i przecięcia koszuli Lori? Jak to się stało, że skończył z nożem myśliwskim w ręce? Czy zobaczył go w chwili, gdy wszedł do sypialni?

Niemożliwe. Biurko, na którym leżał, nie stało przy łóżku, a gdy po raz pierwszy wszedł do sypialni, światła były zgaszone. Nie mógł zobaczyć noża.

Zauważyłby go dopiero po włączeniu światła, lecz przecież wtedy Lori byłaby już w jego mocy, z ostrzem przyłożonym do gardła. Jakie znaczenie miałyby wtedy dla niego nóż myśliwski leżący na blacie biurka? To nie miało najmniejszego sensu.

Chyba że coś mu przeszkodziło.

Chyba że coś spowodowało, iż zakłócony został rytm jego rytuału; coś odwróciło jego uwagę od ofiary.

Rozważyliśmy to z Frankiem.

– To ma sens przy założeniu, że mordercą nie jest jej mąż – dodał Frank.

– Taak, zakładamy, że zabójcą jest ktoś z zewnątrz. Ma swój styl działania, własny modus operandi, ale coś go zakłóca, coś go zaskakuje.

– Coś, co ona robi...

– Albo mówi – dodałam. – Mogła powiedzieć coś, co go na chwilę zaniepokoiło.

– Może. – Nie wyglądał na przekonanego. – Mogła zatrzymać jego uwagę na dostatecznie długi czas, by zauważył nóż leżący na biurku. Ale moim zdaniem znalazł go znacznie wcześniej; idę o zakład, że był już w domu, gdy ona przyszła z pracy.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Dlaczego?

– Bo przebywała w domu jakiś czas, zanim została napadnięta.

Myślałam o tym już wiele razy.

Lori przyjechała do domu ze szpitala, otworzyła frontowe drzwi, weszła i zamknęła je od środka. Poszła do kuchni, położyła plecak na stole i zrobiła sobie kolację. Zawartość jej żołądka wskazywała na to, że zjadła kilka krakersów serowych tuż przed tym, jak została zaatakowana; jedzenie właściwie nie zaczęło się rozkładać. Strach, jaki przeżyła podczas napadu, był tak ogromny, że spowodował zatrzymanie akcji trawiennych żołądka – to jeden z podstawowych mechanizmów obronnych organizmu. Trawienie ustaje i cała krew płynie do mięśni i serca, zamiast do żołądka, by umożliwić zwierzęciu walkę lub ucieczkę.

Tylko że ona nie miała jak walczyć; nie miała dokąd uciec.

Po kolacji poszła na górę, do sypialni; policja dowiedziała się, że miała zwyczaj brać pigułkę antykoncepcyjną przed pójściem spać – piątkowej tabletki nie było w foliowym opakowaniu w szafce w łazience. Wzięła więc pigułkę, pewnie umyła zęby i twarz, przebrała się w koszulę nocną, a ubranie złożyła równo na krześle. Moim zdaniem leżała w łóżku, gdy morderca wszedł do jej pokoju. Możliwe, że obserwował dom z krzaków lub zza drzew rosnących na tyłach. Mógł zaczekać, aż zgaśnie światło i ofiara zaśnie. Albo obserwował ją w przeszłości i wiedział, kiedy wraca z pracy i kładzie się spać.

Przypomniałam sobie sposób, w jaki rozrzucona była kołdra i narzuta na łóżku – wszystko wskazywało na to, że Lori leżała w pościeli, gdy zabójca ją zaatakował.

Lori Petersen była lekarzem.

Zapach często wskazuje jakąś chorobę lub zatrucie; lekarze są szkoleni tak, by wyczuwać i rozróżniać najsłabsze zapachy. Zdarza się, że na podstawie zapachu krwi na miejscu zbrodni mogą określić, czy ofiara piła alkohol na krótki czas przed śmiercią. Krew lub zawartość żołądka

pachnące migdałami wskazują na obecność cyjanku w organizmie; jeżeli oddech pacjenta czuć mokrymi liśćmi, może mieć gruźlicę...

Lori Petersen była lekarzem, tak jak ja.

Gdyby po wejściu do sypialni poczuła obcy, dziwny zapach, nie położyłaby się spać ani nie zrobiłaby nic innego, dopóki nie znalazłaby jego źródła.

Cagney nie miał moich zmartwień i bywały chwile, gdy czułam się zdominowana przez ducha mego poprzednika, którego nigdy nie spotkałam. W podłym świecie on był podłym i podstępnym rycerzem, bezwzględnie zmierzającym do celu, i zdaje się, że jakaś część mnie zazdrościła mu tej umiejętności.

Zmarł nagle. Dosłownie padł trupem pewnego popołudnia, gdy szedł przez salon włączyć telewizor. W porannej ciszy pochmurnego poniedziałku stał się przedmiotem badań. Przez trzy miesiące nikt nawet nie tknął jego gabinetu; wszystko zostało tak jak za jego życia, może z jednym wyjątkiem – Rose uprzątnęła niedopałki papierosów z popielniczki.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam po przeprowadzeniu się do Richmond, było usunięcie z byłego gabinetu Cagneya wszystkich jego osobistych rzeczy – włącznie z jego oświetlonym portretem, wiszącym na ścianie za biurkiem. Oddałam je Departamentowi Patologii na VMC, podobnie jak całą półkę makabrycznych pamiątek, które podobno zbierają wszyscy koronerzy.

Jego gabinet – obecnie mój – był dobrze oświetlony, z niebieską wykładziną na podłodze i obrazkami przedstawiającymi angielskie pejzaże na ścianach. Miałam niewiele osobistych rzeczy w tym pokoju, a jedyną oznaką mego makabrycznego zawodu była gipsowa rekonstrukcja głowy zamordowanego chłopca, którego tożsamości do tej pory nie udało się nam ustalić. Podstawę szyi owinęłam mu swetrem i postawiłam go na

najwyższej półce mej biblioteczki, skąd obserwował mnie szklanymi oczyma i czekał, aż ktoś zawoła go po imieniu.

Pracowałam ciężko, byłam zaangażowana w to, co robię, i choć powtarzałam sobie dumnie, że lepiej jest być uważanym za profesjonalistę niż chodzącą legendę, czasem miałam co do tego wątpliwości.

I cały czas czułam tu obecność Cagneya.

Ludzie przypominali mi o nim niekończącymi się opowiastkami i anegdotkami, które z czasem potęgowały jego legendę: prawie nigdy nie nosił rękawiczek podczas robienia sekcji; często pojawiał się na miejscu zbrodni z kanapką; jeździł na polowania z policjantami i bywał zapraszany na przyjęcia z grillem przez sędziów, a poprzedni komisarz był nieszkodliwy tylko z tego powodu, że śmiertelnie bał się Cagneya.

Wypadałam blado w porównaniu z nim, a wiedziałam, że ciągle ktoś nas porównuje. Jedynymi polowaniami i przyjęciami z grillem, na które zostawałam zapraszana, były konferencje prasowe i posiedzenia sądu, podczas których to ja byłam celem ataków, a ogień rozpalano pod moimi stopami. Jeżeli pierwszy rok doktora Alvina Amburgeya na stanowisku miał zapowiadać następne trzy lata jego rządów, to powinnam zastanowić się nad rzuceniem tej pracy. Uważał, że ma prawo stale naruszać moje terytorium; monitorował każdy mój krok i co najmniej raz na tydzień przysyłał mi pocztą elektroniczną arogancką wiadomość, domagając się dostarczenia mu danych statystycznych albo wyjaśnienia, dlaczego odsetek zabójstw stale rośnie, podczas gdy liczba innych przestępstw trochę maleje – jakby to była moja wina, że ludzie w Wirginii zabijają się nawzajem.

Jednak nigdy, aż do tej pory, nie wzywał mnie na dywanik tak bez uprzedzenia.

W przeszłości, gdy chciał ze mną coś omówić, albo przysyłał wiadomość pocztą komputerową, albo wysyłał któregoś ze swoich asystentów. Nie

miałam najmniejszych wątpliwości co do tego, że doktor Amburgey wcale nie chce poklepać mnie po plecach ani powiedzieć, że właśnie dostałam nagrodę za wspaniałe wykonaną robotę.

Spojrzałam na stertę dokumentów leżących na biurku i zastanowiłam się, w co mogę się uzbroić – teczkę z dokumentacją czy może notatnik? Z jakiegoś powodu nie chciałam iść tam z pustymi rękoma, gdyż czułam się nieomal naga. Opróżniwszy kieszenie fartucha z niepotrzebnych rzeczy, jakie miałam zwyczaj zbierać do nich podczas obchodów, zadowoliliłam się wsadzeniem do nich paczki papierosów, czyli „pałeczek rakotwórczych”, jak zwykł nazywać je mój szef, i wyszłam z gabinetu.

Doktor Amburgey królował po drugiej stronie ulicy, na dwudziestym czwartym piętrze wieżowca Monroe; nikt nie mógł patrzeć na niego z góry, z wyjątkiem okazjonalnie przelatujących gołębi. Większość jego pracowników gnieździła się na niższych piętrach albo po drugiej stronie ulicy, pod moją komendą. Nigdy do tej pory nie widziałam jego biura; nigdy mnie nie zaprosił.

Kiedy otworzyły się drzwi windy, zobaczyłam obszerny korytarz pokryty białym dywanem i sekretarkę urzędującą za ogromnym, skonstruowanym w kształcie litery U biurkiem. Była to szczerze przez naturę wyposażona rudowłosa pannica, mająca nie więcej niż dwadzieścia lat; kiedy spojrzała na mnie zza monitora komputera i powitała wyćwiczonym, acz uroczym uśmiechem, byłam nieomal pewna, że spyta, czy mam rezerwację i czy potrzebuję pomocy boya przy wnoszeniu walizek.

Przedstawiłam się, lecz moje nazwisko najwyraźniej nic jej nie powiedziało.

– Jestem umówiona z komisarzem na czwartą – dodałam.

Sprawdziła w jego elektronicznym kalendarzu i odrzekła radośnie:

– Faktycznie. Proszę usiąść wygodnie, pani Scarpetta, doktor Amburgey wkrótce panią przyjmie.

Usiadłam na szerokiej, beżowej skórzanej kanapie i rozejrzałam się po lśniącem, szklanym blacie stolika do kawy, na którym piętrzyły się czasopisma; w kącie stał wazon ze sztucznymi kwiatami, lecz nigdzie nie widać było popielniczki. W dwóch różnych miejscach stały natomiast tabliczki „Dziękujemy za niepalenie”.

Minuty ciągnęły się jak godziny.

Rudowłosa sekretarka popijała wodę mineralną przez słomkę i pisała zawzięcie na komputerze; w pewnym momencie przerwała i zaproponowała, że może poda mi coś do picia. Odmówiłam z uśmiechem i jej palce znowu rozbiegły się po klawiaturze, na co komputer zareagował żalonym bipnięciem. Dziewczyna westchnęła ponuro, jakby właśnie dostała tragiczną wiadomość od swego księgowego.

Papierosy ciążyły mi w kieszeni i zastanawiałam się nad pójściem do toalety, by zapalić.

O wpół do piątej na biurku sekretarki zadzwonił telefon. Dziewczyna odłożyła słuchawkę, znowu się do mnie uśmiechnęła, po czym rzekła:

– Może pani już wejść, pani Scarpetta.

Zdegustowana i rozkojarzona „pani” Scarpetta nie traciła czasu.

Drzwi do gabinetu komisarza otworzyły się z cichym kliknięciem, gdy nacisnęłam mosiężną klamkę i chwilę potem trzech mężczyzn poderwało się na nogi – choć spodziewałam się zobaczyć tylko jednego. Przy biurku Amburgeya siedzieli jeszcze Norman Tanner i Bill Boltz; kiedy przysła kolej Boltza na uściśnięcie mi dłoni, popatrzyłam mu prosto w oczy i wytrzymałam jego spojrzenie, aż zażenowany spuścił wzrok.

Byłam zraniona i trochę zła na niego. Dlaczego nie powiedział mi, że tu będzie? Dlaczego nie odezwał się do mnie ani słowem, odkąd spotkaliśmy

się przelotnie przed domem Lori Petersen?

Amburgey zaszczyił mnie skinieniem głowy, które bardziej przypominało odprawę, i dodał: „Doceniamy, że pani przyszła”, tonem znudzonego sędziego zajmującego się drobnymi przestępstwami drogowymi.

Był małym człowieczkiem o rozbieganych oczach, który do niedawna jeszcze pracował w Sacramento, gdzie nabrał dostatecznie dużo ogłady, by skryć swe chłopskie pochodzenie – urodził się i wychował na farmie w Wirginii Zachodniej i wcale nie był z tego dumny. Miał zamiłowanie do skórzanych, sznurkowych krawatów ze srebrnymi klamerkami, które nosił z podziwu godnym uporem do prążkowanych garniturów, a na serdecznym palcu prawej dłoni błyszczał mu ogromny turkus osadzony w srebrze. Był nieomal łysy, o ostrych kościach twarzy, prawie że przebijających się przez skórę, i bladoszarych oczach, zimnych jak lód.

Obracany skórzany fotel został przystawiony do biurka najwyraźniej dla mnie, usiadłam więc na nim przy akompaniamencie skrzypiącej skóry, a Amburgey usadowił się za biurkiem, o którym wiele słyszałam, lecz którego nigdy nie widziałam na oczy. Było ogromne, wykonane z drewna różanego i bogato zdobione; bardzo stare, bardzo stylowe. Bardzo chińskie.

Za nim znajdowało się panoramiczne okno z widokiem na miasto; z tej wysokości rzeka James wyglądała jak wijąca się, błyszcząca srebrna wstążka.

Amburgey z głośnym trzaskiem otworzył skórzaną aktówkę i wyjął z niej żółty notatnik zapełniony drobnym pismem. Wypisał sobie to, co miał mi do powiedzenia; nigdy nie robił nic bez uprzedniego zaplanowania.

– Jestem pewien, że rozumie pani publiczny niepokój związany z tymi morderstwami – odezwał się, patrząc na mnie.

– Doskonale to rozumiem.

– Wczoraj po południu, wraz z Billem i Normem, odbyliśmy małą naradę bojową, że się tak wyrażę. Przedmiotem naszej rozmowy było kilka spraw, z czego najważniejsza dotyczyła artykułów w sobotnich i niedzielnych gazetach. Jak zapewne pani wiadomo, doktor Scarpetta, z powodu tego czwartego tragicznego zgonu, morderstwa młodej pani doktor, dziennikarze przeszli samych siebie. I mieli zadziwiająco dokładne informacje. Ktoś sypnął...

Nie miałam o tym pojęcia, lecz nie byłam zdziwiona.

– Nie wątpię, że także pani była przez nich nękana – ciągnął spokojnie Amburgey. – Musimy to stłamsić w zarodku albo będziemy mieć tu istne pandemonium. To jedna z trzech rzeczy, o których wczoraj rozmawialiśmy

– Jeżeli potrafi pan stłamsić morderstwo w zarodku – odrzekłam równie spokojnie – to zasługuje pan na Nagrodę Nobla.

– Oczywiście, że o to właśnie nam chodzi – wtrącił Bill Boltz, rozpinając ciemną marynarkę i odchylając się na krześle. – Policja pracuje nad tymi sprawami bez chwili wytchnienia, Kay. Ale wszyscy zgadzamy się co do tego, że jedną rzecz trzeba wziąć pod kontrolę – przecieki wiadomości do prasy. Publikowane artykuły przerażają obywateli i informują zabójcę o każdym naszym kroku.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić. – Moje mechanizmy obronne ruszyły na całego, zanim zdołałam się powstrzymać. W chwili gdy wypowiadałam następne słowa, już ich żałowałam: – Możecie spać spokojnie, gdyż nie wygłaszałam żadnych komentarzy dotyczących tej sprawy, oprócz obowiązkowych informacji o przyczynie i czasie śmierci ofiary.

Odpowiedziałam na jeszcze niepostawiony mi zarzut i moje wyczucie prawne właśnie wściekało się na moją głupotę. Jeśli zostałam tu przywołana, by wysłuchać oskarżenia o brak dyskrecji, to powinnam ich zmusić – a w każdym razie Amburgeya – do wypowiedzenia tak

oburzających słów. Zamiast tego sama wypaliłam flarę i teraz byłam zobligowana do odpowiedzenia na pytania, które z pewnością padną.

– No, cóż – skomentował Amburgey; jego blade, nieprzyjazne oczy na chwilę spoczęły na mnie, po czym przesunęły się dalej. – Skoro już pani o tym wspomniała, może warto by się temu bliżej przyjrzeć.

– To nie było tylko „wspomnienie” – odparłam spokojnie. – Stwierdziłam fakt i to wszystko.

W tym momencie rozległo się ciche pukanie, a zaraz potem do gabinetu weszła rudowłosa sekretarka, niosąc na tacy kawę. W pokoju zapanowała absolutna cisza, która wcale nie zbiła jej z tropu; dziewczyna bez pośpiechu upewniła się, że niczego nam nie brakuje, a jej uwaga kierowała się przede wszystkim na Boltza. Może i nie był najlepszy ze znanych mi prokuratorów, lecz z całą pewnością najprzystojniejszy – jeden z tych jasnowłosych i błękitnookich szczęściarzy, którym mijające lata tylko dodają uroku. Nie stracił jeszcze włosów ani doskonałej figury, a jedyną wskazówką, że dobijał już czterdziestki, były głębokie zmarszczki w kącikach oczu i dokoła ust.

Kiedy ruda wyszła, Boltz odezwał się, nie kierując słów do nikogo w szczególności:

– Wszyscy wiemy, że od czasu do czasu gliniarze sypiają z reporterkami i coś im mówią. Wraz z Normem przycisnęliśmy kilku, lecz zdaje się, że nikt nie wie, skąd pochodzą przecieki.

Zdusiłam złość; czego oni się spodziewali? Że jeden z radnych miejskich, który sypia z Abby Turnbull czy kimkolwiek innym, przyzna się do tego i powie: „Przepraszam, chłopaki, ale zdarzyło mi się pisnąć jej to lub owo”?

Amburgey przewrócił kartkę w swym notesie.

– Jak na razie, źródło przecieku określone w gazetach jako „dobrze poinformowane źródło medyczne” było cytowane siedemnaście razy, odkąd popełniono pierwsze morderstwo, doktor Scarpetta. To mnie trochę niepokoi. Najwyraźniej najbardziej sensacyjne wiadomości dotyczące związania ofiar, dowodów wykorzystania seksualnego, tego, jak morderca dostał się do środka i kiedy znaleziono ciała, oraz faktu, że przeprowadzamy testy DNA, pochodzą z owego tajemniczego „medycznego źródła”. – Spojrzał na mnie. – Czy mam założyć, że te dane są zgodne z prawdą?

– Nie do końca. W kilku wypadkach zdarzały się lekkie przekłamania.

– Na przykład?

Nie chciałam mu tego mówić. W ogóle nie chciałam z nim rozmawiać o tych sprawach. Niestety, miał prawo zadawać mi te pytania; odpowiadałam przed nim, a jego jedynym zwierzchnikiem był gubernator stanu.

– Na przykład – odrzekłam – w pierwszej sprawie dziennikarze donieśli, że dokoła szyi Brendy Steppe został zawiązany beżowy pasek z materiału; naprawdę morderca posłużył się parą rajstop.

Amburgey robił sobie notatki.

– Co jeszcze?

– W sprawie Cecile Tyler napisano, że miała rany na twarzy i że całe prześcieradło było zachłapane krwią. To co najmniej przesada. Nie miała na twarzy żadnych ran ani zadrapań... jednak z jej nosa i ust wypływał krwawy płyn. To się zdarza dość często po gwałtownej śmierci ofiary.

– Czy te szczegóły zostały wspomniane w raportach CME-1? – zapytał Amburgey, nadal pisząc w notesie.

Musiałam odetchnąć głęboko, by zapanować nad sobą. Już zrozumiałam, o co mu chodziło. CME-1 były to wstępne raporty pisane przez lekarza, który odpowiedział na zgłoszenie; pisał w nich wszystko, co zauważył na

miejscu zbrodni i czego dowiedział się od policji. Szczegóły nie zawsze się zgadzały, gdyż wokół panował harmider, a autopsja nie została jeszcze przeprowadzona.

Ponadto zdarzało się, że lekarze patolodzy odpowiadający na zgłoszenia wcale niekoniecznie byli ekspertami z dziedziny medycyny sądowej – to zwykli wolontariusze, którym państwo płaciło pięćdziesiąt dolarów od zgłoszenia, po to, by móc wyrywać ich z łóżka o północy i rujnować im weekendy za pomocą wypadków samochodowych, samobójstw i zabójstw. Ci mężczyźni i kobiety służyli dobru publicznemu, a ich zadaniem było ustalenie, czy dana sprawa kwalifikuje się do autopsji, oraz zapisanie wszystkich możliwych szczegółów. Nawet jeżeli jeden z moich patologów pomylił parę rajstop z beżowym paskiem z materiału, nie miało to większego znaczenia. Moi ludzie nie gadali z dziennikarzami.

– Ten fragment o beżowym pasku i zalanym krwią prześcieradle – nalegał Amburgey. – Zastanawiam się, czy te szczegóły zostały wspomniane w CME-1?

– W sposób, w jaki pisała o tym prasa, nie – odparłam pewnie.

– Wszyscy wiemy, na jakiej zasadzie działają dziennikarze – wtrącił Tanner. – Robią z igły widły.

– Posłuchajcie – rzekłam, przyglądając się twarzom trzech mężczyzn. – Jeżeli chodzi wam o to, że jeden z moich patologów puszcza farbę o tych sprawach, mogę wam powiedzieć z całą pewnością, że się mylicie. To niemożliwe. Znam osobiście obu patologów, którzy odpowiedzieli na zgłoszenia w dwóch pierwszych przypadkach, pracują dla miasta Richmond od wielu lat i zawsze byli wyjątkowo dyskretni. Sama zjawiłam się na trzecim i czwartym miejscu zbrodni, ale i ja nie wypuszczam informacji poza ściany swego biura. Te szczegóły znają wszyscy, którzy kręcili się w domach ofiar, włącznie z sanitariuszami czy policjantami.

Skóra zaskrzypiała, gdy Amburgey poprawił się w fotelu.

– Już to sprawdziłem; na wezwania odpowiedziały trzy różne jednostki, a żaden z medyków nie był obecny we wszystkich czterech przypadkach.

– Anonimowe źródła są często mieszanką wielu źródeł naraz – powiedziałam z wymuszonym spokojem. – „Medyczne źródło” może być kombinacją tego, co powiedział sanitariusz, policjant, oraz tego, co reporter sam podsłuchał czy zobaczył, czekając przed domem ofiary.

– Prawda. – Amburgey skinął głową. – Nie wierzę, by te informacje przeciekły z biura koronera okręgowego, a przynajmniej nie specjalnie...

– Specjalnie? – Wtrąciłam z niedowierzaniem. – Czyżby pan sugerował, że szczegóły spraw o morderstwo mogą wychodzić z mego biura samoistnie?!

Właśnie zamierałam wybuchnąć, jaka to wierutna bzdura i jak strasznie jestem oburzona podobnym oszczerstwem, gdy nagle zamilkłam.

Poczułam, że zaczynam się rumienić; moja baza danych. Ktoś z zewnątrz miał do niej dostęp. Czyżby Amburgey nawiązywał właśnie do tego? Skąd mógł wiedzieć?

Ale Amburgey ciągnął, jakby mnie nie usłyszał:

– Ludzie gadają... z rodziną, ze znajomymi i najczęściej wcale nie chcą nikomu wyrządzić szkody. Nigdy jednak nie wiadomo, gdzie taka informacja może skończyć... W tym wypadku na biurku dziennikarza. Zdarza się. Musimy przyjrzeć się temu w miarę obiektywnie i rozważyć wszystkie możliwości. Chyba pani rozumie, że te przecieki mogą mieć fatalny wpływ na prowadzone śledztwo.

– A burmistrz nie jest zachwycony tego typu zagrywkami – dodał lakonicznie Tanner. – Odsetek zabójstw w Richmond i tak daje nam niezłego politycznego łupnia; ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili to miasto potrzebuje, jest wiadomość o grasującym na wolności seryjnym mordercy.

Wszystkie te ogromne hotele, jakie budujemy, liczą na przyjazd gości, a ludzie nie przyjadą do miasta, w którym będą się obawiać o swoje życie.

– Ano, nie – zgodziłam się zimno. – Nie byłoby też dobrze, gdyby obywatele się dowiedzieli, że głównym powodem zainteresowania burmistrza tymi morderstwami jest fakt, że mogą zniechęcić lub całkowicie zniweczyć ruch turystyczny w naszym mieście.

– Ależ, Kay – wtrącił łagodnie Boltz. – Nikt nie sugeruje tu nic równie szokującego.

– Oczywiście, że nie – dodał pospiesznie Amburgey. – Ale musimy stawić czoło pewnym faktom, jak na przykład temu, że siedzimy na bombie zegarowej. Jeżeli nie zajmiemy się sprawą z nadzwyczajną ostrożnością, możemy wylecieć w powietrze.

– Wylecimy w powietrze? Niby dlaczego? – spytałam zmęczonym głosem i automatycznie spojrzałam na Billa, czekając na odpowiedź.

Miał zacięty wyraz twarzy, a w jego oczach widziałam napięcie.

– Ostatnie morderstwo to beczka prochu – odpowiedział mi wreszcie z niechęcią. – W sprawie zabójstwa Lori Petersen są pewne szczegóły, o których nikt nie chce mówić, a o których, dzięki Bogu, reporterzy nic jeszcze nie wiedzą. Ale to tylko kwestia czasu. Ktoś się o tym dowie, prędzej czy później, i jeżeli już teraz nie zajmiemy się tą sprawą dyskretnie i sensownie, może nam wybuchnąć prosto w twarz.

Tanner przejął pałeczkę.

– Władze miasta są doprawdy w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. – Zerknął na Amburgeya, który skinął mu głową, aby kontynuował. – Stała się rzecz nie do pomyślenia. Wyszło na jaw, że Lori Petersen zadzwoniła na policję wkrótce po przyjściu do domu, wczesnym rankiem w sobotę. Dowiedzieliśmy się tego od jednego z policjantów, który pełnił wtedy służbę na centrali i przyjmował telefony. Jedenaście minut przed pierwszą

w nocy centrala 911 odpowiedziała na telefon. Na ekranie komputera pojawił się adres rezydencji Petersenów, lecz połączenie zostało nieomal natychmiast przerwane.

– Jak pewnie sobie przypominasz – wtrącił Boltz, patrząc na mnie – na nocnej szafce koło łóżka stał telefon, z kablem wyrwanym ze ściany. Domyślamy się, że doktor Petersen obudziła się, gdy morderca był już w jej domu; udało się jej złapać za słuchawkę i wykręcić numer policji, zanim ją powstrzymał. Jej adres pojawił się na monitorze w centrali. To wszystko; nikt się nie odezwał. Tego typu telefony, szczególnie kierowane pod numer 911, są bezpośrednio przekazywane policjantom w wozach patrolowych. Dziewięć przypadków na dziesięć to pudła, żarty podchmielonych gówniarzy... ale tego jednego przypadku na dziesięć nigdy nie możemy być pewni. Nigdy nie mamy pewności, czy osoba dzwoniąca nie jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie albo czy na przykład właśnie nie dostała zawału. Dlatego ludzie obsługujący centralę mają obowiązek nadania takiemu telefonowi najwyższego priorytetu. Oficer przyjmujący takie zgłoszenie ma obowiązek przekazać je natychmiast najbliższemu znajdującemu się wozowi patrolowemu i wysłać go pod wskazany adres. Tym razem tak się nie stało. Policjant, który przyjął telefon Lori Petersen, a który niedawno został właśnie za to zawieszony, nadał zgłoszeniu czwarty priorytet.

– Tamtej nocy wiele się działo na ulicach – wtrącił Tanner. – Ludzie co chwilę wywoływali się przez radio, a im więcej zgłoszeń przyjmujesz, tym łatwiej nadajesz im niższy priorytet od pożądanego. Problem polega na tym, że gdy już raz przydzieliłeś zgłoszeniu numerek, nie ma odwrotu. Ten, kto je potem rozdziela, nie wie, o co chodzi, widzi tylko numery priorytetów. Nie zaprzątnie sobie uwagi numerem czwartym, dopóki nie rozdzieli pilniejszych zgłoszeń... trójek i dwójek... ludziom na ulicach.

– Nie ma wątpliwości, że facet z centrali telefonicznej dał dupy – odezwał się łagodnie Amburgey. – Ale chyba nietrudno zrozumieć, dlaczego się tak stało.

Byłam tak spięta, że ledwie mogłam oddychać.

Boltz podjął wątek tym samym, bezbarwnym tonem:

– Dopiero jakieś czterdzieści pięć minut później wóz patrolowy przejechał obok rezydencji Petersenów; policjanci twierdzą, że zaświecili latarką przez frontowe okna. Światła były pogaszone, a wszystko wyglądało, jakby było w porządku. W tym czasie dostali zgłoszenie kłótni rodzinnej, więc szybko wrócili do wozu i odjechali. Niedługo potem Matt Petersen wrócił do domu i znalazł ciało żony.

Mężczyźni nagle zaczęli mówić jeden przez drugiego, wyjaśniając i komentując; wspomnieli sprawę Howarda Beacha i strzelaniny w Brooklynie, gdzie policja nie odpowiedziała na wezwanie, wskutek czego zginęło kilka osób.

– Sądy w Waszyngtonie postanowiły, że nie można oskarżyć rządu o to, iż nie potrafi ustrzec obywateli przed przestępstwami.

– Czyli to, co robi bądź czego nie robi policja, nie ma najmniejszego znaczenia.

– Ano, nie. Jeżeli ktoś zechce nas oskarżyć, zapewne wygramy proces, lecz stracimy dobre imię.

Ledwie ich słyszałam. Przed oczyma widziałam straszliwe obrazy. Uświadomił mi je dopiero fakt, że otrzymano zgłoszenie 911 i odrzucono je.

Już wiedziałam, co się stało.

Lori Petersen wróciła do domu zmordowana po dwunastu godzinach spędzonych na ostrym dyżurze; mąż powiedział jej poprzedniego wieczora, że wróci później niż zwykle. Poszła do łóżka, może planując zdrzemnąć się

chwilę do czasu, aż wróci on do domu – sama to robiłam, gdy wracałam do domu po dyżurze ze szpitala i czekałam, aż Tony dotrze do domu z biblioteki w Georgetown. Obudziła się, słysząc kogoś chodzącego po domu, zaspana, zawołała męża po imieniu.

Nikt jej nie odpowiedział.

W tej jednej chwili, która musiała się wlec jak cała wieczność, Lori Petersen zrozumiała, że osoba przebywająca w jej domu nie jest Mattem.

Spanikowała, schwyciła za telefon i pospiesznie wystukała 911, lecz morderca był szybszy. Wyrwał kabel telefoniczny ze ściany, zanim zdążyła zawołać pomocy.

Może wyrwał jej słuchawkę z ręki. Może wrzasnął na nią, a ona zaczęła go błagać, by jej nie krzywdził? Zakłóciła rytuał, wytrąciła go z równowagi.

Na pewno go to rozwścieczyło. Możliwe, że to właśnie wtedy ją uderzył i połamał jej żebra. Kiedy skuliła się z bólu, mógł rozejrzeć się po pokoju; lampka przy łóżku była włączona... i mógł z łatwością dostrzec nóż myśliwski leżący na blacie biurka.

Temu morderstwu można było zapobiec! Można było powstrzymać szaleńca...

Gdyby jej telefonowi nadano pierwszy priorytet, gdyby od razu przydzielono go jakiemuś wozowi patrolowemu, policja byłaby w domu Petersenów w ciągu kilku minut. Zauważyliby zapalone światło w sypialni – morderca nie mógł odciąć kabli i związać swej ofiary w ciemności. Jeżeli policjanci wysiedliby z wozu, z pewnością coś by usłyszeli. A nawet jeżeli nie, może obeszliby dom, zobaczyli ławkę podsunętą pod okno łazienki, przeciętą siatkę... Rytuał zabójcy wymagał sporo czasu. Policja mogła znaleźć się na miejscu, zanim ten drań ją zamordował!

Zaschło mi w ustach; musiałam wypić prawie całą filiżankę kawy, zanim zdołałam zapytać:

– Ile osób wie o tym?

– Nikt o tym nie mówi, Kay – odpowiedział Boltz. – Nawet sierżant Marino nie ma o tym pojęcia. A w każdym razie szczerze wątpię, by wiedział. Tej nocy nie miał służby, wyciągnęliśmy go z domu, kiedy mundurowi pojawili się na miejscu zbrodni. W departamencie policji powiedzieliśmy, że ktokolwiek wie o tym, ma trzymać gębę na kłódkę.

Wiedziałam, co to oznaczało. Dzięki zмовie milczenia winny policjant wróci do drogówki albo za biurko na posterunku.

– Jedynie dlatego informujemy panią o tym niefortunnym zdarzeniu, że musi pani znać powody nami kierujące, by zrozumieć kroki, jakie chcemy podjąć – odezwał się Amburgey, wolno cedząc słowa.

Siedziałam spięta i przyglądałam mu się z napięciem. Właśnie miałam się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. I dobrze.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z doktorem Spiro Fortosisem, psychiatrą sądowym, który był na tyle miły, by podzielić się ze mną spostrzeżeniami. Omawiałem te sprawy z FBI. Chodziło mi o zebranie opinii ekspertów... wszyscy są zgodni, że tego typu mordercę podnieca zainteresowanie tłumów. Kiedy czyta o swoich wyczynach, puszy się i następnym razem chce zaszokować ich jeszcze bardziej, by znowu o nim napisali.

– Nie możemy ograniczać wolności prasy – przypomniałam mu bezpardonowo. – Nie mamy możliwości kontrolowania tego, co piszą dziennikarze.

– Ależ mamy. – Amburgey wyglądał przez okno. – Nie napiszą zbyt wiele, jeżeli nie dostarczymy im informacji. Niestety, jak na razie

dostarczyliśmy ich im całkiem sporo. – Urwał. – Albo przynajmniej ktoś inny to zrobił.

Nie miałam pojęcia, dokąd on zmierza, lecz wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że w moim kierunku.

– Sensacyjne wiadomości – kontynuował mój szef – zaowocowały okropnymi, tragicznymi artykułami i nagłówkami na pół strony. Wedle opinii doktora Fortosisa, to może przyspieszyć działania mordercy; dzięki takiej reakcji mediów, drań może zabić po raz kolejny już wkrótce. Zainteresowanie tłumów podnieca go, ale jednocześnie niebywale stresuje. Popęd do mordu znowu rośnie, i musi wybrać następną ofiarę, bo tylko wtedy znajdzie satysfakcję. Jak wam wszystkim wiadomo, pomiędzy morderstwami Cecile Tyler i Lori Petersen był tylko tydzień przerwy...

– Czy rozmawiał pan o tym z Bentonem Wesleyem? – przerwałam.

– Nie musiałem. Rozmawiałem z Suslingiem, jednym z jego kolegów z oddziału behawioralnego w Quantico. To znany ekspert z tej dziedziny, ma sporo publikacji na swoim koncie.

Dzięki Bogu. Nie zniósłabym myśli, że Wesley dopiero co siedział w moim pokoju konferencyjnym i ani słowem nie wspomniał o tym, o czym przed chwilą się dowiedziałam. Podejrzewam, że gdyby wiedział, byłby równie wściekły jak ja; komisarz pchał się z butami w śledztwo, co nie należało do jego obowiązków. Obchodził mnie, obchodził Marino i Wesleya, działał za naszymi plecami i brał sprawy w swoje ręce.

– Ewentualne skutki sensacyjnych wiadomości, które mogą pochodzić z przecieków informacji, czyjejs gadaniny – ciągnął Amburgey – oraz fakt, że policja może zostać oskarżona o niewypełnianie swych obowiązków w związku z tym oddalonym wezwaniem 911, oznacza, że musimy przedsięwziąć poważne środki ostrożności, doktor Scarpetta. Od tej chwili, aż do odwołania, wszystkie informacje z komendy głównej policji będą

przechodzić przez ręce Billa i Norma. Pani ma nie udzielać żadnych informacji, a wszystkich ciekawskich kierować bezpośrednio do mnie. Zrozumiano?

Nigdy wcześniej nie miałam problemów z przeciekami w moim biurze i on doskonale o tym wiedział. Nigdy nie udzielaliśmy pochopnych ani zbyt szczegółowych informacji, a ja jak najbardziej ograniczałam kontakty z prasą.

Co też pomyślą sobie reporterzy – albo ktokolwiek inny – gdy odeśle się ich do komisarza po informacje, które powinni uzyskać w moim biurze? Od czterdziestu dwóch lat, odkąd istnieje w Wirginii funkcja naczelnego koronera, nic podobnego nie miało miejsca. Uciszejąc mnie, Amburgey pozbawi mnie autorytetu, sugerując jednocześnie, że nie może mi ufać.

Rozejrzałam się dokoła; nikt nawet nie raczył spojrzeć mi w oczy. Bill Boltz z uporem wpatrywał się w fusy na dnie swej filiżanki.

Amburgey zaczął znowu kartkować notatki.

– Najgorsza wśród dziennikarzy jest Abby Turnbull, ale to nic nowego. Nie dostaje nagród za pasywność. – Potem odwrócił się do mnie: – Czy zna pani pannę Turnbull?

– Rzadko kiedy udaje się jej przedostać dalej niż do sekretariatu.

– Rozumiem. – Przerzucił następną kartkę.

– Ona jest niebezpieczna – odezwał się Tanner. – „Times” stanowi część jednej z największych sieci w kraju. Mają własne źródła informacji.

– W takim razie nie ma wątpliwości co do tego, że to panna Turnbull sprawia nam największy kłopot. Pozostali dziennikarze po prostu komentują i cytują jej elaboracje i wznecają kurz – skomentował Bill Boltz. – Musimy się tylko dowiedzieć, skąd, u licha, czerpie swe informacje? – I do mnie: – Musimy zabezpieczyć wszystkie możliwe kanały. Na przykład, kto oprócz ciebie ma dostęp do twoich danych?

– Kopie raportów wysyłam urzędowi miasta i policji – odrzekłam spokojnie; przecież to on i Tanner są przedstawicielami urzędu miasta i policji.

– A co z rodzinami ofiar?

– Jak na razie nie dostałam próśb o tego typu dokumenty ze strony rodzin żadnej z zamordowanych kobiet. Poza tym najprawdopodobniej odesłałabym je do twojego biura.

– A co z firmami ubezpieczeniowymi?

– Też tylko na wyraźną prośbę. Jednak po drugim zabójstwie zabroniłam moim pracownikom wysyłania raportów komukolwiek, z wyjątkiem policji i twojego biura. Od jakiegoś czasu staram się ograniczyć ich dostępność, by nie wpadły w niepowołane ręce i nie wywołały sensacji.

– Kto jeszcze? – spytał Tanner. – A co z oddziałem statystycznym? Czy przypadkiem nie mają zwyczaju podpierania się waszymi danymi? Nie wysyłacie im kopii wszystkich raportów CME-1 oraz raportów z autopsji?

Zaskoczona, nie odpowiedziałam od razu. Tanner z całą pewnością nieźle się przygotował na to spotkanie. Bo niby skąd mógłby wiedzieć o takich szczegółach działania mojego biura?

– Przestaliśmy wysyłać im dokumenty wkrótce po skomputeryzowaniu biura – wyjaśniłam. – W końcu i tak wyciągają od nas wszystkie potrzebne im dane, ale dopiero pod koniec roku, gdy sporządzają roczne raporty...

Tanner przerwał mi z siłą wystrzelonej kuli.

– Czyli zostaje tylko twój komputer. – Zaczął okręcać w palcach swój styropianowy kubeczek po kawie. – Zakładam, że dostęp do waszej bazy danych jest zastrzeżony dla bardzo niewielu osób?

– To było moje następne pytanie – mruknął Amburgey.

Doprawdy fatalnie wymierzone; nieomal wołałam, by Margaret nie wspomniała mi dziś o włamaniu do komputera w biurze.

Desperacko usiłowałam wymyślić jakąś odpowiedź, gdy w środku skręcałam się z paniki. Czy możliwe, by morderca mógł zostać pojmany już wcześniej? Czy gdyby nie zdarzyły się te przecieki, utalentowana młoda lekarka żyłaby jeszcze? Czy to możliwe, by anonimowe „medyczne źródło” było nie jakąś konkretną osobą, lecz moją bazą danych?

Zdaje się, że chwila, w której musiałam się przyznać do tego włamania, była najgorsza w moim życiu. Nie miałam jednak wyboru.

– Pomimo wszystkich zabezpieczeń ktoś dostał się do naszej bazy danych. Dziś rano znaleźliśmy dowód na to, że ktoś usiłował wyciągnąć z komputera dane na temat zabójstwa Lori Petersen. Nic nie zyskał, gdyż dane nie zostały jeszcze wprowadzone.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał.

Zapaliłam papierosa, na co Amburgey obdarzył mnie wściekłym spojrzeniem, po czym rzekł:

– Ale dane z trzech pierwszych spraw były?

– Tak.

– I jest pani pewna, że nie zrobił tego żaden z pracowników? Albo może ktoś z innego dystryktu?

– Jestem tego prawie stuprocentowo pewna.

Znowu cisza.

– Czy jest możliwe, że ten, kto włamał się do bazy danych, robił to już wcześniej? – zapytał wreszcie.

– Nie mamy żadnej pewności. Rutynowo zostawiamy wieczorami komputer w trybie automatycznego przyjmowania zgłoszeń, bym mogła połączyć się z nim z domu. Taki dostęp oprócz mnie ma właściwie tylko Margaret, moja analityczka komputerowa. Nie wiemy też, skąd intruz znał hasło.

– W jaki sposób wyszło to na jaw? – Tanner patrzył na mnie ze zdziwieniem. – Powiedziałaś, że odkryłyście to dzisiaj. Czy gdyby zdarzyło się to w przeszłości, nie zobaczyłybyście tego już wtedy?

– Moja analityczka odkryła to dopiero dziś, bo w piątek zostawiła echo na komputerze włączone, czego zazwyczaj nie robi. Wstukane komendy nadal były na monitorze... w przeciwnym razie nadal nic byśmy nie wiedziały.

Coś zabłysło w oczach Amburgeya, a jego twarz poczerwieniała ze złości. Podniósł nóż do otwierania listów i przeciągnął palcem po jego tępej krawędzi.

– Chyba będzie lepiej, jeżeli rzucimy okiem na te dane – postanowił. – Zobaczymy, jakiego typu informacji szukał nasz haker. Równie dobrze to może nie mieć nic wspólnego z wiadomościami, jakie ukazywały się w gazetach. Jestem pewien, że tak się właśnie okaże... Chciałbym także przejrzeć dane ze wszystkich czterech morderstw Dusiciela, doktor Scarpetta. Ludzie zadają mi mnóstwo pytań, muszę więc wiedzieć, z czym mamy tu do czynienia.

Siedziałam bezradnie i patrzyłam na niego z rosnącą złością. Nic nie mogłam zrobić. Amburgey podejrzewał mnie, wyciągał na światło dzienne najbardziej osobiste i drażliwe sprawy prowadzone w moim biurze. Na myśl, że będzie przeglądał dane z tych spraw, że będzie gapił się na zdjęcia z maltretowanych kobiet, zatrzęsłam się ze złości.

– Może pan przejrzeć wszystkie dane w moim biurze; nie wolno robić fotokopii ani wynosić ich z mego gabinetu – powiedziałam zimno, po czym dodałam: – Z powodów bezpieczeństwa, rzecz jasna.

– Przejrzemy je teraz. – Amburgey rozejrzał się dokoła. – Bill, Norm?

Trzej mężczyźni wstali; kiedy wychodziliśmy z jego gabinetu, komisarz powiedział rudej sekretarce, że tego dnia już nie wróci do biura. Ruda

tęsknie odprowadziła Boltza wzrokiem do drzwi windy.

Rozdział siódmy

Zaczekaliśmy w jasnym słońcu na brzegu chodnika, aż zmieni się światło i przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Nikt się nie odzywał, a ja szłam jakieś pięć kroków przed trzema mężczyznami, prowadząc ich dokoła, na tyły budynku. O tej porze frontowe drzwi są zamknięte.

Zostawiłam ich w pokoju konferencyjnym i pospieszyłam do swego gabinetu, by wyciągnąć dane z szuflady szafy. Słyszałam Rosę przekładającą papiery w pokoju obok. Było już po piątej, lecz nadal tu tkwiła; trochę mnie to uspokoiło. Została dłużej, gdyż wyczuła, że dzieje się coś złego, skoro zostałam wezwana do biura Amburgeya.

Kiedy wróciłam do pokoju konferencyjnego, trzech mężczyźni siedzieli obok siebie po jednej stronie stołu; podałam im dokumenty i usiadłam naprzeciw nich. Zapaliłam papierosa i pomyślałam, że Amburgey mnie wyprosi. Nie zrobił tego, więc siedziałam.

Minęła kolejna godzina.

W pomieszczeniu słychać było tylko szelest przewracanych kartek, raportów prześlizgujących się po stole z rąk do rąk oraz cichych komentarzy. Fotografie rozłożone były na blacie niczym karty do gry. Amburgey zacięcie robił notatki; w pewnej chwili kilka teczek z dokumentami ześlizgnęło się Boltzowi z kolan i rozsypało po podłodze.

– Podniosę to. – Tanner bez entuzjazmu odsunął krzesło, na którym siedział, i schylił się nieco.

– Już mam. – Boltz wydawał się zdeglustowany gdy pochylał się, by zebrać dokumenty leżące pod stołem i dokoła krzesła. Wraz z Tannerem byli na tyle uprzejmi, że posegregowali je wedle numerów spraw, podczas

gdy ja tylko się im przyglądałam. W tym czasie Amburgey dalej pisał, jakby nic się nie wydarzyło.

Minuty zamieniły się w godziny, a ja nadal siedziałam naprzeciw nich.

Czasem odpowiadałam na jakieś ich pytanie, lecz na ogół trzech mężczyzn nie zwracali na mnie uwagi.

Było już wpół do szóstej, gdy przenieśliśmy się do pokoju Margaret. Usiadłam przed komputerem, wyłączyłam tryb automatycznego zgłaszania i momentalnie na ekranie pojawił się kolorowy wzór stworzony przez Margaret. Amburgey zerknął do swych notatek i wyczytał numer sprawy Brendy Steppe, pierwszej ofiary Dusiciela.

Wchodząc do bazy danych, wyszukałam odpowiedni numer w kartotece i niemal natychmiast na ekranie pojawiły się dane.

W rzeczy samej, na monitorze pojawiło się ponad tuzin połączonych ze sobą tabel. Mężczyźni zaczęli gwałtownie notować wszystko, co było w nich wyszczególnione i tylko kiwali głowami, bym przeszła do następnej strony.

Zobaczyliśmy to wszyscy jednocześnie, na trzeciej stronie.

W tabeli oznakowanej: „Ubrania, rzeczy osobiste” widniał spis wszystkich przedmiotów, jakie wraz z Brendą Steppe przyjechały do kostnicy, włącznie z więzami i stryczkiem. W jednej z rubryk jak wół było napisane małymi czarnymi literkami: „beżowy pasek z materiału zadzierzgnięty dokoła szyi”.

Amburgey pochylił się nade mną i powoli przejechał palcem po monitorze.

Otworzyłam raport z autopsji Brendy Steppe i pokazałam mu, że nie to podyktowałam w protokole. W raporcie autopsyjnym napisane było: „para beżowych rajstop zaciśnięta na szyi”.

– Taak – mruknął Amburgey. – Ale proszę spojrzeć na raport sanitariuszy, którzy odpowiedzieli na zgłoszenie. Oni także wpisali beżowy pasek, czyż nie?

Szybko znalazłam raport sanitariuszy; komisarz miał rację. Sanitariusz piszący raport, opisując to, co zobaczył na miejscu zbrodni, wymienił elektryczny kabel wiążący ręce i nogi ofiary oraz beżowo-brązowy, miękki pasek dokoła szyi.

– Może jedna z twoich sekretarek, wpisując te dane – zasugerował Boltz – zerknęła na raport sanitariuszy i nie zauważyła, że dane w nim nie zgadzają się z tym, co podyktowałaś podczas autopsji?

– Bardzo wątpię – odrzekłam. – Moi pracownicy wiedzą, że dane wprowadzane do komputera mają pochodzić tylko z raportów autopsyjnych, aktów zgonów oraz raportów laboratoryjnych.

– A jednak jest to możliwe, skoro ktoś wprowadził tu dane o beżowym pasku – odezwał się Amburgey. – Przecież wszyscy to widzimy.

– Oczywiście; wszystko jest możliwe.

– W takim razie jest też możliwe, że źródłem cytowanym w prasie, z którego dziennikarze dowiedzieli się o beżowym pasku zaciśniętym na szyi ofiary, był pani komputer. Pewnie jakiś reporter włamał się do pani bazy danych albo wynajął kogoś, by zrobił to za niego. Wydrukował niedokładne informacje, bo takie właśnie otrzymał.

– Albo dostał cynk od sanitariusza, który napisał ten raport – odparłam ze złością.

Amburgey wycofał się od komputera.

– Ufam, że podejmie pani odpowiednie środki, by zabezpieczyć tę bazę danych – rzekł zimno. – Niech dziewczyna, która zajmuje się komputerami, zmieni hasło dostępu. Nie obchodzi mnie, co pani robi, doktor Scarpetta, ale to nie może się więcej powtórzyć. I czekam na pani pisemne

oświadczenie w tej sprawie. – Podeszedł do drzwi, stanął na progu i rzucił mi jeszcze jedno spojrzenie. – Wyślę kopie tego oświadczenia odpowiednim organom i zastanowię się, jakie kroki mam podjąć.

I wyszedł z Tannerem depczącym mu po piętach.

Kiedy zawodzi wszystko inne, gotuję.

Niektórzy ludzie po wykańczającym dniu idą na korty i wyładowują się na Bogu ducha winnej piłeczce tenisowej albo zdzierają buty na bieżni. Moja przyjaciółka mieszkająca w Coral Gables po męczącym tygodniu ucieka na plażę z leżakiem i lekko pornograficzną książką, by spalić stres na słońcu – nigdy nikomu oprócz mnie się do tego nie przyznała, w obawie o opinię; w życiu zawodowym jest sędzią sądu stanowego. Wielu gliniarzy topi swe zmartwienia w piwie, przesiadując w barach całymi nocami.

Nigdy specjalnie nie przepadałam za sportem, a w Richmond nie ma żadnej plaży w przyzwoitej odległości od miasta. Upijanie się nie rozwiązuje żadnych problemów; gotowanie jest przyjemnością, na którą zazwyczaj brak mi czasu i choć pizza nie jest moją jedyną miłością, zawsze wychodzi mi najlepiej.

– Użyj tarki o najmniejszych oczkach – powiedziałam do Lucy, przekrzykując hałas wody lecącej do zlewu.

– Ale ser jest strasznie twardy – odparła moja siostrzenica, zaciskając zęby w bezsilnej złości.

– Podosuszony parmezan musi być twardy. I uważaj na palce, dobrze?

Skończyłam płukać zielone papryczki, pieczarki i cebulkę, wysuszyłam je ostrożnie i położyłam na desce do krojenia. Na piecu powoli gotował się sos z hanowerskich pomidorów, bazylii, oregano i startego czosnku. Na tego typu okazje zawsze trzymam w lodówce odpowiednio duży zapas przypraw i warzyw. Małe kiełbaski suszyły się na papierowym ręczniku obok kawałków świeżej wołowiny; na desce, pod mokrą ścierką do naczyń,

rosło ciasto. W misce obok pyszniła się pełnomleczna mozzarella sprowadzona specjalnie z Nowego Jorku, jeszcze zapakowana w firmowe sreberko mojego ulubionego sklepu na West Avenue. W temperaturze pokojowej ser ten jest miękki jak masło, a po stopieniu cudownie się ciągnie.

– Mamusia zawsze kupuje półprodukty i dodaje do tego całe mnóstwo świństwa – wysapała Lucy, przerywając tarcie parmezanu. – Albo kupuje gotową pizzę i podgrzewa ją w mikrofalówce.

– To godne pożałowania – odparłam całkiem szczerze. – Jak ona może przełknąć coś takiego? – Zaczęłam siekać warzywa. – Twoja babcia raczej pozwoliłaby nam umrzeć z głodu, niż godziłaby się na takie jedzenie.

Moja siostra nigdy nie lubiła gotowania, a ja po prostu nie potrafiłam tego zrozumieć. Najszczęśliwsze chwile mego dzieciństwa wiążą się z kuchnią i jadalnią; kiedy ojciec jeszcze żył, zawsze siedział u szczytu stołu i ceremonialnie nakładał nam kopiaste talerze parującego spaghetti czy fettucine, albo – w piątki – frittata. Bez względu na to, jak marnie się nam powodziło. Na stole zawsze było mnóstwo jedzenia i picia; kiedy wracałam ze szkoły, zawsze z radością wdychałam wspaniałe zapachy płynące z kuchni.

Zrobiło mi się smutno i odczułam to wręcz jak pogwałcenie tradycji, że Lucy nigdy nie zaznała podobnego szczęścia. Podejrzewam, że gdy wraca ze szkoły, zazwyczaj wita ją cisza domu, w którym obiad jest przykrym obowiązkiem, odkładanym na jak najpóźniej. Moja siostra nigdy nie powinna być matką ani Włoszką, jeżeli już o tym wspominam.

Umoczyłam dłonie w oliwie z oliwek i zaczęłam ugniatać ciasto. Pracowałam ciężko, dopóki nie poczułam bólu w mięśniach ramion.

– Czy potrafisz je kręcić, jak robią w MTV? – Lucy przerwała swą pracę i patrzyła teraz na mnie szeroko otwartymi oczyma.

Zademonstrowałam.

– Ojej!

– To wcale nie takie trudne. – Uśmiechnęłam się, gdy ciasto powoli powiększało swój obwód nad moją pięścią. – Najważniejsze jest trzymać pięść zaciśniętą, by nie porobić palcami dziur w cieście.

– Pozwól i mnie! Pozwól!

– Przecież nie skończyłaś jeszcze trzeciej sera... – powiedziałam z udaną surowością.

– Błagam!...

Zeszła ze swego stołka i podeszła do mnie; ujęłam jej rączki w dłonie, zanurzyłam w oliwie i zamknęłam w pięści. Zdumiałam się, widząc, że są nieomal tak duże jak moje; kiedy była dzieckiem, wcale nie tak dawno temu, jej paluszki były wielkości migdałów. Pamiętam, jak trzymała mnie za palec, gdy przyjeżdżałam w odwiedziny do siostry, i uśmiechała się do mnie, podczas gdy serce zalewała mi nieznana błogość. Układając ciasto na piąstkach Lucy, pomogłam jej powoli je okręcać.

– Ono robi się coraz większe i większe! – zawołała moja siostrzenica ze zdumieniem. – Fajnie!

– Ciasto robi się coraz cieńsze i większe z powodu działania siły odśrodkowej... w podobny sposób ludzie robią szkło. Widziałaś pewnie stare szyby w oknach... takie ze zmarszczkami na powierzchni? – Skinęła głową. – Szkło zostało rozkręcone tak, aby powstał z niego ogromny, płaski dysk.

Obie poderwałyśmy wzrok, słysząc chrzęst opon na podjeździe. Białe audi zatrzymało się pod moim domem i dobry nastrój Lucy od razu prysł.

– Och – szepnęła smutno. – On już jest.

Bill Boltz wysiadał z wozu, zabierając z siedzenia pasażera dwie butelki wina.

– Na pewno go polubisz – rzekłam, wykładając ciasto na głęboką patelnię. – On bardzo chciał cię poznać, Lucy.

– To twój narzeczony.

Umyłam ręce.

– Nie, po prostu razem pracujemy...

– Jest żonaty? – Widziałam, że obserwuje go przez okno.

– Jego żona umarła w zeszłym roku.

– Och. – A po chwili: – W jaki sposób?

Pocałowałam ją w czubek głowy i wyszłam z kuchni, by otworzyć drzwi. Nie była to odpowiednia chwila na udzielanie odpowiedzi na takie pytania; poza tym nie byłam pewna, jak Lucy przyjęłaby podobną wiadomość.

– Jak się masz? – Bill uśmiechnął się i pocałował mnie lekko.

– Niespecjalnie – odrzekłam, zamykając drzwi.

– Zaczekaj, aż magiczny napój zacznie działać – powiedział, podnosząc do góry butelki, jakby to były trofea z polowania. – Z moich prywatnych zapasów... na pewno będzie ci smakować.

Dotknęłam delikatnie jego ramienia, podążył więc za mną do kuchni.

Lucy znowu tarła ser, siedząc na wysokim stołku, odwrócona do nas plecami.

– Lucy?

Nawet nie przerwała pracy.

– Lucy? – Podprowadziłam do niej Billa. – To jest pan Boltz, Bill, to moja siostrzenica.

Niechętnie przestała trzeć ser i spojrzała mi prosto w oczy.

– Starłam sobie skórę z palca, ciociu Kay. Widzisz? – Podniosła lewą dłoń; opuszka palca faktycznie trochę krwawiła.

– Ojej! Zaraz przyniosę plaster...

– Nakapało trochę do sera – ciągnęła, jakby nagle na krawędzi łez.

– Coś mi się zdaje, że potrzebna nam będzie karetka! – zaanonsował Bill i nagle zaskoczył nas obie, podrywając Lucy ze stołka, sadzając ją sobie na rękach w przedziwnej pozycji i biegnąc z nią do zlewu. – Eo! Eo! Eo! – Jęczał, udając wcale przekonująco syrenę. – Trzy-jeden-sześć! Mamy tu poważny wypadek! Śliczna mała dziewczynka ze skaleczonym palcem! Niech doktor Scarpetta czeka na nas z plastrem!

Lucy dusiła się ze śmiechu i momentalnie zapomniała o zranionym palcu. Kiedy Bill otwierał butelkę wina, patrzyła na niego z jawnym uwielbieniem.

– Widzisz, wino musi trochę odetchnąć – wyjaśniał jej cierpliwie. – Teraz ma ostrzejszy smak, niż będzie miało za godzinę. Jak wszystko na tym świecie, wino także łagodnieje z czasem.

– Czy będę mogła się trochę napić?

– No, cóż – odparł Bill z przesadną powagą. – Ja nie mam nic przeciwko, jeżeli tylko twoja ciocia Kay na to pozwoli. Ale przecież nie chcemy, żebyś się nam tu wstawiła.

Cicho kończyłam przyrządzać pizzę; pokryłam ciasto grubą warstwą sosu, warzyw, mięsa i parmezanu. Na wierzch wyłożyłam pokruszoną mozzarellę i wsunęłam wszystko do pieca. Wkrótce gorący, czosnkowy zapach wypełnił kuchnię; nakrywałam do stołu, podczas gdy Lucy rozmawiała i śmiała się z Billem.

Kolacja wyszła bardzo późna i kieliszek wina dla Lucy okazał się zbawienny. Kiedy zaczęłam sprzątać ze stołu, oczy już się jej tak kleiły, że poszła na górę bez ociągania, mimo iż najwyraźniej nie chciała rozstawać się z Billem, który całkowicie podbił jej serduszko.

– To było doprawdy imponujące – powiedziałam, kiedy już otuliłam Lucy do snu i siedzieliśmy razem przy stole w kuchni. – Nie mam pojęcia,

jak ci się to udało. Bałam się, jak zareaguje na twoje towarzystwo...

– Myślałaś, że uzna mnie za konkurenta do twoich uczuć? – Uśmiechnął się lekko.

– Ujmijmy to tak: jej matka co chwilę kończy i zaczyna znajomości z wszystkim, co tylko ma dwie nogi.

– Czyli nie ma zbyt wiele czasu dla córki. – Ponownie napełnił kieliszki.

– Bardzo łagodnie powiedziane.

– Cholerna szkoda. To wspaniały dzieciak i strasznie mądry. Pewnie rozum odziedziczyła po tobie. – Powoli pił wino, po czym dodał: – Co ona robi całymi dniami, gdy ty jesteś w pracy?

– Bertha się nią zajmuje. A Lucy najczęściej przesiaduje w moim gabinecie przed komputerem.

– Gra?

– A skąd! Coś mi się zdaje, że więcej wie na temat działania tej cholernej maszyny niż ja. Kiedy ostatnio do niej zaglądałam, przeorganizowała mi bazę danych w basicu.

Bill wpatrywał się w dno kieliszka.

– Czy jest możliwe, by to ona, korzystając z modemu, połączyła się z twoim komputerem w biurze? – spytał.

– Nawet tego nie sugeruj!

– No, cóż. – Spojrzał mi poważnie w oczy. – Może tak byłoby lepiej dla ciebie...

– Lucy nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego – zaprzeczyłam gorąco. – I zupełnie nie rozumiem, jakim cudem mogłoby to być dla mnie lepsze.

– Lepiej by było, gdyby w bazie danych grzebała twoja dziesięcioletnia siostrzenica niż dziennikarz. Może to ściągnęłoby ci z karku Amburgeya.

– W tym nic mi nie pomoże – warknęłam.

– Taak – burknął. – Jego jedynym celem w życiu jest zrobienie z ciebie kozła ofiarnego.

– Czasem właśnie dochodzę do takiego wniosku.

Amburgey dostał swą nominację pośród ogólnego zamieszania związanego z protestami czarnej części społeczności Richmond przeciwko temu, że policja nie przykłada się do rozwiązywania spraw o morderstwo, chyba że ofiara jest biała. Potem przywódca czarnej mniejszości został zastrzelony we własnym samochodzie, a Amburgey wraz z burmistrzem uznali, że pojawienie się następnego dnia w mojej kostnicy będzie doskonałym politycznym posunięciem.

Może i nie okazałoby się ono tak fatalne, gdyby Amburgey zadawał mi pytania podczas autopsji, a potem trzymał gębę na kłódkę. Jednak połączenie wiadomości lekarskich z umiejętnościami polityka okazało się fatalną kombinacją, która popchnęła go do poinformowania dziennikarzy czekających przed drzwiami mego biura, że „rozzut śladów na klatce piersiowej” wskazuje „postrzał ze strzelby o dużym kalibrze z bliskiej odległości”. Tak dyplomatycznie, jak tylko było to możliwe, wyjaśniałam pytana przez reporterów, że „rozrzucone rany” były w rzeczy samej śladami zostawionymi po zabiegach, jakie starano się przeprowadzić ofierze na oddziale intensywnej opieki, śladami po wkłuciu długich igieł – bezpośrednimi zastrzykami z adrenaliny starano się pobudzić serce do działania – oraz po igłach wkłutych w celu przeprowadzenia transfuzji krwi. Śmiercionośna rana została zadana z małokalibrowego rewolweru.

Błąd Amburgeya przysporzył dziennikarzom wiele radości.

– Problem polega na tym, że facet ma lekarskie wykształcenie – powiedziała Billowi. – Wie dostatecznie dużo, by uważać się za specjalistę w dziedzinie medycyny sądowej i by sądzić, że potrafi prowadzić moje biuro lepiej ode mnie.

- A ty popełniłaś błąd, wytykając mu to.
- Tak, a co miałam zrobić? Zgodzić się z nim i stać z założonymi rękoma, patrząc, jak popełnia błędy?
- Jest to więc czysta sprawa profesjonalnej zazdrości – odrzekł, wzruszając ramionami. – Zdarza się.
- Nie mam pojęcia, co to jest. Jak to ty wyjaśnisz, u wszystkich diabłów? Połowa z tego, co ludzie robią i czują, nie ma dla mnie za grosz sensu. Jedyne, co ma chyba sens, to to, że przypominam mu matkę.
- Znowu poczułam przyływ dawnej wściekłości i dopiero widząc minę Billa, zdałam sobie sprawę z tego, że wpatruję się w niego z pretensją.
- Hej! – zaprotestował, unosząc dłonie. – Nie złość się na mnie! Ja nie miałem z tym nic wspólnego.
- Byłeś tam dziś po południu, nie?
- A czego się spodziewałaś? Miałem powiedzieć Amburgeyowi i Tannerowi, że nie przyjdę na spotkanie, bo spotykam się z tobą na gruncie towarzyskim?
- Oczywiście, że nie – odparłam zrozpaczona. – Ale może chciałam, byś to zrobił. Może chciałam, byś rąbnął Amburgeya prosto w nos za to, co powiedział.
- Niezły pomysł. Nie sądzę jednak, by mi to pomogło przy następnych wyborach. Poza tym ty byś pewnie pozwoliła mi zgnić w więzieniu i nawet nie wpłaciłabyś za mnie kaucji.
- Wszystko zależałoby od tego, ile by wyniosła.
- Cholera.
- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?
- Niby o czym?
- O spotkaniu. Musiałaś wiedzieć o tym co najmniej od wczoraj. – Może wiedziałaś o tym znacznie wcześniej, chciałam powiedzieć, lecz się

powstrzymałam, i może dlatego nie odezwałeś się do mnie podczas weekendu. Patrzyłam mu w oczy, czekając na odpowiedź.

Znowu wpatrywał się w dno kieliszka.

– Nie widziałem powodu, by ci o tym mówić. Zamartwiałybyś się, a odniosłem wrażenie, że to spotkanie miało być tylko pro forma...

– Pro forma?... – Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. – Amburgey zamknął mi usta i spędził pół popołudnia, grzebiąc w moich dokumentach, a ty uważasz, że to tylko pro forma?!

– Nie uważasz, że część jego zachowania wynika z tego, że przyznałaś się do włamania do bazy danych? Wczoraj nie było o tym mowy, Kay. Do diabła, sama wczoraj jeszcze o tym nie wiedziałaś.

– Rozumiem – mruknęłam zimno. – Nikt nic nie wiedział, dopóki ja im tego nie uświadomiłam.

Cisza.

– Co sugerujesz?

– Wydaje mi się nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności, że zawołał mnie na spotkanie tuż po tym, jak dowiedziałam się o włamaniu do komputera. Mam takie dziwne wrażenie, że on coś o tym wiedział...

– Może i tak.

– Też mi pocieszenie!

– Ale bez znaczenia – odparł spokojnie. – I co z tego, że Amburgey wiedział o włamaniu do bazy danych, gdy wzywał cię dziś na rozmowę? Może ktoś się wygadał? Na przykład ta twoja analityczka? Plotki rozchodzą się bardzo szybko. – Bill wzruszył ramionami. – To tylko dodało jeszcze jedno do wszystkich jego zmartwień. Nie wpadłaś w błoto po same uszy jedynie dlatego, że byłaś wystarczająco mądra, by powiedzieć prawdę.

– Ja zawsze mówię prawdę.

– Wcale nie – odrzekł, przeciągając lekko wyrazy i patrząc na mnie spod oka. – Nigdy nie mówisz prawdy o nas...

– No więc może i wiedział – przerwałam mu. – Chcę tylko usłyszeć, że ty nie wiedziałeś.

– Nie wiedziałem. – Patrzył mi w oczy z napięciem. – Gdybym cokolwiek usłyszał, na pewno bym cię ostrzegł, Kay. Pobiegnę do pierwszej budki telefonicznej i...

– I wypadł z niej jako Superman.

– Do diabła – mruknął. – Teraz się ze mnie nabijasz.

To była chłopięca manifestacja urazy. Bill miał kilka ról i wszystkie odgrywał z niezwykłą powagą i przekonująco. Czasem zastanawiałam się, czy jego zauroczenie moją osobą także nie było rolą?

Zdaje mi się, że grał pierwsze skrzypce w fantazjach połowy kobiet w Richmond, a jego doradca doskonale potrafił to wykorzystać. Jego fotografie wisiały na wszystkich restauracjach i sklepach, przyczepione były do słupów telegraficznych i murów domów. Kto mógł się oprzeć tej twarzy? Bill był uderzająco przystojny: jasne włosy, błękitne oczy i wiecznie opalona skóra, co było efektem wielu godzin spędzanych co tydzień na korcie tenisowym. Nietrudno było zapatrzeć się na niego na ulicy.

– Wcale się z ciebie nie nabijam – odparłam zmęczonym głosem. – Naprawdę, Bill. Nie kłóćmy się więcej.

– Doskonale.

– Po prostu mam już tego dość i nie wiem, co z tym wszystkim począć.

Najwyraźniej myślał już o tym wcześniej, gdyż teraz odezwał się jak na zawołanie:

– Na pewno pomogłoby, gdybyśmy się dowiedzieli, kto włamał się do twojej bazy danych. – Urwał i dodał po chwili: – Albo gdybyśmy to mogli

udowodnić.

– Udowodnić? – Popatrzyłam na niego ze zdziwieniem. – Chcesz mi powiedzieć, że masz już podejrzanego?

– Nie mam żadnych dowodów...

– Kto? – Zapaliłam papierosa.

Bill zapatrzył się gdzieś przez okno.

– Abby Turnbull znajduje się na szczycie mojej listy podejrzanych.

– A już myślałam, że powiesz mi coś, czego sama nie mogłabym się domyślić.

– Mówię bardzo poważnie, Kay.

– Wiem, że jest ambitną reporterką – rzekłam z irytacją. – Szczerze mówiąc, mam już dość ustawicznego słuchania jej nazwiska, nie jest jednak aż tak wpływowa, za jaką wszyscy ją uważają.

Bill odstawił kieliszek na stół z głośnym brzękiem.

– Jak cholera – odparł, patrząc na mnie ze złością. – Ta kobieta to istna zmija. Wiem, że jest ambitną dziennikarką... ale jest gorsza, niż ktokolwiek to sobie wyobraża – złośliwa, doskonale potrafi manipulować ludźmi, a na dodatek szalenie niebezpieczna. Ta suka nie zawaha się przed niczym.

Jego wściekłość tak mnie zdumiała, że przez chwilę nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Jeszcze nigdy nie słyszałam, by Bill kogokolwiek określał podobnymi epitetami... zwłaszcza kogoś, kogo – jak zakładałam – ledwie znał.

– Pamiętasz ten artykuł, który o mnie napisała jakiś miesiąc temu?

Nie tak dawno temu w „Timesie” pojawił się artykuł o Billu; była to dość długa elaboracja i choć nie pamiętałam żadnych szczegółów, wiem, że uderzyła mnie jej wyjątkowa bezbarwność, biorąc pod uwagę, kto ją napisał. Tak też mu powiedziałam.

– Jeżeli mnie pamięć nie myli, ten artykuł był zupełnie nieszkodliwy; nie wyrządził ci żadnej szkody ani nie wyświadczył przysługi.

– I był po temu powód – odparł gwałtownie. – Podejrzewam, że to nie było to, co panna Turnbull chciała tak naprawdę napisać.

Wcale nie chodziło mu o to, że przydział ją nudził; za jego słowami kryło się coś jeszcze.

– Jej wywiad był dla mnie wprost koszmarny. Cały dzień jeździła ze mną samochodem, chodziła ze mną na spotkania służbowe, do diabła, polazła za mną nawet do pralni chemicznej. Wiesz, jacy są dziennikarze. Pójdą za tobą nawet do kibla, jeżeli im na to pozwolisz. Cóż, powiedzmy, że wraz z nastaniem wieczora zajścia przyjęły dość dziwaczny i zdecydowanie nieoczekiwany obrót.

Zawahał się, bym zrozumiała podtekst. Zrozumiałam aż za dobrze. Patrząc na mnie z zaciętą miną, kontynuował:

– Zupełnie mnie zaskoczyła. Wyszliśmy z mojego ostatniego spotkania około ósmej wieczorem... Turnbull chciała mi zadać jeszcze kilka pytań i nalegała, żebyśmy zjedli razem kolację.

Gdy tylko wsiedliśmy po kolacji do samochodu, jeszcze na parkingu restauracji, powiedziała, że źle się czuje. Zbyt wiele wypita czy coś takiego. Chciała, bym podrzucił ją do domu zamiast do redakcji, przed którą zostawiła swój wóz. No więc zawiozłem ją do domu. Kiedy zaparkowałem przy chodniku, rzuciła się na mnie... nie ze złością, tylko zaczęła się do mnie kleić. To było obrzydliwe.

– No i co dalej? – zapytałam tak, jakby mnie to niewiele obchodziło.

– No i nie zachowałem się jak dżentelmen. Upokorzyłem ją, dając kosza, choć wcale tego nie chciałem, i od tej pory wiedźma się na mnie uwzięła. Nie daje mi spokoju.

– Co takiego? Wydzwania do ciebie? Przysyła ci listy z pogrózkami? – Nie traktowałam tego poważnie, ale nie byłam przygotowana na to, co powiedział w następnej chwili:

– Chodzi mi o to gównno, które wypisuje. O to, że być może włamała się do twojego komputera. Może to i wariactwo, ale moim zdaniem kierują nią osobiste pobudki...

– Chodzi ci o te przecieki? Chcesz mi wmówić, że włamała się do mojej bazy danych i wypisuje okropne szczegóły o tych sprawach tylko po to, by dobrać ci się do skóry?

– Jeżeli te sprawy trafią do sądu, to kto na tym, u licha, ucierpi?

Nie odpowiedziałam; wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem.

– Ja! To ja będę oskarżycielem w tych sprawach. Tego typu świństwa często nie mają szans w sądzie, zbyt wiele poszlak, za mało dowodów... rozsmarują to wszystko w gazetach i jak ja na tym wyjdę? Nikt nie przyśle mi kwiatów ani podziękowań. Chyba wiesz o tym, Kay? Ta jędza się mnie uczepiła, ot co!

– Bill – rzekłam, zniżając głos. – Ona jest reporterem i do jej obowiązków należy agresywne zdobywanie wiadomości, a potem publikowanie ich bez względu na sytuację. Poza tym sprawy wezmą w sądzie w łeb w chwili, gdy oskarżony przyzna się do winy, a nie będziemy mieć żadnych dowodów jego przestępstwa. Tylko wtedy adwokat doradzi mu zmianę stanowiska. Tylko wtedy wycofa zeznania. I tylko wtedy powiedzą, że facet jest psychotykiem, a szczegóły zbrodni zna z gazet i wyobraził sobie, że to on je popełnił. Ale potwór, który zamordował te kobiety, nigdy się do tego nie przyzna. Uwierz mi na słowo.

Bill wysączył kieliszek duszkiem i ponownie go napełnił.

– Może gliny zdejmą go jako podejrzanego i zmuszą do mówienia? Nie jest to wykluczone. Jego zeznania mogą być jedynym obciążającym go

dowodem, skoro nie mamy innych dowodów rzeczowych...

– Nie mamy dowodów rzeczowych? – Chyba się przesłyszałam. Czyżby alkohol aż tak go zamroczył? – Drań przy każdej z ofiar zostawił po sobie mnóstwo spermy! Jeżeli zostanie złapany, wyniki testów DNA na pewno go przyszpilą...

– Taak, pewnie! Wyniki testów DNA tylko raz zostały dopuszczone jako dowody w sądzie w Wirginii. W skali całego kraju niewiele jest podobnych precedensów... a wszystkie wyroki ogłoszone na podstawie tego typu dowodów zostały oddane do rozpatrzenia przez sąd apelacyjny. Spróbuj wyjaśnić sędziom przysięgłym w Richmond, że podejrzany jest winny, gdyż próbki DNA się zgadzają. Będiesz mieć szczęście, jeżeli znajdziesz przysięgłego, który będzie wiedział, co to jest DNA! Właśnie z tym mamy do czynienia w naszych sądach...

– Bill.

– Do diabła! – Zaczął gwałtownie przechadzać się po kuchni. – Wystarczająco trudno jest gościa skazać, jeżeli pięćdziesięciu świadków zezna, że widziało, jak pociągał za spust. Obrona powoła niezliczoną ilość świadków, by wszystko zamącić... ty najlepiej ze wszystkich ludzi powinnaś wiedzieć, jak skomplikowane są testy genetyczne.

– Bill, w przeszłości wyjaśniałam ławie przysięgłych równie zawiłe sprawy.

Zaczął coś mówić, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili. Wyglądając przez okno, pociągnął duży łyk wina.

Zapanowała ciężka, nieprzyjemna cisza. Jeżeli wynik procesu zależałby tylko i wyłącznie od wyników testu DNA, stawiało mnie to w pozycji jedynego świadka-eksperta, kluczowego dla oskarżenia. Nieraz byłam już w takim położeniu i nigdy do tej pory nikomu to nie przeszkadzało.

Tym razem coś było nie tak.

– O co chodzi? – Zmusiłam się do pytania. – Jesteś zaniepokojony z powodu naszego związku? Myślisz, że ktoś się domyśli i zdyskredytuje moje słowa, ponieważ jesteśmy ze sobą związani? Oskarży mnie o naciąganie dowodów, tak by służyły oskarżeniu?

Spojrzał na mnie i zaczerwienił się lekko.

– Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Nasz związek nie ma tu nic do rzeczy... wyszliśmy kilka razy na kolację, poszliśmy parę razy do teatru i to wszystko...

Nie musiał kończyć zdania. Nikt o nas nie wiedział. Najczęściej Bill przyjeżdżał do mnie albo jechaliśmy na kolację w jakieś odległe miejsce, na przykład do Williamsburga albo Waszyngtonu, gdzie było mało prawdopodobne, że wpadniemy na kogoś znajomego. Poza tym to mnie zazwyczaj bardziej niż jemu przeszkadzało, że ktoś może nas posądzić o romans.

A może Bill nawiązywał do czegoś innego, co go bardziej gryzło?

Nie byliśmy kochankami, nie do końca... dzięki czemu nadal istniało między nami pewne subtelne napięcie.

Wydaje mi się, że doskonale zdawaliśmy sobie sprawę ze swych uczuć, lecz unikaliśmy jakichkolwiek radykalnych kroków, aż do pewnego wieczora, kilka tygodni temu. Po procesie, który zakończył się późnym wieczorem, Bill zaproponował, że postawi mi drinka. Poszliśmy do restauracji nieopodal sądu i zamówiliśmy dwie szkockie z wodą. Potem pojechaliśmy w stronę mego domu; wszystko zaczęło się nagle, niczym miłośćka nastolatków. Wybuch pożądania całkiem mnie oślepił i ocknąłam się, przepelniona paniką, dopiero w ciemnościach, na kanapie w salonie.

Jego głód był nie do wytrzymania. Ekspłodował z niego, ranił, zamiast sprawiać przyjemność; Bill przygniatał mnie do kanapy... i w tym momencie zobaczyłam przed oczyma ciało jego żony, ułożone w łóżku na

niebieskich satynowych poduszkach niczym ogromna lalka. Prząd koronkowego negliżu splamiony był cieniutką smuzką krwi, a kilka cali od jej bezwładnej prawej ręki spoczywał dziewięćmilimetrowy pistolet automatyczny.

Pojechałam na miejsce zbrodni, wiedząc tylko tyle, że żona znanego miejskiego polityka właśnie popełniła samobójstwo. Nie znałam wtedy jeszcze Billa. To ja przeprowadziłam autopsję jego żony; dosłownie trzymałam w dłoniach jej serce i mózg. Wszystkie te obrazy przewinęły się przed moimi oczyma w ciemnym salonie, wiele miesięcy później.

Odsunęłam się od niego; nigdy nie wyjaśniłam dlaczego, choć w następnych dniach nagabywał mnie o to. Nasze wspólne zaangażowanie pozostało, lecz wyrosła między nami niewidoczna ściana. Nie potrafiłam jej zburzyć ani się przez nią przedostać, mimo iż bardzo się starałam.

Ledwie słyszałam jego słowa.

– ...i zupełnie nie rozumiem, jak można spreparować wyniki testów DNA, chyba że maczasz palce w spisku i masz do swej dyspozycji odpowiednio wyposażone laboratorium...

– Co takiego? – spytałam zaskoczona. – Miałabym zmieniać wyniki testów DNA?

– Wcale mnie nie słuchałaś – wybuchnął niecierpliwie.

– No, cóż... z całą pewnością coś przeoczyłam.

– Mówię, że nikt nie miałby szans oskarżyć cię o fałszowanie wyników testów DNA, możemy więc spać spokojnie. Nasz związek nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

– Okay.

– Chodzi mi o to... – Zawahał się.

– O co? – spytałam, a gdy znowu jednym haustem wychylił kieliszek, dodałam: – Bill, musisz jeszcze dziś prowadzić... – Machnął ręką, jakby

odpędzał muchę. – No więc o co ci chodzi? – nalegałam. – Co?

Zacisnął usta i nie spojrzał mi w oczy. Powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Chodzi mi o to, że nie jestem pewien, z jakiej pozycji ty wtedy będziesz zeznawać... Kim będziesz w oczach sędziów przysięgłych.

Nie byłabym bardziej zaskoczona, gdyby uderzył mnie w twarz.

– Mój Boże... Przecież ty coś wiesz... Co?! Co ten skurwysyn knuje? Chce mnie wywalić z pracy za to włamanie do komputera? To ci dziś powiedział?

– Amburgey? Ależ on nic nie knuje. Do diabła, wcale nie musi. Jeżeli wina za te przecieki spadnie na twoje biuro i jeżeli społeczeństwo uwierzy, że morderca uderza coraz częściej, bo stymulują go artykuły napędzane wiadomościami płynącymi z twego biura, i tak położysz głowę na pieńku. Ludziom potrzebny jest kozioł ofiarny. A mnie nie stać na to, by mój jedyny świadek nie był wiarygodny lub znajdował się w niełasce tłumu.

– Czy właśnie o tym rozmawiałeś z Tannerem po lunchu? – Mrugałam powiekami, by odpędzić łzy. – Widziałam was na chodniku przed chińską knajpką w mieście...

Długa cisza. Więc i on mnie wtedy widział; dlaczego udawał, że mnie nie poznaje? Bo najprawdopodobniej właśnie rozmawiali o mnie z Tannerem!

– Dyskutowaliśmy o tych sprawach – odparł wymijająco. – O różnych rzeczach...

Byłam strasznie zła i zraniona. Nie ufałam swemu głosowi, więc milczałam.

– Posłuchaj – odezwał się zmęczonym głosem, rozluźniając krawat i rozpinając górny guzik koszuli. – To nie tak. Nie chciałem, żeby to tak wyszło... przysięgam na Boga. Teraz ty jesteś zła, a ja także... Przepraszam.

Milczałam.

Bill odetchnął głęboko.

– Chodzi mi o to, że mamy mnóstwo prawdziwych problemów, którymi powinniśmy się teraz martwić... i powinniśmy starać się je wspólnie rozwiązać. Maluję wszystko w jak najczarniejszych barwach, żebyśmy byli przygotowani na najgorsze.

– Czego się po mnie spodziewasz? – spytałam, siląc się na spokój.

– Zastanawiaj się nad wszystkim po pięć razy. Jak przy tenisie. Jeżeli jesteś przybita albo zła, musisz grać niezwykle ostrożnie. Koncentrować się na każdym uderzeniu i ani na chwilę nie spuszczać piłki z oczu.

Jego tenisowe porównania zawsze wyprowadzały mnie z równowagi, lecz tym razem był to dobry przykład.

– Zawsze zastanawiam się nad tym, co robię – odparłam ponuro. – Nie musisz mi o tym przypominać... Poza tym znam się na tym, co robię, i nie partaczę.

– W tej chwili jest to szczególnie ważne. Abby Turnbull to trucizna. Uważam, że chce nas oboje wystawić do wiatru... używając do tego twojego komputera. Nic jej nie obchodzi, że dzięki jej artykułom proces tego drania może wziąć w łeb. Sprawy zostaną zdmuchnięte z powierzchni ziemi, a my z naszych biur. To naprawdę bardzo proste.

Może i miał rację, ale jakoś nie mogłam uwierzyć, by Abby Turnbull mogła być naprawdę aż taką heterą. Na pewno – jeżeli tylko płynie w niej choć kropla ludzkiej krwi – pragnie zobaczyć mordercę tych kobiet uznanego za winnego. Nie posłużyłaby się brutalnie zamordowanymi młodymi kobietami jak pionkami w przewrotnym spisku, nawet jeżeli faktycznie coś knuła, o czym wcale nie byłam przekonana.

Właśnie miałam mu powiedzieć, że przesadza, a jego fatalna wizja przyszłości spowodowana jest tylko ponurym nastrojem, gdy coś mnie powstrzymało.

Nie chciałam z nikim rozmawiać na ten temat.

Bałam się.

Gryzło mnie także to, że Bill aż do tej pory czekał, by o tym wspomnieć. Dlaczego? Jego przykra przygoda z panną Turribull zdarzyła się wiele tygodni temu. Jeżeli faktycznie starała się wysadzić go z siodła, jeżeli naprawdę była tak groźna, jak sugerował, to dlaczego milczał aż do tej pory?

– Zdaje mi się, że oboje powinniśmy się dziś dobrze wyspać – powiedziałam cicho. – Lepiej odłóżmy tę rozmowę... a o niektórych fragmentach po prostu zapomnijmy.

Wstał od stołu.

– Masz rację. Mamy już dość na dzisiejszy wieczór. Dobry Boże, wcale nie chciałem, żeby to tak wyszło – powtórzył. – Przyszedłem tu, żeby cię rozweselić... Strasznie mi przykro.

Idąc do drzwi, cały czas mnie przeproszał, zanim jednak zdążyłam je otworzyć, zaczął mnie całować; w jego oddechu czuć było alkohol. Nieomal natychmiast odpowiedziałam na żar jego ciała, lecz pożądanie tym razem zmieszane było z obawą. Mimowolnie odepchnęłam go i mruknęłam:

– Dobranoc.

Gdy szedł do samochodu, wyglądał niczym cień; przez chwilę zobaczyłam jego profil, kiedy w samochodzie rozbłysło wewnętrzne światelko. Stałam bez czucia na ganku jeszcze długo po tym, jak czerwone tylne światła jego samochodu zniknęły w ciemnościach.

Rozdział ósmy

Wnętrze srebrnego plymoutha Marino było tak zaśmiecone i brudne, jak bym się tego spodziewała, gdybym kiedykolwiek się nad tym zastanowiła.

Na podłodze leżały pudełka po chińskim jedzeniu, zmięte serwetki i torebki z Burger Kinga oraz kilka styropianowych kubków po kawie. Z popielniczki wysypywały się pety, a ze wstecznego lusterka zwisał odświeżacz powietrza w kształcie sosny – był tu równie użyteczny, jak woda kolońska na śmietniku miejskim. Wszędzie zalegał kurz, brud i okruchy, a okna były praktycznie nieprzejrzyste od sadzy z dymu papierosowego.

– Czy ty nigdy nie myjesz wozu? – zapytałam, zapinając pasy.

– Już od dawna nie. Pewnie, że jest mi przydzielony, ale nie należy do mnie. Nie pozwalają mi zabrać go do domu po służbie czy na weekendy. Kiedyś polerowałem go, aż się świecił, czyściłem siedzenia i inne takie pierdoły, i co się działo? Jakaś łajza jeździła w nim, gdy ja miałem wolne, i świniła wszystko. Zawsze tak było, więc po jakimś czasie przestałem się zajmować i zaoszczędziłem wszystkim kłopotu. Sam zacząłem tu śmiecić.

Z radia dochodziły głosy policjantów z drogówki, a światełko automatycznego skanera migало czerwono, przełączając radio z kanału na kanał. Marino siedział za kierownicą; wyjechaliśmy z parkingu położonego na tyłach mego biura. Nie miałam od niego wiadomości, odkąd tak nagle zniknął w poniedziałek z pokoju konferencyjnego podczas spotkania z Wesleyem. Teraz było już późne popołudnie w środę i zaskoczył mnie dosłownie kilka minut wcześniej, pojawiając się nagle na moim progu i

oznajmiając, że chce mnie zabrać „na małą przejażdżkę”. Okazało się, że ma to być retrospektywny objazd miejsc zbrodni; chodziło mu chyba o to – a tak przynajmniej mi się zdawało – by ułożyć sobie w głowie mapkę działania przestępcy. Nie mogłam odmówić, gdyż pomysł był świetny. Jednak równocześnie była to ostatnia rzecz, jakiej się po nim spodziewałam. Odkąd to zabierał mnie gdziekolwiek, mimo iż nie miał noża przyłożonego do gardła?

– Jest kilka spraw, o których powinnaś wiedzieć – odezwał się, poprawiając wsteczne lusterko.

– Rozumiem. Podejrzewam też, że gdybym nie zgodziła się na twoją „małą wycieczkę”, nigdy byś mi o nich nie powiedział, co?

– Myśl sobie, co chcesz.

Czekałam cierpliwie, aż odłoży zapalniczkę na miejsce; wygodne usadowienie się za kierownicą zajęło mu trochę czasu.

– Może cię zainteresuje fakt, że zrobiliśmy wczoraj Petersenowi test na wykrywaczu kłamstw i drań zdał na piątkę – zaczął. – To daje do myślenia, ale jeszcze nie całkiem zwalnia go od podejrzeń. Nie ma problemu z pomyślnym przejściem testu na wykrywaczu kłamstw, jeżeli należy się do miłego grona psychopatów, którzy potrafią kłamać równie naturalnie, jak inni ludzie oddychać. Ten facet jest aktorem. Prawdopodobnie mógłby powiedzieć, że jest Jezusem Chrystusem, a ręce by mu się nie spociły ani puls nie przyspieszył.

– Byłoby to wyjątkowo dziwne – odrzekłam. – Oszukanie wykrywacza kłamstw jest bardzo trudne, a właściwie niemożliwe, bez względu na to, kim się jest.

– Ale już się zdarzały takie wypadki. To jeden z powodów, dla którego wyników testu nie dopuszczają jako dowodu w sądzie.

– Masz rację; z drugiej strony wcale nie twierdzę, że wykrywacz kłamstw jest stuprocentowo nieomylny.

– Chodzi mi o to – ciągnął Marino – że nie mamy najmniejszej wymówki, by go aresztować albo chociaż zabronić mu opuszczania miasta. Więc kazałem go obserwować... chcę wiedzieć, co robi po godzinach; na przykład, dokąd chodzi po nocach. Czy wsiada do samochodu i jeździ po obcych dzielnicach? Czy podrywa obce kobiety?

– To Matt Petersen nie wrócił do Charlottes?

Marino strzepał popiół z papierosa przez okno.

– Jak na razie został w mieście; mówi, że jest zbyt przybity, by wracać na uczelnię. Przeprowadził się do apartamentu na Fremont Avenue, bo podobno nie może zmusić się do wejścia do tamtego domu po tym wszystkim, co zobaczył. Zastanawia się nad sprzedażą posiadłości... choć wcale nie brak mu pieniędzy. – Odwrócił się do mnie i przez chwilę byłam wytrącona z równowagi widokiem własnej twarzy odbitej w ciemnych szklach jego okularów. – Okazało się, że jego żona ubezpieczyła się na wcale niebagatelną sumkę i po jej śmierci Petersen wzbogacił się o jakieś dwieście kawałków. Coś mi się zdaje, że będzie mógł pisać swoje sztuki teatralne i nie martwić się o zarabianie na chleb.

Nic nie odpowiedziałam.

– I zdaje się, że będziemy musieli przymknąć oko na to, że został oskarżony o gwałt zaraz po ukończeniu szkoły średniej.

– Sprawdziłeś to? – Wiedziałam, że sprawdził, bo inaczej wcale by o tym nie wspominał.

– Dowiedziałem się, że tamtego lata robił jakiś letni kurs aktorstwa w Nowym Orleanie i zbyt poważnie potraktował jedną ze swych wielbicielk. Rozmawiałem z gliniarzem, który prowadził śledztwo; wedle jego słów, Petersen grał główną rolę w jakimś przedstawieniu i jedna z wielbicielk

jego talentu poważnie się na niego napaliła; przychodziła na przedstawienia co wieczór, przysyłała mu liściki, aż wreszcie poszła do niego za kulisy i skończyli, łąząc od baru do baru w Dzielnicy Francuskiej. A potem, o czwartej rano, panna nagle dzwoni cała rozhisteryzowana na policję i twierdzi, że została zgwałcona. Petersen wpadł po same uszy, bo jej PERK był pozytywny, a pobrane płyny wskazywały na nonsekretera, czyli na dwadzieścia procent populacji, w tym niego.

– Czy sprawa trafiła do sądu?

– Została odrzucona po wstępnym przesłuchaniu. Petersen przyznał, że odbył stosunek z dziewczyną w jej mieszkaniu, lecz twierdził, że za jej zgodą. Pannica była nieźle posiniaczona, miała też kilka siniaków na szyi, jednak nikt nie mógł udowodnić, jak świeże są te obrażenia i czy to Petersen je spowodował. Widzisz, na wstępnym przesłuchaniu sędzia popatrzył na przystojnego faceta, wziął pod uwagę fakt, że gra główną rolę w przedstawieniu, oraz to, że dziewczyna sama zainicjowała spotkanie. Nadal miał w garderobie liściki, które mu przysyłała, a z których jasno wynikało, że napalała się na niego. Więc podczas wstępnego przesłuchania był bardzo przekonujący i zeznał, że dziewczyna była już posiniaczona, gdy rozebrała się przed nim tamtego wieczora. Podobno powiedziała mu, że kilka dni wcześniej miała utarczkę z facetem, którego rzuciła. Nikt nie zakwestionował słów Petersena; a dziewczyna znana była z tego, że daje dupy wszystkim w mieście. Albo też popełniła głupi błąd...

– W tego typu sprawach – skomentowałam cicho – prawie nigdy nie można udowodnić winy oskarżonego.

– Cóż, może po prostu nigdy nie ma pewności, jak było naprawdę. Poza tym – dodał – jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności wczoraj zadzwonił do mnie Benton i powiedział, że wielki serwer w Quantico znalazł modus operandi pasujący do działania naszego Dusiciela.

– Gdzie?

– W Waltham, w Massachusetts – odrzekł, znowu na mnie zerkając. – Dwa lata temu, mniej więcej w czasie gdy Matt Petersen był na drugim roku na Harvardzie. Waltham leży jakieś dwadzieścia mil na wschód od Harvardu. Podczas kwietnia i maja zginęły dwie kobiety, zgwałcone i uduszone we własnych sypialniach. Obie mieszkały samotnie w niedużych kawalerkach na pierwszym piętrze i zostały związane kablami oraz paskami. Morderca dostał się do środka przez otwarte okna... oba morderstwa miały miejsce podczas weekendu. To, co mamy tutaj, jest wierną kopią tamtych zbrodni.

– Czy zabójstwa ustały po tym, jak Matt Petersen ukończył uczelnię i przeprowadził się tutaj?

– Nie do końca – odrzekł Marino. – Było jeszcze jedno zabójstwo, późnym latem tamtego roku, którego Petersen nie mógł popełnić, gdyż mieszkał już w Richmond, a jego żona zaczęła staż na VMC. Jednak w tej trzeciej sprawie było kilka drobnych różnic; ofiarą była nastoletnia dziewczyna, mieszkająca ze swym chłopakiem jakieś piętnaście mil od miejsca, gdzie zamordowano pierwsze dwie kobiety. Jej facet chwilowo wyjechał z miasta. Podejrzewano, że to morderstwo było robotą jakiegoś naśladowcy, który wyczytał o pierwszych w gazetach i powtórzył główne motywy. Ciało znaleziono jakiś tydzień po śmierci ofiary, ale było już tak rozłożone, że przepadła jakakolwiek nadzieja na pobranie próbek nasienia. Zabójcy nie zidentyfikowano.

– A co z mordercą tamtych dwóch?

– Nonsekreter – powiedział Marino, powoli cedząc sylaby; patrzył prosto przed siebie.

Jechaliśmy w ciszy. Powtarzałam sobie, że w Stanach Zjednoczonych mieszka wiele milionów mężczyzn, którzy są nonsekreterami, a morderstwa

na tle seksualnym zdarzają się prawie w każdym większym mieście; jednak podobieństwo było uderzające.

Skręciliśmy w wąską, wysadzaną drzewami ulicę niedawno wybudowanego osiedla, gdzie przy drodze stały podobne do siebie, parterowe domy, sugerujące niski budżet właścicieli i niewiele przestrzeni wewnątrz. Przy drogach dostrzegłam znaki z nazwami firm budowlanych pracujących na tym terenie, a niektóre domy znajdowały się jeszcze w fazie wykańczania. Na większości trawników trawa była dopiero co posiana i jeszcze nie wyrosła pomiędzy świeżo posadzonymi krzewami i kwiatami.

Dwie przecznice dalej, po lewej stronie ulicy, stał nieduży szary dom, gdzie dwa miesiące temu zamordowano Brendę Steppe. Nikt go jeszcze nie wynajął ani nie kupił, gdyż ludzie jakoś nie lubią mieszkać w miejscach, gdzie inni skończyli gwałtowną śmiercią. Po obu stronach domu, na trawniku, wbite były w ziemię tabliczki z napisem „Na sprzedaż”.

Zaparkowaliśmy od frontu i siedzieliśmy w milczeniu; wzdłuż ulicy stało dosłownie kilka lamp i pomyślałam, że w nocy musi tu być bardzo ciemno. Jeżeli morderca zachowywał ostrożność, a na dodatek miał na sobie ciemne ubranie, z łatwością mógł się wślizgnąć do domu niezauważony przez nikogo z sąsiadów.

– Wszedł od tyłu, przez okno w kuchni – odezwał się Marino. – Ustaliliśmy, że Brenda tamtego wieczora wróciła do domu około dziewiętej, wpół do dziesiątej. W salonie znaleźliśmy torbę z zakupami... na rachunku ze sklepu był wybity czas zakupu – 20:55. Wróciła więc do domu i zaczęła przygotowywać późny obiad. Tamtej nocy było bardzo ciepło i pewnie otworzyła okno, by przewietrzyć kuchnię; zwłaszcza że smażyła wołowinę z cebulą.

Skinęłam głową, przypominając sobie zawartość jej żołądka.

– Smażone hamburgery i cebula zazwyczaj mocno dymią, a zapach raz-dwa roznosi się po całym domu. W każdym razie tak jest, ile razy moja żona je przygotowuje. W koszu na śmieci pod zlewem znaleźliśmy opakowanie po wołowinie, pusty słoik po sosie do spaghetti i łupiny z cebuli. W zlewie moczyła się patelnia. – Urwał, po czym dodał zamyślonym głosem: – Jakie to dziwne... kto wie, może przez tę potrawę na kolację poniosła śmierć. Gdyby zjadła kanapkę z tuńczykiem albo sałatkę z kurczaka, nie otworzyłyby okna i morderca nie miałby jak wejść do jej domu.

Roztrząsanie tego, „co by było, gdyby...”, to ulubiona rozrywka detektywów. Co by było, gdyby pewien facet nie postanowił kupić paczki papierosów w sklepie, na który napadło dwóch uzbrojonych po zęby ćpunów? Co by było, gdyby gospodyni nie wyszła na chwilę z domu opróżnić kubek na śmieci w chwili, gdy ulicą jechał zbiegły więzień? Co by było, gdyby jakaś dziewczyna nie pokłóciła się ze swym chłopakiem, w efekcie czego on wskoczył do samochodu i natrafił na pijanego kierowcę wchodzącego w zakręt po niewłaściwej stronie ulicy?

– Zauważyłaś budkę strażnika i szlaban, jakąś milę stąd? – spytał Marino.

– Taak – przypomniałam sobie. – Przed nią znajdował się parking... to było, zanim skręciliśmy w to osiedle. Możliwe, że zabójca tam właśnie zostawił swój samochód, a tutaj przyszedł pieszo.

– Ale parking jest zamykany o północy – mruknął Marino.

Zapaliłam następnego papierosa i przypomniałam sobie, że najważniejsze w pracy detektywa jest to, by myślał jak przestępca, którego chce złapać.

– Co ty byś zrobił na jego miejscu? – zapytałam.

– Na czym miejscu?

– Mordercy. Co byś zrobił, gdybyś to ty był Dusicielem?

– Wszystko zależy od tego, czy byłbym jakimś popieprzonym artystą, jak Matt Petersen, czy zwykłym maniakiem, który uwielbia śledzić kobiety, a potem gwałcić je i dusić.

– To ostatnie – odrzekłam spokojnie. – Załóżmy, że jesteś zwykłym maniakiem.

Zastawił na mnie pułapkę, którą ominęłam, i roześmiał się niegrzecznie.

– Przeoczyłaś jeden szczegół, doktorku. Powinnaś mnie spytać, czy robiłoby to jakąś różnicę... Bo widzisz, nie robiłoby żadnej. Wszystko jedno, czy jestem artystą, czy świrem, całą sprawę załatwiam właściwie tak samo. Bez względu na to, kim jestem i czym się zajmuję na co dzień, skoro już wyruszam na łowy, zachowuję się tak, jak każdy inny zboczeniec seksualny. Nawet gdybym w życiu zawodowym był lekarzem, prawnikiem czy wodzem indiańskim.

– Mów dalej.

– Zaczyna się od tego, że ją zauważam, mam z nią jakiś kontakt. Może dzwonię do drzwi jej domu, sprzedaję coś albo dostarczam kwiaty. Kiedy widzę ją na progu, jakiś głosik w mojej głowie mówi mi, że to właśnie ona. Może pracuję na budowie gdzieś w sąsiedztwie i widzę ją przechodzącą ulicą tam i z powrotem. Interesuję się nią; może włóczę się za nią z tydzień, by poznać jej zwyczaje... gdzie robi zakupy, o której wraca z pracy, o której idzie spać, sprawdzam, jakim jeździ samochodem.

– Ale dlaczego właśnie ona? – spytałam. – Ze wszystkich kobiet świata, dlaczego właśnie ta?

Zamyślił się na chwilę, po czym odparł:

– Bo coś w niej działa na mnie jak płachta na byka.

– Jej wygląd?

Nadal to rozważał.

– Może, ale niekoniecznie. Może jej zachowanie, to, że jest pracującą dziewczyną, robi karierę. Ma ładny domek, więc pewnie jest dostatecznie mądra, by na niego zarobić. Czasem tego typu babki są strasznie zarozumiałe. Może nie spodobał mi się sposób, w jaki mnie potraktowała... podkopała moje męskie ego? Powiedziała, że nie jestem dla niej dostatecznie dobry albo coś w tym stylu.

– Wszystkie ofiary pracowały zawodowo – powiedziałam, a po chwili zastanowienia dodałam: – Lecz większość samotnie mieszkających kobiet pracuje.

– Masz rację. A ja upewnię się, że ona mieszka sama... załatwię ją tylko po to, by pokazać jej, kto tu jest górą. Nadchodzi weekend i czuję, że mam ochotę to zrobić. Więc późnym wieczorem, może nawet po północy, wsiadam do samochodu... znam już jej dzielnicę, dlatego wiem, dokąd jechać. Cały plan mam w głowie. Zostawiam samochód na parkingu przed budką ze szlabanem, lecz to może być ryzykowne. Po północy parking jest zamknięty, więc mój wóz z pewnością zostałby zauważony. Jednak po drugiej stronie ulicy znajduje się stacja naprawcza i warsztat samochodowy. To raczej tam zostawię brykę. Dlaczego? Bo warsztat zamykają o dziesiątej wieczorem, lecz nie ma nic dziwnego w tym, że przed nim, na parkingu, czekają jakieś samochody. Nikt się nad tym nie zastanowi, nawet gliniarze, którzy są moją największą zморą. Gdybym zostawił wóz na pustym parkingu przed budką, a jakiś glina by to przyuważył, z pewnością skontaktowałby się z centralą, by sprawdzić, do kogo należy.

Marino opisał mi wszystko, krok po kroku, z mrozącymi krew szczegółami. Ubrany w ciemne spodnie i kurtkę idzie przez osiedle, trzymając się z dala od latarni. Kryje się w mroku. Kiedy dociera do domu ofiary, adrenalina zaczyna coraz szybciej pulsować mu w żyłach... widzi jej

samochód na podjeździe i wie, że już jest w domu. Wszystkie światła są wyłączone, z wyjątkiem tego na ganku. A więc zasnęła.

Nie spiesząc się, trzyma się na uboczu, oceniając sytuację. Rozgląda się, upewnia, że nikt go nie widzi; potem obchodzi dom naokoło i czuje przypływ pewności siebie. Od ulicy nikt go nie zauważył, a od tyłu następne domy są oddalone co najmniej o pięćdziesiąt jardów... światła są w nich zgaszone, wszyscy śpią. Noc jest ciemna.

Podchodzi do okien i od razu zauważa to, które jest nie zamknięte; przecina siatkę, podważa nożem haczyk na framudze, potem w przeciągu kilku sekund odcina siatkę od ram i kładzie na ziemi. Otwiera okno, wskakuje na parapet i po chwili jest w kuchni.

– Gdy jestem w środku – kontynuował Marino – przez kilka chwil stoję w bezruchu i nasłuchuję; kiedy już jestem usatysfakcjonowany, ruszam przed siebie i zaczynam szukać sypialni. Domek nie jest duży. – Wzruszył ramionami. – Znajduję ją bez trudu... słyszę śpiącą Brendę. Teraz mam już pewnie na twarzy kominiarkę albo coś w tym stylu.

– Po co zadawać sobie trud? – spytałam. – Przecież ona i tak nie pożyje dostatecznie długo, by cię zidentyfikować.

– Włosy. Hej, przecież ja nie jestem głupi. Prawdopodobnie do poduszki czytam sobie podręczniki medycyny sądowej i znam na pamięć dziesięć kodów policyjnych. O nie, nikt mnie nie zidentyfikuje dzięki włosom znalezionym na niej czy gdziekolwiek indziej.

– Jeżeli jesteś taki bystry – teraz to ja go podpuszczałam – to dlaczego nie martwisz się DNA? Nie czytasz gazet?

– No, cóż... nie zamierzam używać żadnego cholernego kondomu! A ty i tak nie wytypujesz mnie jako podejrzanego, bo jestem na to za sprytny. Jak nie ma podejrzanego, nie ma z czym porównywać... i twoje hokus-pokus nie jest warte funta kłaków. Włosy są bardziej zdradliwe. Z drugiej strony

równie dobrze mogę nie chcieć, by wiedziała, czy mam jasne, czy ciemne włosy albo czy, na przykład, jestem rudy.

– A co z odciskami palców?

Marino uśmiechnął się.

– Rękawiczki, skarbie. Takie same, jakich ty używasz przy autopsji moich ofiar.

– Matt Petersen nie nosił rękawiczek. Gdyby tak było, nie zostawiłby odcisków na ciele swej żony.

– Jeżeli to Matt jest naszym zabójcą – odparł Marino spokojnie – to nie musiałby się martwić zostawianiem odcisków palców we własnym domu. – Urwał. – Jeżeli. Faktem jest, że szukamy świra; Matt jest świrnięty, ale nie on jeden na tym świecie... wariatów mamy od metra. Faktem jest też to, że nie mam zielonego pojęcia, kto zaciukał jego żonę.

Zobaczyłam twarz mego snu; białą plamę bez żadnych konkretnych rysów. Słońce wpadało do samochodu przez otwarte okna, lecz mnie ciągle było zimno.

– Reszta wygląda mniej więcej tak, jak można to sobie wyobrazić – ciągnął Marino. – Nie zamierzam jej przestraszyć. Podchodzę powoli do łóżka i budzę ją, przykładając jej rękę do ust, a nóż do gardła. Nie mam przy sobie rewolweru, by nie kusić losu; gdyby zaczęła się ze mną szarpać, broń mogłaby nagle wypalić, ranić mnie albo ją, zanim zdążyłbym się zabawić. Trzymanie się planu jest dla mnie bardzo ważne; jeżeli wszystko nie przebiega po mojej myśli, strasznie się wkurzam. Poza tym nie stać mnie na takie ryzyko. Co by było, gdyby któryś z sąsiadów usłyszał wystrzał i zaalarmował gliniarzy?

– Czy mówisz coś do niej? – zapytałam, odkaszlnąwszy cicho.

– Mówię cicho, że jeżeli wrzaśnie, zabije ją. Cały czas jej to powtarzam.

– Co jeszcze? Czy mówisz do niej coś oprócz tego?

– Pewnie nie.

Wrzucił bieg i zawrócił na wąskiej ulicy; po raz ostatni spojrzałam na dom, gdzie wydarzyło się to, co przed chwilą opisał Marino. Widziałam to dokładnie tak, jak mi opowiedział; wydawało się czymś więcej niż spekulacjami detektywa – była to nieomal relacja naocznego świadka, bezduszna i pozbawiona emocji.

Zmieniłam zdanie o Marino; nie był głupi ani powolny. Przekonałam się, że to niezwykle wnikliwy policjant i chyba przez to jeszcze bardziej go nie lubiłam.

Pojechaliśmy na wschód. Słońce załamywało się w liściach drzew, a popołudniowy ruch osiągnął szczyt. Na długie minuty ugrzęźliśmy w korku, stojąc pomiędzy samochodami ludzi wracających z pracy. Spoglądając na ich twarze, czułam, że nie należę do ich świata, że obserwuję ich z boku. Myśleli o kolacjach, może stekach, które usmażą na grillu przed domem, o dzieciach, ukochanych, których zobaczą już niedługo, albo wydarzeniach mijającego dnia.

Marino był niezmordowany.

– Dwa tygodnie przed zabójstwem Lori Petersen do jej domu przywieziono paczkę; już sprawdziliśmy dostawcę. Jest czysty. Jakiś czas wcześniej był u niej hydraulik, ale też nic na niego nie mamy. Jak na razie brak jakiegokolwiek tropu, nic. Poza tym nic nie łączy ofiar, ani jeden szczegół... nawet jeżeli chodzi o ich pracę zawodową.

Brenda Steppe uczyła w piątej klasie, w szkole podstawowej Quinton, znajdującej się nieopodal jej miejsca zamieszkania. Przeprowadziła się do Richmond pięć lat temu, a niedawno zerwała zaręczyny z trenerem szkolnej drużyny piłki nożnej. Miała rude włosy, pełną figurę i ogromne poczucie humoru. Wedle słów przyjaciół i eksnarzeczonego codziennie biegała po kilka mil oraz nie piła alkoholu ani nie paliła papierosów.

Wiedziałam o jej życiu więcej niż rodzona matka mieszkająca w Georgii. Brenda była gorliwą baptystką – co niedzielę i środę chodziła do kościoła; muzykiem – grała na gitarze i prowadziła zajęcia ze śpiewu dla młodzieży w przykościelnym schronisku. Skończyła studia, specjalizując się w angielskim i tego też uczyła. Jej ulubioną formą odpoczynku – oprócz biegania – było czytanie książek, a tego wieczora, kiedy została zamordowana, czytała przed zaśnięciem książkę Doris Betts.

– Jedną rzeczą, jaka mnie zaskoczyła – powiedział Marino – jest to, czego się niedawno dowiedziałem. Istnieje prawdopodobieństwo, że Lori Petersen знаła Brendę Steppe; jakieś sześć tygodni temu przywieziono Brendę na ostry dyżur w VMC.

– Co jej się stało? – zapytałam, zaskoczona.

– Miała niegroźny wypadek samochodowy. Ktoś na nią najechał, gdy wycofywała się z podjazdu przed domem. Sama zadzwoniła na policję, powiedziała, że rąbnęła się w głowę i jest jej trochę niedobrze. Przesłano po nią ambulans, zatrzymano kilka godzin na obserwację, zrobiono prześwietlenie czaszki. Nic poważnego.

– Czy tamtej nocy Lori Petersen miała dyżur?

– I to jest najlepsze, chociaż jedna jaskółka nie czyni wiosny. Sprawdziłem w szpitalu i okazało się, że Lori pracowała tamtej nocy. Sprawdzam obecnie wszystkich, którzy wtedy tam byli, sanitariuszy, salowych, lekarzy. Nic, oprócz przecucia, że te dwie panie mogły się spotkać. Nie miały pojęcia, że kilka tygodni później będziemy siedzieć w samochodzie, omawiając szczegóły ich śmierci.

Wzdrygnęłam się na tę myśl, jakby kopnął mnie prąd.

– A co z Mattem Petersenem? Czy jest jakaś szansa, że był wtedy w szpitalu? Na przykład przyjechał zobaczyć się z żoną?

– Mówi, że przebywał w Charlottesville – odparł Marino. – To była środa, około wpół do dziesiątej, dziesiąta wieczorem.

Szpital może tu być wspólnym mianownikiem, pomyślałam. Każdy, kto tam pracuje i ma dostęp do danych, mógł znać Lori Petersen oraz zobaczyć Brendę Steppe, a jej adres znaleźć w komputerze.

Zasugerowałam Marino, że każdy, kto tamtego wieczora pracował w VMC, powinien zostać dokładnie sprawdzony.

– Mówimy tu o pięciu tysiącach ludzi – odrzekł. – A równie dobrze facet, który je załatwił, mógł być opatrywany na ostrym dyżurze tego samego wieczora co Brenda i stąd ją znał. Musimy się nad tym zastanowić, choć nie wygląda to zbyt obiecująco. Połowa ludzi, którzy zostali owego wieczora przyjęci na ostry dyżur, to kobiety, a reszta to stare dziadki dostające właśnie zawału lub młodzi gniewni, którzy po pijaku usiłovali prowadzić. To nie oni. Mnóstwo ludzi tam się wtedy kręciło, a mówiąc między nami, w tym szpitalu zupełnie nie przykładają się do prowadzenia kartoteki. Możemy się nigdy nie dowiedzieć, kto tak naprawdę został przyjęty tamtej nocy. Równie dobrze zabójcą może być jakiś sęp, który kręci się dokoła szpitali, szukając ofiar... pielęgniarek, lekarek, młodych kobiet z drobnymi niedyspozycjami zdrowotnymi. – Marino wzruszył ramionami. – Równie dobrze może dostarczać kwiaty pacjentom.

– Już po raz drugi o tym mówisz – skomentowałam. – Dlaczego akurat dostawca kwiatów?

Znowu wzruszenie ramion.

– Zanim zostałem gliniarzem, przez jakiś czas rozwoziłem kwiaty, okay? Większość jest przysyłana do kobiet, wiesz? Gdybym szukał pracy umożliwiającej mi spotkanie jak największej liczby kobiet do zaciukania, wybrałbym rozwożenie kwiatów.

Już żałowałam, że spytałam.

– W ten właśnie sposób poznałem moją żonę. Dostarczyłem jej kwiaty w Walentynki, bukiet z białych i czerwonych goździków od jakiegoś głaba, z którym się wtedy spotykała; okazało się, że zrobiłem na niej większe wrażenie niż kwiaty, i facet poszedł w odstawkę. To było w Jersey, kilka lat przedtem, zanim przeprowadziłem się do Nowego Jorku i wstąpiłem do policji.

Bardzo poważnie rozważałam decyzję nieprzyjmowania nigdy więcej kwiatów od dostawcy.

– Właśnie coś przyszło mi do głowy. Ten świr może mieć na przykład niezłą gadkę, coś, co sprawia, że kobiety go lubią. Ufają mu.

Powoli przejechaliśmy obok centrum handlowego Eastland i skręciliśmy w prawo.

Wkrótce wyjechaliśmy z korka i wmieszaliśmy się w ruch na drodze wiodącej do położonej na wzgórzu Brooklyn Heights albo po prostu Heights, jak mówili o tej dzielnicy jej mieszkańcy. To jedna ze starszych okolic miasta, którą w ciągu ostatnich dziesięciu lat zaczęli interesować się młodzi biznesmeni szybko pnący się po szczeblach kariery. Wzdłuż ulicy stały rzędy domów, rzadko kiedy zaniedbanych, najczęściej pięknie odnowionych, odmalowanych, z mosiężnymi kołatkami w drzwiach i ogromnymi, panoramicznymi oknami.

– Wiele z tych domów kosztuje ponad sto patyków – odezwał się Marino. – Widziałem wnętrza niektórych z nich... są wręcz nieprawdopodobne, ale nie chciałbym tu mieszkać, nawet gdybyś mi dała taki dom na urodziny. Nie podoba mi się tu. To sąsiedztwo nie dla mnie. Poza tym za dużo tu samotnych kobiet. Czyste wariactwo.

Sprawdziłam licznik: dom Patty Lewis znajdował się dokładnie sześć i siedem dziesiątych mili od domu Brendy Steppe. Okolice były tak różne i położone tak daleko od siebie, że nie wyobrażałam sobie, by cokolwiek

mogło je łączyć. Niektóre domy dopiero budowano, podobnie jak w sąsiedztwie Brendy, lecz wątpię, by i tu, i tam pracowały te same firmy budowlane, zatrudniające tych samych robotników.

Dom Patty Lewis stał wciśnięty pomiędzy dwa inne; była to piękna kamienica z brązowej cegły, o czerwonych drzwiach, stromym dachu pokrytym dachówką i frontowym ganku ozdobionym świeżo pomalowaną poręczą z giętego żelaza. Na tyłach domu rosły ogromne drzewa magnolii.

Widziałam fotografie policyjne z miejsca zbrodni. Widząc spokojną dzielnicę i pięknie odnowiony dom, trudno było wyobrazić sobie koszmar, jaki się w nim rozegrał. Patty Lewis pochodziła z bogatej rodziny mieszkającej w Shenandoah Valley, co wyjaśniało, skąd było ją stać na mieszkanie w takiej okolicy. Była pisarką pracującą na własną rękę, wolnym strzelcem. Po wielu latach zmaganiach właśnie osiągnęła etap, w którym redakcje z chęcią kupowały jej materiały. Tej jesieni miała się ukazać jej pierwsza nowelka.

Marino przypomniał mi, że morderca znowu wszedł przez niedomknięte okno wychodzące na tyły domu, tym razem w sypialni.

– To tamto, ostatnie z rzędu, na piętrze – powiedział, wskazując palcem.

– I przypuszczasz, że wdrapał się po magnolii rosnącej najbliżej domu, wszedł na dach ganku, a potem przez okno do sypialni?

– To więcej niż tylko przypuszczenie – odparł. – Jestem pewien. Nie mógł tego zrobić w żaden inny sposób, chyba że miał ze sobą drabinę. Nie ma problemu z wejściem na drzewo, wskoczeniem na dach i wejściem przez okno; wiem, bo sprawdzałem osobiście. Poszło mi jak po maśle. Wystarczy mieć silne ręce, by podciągnąć się z gałęzi na dach – dodał.

W domu zainstalowane były wiatraki, lecz brakowało klimatyzacji; wedle słów przyjaciółki Patty, mieszkającej w innym mieście, lecz często przyjeżdżającej do Richmond w odwiedziny, panna Lewis miała zwyczaj

spać przy otwartym oknie. Mając do wyboru bezpieczeństwo i wygodę, wybrała to drugie.

Marino powoli zawrócił i pojechał na północny wschód.

Cecile Tyler mieszkała w Ginter Park, najstarszej dzielnicy Richmond, o monstrualnych, wiktoriańskich, trzypiętrowych kamienicach, dokoła których na wszystkich kondygnacjach biegną długie balkony, wystarczająco szerokie, by jeździć po nich na wrotkach. Trawniki porośnięte są tu ogromnymi drzewami – rododendronami, dębami i magnoliami. Po słupach podpierających werandy pnie się winorośl i wciska w okiennice wysokich okien. Wyobraziłam sobie mroczne salony znajdujące się za tymi przydymionymi szybami, z wyblakłymi wschodnimi dywanami, ozdobnymi meblami i pamiątkami wciśniętymi w każdy możliwy zakamarek. Za nic w świecie nie chciałabym tu mieszkać – na sam widok dostawałam gęsiej skórki.

Dom należący do Cecile Tyler miał tylko dwa piętra i w porównaniu z resztą sąsiedztwa był względnie nowy; znajdował się dokładnie pięć i osiem dziesiątych mili od mieszkania Patty Lewis. W promieniach słońca dachówki na stromym dachu lśniły niczym srebro; okiennice oraz drzwi zostały niedawno oskrobane z farby i właśnie czekały na ponowne malowanie, które zafundowałyby im Cecile, gdyby tylko jeszcze żyła.

Morderca dostał się do środka przez okno w piwnicy w zachodnim skrzydle domu, znajdujące się tuż za ogromnym drzewem. Klamka była uszkodzona, nie miał więc najmniejszych problemów.

Cecile była samotną Murzynką, niedawno rozwiedziona; jej eksmąż mieszkał w Tidewater i był dentystą. Pracowała jako recepcjonistka w agencji pośrednictwa pracy i kończyła wieczorowy kurs w college'u, by zrobić dyplom z zarządzania. Ostatni raz widziano ją żywą około dziesiątej wieczorem w piątek – jakieś trzy godziny przed śmiercią. Tego wieczora

jadła z przyjaciółką kolację w meksykańskiej restauracji, potem wróciła prosto do domu.

Jej ciało znaleziono następnego popołudnia, w sobotę. Miała iść na zakupy z przyjaciółką; samochód Cecile nadal stał na podjeździe, gdy więc nie odpowiadała na telefony i pukanie do drzwi, zaniepokojona znajoma zajrzała przez okno w sypialni. Widok nagiego, związanego ciała na rozkopanym łóżku na długo zostanie w jej pamięci.

– Wiesz, Bobbi jest biała – mruknął Marino.

– Ta przyjaciółka Cecile? – Zapomniałam jej imię.

– Taak. Bobbi. Bogata suka, która znalazła ciało Cecile. Zawsze trzymały się razem. Bobbi jeździ czerwonym porsche... to blondynka o fantastycznej figurze... pracuje jako fotomodelka. Cały czas przesiadywała u Cecile, czasem nie wychodziła aż do rana. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to były na siebie napalone. Zupełnie nienormalne. Chodzi mi o to, że to chyba jedyne wytłumaczenie. Obie były śliczne, aż palce lizać, i wydawałoby się, że mężczyźni powinni stale się dokoła nich kręcić...

– Może to jest właśnie twoja odpowiedź – odrzekłam, rozzłoszczona. – Może to właśnie łączy wszystkie zamordowane kobiety?

Marino uśmiechnął się oblesnie; znowu mnie podpuszczał.

– Chodzi mi o to – ciągnął – że pewnie morderca jeździł sobie po tej okolicy i pewnego wieczora zobaczył Bobbi wysiadającą z czerwonego porsche. Pomyślał, że to jej chata... albo może jechał za nią któregoś razu, jak była umówiona z Cecile.

– I zamordował Cecile przez pomyłkę? Bo myślał, że to Bobbi tu mieszka?

– Ja tylko rozważam wszystkie aspekty sprawy. Jak już powiedziałem, Bobbi jest biała; wszystkie pozostałe ofiary także.

Przez długie minuty siedzieliśmy w milczeniu, przyglądając się domowi.

Pomieszanie rasowe także i mnie nie dawało spokoju. Trzy białe ofiary i jedna czarna. Dlaczego?

– Chciałbym przeanalizować jeszcze jedną rzecz – dodał Marino. – Zastanawiałem się, czy morderca nie miał przypadkiem kilku kandydatek do każdego zabójstwa... czy nie wybiera ich z jakiejś listy, którą sobie wcześniej sporządził. Trochę to dla mnie dziwne, że za każdym razem, gdy wyrusza na łowy, jego ofiara akurat tej nocy ma otwarte albo niedomknięte okno czy zepsutą klamkę. Moim zdaniem albo te morderstwa są inicjowane bez żadnych wstępnych przygotowań, facet jeździ po okolicy i wypatruje samotnej kobiety, która ma otwarte okno, albo też ma listę potencjalnych ofiar i może sprawdza je po kolei, czekając, której się noga powinie.

Nie bardzo mi się to podobało.

– Uważam, że on śledził każdą z tych kobiet – odrzekłam. – Wybrał je z tłumu i urządził polowanie. Upřednio sprawdził domy i albo nie zastał ich w środku, albo zobaczył otwarte okna. Możliwe, że morderca ma w zwyczaju odwiedzanie okolicy swej następnej ofiary... po prostu uderza, gdy ma po temu sposobność.

Marino wzruszył ramionami i przez chwilę rozważał taką możliwość.

– Patty Lewis została zamordowana w kilka tygodni po Brendzie Steppe; poza tym na niedługo przed śmiercią wyjechała z miasta w odwiedziny do przyjaciółki. Możliwe, że próbował dobrać się do niej już wcześniej, ale nie zastał jej w domu. Taak, zapewne tak to właśnie przebiegało... Kto wie? Potem, trzy tygodnie później, załatwił Cecile Tyler... ale Lori Petersen dorwał dokładnie tydzień później. Może poszczyściło mu się przy pierwszym podejściu? Okno było otwarte, bo mąż Lori zapomniał je zamknąć. To oznacza, że morderca miał kontakt z Lori kilka dni przed jej śmiercią... i gdyby w tamten piątek jej okno było zamknięte, wróciłby za tydzień.

– Wszystkie morderstwa zdarzyły się w weekendy – mruknęłam. – To wydaje się ważnym szczegółem; za każdym razem uderza późnym wieczorem w piątek albo wcześniej rano w sobotę.

– Taak. – Marino skinął głową. – Wszystko gra. Moim zdaniem jest tak dlatego, że drań pracuje od poniedziałku do piątku... ma weekend, żeby ochłonąć po tym, co zrobił. A może podoba mu się taki schemat z zupełnie innego powodu. Może to jego gra z nami? Nadchodzi piątek, a on wie, że ludzie tacy jak ty czy ja aż skręcają się z niepokoju.

Zawahałam się przed następnym pytaniem.

– Czy sądzisz, że jego działanie ulega nasileniu? Że morduje w coraz krótszych odstępach czasu, bo jest coraz bardziej zestresowany albo podniecony zainteresowaniem mediów?

Marino nie odpowiedział od razu; kiedy się wreszcie odezwał, był śmiertelnie poważny.

– Ten świr jest jak na haju, doktorku. To u niego już nałóg; zaczął i nie potrafi przestać.

– Chcesz powiedzieć, że zainteresowanie mediów nie ma tu nic do rzeczy?

– Nie – odparł. – Wcale tego nie twierdzę. Jego schematem działania jest spokojne siedzenie na dupie i trzymanie gęby na kłódkę; może nie byłby taki spokojny, gdyby reporterzy tak mu tego nie ułatwiali. Te sensacyjne artykuły są dla niego darem niebios. Nie musi nic robić, a i tak wszyscy o nim wiedzą. Gdyby nikt o nim nie pisał, pewnie by się wkurzył i rozpoczął prawdziwą jatkę. Po jakimś czasie zaczęłby przysyłać nam liściki albo dzwonić do burmistrza... zrobiłby wszystko, by zyskać zainteresowanie mediów; a w naszym przypadku już je ma.

Przez długi czas oboje milczeliśmy.

Potem Marino zaskoczył mnie, pytając:

- Czyżbyś gadała z Fortosisem?
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Bo mówisz o eskalacji, o podnieceniu artykułami i tego typu gównie.
- Czy to właśnie powiedział ci Fortosis?

Marino zdjął okulary przeciwsłoneczne i położył na desce rozdzielczej; gdy spojrzał na mnie chwilę później, zobaczyłam w jego oczach gniew.

– Nie. Ale właśnie to wyćwierkał kilku osobom bliskim memu sercu. Po pierwsze Boltzowi, po drugie Tannerowi.

– Skąd wiesz?

– Bo w departamencie mam tyle samo wtyczek, ile na ulicach. Doskonale wiem, co się dzieje i kiedy się skończy... może.

Siedzieliśmy w milczeniu. Słońce schowało się już za dachy domów, a cienie zaczęły wypełzać na trawniki i ulice. W pewien sposób Marino uchylił drzwi, które mogły zaprowadzić nas do wzajemnego zaufania. Wiedział. Powiedział mi właśnie, że wie o wszystkim. Zastanawiałam się, czy mam odwagę otworzyć te drzwi szerzej.

– Boltz i Tanner są bardzo zaniepokojeni tymi przeciekami do prasy – odezwałam się ostrożnie.

– Równie dobrze mogliby dostać zawału, bo zaczęło padać. Takie rzeczy się zdarzają. Zwłaszcza gdy „kochana Abby” mieszka w tym samym mieście.

Uśmiechnęłam się ponuro; miał rację. Wystarczyło wypowiedzieć się „kochanej Abby”, a następnego dnia zobaczyłoby się swe sekrety na pierwszej stronie „Timesa”.

– Ona stanowi naprawdę duży problem – ciągnął Marino. – Ma jakieś kontakty wewnątrz... gorącą linię w samym sercu departamentu. Wątpię, by szef mógł pierdnąć tak, by ona się o tym nie dowiedziała.

– Kto jest jej informatorem?

– Ujmijmy to tak: mam pewne podejrzenia, ale brak mi jeszcze dowodów. Okay?

– Wiesz, że ktoś włamał się do mojej komputerowej bazy danych? – spytałam spokojnym tonem, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie.

– Kiedy? – Spojrzał na mnie ostro.

– Nie mam pojęcia, od jak dawna to się zdarza, ale kilka dni temu odkryłam, że ktoś usiłował wyciągnąć dane na temat sprawy Lori Petersen. Mieliśmy sporo szczęścia, że to w ogóle wyszło na jaw... moja analityczka myślała o czym innym i nie wyłączyła echa na serwerze. Dzięki temu komendy wpisane przez hakera nadal były na monitorze, kiedy następnego dnia przyszła do pracy.

– Chcesz mi powiedzieć, że ktoś mógł wyciągać z twojego komputera dane od wielu miesięcy, a ty nic o tym nie wiedziałaś?

– Właśnie ci mówię.

Zamilkł i przez długie minuty prowadził z zaciętą miną.

– Czy to zmienia twoje podejrzenia? – odważyłam się zapytać.

– Uhu – burknął krótko.

– I to wszystko? – zapytałam wyprowadzona z równowagi. – Nie masz mi nic do powiedzenia?

– Nie. Oprócz tego, że chyba grunt zaczyna ci się palić pod nogami. Amburgey wie o tym?

– Tak.

– Domyślam się, że Tanner także?

– Tak.

– Hmm – mruknął. – To chyba wyjaśnia kilka rzeczy.

– Na przykład jakich? – Siedziałam jak na szpilkach i Marino o tym wiedział. – Jakich rzeczy?

Nie odpowiedział.

– Jakich rzeczy?! – Musiałam znać odpowiedź.

Popatrzył na mnie przeciągle.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak chyba będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych. –
Usiłowałam mówić spokojnie, lecz czułam narastające przerażenie.

– Dobra, powiem ci tyle: gdyby Tanner wiedział, że jeżdżę tu dziś z tobą, zabrałby mi odznakę.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– O czym ty mówisz?!

– Wpadłem dziś na niego w komendzie. Zaprosił mnie na małą pogawędkę; powiedział, że wraz z kilkoma zaufanymi przyjaciółmi chcą ukrócić przecieki informacji do prasy. Kazał mi nic nikomu nie wspominać o postępach dochodzenia, jakby musiał to tłumaczyć. Do licha! Ale powiedział jeszcze coś, czego wtedy zupełnie nie zrozumiałem. Chodzi mi o to, że mam nie przekazywać żadnych informacji biuru koronera, czyli tobie.

– Co takiego...?

Ale przerwał mi i ciągnął:

– Chodzi mi o to, że masz nic nie wiedzieć o postępach śledztwa ani nawet o naszych domysłach. Nul. Zero. Nic absolutnie. Tanner kazał ściągać nam od ciebie dane medyczne, lecz nie dawać nic w zamian. Dodał, że zbyt wiele informacji krąży w powietrzu i jedynym sposobem, by powstrzymać przeciekanie ich do mediów, jest milczenie. O śledztwie mają wiedzieć tylko osoby w nie zamieszane.

– Doskonale – warknęłam. – Czyli również ja! Te sprawy podlegają pod moją jurysdykcję! Czy wszyscy już o tym zapomnieli?!

– Hej! – przerwał mi spokojnie. – Przecież siedzimy tu wspólnie, nie?

– Taak – odparłam, trochę się uspokajając. – Siedzimy.

– Gównu mnie obchodzi, co mówi Tanner. Może jest zdenerwowany z powodu tego włamania do twojej bazy danych... może nie chce, by ktokolwiek oskarżył departament policji o wypuszczanie ważnych informacji.

– Proszę! Czyżbyś sugerował, że ja...

– A może jest zupełnie inny powód – dodał cicho, zupełnie mnie nie słuchając.

Cokolwiek by to było i tak nie zamierzał mi powiedzieć.

Gwałtownie wrzucił bieg i ruszyliśmy w stronę rzeki, na południe do Berkley Downs.

Przez następne dziesięć, piętnaście, a może dwadzieścia minut – naprawdę nie zdawałam sobie sprawy z upływu czasu – nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem. Siedziałam ponura, milcząc i wpatrując się w drogę umykającą pod kołami. Czułam się tak, jakbym padła ofiarą okrutnego kawału, o którym wiedzieli wszyscy, z wyjątkiem mnie. Wrażenie odizolowania przybrało na sile, bałam się tak bardzo, że prawie przestałam wierzyć w swoją zdolność oceny sytuacji czy logicznego myślenia. Chyba nie byłam już niczego pewna.

Mogłam tylko myśleć o ruinach tego, co jeszcze przed paroma dniami było wspaniale zapowiadającą się karierą. Moje biuro zostało oskarżone o udzielanie informacji prasie; próby zmodernizowania systemu zemściły się na mnie, niszcząc moją wiarygodność.

Nawet Bill nie był już pewien mojej przyszłości. Teraz policjanci mieli zakaz dzielenia się ze mną jakimikolwiek informacjami. To się nie skończy, dopóki nie zrobią ze mnie kozła ofiarnego i nie zwałą na mnie winy za wszystkie pomyłki tego śledztwa. Prawdopodobnie Amburgey nie będzie miał innego wyboru, jak tylko przenieść mnie na inne stanowisko, oczywiście, jeżeli od razu mnie nie wywali na zbity pysk!

Marino zerknął na mnie; nawet nie zauważyłam, kiedy zjechał z drogi i zaparkował przy chodniku.

– Jak daleko? – spytałam.

– Jak daleko skąd dokąd?

– Stąd do domu Cecile Tyler?

– Dokładnie siedem i cztery dziesiąte mili – odrzekł lakonicznie, nawet nie patrząc na licznik.

W świetle dnia prawie nie rozpoznałam domu Petersenów.

Wyglądał na pusty i niezamieszkały; białe gipsowe panele na ścianach robiły się szare w szybko nadchodzącym zmierzchu. Lilie rosnące pod frontowymi oknami były doszczętnie zdeptane, prawdopodobnie przez detektywów przetrząsających każdy skrawek posiadłości w poszukiwaniu dowodów. Resztki policyjnej żółtej taśmy używanej do oznaczania miejsca zbrodni trzymały się framugi drzwi, a w zbyt wysokiej trawie leżała puszka po piwie rzucona przez bezmyślnego spacerowicza.

Dom Lori był skromnym, ładnie utrzymanym budynkiem, typowym dla mniej zamożnej klasy średniej, które często można spotkać na przedmieściach większych miast. Do takich dzielnic wprowadzają się młodzi ludzie na progu kariery zawodowej lub starsi państwo na emeryturze.

W nieomal identycznym domu wynajęłam pokój podczas studiów medycznych w Baltimore. Podobnie jak Lori Petersen często nawet nie zdawałam sobie sprawy z otoczenia: wychodziłam z domu przed świtem i wracałam dopiero po północy następnego dnia. Rytm życia wytyczały książki, zajęcia, laboratoria i egzaminy, a nadzieja na sukces pomagała przebrnąć przez kolejny upiorny dzień, kiedy wyczerpywały się wszystkie inne zasoby energii w organizmie. Nigdy nie przyszło mi do głowy,

podobnie jak nie przemknęło przez myśl Lori, że ktoś całkiem mi obcy mógłby postanowić odebrać mi życie.

– Hej...

Nagle zrozumiałam, że Marino coś do mnie mówi. Patrzył na mnie z lekkim zdziwieniem.

– Dobrze się czujesz, doktorku?

– Przepraszam. Nie usłyszałam, co mówiłeś.

– Zapytałem, co o tym wszystkim myślisz. Czy masz już mapę w głowie? Co?

– Uważam, że ich śmierć nie ma nic wspólnego z miejscem zamieszkania – odrzekłam.

Nie zgodził się ze mną ani mi nie zaprzeczył. Ujął mały mikrofon radiostacji i powiedział koledze w centrali, że kończy pracę na ten dzień. Koniec jazdy.

– Dziesięć-cztery, siedem-dziesięć – zazgrzytał w głośnikach radosny głos. – Osiemnasta czterdzieści pięć... niech słońce cię nie oślepi... spotkamy się jutro o tej samej porze, kiedy zagrają naszą piosenkę.

Czyli wycie syreny oraz huk wystrzałów, pomyślałam.

Marino prychnął gniewnie.

– Kiedy zaczynałem tę robotę, za odpowiedzenie „Jasne” na zgłoszenie, zamiast „Dziesięć-cztery” inspektor dawał ci naganę i obcinał premię.

Przymknęłam oczy i rozmasowałam skronie.

– Taak, to już nie to, co dawniej – mruknął. – Nic nie jest takie samo.

Rozdział dziewiąty

Księżyc wyłaniający się zza drzew wyglądał niczym kula zrobiona z mlecznego szkła; jechałam powoli przez spokojną dzielnicę, w której mieszkałam.

Poruszające się gałęzie rzucały rozedrgane cienie na jezdnię, a krawężniki lśniły w blasku reflektorów. Powietrze było czyste i przyjemnie ciepłe, idealne do jazdy kabrioletem lub przy opuszczonych szybach. Jechałam z drzwiami zamkniętymi od środka, szczelnie zamkniętymi szybami i włączoną klimatyzacją.

Wieczór, który jeszcze niedawno uważałabym za czarujący, teraz wydawał mi się groźny i niepokojący.

Przed oczyma, zamiast drogi i księżycy, miałam obrazy minionego dnia. Nękały mnie i nie chciały odejść. Widziałam te niczym niezwiązane z sobą domy w różnych dzielnicach miasta. Dlaczego właśnie je wybrał? I w jaki sposób? To nie była kwestia przypadku; byłam o tym święcie przekonana. Musiał być jakiś element powtarzający się w każdej ze spraw, a moje myśli samoistnie wracały do błyszczącej substancji, jaką znajdowaliśmy na ciałach.

Nie pozwoliłam, by wyobraźnia mnie poniosła, nie teraz. Czy ta dziwna substancja mogła nas zaprowadzić do miejsca zamieszkania potwora? Czy miała jakiś związek z wykonywanym przez niego zawodem albo z miejscem, w którym poznał wszystkie swe ofiary? A może – co byłoby jeszcze dziwniejsze – świecąca substancja pochodziła od zamordowanych kobiet?

Może było to coś, co każda z nich trzymała w domu albo w pracy, czy nawet przy sobie. Może każda z nich kupiła to coś właśnie od niego? Bóg jeden znał odpowiedź na te pytania. Nie mogliśmy przebadać wszystkich przedmiotów znajdujących się domu ofiary, biurze lub w miejscu, do którego zazwyczaj chodziła, by się odprężyć po pracy. Tym bardziej że nie mieliśmy pojęcia, czego szukać.

Wjechałam na podjazd przed domem.

Zanim zdążyłam wysiąść z samochodu, Bertha otworzyła frontowe drzwi i stała w świetle na ganku, z rękoma opartymi na biodrach i torebką zarzuconą na ramię. Wiedziałam, co to oznacza – wprost nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła wreszcie wyjść z mego domu. Wolałam nie pytać, jak Lucy zachowywała się tego dnia.

– No i? – spytałam, gdy podeszłam do drzwi.

Bertha potrząsnęła głową.

– Okropnie, doktor Kay! To dziecko... nie mam pojęcia, co w nią wstąpiło. Była zła! Och, jaka niedobra...

Dotarłam wreszcie do końca tego potwornego dnia i nagle okazało się, że czeka mnie jeszcze przeprawa z Lucy. Właściwie była to głównie moja wina. Nie potrafiłam dać sobie z nią rady albo może za mało się starałam.

Nie jestem przyzwyczajona do rozmawiania z dziećmi w ten sam, otwarty i bezpośredni sposób, w jaki zwracałam się do swoich podwładnych i znajomych; nie zapytałam jej o włamanie do komputera w mieście ani nawet o tym nie wspomniałam. Zamiast tego, gdy Bill pojechał do domu w poniedziałek wieczorem, odłączyłam modem od telefonu w gabinecie i schowałam w szafie z ubraniami w sypialni.

Miałam nadzieję, że Lucy założy, iż wzięłam go ze sobą do biura w mieście, do naprawy albo coś w tym stylu; szczerze mówiąc, nie sądziłam, że w ogóle zauważy jego zniknięcie. Wczoraj wieczorem nic nie

wspomniała na ten temat, była cicha i poważna, lecz w jej oczach dostrzegłam smutek, gdy złapałam ją na wpatrywaniu się we mnie, zamiast oglądania filmu na wideo.

Moje postępowanie wynikało z logicznego myślenia; jeżeli nawet istniał cień podejrzenia, iż to Lucy włamała się do mej bazy danych, to usunięcie modemu uniemożliwiło jej powtórzenie tego – bez kłótni ze mną, zbędnych oskarżeń i gniewnych scen, które z pewnością zniszczyłyby wspomnienia z jej pobytu u mnie. Jeśli natomiast ktoś znowu włamałby się do komputera, Lucy zostałaby oczyszczona z wszelkich podejrzeń.

Zrobiłam to wszystko, choć wiedziałam doskonale, że stosunki międzyludzkie nie mogą opierać się na zwykłej logice, dokładnie tak samo jak róże nie mogą rosnąć zasilane tylko moimi komplementami. Wiedziałam, że szukanie schronienia za ścianą intelektualizmu i racjonalności jest samolubną ucieczką poczynioną kosztem uczuć drugiego człowieka.

To, co zrobiłam, było tak rozsądne, że aż idiotyczne.

Przypomniałam sobie własne dzieciństwo; jak strasznie nie znosiłam, gdy matka siadała na krawędzi mego łóżka i wymyślała bajki w odpowiedzi na pytania dotyczące stanu zdrowia ojca. Najpierw twierdziła, że „gryzie go robaczek”, potem, że „coś dostało się do jego krwi”, przez co tak szybko słabnie i łatwo się męczy. Albo twierdziła, że tata walczy z czymś, co „jakiś Murzyn albo Kubańczyk przyniósł do jego sklepu”. Lub mówiła: „Tata za bardzo się przemęcza, Kay. Zbyt ciężko pracuje, to wszystko”. Kłamstwa.

Mój ojciec miał chroniczną białaczkę limfatyczną; zdiagnozowano ją u niego, zanim poszłam do pierwszej klasy szkoły podstawowej.

Dopiero gdy miałam dwanaście lat, a on przeszedł z fazy zerowej limfocytów w trzecią fazę anemii, dowiedziałam się, że umiera.

Opowiadamy dzieciom kłamstwa, choć będąc w ich wieku, sami nie wierzyliśmy w bajki opowiadane nam przez dorosłych. Doprawdy nie wiedziałam, dlaczego robię to samo z Lucy, która wszystko pojmowała równie szybko, jak większość dorosłych.

O wpół do dziewiątej siedziałyśmy wspólnie w kuchni; grzebała łyżeczką w koktajlu mlecznym, a ja dopijałam szkocką z lodem. Zmiana w jej zachowaniu była tak niepokojąca, że szybko straciłam cierpliwość.

Uszła z niej cała wola walki; zniknęło też dziecinne naburmuszenie, że wiecznie nie ma mnie w domu, oraz niechęć. Nie potrafiłam jej rozśmieszyć ani poprawić jej humoru; nie pomogło nawet przypomnienie, że Bill wpadnie akurat na czas, by powiedzieć dobranoc. W oczach Lucy nie zobaczyłam nawet isierki zainteresowania. Nie poruszyła się ani nie odpowiedziała; nie chciała spojrzeć mi w oczy.

– Wyglądasz na chorą – mruknęła w końcu pod nosem.

– Niby skąd możesz to wiedzieć? Nie popatrzyłaś na mnie ani razu, odkąd wróciłam wieczorem do domu.

– No i co z tego? To nie zmienia faktu, że wyglądasz, jakbyś była chora.

– Cóż, nie jestem chora – odrzekłam. – Po prostu jestem bardzo zmęczona.

– Kiedy mamusia jest zmęczona, to wcale nie wygląda na chorą – powiedziała na wpół oskarżycielskim tonem. – Wygląda na chorą jedynie wtedy, kiedy kłóci się z Ralfem. Nienawidzę go. To palant. Kiedy przychodzi, zmuszam go do rozwiązywania krzyżówek tylko dlatego, że wiem, iż nie potrafi tego zrobić poprawnie. Głupi, pieprzony palant!

Nie zbeształam jej za używanie brzydkich wyrazów; w ogóle nic nie odpowiedziałam.

– No więc – nalegała. – Czyżbyś pokłóciła się z Ralfem?

– Nie znam żadnego Ralfa.

– Och. – Zmarszczyła brwi. – Założę się, że pan Boltz jest na ciebie wściekły.

– Nie sędzę.

– Założę się, że tak! Jest wściekły, bo ja tu jestem...

– Lucy! Toż to śmieszne! Bill bardzo cię lubi.

– Ha! Jest wściekły, bo nie może tego robić, gdy ja tu jestem!

– Lucy... – powiedziałam ostrzegawczo.

– To o to chodzi! Ha! Jest wściekły, bo nie może zdjąć spodni!

– Lucy – rzekłam surowo. – Przestań w tej chwili!

Wreszcie popatrzyła mi w oczy i zaskoczył mnie gniew, jaki w nich zobaczyłam.

– Widzisz! Wiedziałam! – Roześmiała się, lecz był to śmiech przepelniony złością. – Ty też wolałabyś, żeby mnie tu nie było! Żebyś wam nie przeszkadzała! Cóż, mnie to nie obchodzi! Nic mnie nie obchodzi! Mama sypia ze swoimi narzeczonymi cały czas, ale ja mam to gdzieś!

– Nie jestem twoją matką!

Dolna warga jej zadrżała, jakbym ją spoliczkowała.

– Nigdy nie powiedziałam, że nią jesteś! I tak bym nie chciała, żebyś była moja mamą! Nienawidzę cię!

Przez dłuższą chwilę siedziałyśmy w całkowitej ciszy.

Byłam zaskoczona; nie pamiętam, by ktokolwiek kiedykolwiek powiedział mi, że mnie nienawidzi, nawet jeżeli byłaby to prawda.

– Lucy – zaczęłam; było mi niedobrze i czułam ssanie w żołądku. – To nie tak. Chodziło mi tylko o to, że zupełnie nie jestem podobna do twojej mamy. Okay? Bardzo się różnimy. Zawsze byliśmy inne, ale to wcale nie znaczy, że cię nie kocham.

Nic nie odpowiedziała.

– Wiem, że tak naprawdę wcale mnie nie nienawidzisz.

Nadal grobowe milczenie.

Oszołomiona wstałam, by dolać sobie drinka. Oczywiście, że Lucy mnie wcale nie nienawidzi. Dzieci często powtarzają takie słowa, lecz naprawdę tak nie myślą. Usiłowałam sobie przypomnieć; nigdy nie powiedziałam swojej matce, że jej nienawidzę. Myślę, że w głębi serca nieraz chciałam to zrobić, za te wszystkie kłamstwa, którymi mnie raczyła; kiedy zmarł ojciec, ona również była dla mnie stracona. Tak jak jego zżerała choroba, tak ją zabiła jego śmierć. Żadne cieplejsze uczucie nie zostało ani dla Dorothy, ani dla mnie.

Okłamałam Lucy. Mnie także pochłonęła śmierć; co dzień walczyłam o sprawiedliwość. Ale jakąż miałam sprawiedliwość dla małej dziewczynki, która nie czuła się przez nikogo kochana? Dobry Boże. Lucy mnie nie nienawidzi, ale nie mogłabym mieć do niej pretensji, gdyby faktycznie tak było. Wróciłam do stołu i poruszyłam drażliwy temat najdelikatniej, jak tylko potrafiłam.

– Zdaje się, że wyglądam na zmartwioną, ponieważ tak właśnie jest, Lucy. Widzisz, ktoś włamał się do komputera w moim biurze w mieście.

Nie odpowiedziała; czekała.

Upiłam łyżeczek szkockiej.

– Nie jestem pewna, czy ta osoba zobaczyła jakiegokolwiek ważne informacje, ale gdybym mogła wyjaśnić, kto to zrobił i w jaki sposób, ogromny ciężar spadłby mi z serca.

Nadal nic.

Ciągnęłam temat.

– Jeżeli nie dowiem się prawdy, mogę się znaleźć w poważnych tarapatach, Lucy.

To ją zaniepokoiło.

– Dlaczego miałabyś mieć kłopoty?

– Ponieważ informacje przechowywane w mojej bazie danych są bardzo poufne – wyjaśniłam cierpliwie. – Ważni ludzie w mieście, politycy, bardzo niepokoją się tym, że te poufne informacje w jakiś sposób trafiły do gazet. Martwią się, że ktoś mógł je wyciągnąć z mojego komputera.

– Ojej.

– Jeżeli, na przykład, włamał się tam jakiś dziennikarz...

– Czego dotyczą te informacje? – spytała.

– Tych ostatnich spraw.

– Pani doktor, którą ktoś zamordował?

Skinęłam głową.

Znowu cisza.

A potem cicho:

– Czy to dlatego zabrałaś modem, ciociu Kay? Zabrałaś, bo myślałaś, że zrobiłam coś złego?

– Nie wydaje mi się, byś zrobiła coś złego, Lucy. Jeżeli połączyłaś się z moim komputerem w mieście, wiem, że nie zrobiłaś tego, by nabroić. Nie miałabym do ciebie pretensji, gdybyś była ciekawa...

Spojrzała na mnie przez łyżę.

– Zabrałaś modem, bo już mi nie ufasz.

Nie miałam pojęcia, jak na to odpowiedzieć. Nie mogłam jej znowu skłamać, a prawda byłaby potwierdzeniem tego oskarżenia.

Lucy nagle straciła całe zainteresowanie koktajlem i siedziała nieruchomo przy stole, przygryzając dolną wargę i wpatrując się w blat.

– Zabrałam modem, bo zastanawiałam się, czy to aby nie ty włamałaś się do bazy danych – przyznałam. – Postąpiłam źle. Powinnam była cię o to zapytać. Ale może czułam się zraniona. Bolało mnie podejrzenie, że mogłaś złamać nasz pakt zaufania.

Patrzyła na mnie przez długą chwilę. Wydawała się zadowolona, niemal szczęśliwa.

– Chcesz powiedzieć, że gdy ja robię coś złego, to ty jesteś nieszczęśliwa? – spytała; jakby dawało jej to jakąś władzę nade mną, której desperacko potrzebowała.

– Tak. Bo bardzo cię kocham, Lucy – powiedziałam; chyba po raz pierwszy rzekłam to tak wyraźnie. – Nie chciałam cię zranić, dokładnie tak samo jak ty nie chciałaś zranić mnie. Przepraszam.

– Nie ma sprawy.

Łyżeczka znowu zagrzechotała w wysokiej szklance.

– Poza tym – dodała radośnie moja siostrzenica – wiem, gdzie go schowałaś. Przede mną nic się nie uchroni, ciociu Kay. Widziałam go w twojej szafie z ubraniami, obok trzydziestkiósemki.

– Skąd wiesz, że to rewolwer kalibru trzydzieści osiem? – wypaliłam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

– Bo Andy miał taki sam. On był przed Ralfem. Nosił rewolwer o tu, za paskiem – dodała, wskazując na plecy. – Miał kantor i dlatego stale nosił przy sobie broń. Czasem pokazywał mi, jak się strzela. Wymował kule i pozwalał mi strzelać z niego do telewizora. Bang! Bang! – Wycelowwała palec w lodówkę. – Wolałam go od Ralfa, ale mamie się znudził.

Do czego miałam ją jutro odesłać? Zaczęłam pouczać ją o broni palnej, recytując, że to nie są zabawki i można nią zrobić komuś krzywdę, kiedy zadzwonił telefon.

– A, taak – przypomniała sobie Lucy, gdy wstałam z krzesła. – Babcia dzwoniła już dwa razy.

Była to ostatnia osoba, z którą chciałam w tej chwili rozmawiać. Bez względu na to, jak bardzo starałam się ukryć swoje prawdziwe uczucia, zawsze bezbłędnie je wyczuwała i nie chciała zostawić w spokoju.

– Wydajesz się zmartwiona – rzekła moja matka po pierwszych słowach powitania.

– Jestem tylko zmęczona. – Znowu to samo kłamstewko.

Wyobraziłam ją sobie tak dokładnie, jakbym miała ją tuż przed sobą. Bez wątpienia siedzi teraz w łóżku, podparta kilkoma poduszkami, z włączonym telewizorem naprzeciwko. Jasne włosy odziedzyczyłam po ojcu; matka ma ciemną cerę, jej czarne niegdyś włosy są już siwe, a brązowe oczy ukryte za okularami o grubych szklach.

– Oczywiście, że jesteś zmęczona – odrzekła. – Przecież cały czas pracujesz. Czytałam o tych okropnych zbrodniach w Richmond. Pisali o nich we wczorajszym „Heraldzie”. Nigdy w życiu nie byłam równie zaskoczona, Kay. Zobaczyłam gazetę dopiero, gdy wpadła do mnie pani Martinez, by pokazać twoje zdjęcie. Już od dawna nie kupuję prasy w niedzielę. Za dużo w nich reklam i kuponów. Jest strasznie gruba, a właściwie nie ma co czytać. Pani Martinez pokazała mi ją, bo zobaczyła twoje zdjęcie.

Jęknęłam.

– Nie powiem, żebyś cię rozpoznała na pierwszy rzut oka, Kay. Zdjęcie jest fatalne, zrobione w nocy... na szczęście podpisali je. Nie miałaś na głowie kapelusza, Kay. Wyglądało, że pada... jakby było mokro i paskudnie, a ty nie miałaś na głowie kapelusza. Tyle ci ich wysłałam, a ty nie możesz włożyć któregoś, gdy pada?! Złapiesz kiedyś zapalenie płuc...

– Mamo...

Ale ona nie przerwała.

– Mamo!

Nie mogłam tego znieść; nie dziś w nocy. Mogłabym być samą Margaret Thatcher, a matka i tak traktowałaby mnie jak pięcioletnią dziewczynkę, która nie ma dość rozumu, by nie włączyć się po deszczu.

Następnie posypały się pytania o moją dietę i o to, jak sypiam.

– Jak tam Dorothy? – Gwałtownie skierowałam rozmowę na inne tory.

Zawahała się.

– Właśnie dlatego dzwonię.

Przysiadłam na krześle, podczas gdy matka, podniósłszy głos o oktawę, opowiedziała mi, jak to Dorothy poleciała do Nevady i... wzięła ślub.

– Dlaczego w Nevadzie? – spytałam idiotycznie.

– Sama mi powiedz! Powiedz mi, dlaczego twoja jedyna siostra spotyka się z jakiś osobnikiem od książki, z którym tylko kilka razy rozmawiała przez telefon, a potem naraz dzwoni do swojej matki z lotniska, by powiedzieć, że właśnie jest w drodze do Nevady, by wziąć ślub! Powiedz mi, jak córka może zrobić coś podobnego rodzonej matce! Można by pomyśleć, że ma makaron zamiast mózgu...

– Z jakim znowu osobnikiem od książki? – spytałam, zerkając na Lucy; przyglądała mi się z rozpaczą wypisaną na buzi.

– Nie mam pojęcia. Jakiś ilustrator, tak o nim mówiła. Chyba rysuje obrazki do jej książek. Kilka dni temu przyleciał z Miami na konferencję, a potem chciał omówić z Dorothy jakiś projekt czy coś w tym stylu. Nie pytaj mnie, bo nic nie wiem. Nazywa się Jacob Blank i jest Żydem. Co prawda Dorothy nic na ten temat nie mówiła, ale ja i tak wiem swoje. Dlaczego niby miałyby uprzedzić matkę, że wychodzi za mąż za Żyda, którego nigdy nie widziałam na oczy, a który ma dwa razy tyle lat co ona! No i rysuje dziecinne obrazki do książek! Na miłość boską!

Nie śmiałam zadawać żadnych pytań.

Odesłanie Lucy do domu w sam środek jeszcze jednego rodzinnego kryzysu było nie do pomyślenia. Jej samotne pobyty u mnie czy u babki nieraz już się przedłużały, gdy Dorothy musiała nagle wyjechać z miasta na spotkanie z wydawcą czy podróż krajoznawczą, co zawsze ciągnęło się

dłużej, niż ktokolwiek śmiał przypuszczać. Lucy zostawała najczęściej pod skrzydłami babki, dopóki wędrująca pisarka nie raczyła wrócić do domu. Może to my nauczyłyśmy ją takiego braku odpowiedzialności? Może Lucy nauczyła się go akceptować? Ale żeby uciekać do Vegas z obcym facetem?! Dobry Boże.

– Nie powiedziała, kiedy wraca? – odwróciłam się tyłem do Lucy i zniżyłam głos.

– Co takiego? – odparła matka na cały głos. – Miałaby mnie o tym powiadamiać? A niby dlaczego miałaby o czymkolwiek mówić swej starej matce? Och! Jak ona mogła znowu zrobić coś takiego, Kay? On jest dwa razy starszy od niej! Armando też był od niej znacznie starszy i popatrz, jak to się skończyło! Padł trupem przy basenie, zanim jeszcze Lucy nauczyła się jeździć na rowerku...

Wyprowadzenie jej z hysterii zajęło mi trochę czasu. Kiedy już się rozłączyłam, zostało mi jeszcze przekazanie wiadomości Lucy. Nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Twoja mama wyjechała na jakiś czas z miasta, Lucy. Wyszła za mąż za pana Blanka, który ilustruje jej książki...

Lucy siedziała nieruchomo, niczym posąg; wyciągnęłam ramiona i przytuliłam ją do siebie ze wszystkich sił.

– W tej chwili są w Nevadzie...

Krzesło z hukiem upadło na podłogę; Lucy wyrwała mi się gwałtownie i wybiegła z kuchni.

Jak moja siostra mogła dziecku to zrobić? Tym razem nie wybaczę jej tego. Postąpiła źle, wychodząc za mąż za Armanda; miała wtedy zaledwie osiemnaście lat. Ostrzegaliśmy ją; robiliśmy co w naszej mocy, by ją odwieść od tego pomysłu. Armando właściwie nie mówił po angielsku, miał wystarczająco dużo lat, by być jej ojcem, a wraz z matką podejrzliwie

patrzyłyśmy na jego bogactwo, mercedesa, złotego roleksa i okazały dom tuż nad wodą. Jak mnóstwo ludzi tajemniczo pojawiających się w Miami, uwielbiał efektowne życie na wysokim poziomie, którego nie można było logicznie wytłumaczyć.

Niech szlag trafi Dorothy! Wiedziała, jak zarabiam na chleb! Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak ciężka i wyczerpująca jest to praca. Wiedziała, że z powodu tych morderstw od początku wolałam, by Lucy nie przyjeżdżała do mnie w tej chwili; chciałam przełożyć jej wyjazd na spokojniejszy czas, lecz moja siostra jak zwykle włączyła swój urok osobisty i przekonała mnie.

„Jeżeli za bardzo będzie ci wchodzić w drogę, Kay, to po prostu odeślij ją do domu – powiedziała słodko. – Naprawdę nie ma problemu. Ale ona tak czekała na ten wyjazd! O niczym innym ostatnio nie mówi; tak bardzo cię lubi i podziwia”.

Lucy siedziała sztywno wyprostowana na krawędzi łóżka i wpatrywała się w podłogę.

– Mam nadzieję, że ich samolot rozbije się i wszyscy zginą. – To było wszystko, co od niej wyciągnęłam; pomogłam jej przebrać się w pidżamę.

– Przecież wcale tak nie myślisz, Lucy. – Podciągnęłam jej kołdrę pod brodę. – Możesz zostać ze mną przez jakiś czas. Będziemy się dobrze bawić, zobaczysz...

Zacisnęła powieki i odwróciła się twarzą do ściany.

Nie miałam pojęcia, co jej powiedzieć; jakie słowa mogłyby zmniejszyć jej ból? Przez długą chwilę siedziałam na krawędzi łóżka, patrząc na nią bezradnie. Z wahaniem przysunęłam się bliżej i zaczęłam masować jej plecy; po jakimś czasie oddech Lucy stał się regularny i powolny. Pocałowałam ją w czubek głowy i cicho zamknęłam za sobą drzwi.

Kiedy byłam na ostatnim stopniu schodów, usłyszałam samochód podjeżdżający przed dom. Otworzyłam drzwi, zanim Bill zdążył zadzwonić.

– Lucy już śpi – szepnęłam.

– Och – odparł z szelmowskim uśmiechem. – Szkoda... najwyraźniej nie jestem wart tego, by na mnie czekać...

Odwrócił się nagle, podążając za moim wzrokiem. Zza zakrętu wyjechał samochód na światłach, lecz gdy tylko znalazł się na mojej uliczce, wyłączył je i stanął, zanim zdążyłam go rozpoznać. Teraz jechał na wstecznym biegu, wycofując się pospiesznie przed mego domu.

Małe kamyczki przysnęły mu spod kół, gdy zawrócił i odjechał z ogromną prędkością.

– Spodziewałaś się dziś gości? – zapytał Bill, wpatrując się w ciemności.

Powoli potrząsnęłam głową. Bill zerknął na zegarek i delikatnie popchnął mnie do środka.

Kiedy tylko Marino przychodził do mnie do kostnicy, zawsze starał się dopiec Wingo, który był prawdopodobnie najlepszym technikiem autopsyjnym, z jakim kiedykolwiek miałam okazję pracować, lecz jednocześnie najbardziej podatnym na ciosy.

– ...taak... to jest właśnie to, co specjaliści nazywają bliskim spotkaniem czwartego stopnia z fordem... – mówił głośno Marino, a policjant z drogówki zarechotał.

Wingo poczerwieniał na twarzy; wsadził czerwoną wtyczkę piły elektrycznej do końcówki przedłużacza wiszącej nad stalowym stołem.

Unurzana po nadgarstki we krwi, mruknęłam cicho:

– Olej ich, Wingo.

Wingo był stanowczo zbyt wrażliwy i czasem bardzo się o niego martwiłam. Tak łatwo identyfikował się z ofiarami, że zdarzało się, iż

płakał przy niektórych sekcjach zwłok, gdy delikwent był wyjątkowo poturbowany.

Tego ranka życie spletało jeszcze jednego ze swych okrutnych figli. Zeszłego wieczora młoda kobieta poszła do baru w spokojnej, wiejskiej okolicy i gdy wracała do domu około drugiej nad ranem, została potrącona przez samochód, który nawet się nie zatrzymał. Policjant z drogówki, który znalazł jej ciało i szukał w kieszeniach jakiegoś dowodu tożsamości, odkrył w portfelu paseczek materiału z chińskiego ciasteczka z przepowiednią, na którym było napisane: „Wkrótce spotka cię coś, co na zawsze odmieni twe życie”.

– Albo może miała nadzieję na coś większego... jakiegoś TIR-a...

Byłam już o krok od powiedzenia Marino, by poszedł do diabła i mi nie przeszkadzał, gdy wszystkie dźwięki utonęły w donośnym głosie piły, przypominającym buczenie ogromnego dentystycznego wiertła. Gdy Wingo zaczął przecinać czaszkę martwej kobiety, w powietrze unióś się pył z ciętej kości i Marino wraz z drugim policjantem wyszli pospiesznie do sali obok, w której właśnie trwała sekcja ofiary strzelaniny.

Gdy Wingo wyłączył piłę i odłożył czubek czaszki na stół obok, szybko zbadalam mózg dziewczyny. Żadnych krwiaków ani krwotoków...

– To wcale nie jest śmieszne – odezwał się Wingo z urazą w głosie. – Ani trochę. Jak ktoś może się śmiać z podobnego nieszczęścia?...

Choć młoda kobieta miała kilka stłuczeń na głowie, śmiertelne okazało się strzaskanie kręgosłupa i kości miednicy spowodowane uderzeniem w pośladki tak mocnym, że do tej pory na skórze utrzymały się odciski zderzaka pojazdu. Nie potrącił jej żaden sportowy samochód o niskim zawieszeniu, lecz raczej ciężarówka.

– Zachowała to, bo coś to dla niej znaczyło... może chciała wierzyć w tę przepowiednię... Może właśnie dlatego wybrała się do baru? Szukała kogoś,

na kogo czekała całe życie. A okazało się, że spotkała tylko pijanego kierowcę ciężarówki, który ją potracił i wepchnął do rowu pięćdziesiąt stóp dalej.

– Wingo – mruknęłam, zabierając się do robienia zdjęć. – Lepiej nie wyobrażać sobie podobnych rzeczy...

– Ale ja nie potrafię...

– To się naucz.

Spojrzał zranionym wzrokiem w kierunku drzwi, za którymi zniknął Marino; ten nigdy nie spoczął, dopóki nie dopiekl chłopakowi. Biedny Wingo. Większość członków okrutnego i bezwzględnego świata wymiaru sprawiedliwości zupełnie go nie rozumiała: nie śmiał się z ich dowcipów ani nie zachwycali go ich opowieści z pola walki... poza tym, był, no, trochę dziwny.

Wysoki i szczupły, miał czarne włosy przystrzyżone bardzo krótko wokół głowy, z roztrzepanym wiechciem na czubku i cienkim pejsikiem wijącym się na karku. Miał ten typ delikatnej urody, że w swych luźnych ubraniach i europejskich skórzanych butach z łatwością mógł uchodzić za modela. Nawet jego niebieski fartuch, który sam kupił i sam prał, miał w sobie coś stylowego. Nie flirtował ze mną; zdawało się, że nie ma nic przeciwko temu, by kobieta wydawała mu polecenia. Nigdy nie zdawał się w najmniejszym stopniu zainteresowany tym, jak wyglądam pod fartuchem czy kostiumem. Czułam się przy nim tak swobodnie, że gdy przy paru okazjach wszedł do szatni, kiedy się przebierałam, właściwie nie zwróciłam na to uwagi.

Podejrzewam, że gdybym zastanowiła się nad jego seksualnymi preferencjami, gdy kilka miesięcy temu ubiegał się o pracę, mogłabym mieć więcej wątpliwości i być może wcale bym go nie zatrudniła, ale nawet przed sobą nie lubiałam się do tego przyznawać.

Jakże łatwo jest myśleć stereotypowo, gdy na co dzień spotyka się najgorszych z każdego rodzaju ludzi. W kostnicy widziałam transwestytów ze sztucznymi piersiami i sztucznie wypełnionymi biodrami; homoseksualistów, którzy wpadli w furję i zamordowali swych kochanków, albo młodociane męskie prostytutki, zamordowane gdzieś w krzakach przez homofobów. Widziałam więźniów z obscenicznymi tatuażami na całym ciele, którzy znani byli z gwałcenia wszystkiego, co tylko chodziło na dwóch nogach, oraz zarażonych AIDS zagorzałych przeciwników kondomów, którzy zabawiali się w łaźniach i barach, nie przejmując się tym, kto złapie od nich śmiertelną chorobę.

Wingo nie pasował do żadnej z tych grup. Wingo był po prostu sobą i kropka.

– Da pani sobie tu już radę? – spytał; gniewnymi ruchami mył rękawiczki i ręce z krwi.

– Taak, sama dokończę – odrzekłam, mierząc jednocześnie długość rany na tylnej powierzchni uda dziewczyny.

Wingo podszedł do szafki pod ścianą i wyjął buteleczki płynu dezynfekującego, szmatki i inne dziwne przedmioty, których używał do czyszczenia piły. Potem wsadził na głowę małe słuchawki od walkmana, którego stale nosił przy pasku od spodni, i po chwili, pogrążony w muzyce i pracy, zapomniał o całym świecie.

Piętnaście minut później czyścił małą lodóweczkę, gdzie przez weekend przechowywaliśmy dowody z autopsji. Kątem oka zobaczyłam, że coś z niej wyciąga i przygląda się temu przez długą chwilę.

Kiedy podszedł do stołu, przy którym pracowałam, słuchawki walkmana miał zsunięte na szyję; na jego twarzy malował się dziwny wyraz. W dłoni trzymał niedużą tekturową teczkę z próbkami PERK-u.

– Um... doktor Scarpetta? – odezwał się, odkaszlnąwszy cicho. – Znalazłem to w lodówce.

Nie powiedział nic więcej.

Nie było takiej potrzeby.

Z przykrym uczuciem ściskania w żołądku odłożyłam skalpel. Z boku teczki napisany był numer sprawy, imię i nazwisko oraz data autopsji Lori Petersen – z której dowody oddałam cztery dni temu.

– Znalazłeś to w lodówce? Coś tu nie gra.

– Z tyłu, na dolnej półce. – Zawahał się, po czym dodał: – Nie jest podpisana. Chodzi mi o to, że pani jej nie podpisała.

Musiało istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie.

– Oczywiście, że jej nie podpisałam – odparłam ostro. – W sprawie Lori Petersen zebrałam tylko jeden PERK, Wingo.

Ale już w chwili gdy wypowiadałam te słowa, poczułam niepokój; usiłowałam sobie przypomnieć, jak to było.

Przechowałam próbki z autopsji Lori Petersen w lodówce przez weekend wraz z próbkami z innych sobotnich spraw. Jak przez mgłę pamiętałam, że własnoręcznie dostarczyłam jej PERK do laboratorium w poniedziałek wraz z tekturową teczką, w której znajdowały się próbki wymazów z ust, odbytu i pochwy. Nigdy nie oddawałam do analizy wyłącznie PERK-u, zawsze załączałam plastikowe torebki z próbkami włosów, próbówki i wszystko inne.

– Nie mam pojęcia, skąd to się tu wzięło – rzekłam z przekonaniem.

Niespokojnie przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i odwrócił wzrok. Doskonale wiedziałam, o czym myśli; dałam plamę, a on bardzo nie chciał mówić mi tego w oczy.

Zawsze istniało zagrożenie. Przerabialiśmy to z Wingo setki razy w przeszłości, odkąd Margaret wprowadziła do komputera w kostnicy

program do oznakowywania próbek.

Zanim którykolwiek z patologów rozpoczął autopsję, szedł do komputera i wpisywał dane osobowe delikwenta, którego miał kroić. Komputer generował tabele na wpisanie wszystkich możliwych do zgromadzenia próbek, takich jak krew, żółć, mocz, zawartość żołądka oraz PERK i drukował odpowiednie etykiety na papierze samoprzylepnym. Zaoszczędzało to mnóstwo czasu; zakładając – rzecz jasna – że patolog będzie bardzo uważał i odpowiednią tabelkę naklei na właściwą tubkę.

Był tylko jeden aspekt tego cudu techniki, który mnie niepokoił – zawsze zostawało kilka etykietek niezapisanych, ponieważ nigdy nie udało się nam zebrać wszystkich próbek; laboratoria były przeładowane pracą, a siły roboczej zawsze było za mało. Niby po co miałam wysłać ścinki paznokci do analizy, skoro osiemdziesięcioletni pacjent zszedł na zawał podczas koszenia trawnika?

Co zrobić z wolnymi etykietkami? Z całą pewnością lepiej było nie zostawiać ich na wierzchu, bo zawsze ktoś mógł się pomylić i przykleić je na niewłaściwe tubki. Większość patologów po prostu darła je i wyrzucała do kosza. Ja miałam zwyczaj wkładać je do akt sprawy zmarłego, by w każdej chwili wiedzieć, co w jego przypadku było badane, a co nie, i jak dużo próbek wysłałam do analizy.

Wingo przeszedł na koniec sali i sprawdził dziennik; czułam na sobie wzrok Marino, nadal czekającego za szklanymi drzwiami na kule wyciągnięte z ciała denata. Ruszył w moją stronę, gdy tylko Wingo znowu przy mnie stanął.

– Tamtego dnia mieliśmy sześć spraw – odezwał się, jakby nie widząc zbliżającego się Marino. – To była sobota; dobrze pamiętam. Na stole leżało mnóstwo etykietek, może więc jedna z nich...

– Nie – odparłam głośno. – Zupełnie nie widzę, jak by to się mogło stać... Nie zostawiłam na wierzchu ani jednej etykiety z jej sprawy. Były przy moich dokumentach, przypięte do nich...

– Cholera – zaklął Marino ze zdumieniem. Spoglądał mi przez ramię. – Czy to jest to, co mi się wydaje?

Pospiesznie ściągnęłam rękawiczki, wzięłam kartonowy folder od Wingo, podważyłam taśmę klejącą i zajrzałam do środka. Wewnątrz znajdowały się cztery próbki, z czego trzy były czymś umazane, lecz nikt ich nie oznakował w standardowy sposób literkami „O”, „A” i „W” w zależności od zawartości; w ogóle nie były oznakowane z wyjątkiem standardowej etykiety na zewnątrz.

– Może więc oznaczyła to pani, chciała do czegoś użyć, a potem się rozmyśliła? – zasugerował Wingo.

Nie odpowiedziałam od razu; nie mogłam sobie przypomnieć!

– Kiedy ostatni raz sprawdzałeś zawartość lodówki? – spytałam.

Wzruszył ramionami.

– W zeszłym tygodniu; zdaje się, że w ubiegły poniedziałek, kiedy wyciągałem wszystkie próbki, by doktorzy mogli je zanieść na górę do laboratoriów. W ostatni poniedziałek miałem wolne. Dziś po raz pierwszy od zeszłego tygodnia zajrzałem do środka.

Dopiero teraz przypominałam sobie, że w poniedziałek Wingo faktycznie miał urlop; osobiście wyjęłam próbki ze sprawy Lori Petersen z lodówki i zniosłam je na górę. Czy jest możliwe, bym zapomniała o kartonowej teczce? Czy jest możliwe, bym była tak zmęczona, tak rozkojarzona, że pomyliłam próbki z jej sprawy z próbkami któregoś z pozostałych nieboszczyków? A jeżeli tak, to który z PERK-ów faktycznie pochodził od Lori Petersen, ten, który oddałam do laboratorium, czy ten,

który teraz trzymałam w rękach? To chyba sen! Przecież zawsze uważałam, co robię!

Rzadko kiedy wychodziłam z kostnicy, nie zmieniawszy ubrania; właściwie nigdy. Nawet w czasie alarmu przeciwpożarowego. Kilka minut później laboranci przyglądali mi się ze zdumieniem, gdy wpadłam na górę w zielonym fartuchu zachlapanym krwią. Betty siedziała w swoim maleńkim gabinecie na trzecim piętrze i popijała kawę. Wystarczyło, by na mnie spojrzała; zamarła z kubkiem w pół drogi do ust.

– Mamy problem – rzekłam bez wstępu. Patrzyła na kartonowy folder, który miałam w ręce; na etykietkę.

– Wingo znalazł to przed kilku minutami w lodówce na dole.

– Och, Boże – szepnęła.

Idąc za nią do laboratorium serologicznego, wyjaśniłam, że nie pamiętam, bym robiła podwójne wymazy ani dwa zestawy PERK w sprawie Lori Petersen; nie miałam pojęcia, co się dzieje.

Betty naciągnęła rękawiczki i sięgnęła po buteleczki stojące w specjalnej szafce.

– Uważam, że te, które mi przysłałaś, Kay, to prawdziwe wymazy Lori Petersen – powiedziała. – Pasują do innych próbek płynów organicznych z jej ciała, a także wyszło na nich, że napastnik był nonsekreterem. To, co znalazł Wingo, musi być dodatkowym zestawem, o którym po prostu zapomniałaś.

Znowu poczułam wątpliwości. Przecież zebrałam tylko jeden zestaw wymazów, prawda? Czy mogłabym przysiąc? Ostatnia sobota jawiła się w mej pamięci jako ciąg rozmytych wydarzeń. Nie potrafiłam przypomnieć sobie wszystkich swoich kroków z absolutną pewnością.

– Podejrzewam, że nie ma przy tym żadnych innych próbek? – spytała Betty.

– Żadnych – odparłam. – Tylko folder wymazów. To wszystko, co Wingo znalazł.

– Hmm – mruknęła. – Zobaczmy, co tu mamy. – Ułożyła wymazy pod mikroskopem, przyglądała im się przez dłuższą chwilę, a potem rzekła: – Mamy tu duże łuskowate komórki, czyli to wymazy albo z ust, albo z pochwy; na pewno nie z odbytu. No i – dodała – nie widzę spermy.

– Boże – jęknęłam.

– Zaraz sprawdzimy – odrzekła.

Otworzyła pakieciki z wymazami i pokropiła je wodą, potarła o nie papierowe krążki i za pomocą medycznego zakraplacza dodała do nich kilka kropel odczynnika. Następnie niebieską sól... Czekaliśmy na pierwsze przebłyski purpury, lecz nic się nie stało.

Wymazy nie zareagowały. Mokre plamki na białych krążkach papieru bardzo mnie niepokoiły. Wpatrywałam się w nie przez długi czas, jakbym chciała zmusić je do zareagowania... jak gdybym chciała, żeby potwierdziły obecność płynu nasiennego. Chciałam wierzyć, że to, co znalazł Wingo, było dodatkowym zestawem wymazów; chciałam wierzyć, że faktycznie zrobiłam dwa zestawy PERK-u i tylko o tym nie pamiętałam. Nie chciałam wierzyć tylko w to, co widziałam przed oczyma.

Wymazy, które Wingo znalazł w lodówce, nie mogły pochodzić ze sprawy Lori Petersen. To było niemożliwe.

Ponura mina Betty zdradzała, że i ona się martwi; robiła, co w jej mocy, by to przede mną ukryć, lecz znałam ją zbyt dobrze.

Potrząsnęłam głową.

– W takim razie mało prawdopodobne, by pochodziły ze sprawy Lori Petersen – wreszcie odezwała się niechętnie. – Zrobię, co tylko można, by je pogrupować. Zobaczę, czy nie mają w sobie ciałek Barra albo czegoś w tym stylu.

– Będę ci bardzo wdzięczna – odparłam, oddychając głęboko.

– Płyny, które oddzieliłam od płynów ustrojowych zabójcy, zgadzają się z próbkami krwi Lori – ciągnęła, najwyraźniej starając się mnie pocieszyć.

– Nie sądzę, byś miała powód do zmartwień. Nie mam żadnych wątpliwości co do próbek, które mi przyniosłaś w poniedziałek...

– Ale ludzie będą mieć wątpliwości – odparłam, bardzo nieszczęśliwa.

Prawnikom to się spodoba. Dobry Boże, ależ będą zachwyceni. Sprawią, że sędziowie przysięgli będą wątpić w tożsamość każdej próbki pobranej z ciała Lori; sprawią, że ława przysięgłych zacznie podejrzewać, czy aby do Nowego Jorku na badania DNA wysłaliśmy odpowiednie próbki. Niby kto może im zagwarantować, że nie pochodziły z ciała innej ofiary, zupełnie nie związanej ze sprawą Dusiciela?

– Tamtego dnia mieliśmy sześć spraw, Betty – powiedziałam; ledwie mogłam powstrzymać drżenie głosu. – Trzy z nich wymagały pobrania PERK-u, gdyż istniało prawdopodobieństwo wykorzystania seksualnego.

– Trzy kobiety?

– Tak – mruknęłam w odpowiedzi. – Same kobiety.

Dręczyło mnie to, co powiedział w środę Bill, gdy alkohol rozwiązał mu język. Co będzie z tymi sprawami, jeżeli ktoś podważy moją wiarygodność? Sędziowie przysięgli zwątpią w dowody nie tylko z autopsji Lori Petersen, ale wszystkich ofiar. Zostałam przyparta do muru, bez żadnej możliwości ucieczki. Nie mogłam udawać, że folder do niczego nie pasujących wymazów nie istnieje; istniał i przez niego nie mogłabym przysiąc w sądzie, że łańcuch dowodów rzeczowych nie został naruszony.

Nie miałam drugiej szansy na zebranie próbek z ciała Lori, gdyż – po pierwsze – cały zestaw z jej sprawy został już dostarczony do laboratorium w Nowym Jorku, a po drugie, zabalsamowane ciało doktor Lori Petersen

we wtorek spoczęło na cmentarzu. Ekshumacja w niczym by mi nie pomogła – wszyscy chcieliby wiedzieć, po co tyle zachodu.

Do pokoju wszedł Marino; obie z Betty obróciłyśmy się do niego w tej samej chwili.

– Właśnie coś mi przyszło do głowy, doktorku. – Urwał; na jego twarzy pojawiła się zacięta mina, gdy zobaczył wymazy i próbki rozłożone na stole. Patrzyłam na niego tępym wzrokiem. Czekałam. – Na twoim miejscu zaniósłbym ten PERK do Vandera. Może to ty zostawiłaś go w lodówce, ale to wcale nie jest takie pewne.

Kiedy wreszcie dotarło do mnie znaczenie jego słów, poczułam rosnącą panikę.

– Co takiego? – zapytałam. Czy on oszalał? – Chcesz powiedzieć, że ktoś inny mógł go tam podłożyć?

Marino wzruszył ramionami.

– Po prostu sugeruję, byś rozważyła każdą możliwość. – Kto?

– Nie mam pojęcia.

– Jak? Jak to możliwe? Najpierw ktoś musiałby się dostać do kostnicy... włączyć się do lodówki z dowodami. A etykieta...

Etykieta wskazywała na mnie. Wszystkie niewykorzystane etykiety ze sprawy Lori Petersen były przypięte do teczki z jej aktami; nikt oprócz mnie nie miał do nich dostępu. Ale przecież w poniedziałek pokazałam je Amburgeyowi, Boltzowi i Tannerowi.

Kiedy trzech mężczyzn wyszli z mego biura w poniedziałek wieczorem, frontowe drzwi były już od dawna zamknięte. Wszyscy musieli wychodzić przez kostnicę. Amburgey i Tanner poszli pierwsi, a my z Billem nieco później.

Co prawda drzwi do sali autopsyjnej były już zamknięte, lecz ogromna chłodnia całą noc pozostaje otwarta, by sanitariusze i pracownicy domów

pogrzebowych mogli dostarczać ciała po godzinach pracy biura koronera. Chłodnia ma dwie pary drzwi – jedne od korytarza, drugie wiodące do sali autopsyjnej. Czyżby weszli przez chłodnię do sali? Na półce obok pierwszego stołu zazwyczaj stało kilka zestawów próbek, włącznie z folderami PERK; Wingo zawsze trzymał zapas. Sięgnęłam po telefon, wykręciłam numer na biurko Rose, poinstruowałam ją, by wyciągnęła z szuflady w moim biurku teczkę z aktami sprawy doktor Petersen.

– W środku powinny znajdować się etykiety na dowody – wyjaśniłam.

Podczas gdy ona poszła spełnić moje polecenie, usiłowałam sobie przypomnieć; zostało mi sześć, może siedem etykietek... nie dlatego, że zebrałam za mało próbek, lecz dlatego, że zebrałam ich prawie dwa razy więcej niż zazwyczaj i kazałam komputerowi wygenerować dwa zestawy. Do akt powinny być przypięte etykiety na serce, płuca, nerki i inne organy oraz jedna dodatkowa etykieta na PERK.

– Doktor Scarpetta? – Rose już wróciła. – Znalazłam te etykiety, o których pani mówiła.

– Ile?

– Niech sprawdzę. Pięć.

– Na co?

– Serce, płuca, śledzionę, żółć i wątrobę.

– I to wszystko?

– Tak.

– Jesteś pewna, że nie ma tam etykiety na PERK?

Chwila przerwy.

– Jestem pewna; jest ich tylko pięć.

– Coś mi się zdaje, że jeżeli to ty przykleiłaś tę etykietykę, to powinny być na niej twoje odciski palców – odezwał się Marino.

– Nie, jeżeli miała na rękach rękawiczki – ostudziła go Betty, która przyglądała się temu wszystkiemu ze zdumieniem.

– Zazwyczaj nie noszę rękawiczek, gdy przyklejam etykiety na tubki z dowodami – mruknęłam. – Są zakrwawione. Rękawiczki po sekcji są zawsze zakrwawione.

– Okay – odrzekł Marino. – Więc nie miałś na sobie rękawiczek, a Dingo...

– Wingo – przerwałam mu ze złością. – On ma na imię Wingo!

– Jak sobie życzysz. – Marino odwrócił się ku drzwiom. – Chodzi mi o to, że jeżeli dotykałaś tego PERK-u gołymi rękoma, to zostały twoje odciski palców. – Z korytarza doszedł do nas jeszcze jego głos: – Ale niczyich innych odcisków nie powinno być, nie?

Rozdział dziesiąty

I niczyich innych nie było. Jedyne nadające się do zidentyfikowania odciski palców na kartonowym folderze należały do mnie.

Na powierzchni Vander znalazł co prawda kilka smug i jeszcze coś, czego się zupełnie nie spodziewałam; przez chwilę zupełnie zapomniałam o przykrym powodzie mojej wizyty w jego laboratorium.

Vander bombardował folder promieniami lasera i nagle jego powierzchnia rozbłysła tysiącem świecących gwiazdek, niczym bożonarodzeniowe niebo.

– Toż to szaleństwo – mruknął już po raz trzeci tego dnia.

– To cholerne świństwo musiało się tu dostać z moich rąk – rzekłam z niedowierzaniem. – Wingo miał na rękach rękawiczki, tak samo jak Betty...

Vander włączył górne światło i potrząsnął głową.

– Gdybyś była mężczyzną, zadzwoniłbym na policję, żeby cię przesłuchali.

– I wcale nie miałabym do ciebie o to pretensji.

– Przemyśl wszystko, co od rana robiłaś, Kay – powiedział z napięciem.

– Musimy się upewnić, że to faktycznie ty przenosisz tę substancję. Jeżeli tak, to musimy powtórnie przeanalizować założenia dotyczące tych zabójstw... świecących gwiazdek, które przy wszystkich znajdowaliśmy...

– Nie – przerwałam. – To niemożliwe, bym to ja zostawiała tę substancję na ciałach, Neils. Za każdym razem podczas autopsji nosiłam rękawiczki. Zdjęłam je, gdy Wingo podał mi folder PERK. Dotykałam go gołymi rękoma.

– A co z lakierem do włosów, jakimiś kosmetykami? – nalegał. – Może to pochodzi od czegoś, czego codziennie używasz?

– Niemożliwe – powtórzyłam. – Nigdy do tej pory, na żadnym z ciał, nie znaleźliśmy takiej substancji. Pojawiła się tylko na ofiarach Dusiciela.

– Masz rację. – Zamyślił się na długą chwilę. – Betty i Wingo mieli na sobie rękawiczki, gdy dotykali tego foldera, tak? – upewnił się.

– Tak, dlatego nie zostawili żadnych odcisków palców.

– Jest więc mało prawdopodobne, by ta substancja pochodziła od nich?

– To ja musiałam ją przenieść na folder. Chyba że ktoś inny go dotykał.

– Nadal uważasz, że ktoś ci go podrzucił do lodówki? – Vander popatrzył na mnie sceptycznie. – Jedyne odciski, które znaleźliśmy, należą do ciebie, Kay.

– A te smugi, Neils?

Każdy mógł je zostawić. Oczywiście, że miałam rację, lecz widziałam, że Vander mi nie wierzy.

– Co dokładnie robiłaś, zanim przyszłaś na górę? – spytał.

– Sekcję zwłok ofiary wypadku drogowego.

– A potem?

– A potem Wingo przyniósł mi ten folder, a ja poszłam z nim prosto do Betty.

Spojrzał na mój zachlapany krwią fartuch i dodał:

– Podczas sekcji nosiłaś rękawiczki, tak?

– Oczywiście, i zdjęłam je, gdy Wingo podał mi folder, już ci to wyjaśniłam...

– Rękawiczki są zazwyczaj wysypywane talkiem.

– Wątpię, by to było aż tak proste.

– Pewnie nie, ale to już jakiś początek.

Zeszłam z powrotem do sali autopsyjnej i przyniosłam parę identycznych lateksowych rękawiczek; kilka minut później Vander rozerwał sterylne opakowanie, wyrzucił rękawiczki na lewą stronę i wsadził pod laser.

Nic, ani jednej błyszczącej gwiazdki. Talk nie zareagował na promienie lasera; właściwie od początku w to wątpiłam. W przeszłości sprawdziliśmy już wiele proszków znalezionych w domach ofiar Dusiciela, większość z nich została zrobiona na bazie talku i żadna nie zareagowała na laser.

Znowu włączyliśmy światło; zapaliłam papierosa i zamyśliłam się głęboko. Usiłowałam wyobrazić sobie każdy swój ruch, począwszy od chwili, gdy Wingo podał mi folder, a skończywszy na moim przyjeździe do laboratorium Vandera. Dłubałam w tętnicy szyjnej, gdy podszedł Wingo z PERK-iem; odłożyłam skalpel, zdjęłam rękawiczki i otworzyłam folder, by przyrzeć się wymazom. Podeszłam do zlewu i pośpiesznie umyłam ręce, potem wytarłam je w papierowy ręcznik. Później poszłam na górę do Betty. Czy dotknęłam czegośkolwiek w jej laboratorium? Nie pamiętałam.

Była to jedyna rzecz, która mi przychodziła do głowy.

– Czy możliwe, że to mydło, którym na dole umyłam ręce?

– Wątpię – odrzekł Vander bez zastanowienia. – Zwłaszcza jeżeli dokładnie je spłukałaś. Gdyby zwyczajne mydło reagowało na laser nawet po spłukaniu, znajdowałibyśmy je na każdym ciele i przedmiocie, którego byśmy dotknęli. Jestem pewien, że to świństwo pochodzi od czegoś granulowanego, od jakiegoś rodzaju proszku. Mydło dezynfekujące, to jakiego używasz na dole jest w płynie, nieprawdaż?

Prawda, ale nie tego użyłam. Zbyt się spieszyłam, by iść do szatni na tyłach i umyć ręce różowym dezynfekującym mydłem w płynie. Podeszłam do zlewu znajdującego się najbliżej mnie, tego w sali autopsyjnej, przy którym wisiał pojemnik z szarym mydłem w proszku, które znajdowało się

w toaletach całego budynku. To mydło było tanie i nasz wydział zamawiał je tonami. Nie miałam pojęcia, co w nim było; było bezzapachowe, nie pieniało się ani nie rozpuszczało w wodzie. Mycie się nim przypominało szorowanie się mokrym piaskiem.

W korytarzu na tym samym piętrze znajdowała się damska toaleta; wyszłam na moment i wróciłam z całą garścią szarego proszku. Wyłączyliśmy światło i Vander podświetlił moją dłoń laserem.

Mydło rozświeciło się szalonym, neonowym blaskiem.

– A niech mnie szlag...

Vander był strasznie podniecony, lecz go nie rozumiałam. Desperacko chciałam dowiedzieć się, skąd pochodziła błyszcząca substancja, którą znajdowaliśmy na ciałach ofiar Dusiciela, lecz nigdy, w najdzikszych fantazjach, nie domyślałam się, że możemy ją znaleźć w każdej łazience w moim budynku.

Nadal nie byłam przekonana. Czy substancja na folderze pochodziła naprawdę z moich rąk? A jeżeli nie?

Sprawdziliśmy.

W laboratoriach strzelniczych rutynowo dokonuje się setek prób strzelniczych, by ustalić dystans i trajektorię lotu pocisku. Wraz z Vanderem przeprowadziliśmy serię próbnych myć, aby ustalić, jak dokładnie można opłukać i wysuszyć ręce, by nic ze świecącej substancji na nich nie zostało odnalezione pod laserem.

Neils energicznie umył ręce szarym proszkiem, opłukał je i wytarł w papierowy ręcznik. Laser podświetlił dosłownie kilka gwiazdek i to wszystko. Usiłowałam odtworzyć sposób, w jaki umyłam ręce na dole – rezultatem było mnóstwo świecących gwiazdek na nich oraz na wszystkim, czego się dotknęłam; przenosiłam je na blat stołu, rękaw fartucha Vandera,

książki. Im więcej przedmiotów dotknęłam, tym mniej substancji zostawało mi na dłoniach.

Wróciłam do toalety i przyniosłam cały styropianowy kubek po kawie proszku. Myliśmy i szorowaliśmy, tarliśmy i płukaliśmy. Zapalaliśmy i gasiliśmy światło, włączaliśmy laser i wyłączaliśmy, aż wreszcie wszędzie dokoła zlewu widniały błyszczące gwiazdki.

Jedno było interesujące – im więcej razy myliśmy i wycieraliśmy dłonie, tym więcej gwiazdek się na nich gromadziło; dostawały się pod paznokcie, przyczepiały do nadgarstków i mankietów rękawów; przyklejały się do naszych ubrań, włosów, twarzy i szyj – zostawały na każdej powierzchni, której dotknęliśmy. Po jakichś czterdziestu pięciu minutach eksperymentalnego mycia w świetle lamp wyglądaliśmy z Vanderem zupełnie normalnie, lecz pod laserem mieniliśmy się niczym bożonarodzeniowe choinki.

– Cholera – wykrzyknął Vander w ciemnościach; nigdy wcześniej nie słyszałam, by klął. – Popatrz tylko na to draństwo! Ten potwór musi mieć świra na punkcie czystości. Żeby zostawiać tego po sobie tak dużo, musi myć ręce ze dwadzieścia razy dziennie.

– Taak, jeżeli to mydło jest faktycznie odpowiedzią na nasze pytania – przypomniałam mu spokojnie.

– Tak, tak, oczywiście.

Modliłam się w duchu, by naukowcy z laboratorium piętro wyżej raz jeszcze użyli swych magicznych sztuczek. Jednak ani oni, ani nikt inny nie są w stanie ustalić, jak folder PERK-u znalazł się na dnie lodówki.

Znowu usłyszałam niepokojący głosik na dnie umysłu.

Po prostu nie potrafisz przyznać się do błędu, powiedziałam sobie. Po prostu nie potrafisz pogodzić się z prawdą. Źle oznaczyłaś próbki PERK-u, a substancja na folderze pochodzi z twoich rąk.

Ale jeżeli nie? Jeżeli zdarzyło coś zupełnie innego? Jeżeli ktoś rozmyślnie podłożył PERK do lodówki i migotliwa substancja pochodziła z jego rąk, a nie moich? Była to dziwna myśl; chyba już oszalałam i paranoidalna wyobraźnia podsuwa mi niestworzone rzeczy.

Jak na razie podobna substancja została znaleziona na ciałach wszystkich czterech zamordowanych kobiet.

Wiedziałam, że foldera na pewno dotykał Wingo, Betty, Vander i ja. Innymi osobami, które mogły mieć go w rękach, byli Tanner, Amburgey i Bill.

Przed oczyma zobaczyłam jego twarz. Przypomniałam sobie nasze poniedziałkowe spotkanie i poczułam chłód; Bill był tak niedostępny podczas rozmowy z Tannerem i Amburgeyem. Nie potrafił spojrzeć mi w oczy ani wtedy, ani gdy we trzech siedzieli w moim pokoju konferencyjnym, przeglądając akta spraw.

Zobaczyłam teczki spadające z jego kolan na podłogę i rozsypujące się pod stołem. Tanner bardzo szybko zaoferował się je podnieść... jego pomoc była automatyczna; ale to Bill w końcu podniósł papiery, między którymi znajdowały się nie wykorzystane etykiety. Kiedy wraz z Tannerem porządkowali akta, jakże łatwo byłoby któremuś z nich zabrać je i niepostrzeżenie wsunąć do kieszeni...

Później Tanner wyszedł wraz z Amburgeyem, ale Bill został ze mną. Przez jakieś dziesięć, piętnaście minut rozmawialiśmy w biurze Margaret; był czuły i obiecywał, że kilka drinków i wspólnie spędzony wieczór ukoją moje nerwy.

Wyszedł na długo przede mną; wracał sam, przez nikogo nie obserwowany...

Wyrzuciłam te obrazy z umysłu; to było oburzające. Traciłam panowanie nad sobą. Bill nigdy nie zrobiłby mi czegoś podobnego. Nie miałby w tym

żadnego celu. Zupełnie nie rozumiałam, co mogłoby mu przyjść z sabotowania mojej pracy? Źle przyklejone etykiety na dowodach rzeczowych mogły rozłożyć w sądzie sprawę, w której on ewentualnie byłby oskarżycielem. W ten sposób popełniłby profesjonalne samobójstwo.

Chcesz kogoś obwinić za własne błędy, bo nie potrafisz się do nich przyznać!

Te sprawy Dusiciela są najdziwniejszymi, z jakimi spotkałam się w całej karierze; panikowałam, bo zbyt się w nie zaangażowałam. Może popełniłam błąd? Może przestałam myśleć racjonalnie i poddałam się fantazjom?

– Musimy ustalić skład tego draństwa – odezwał się Vander.

Jak ostrożni klienci, musieliśmy znaleźć pudełko po mydle i uważnie przeczytać skład.

– Sprawdzę w damskiej toalecie – zaproponowałam.

– A ja w męskiej.

Cóż to było za poszukiwanie!

Po sprawdzeniu niemal wszystkich w budynku poszłam po rozum do głowy i odszukałam Wingo. Jednym z jego obowiązków było wypełnianie pojemników na mydło w całej kostnicy. Skierował mnie do małego pokoiku na pierwszym piętrze, kilkanaście jardów od mego gabinetu; tam, na górnej półce, obok sterty szmat do podłogi, stało ogromne pudło szarego mydła o nazwie borawash.

Głównym jego składnikiem był borax.

Szybko sprawdziłam w podręczniku chemicznym, dlaczego to świństwo rozświeciła się niczym fajerwerki na święto Czwartego Lipca. Boraks jest związkiem boru, krystaliczną substancją, która w wysokich temperaturach przewodzi prąd niczym metal. W przemyśle używana jest do wytwarzania

ceramiki, produkcji szkła, proszków do mycia i środków dezynfekujących, a także paliwa raketowego.

Jak na ironię, największe złoża boraksu znajdują się w Dolinie Śmierci.

Nadszedł piątkowy wieczór i Marino nie zadzwonił.

O godzinie siódmej następnego ranka zaparkowałam samochód na tyłach budynku kostnicy, weszłam do środka i z niepokojem sprawdziłam poranne wpisy do rejestru.

Powinłam wiedzieć lepiej. Byłabym pierwszą osobą powiadomioną przez policję. Nie znałam ani jednego ciała, którego bym się nie spodziewała, lecz cisza panująca w budynku wydawała mi się złowieszcza.

Nie mogłam otrząsnąć się z wrażenia, że czeka na mnie następna zamordowana kobieta, że morderca znowu uderzył. Cały czas spodziewałam się telefonu od Marino.

O wpół do ósmej z domu zadzwonił do mnie Vander.

– Masz coś? – spytał.

– Zadzwonię, jeżeli tylko będziesz mi potrzebny – odparłam.

– Będę pod telefonem.

Na górze, w jego laboratorium stał na wózku laser, przygotowany na wszelki wypadek, gdyby był potrzebny w ciemni na dole. Wczoraj późnym popołudniem zarezerwowałam pierwszy stół autopsyjny, a Wingo wyczyścił go na wysoki połysk i ustawił obok dwa wózki wszelkich możliwych narzędzi chirurgicznych; stół i wózki jak na razie nie były mi potrzebne.

Jedynymi sprawami tego dnia była autopsja faceta z Fredricksburga, który przedawkował kokainę, oraz sekcja denata, który utopił się gdzieś w jeziorach powiatu James City.

Tuż przed południem pracowałam w kostnicy sam na sam z Wingo; ja myłam skalpele, a on wycierał podłogę. Słyszałam ciche skrzypienie jego

trampek na mokrych klepkach.

– Podobno wczoraj postawili na nogi ponad stu nadprogramowych policjantów – odezwał się w pewnej chwili.

Przeszłam do biurka i zaczęłam wypisywać akty zgonów.

– Miejmy nadzieję, że na coś się to zdało.

– Na jego miejscu nie wytknąłbym wczoraj nosa z domu. – Wingo zabrał się do wycierania stołów. – Musiałby być szalony, żeby się na to odważyć. Jeden z gliniarzy powiedział mi, że zatrzymywali każdego, kto się włóczył po ulicach. Jeżeli zobaczyli kogoś wychodzącego na spacer bez psa, zatrzymywali go. A jeśli widzieli samochód zaparkowany w dziwnym miejscu, spisywali numery rejestracyjne.

– Jaki gliniarz? – Spojrzałam na niego; tego dnia nie mieliśmy żadnego ciała z Richmond, więc żaden gliniarz z Richmond nie pojawił się w kostnicy. – Kto ci o tym mówił?

– Taki jeden z powiatu James City, który przyjechał z tym topielcem.

– Z powiatu James City? Skąd on wiedział, co się działo wczoraj w Richmond?

Wingo popatrzył na mnie ciekawie.

– Bo jego brat jest tu gliniarzem.

Odwróciłam się, by nie mógł zobaczyć mej irytacji. Zbyt wiele osób nie potrafiło trzymać gęby na kłódkę. Gliniarz, którego brat pracował dla policji Richmond, powiedział to wszystko Wingo, obcemu człowiekowi, ot tak? Co jeszcze mówił? I komu? Stanowczo zbyt wiele się mówi o tych sprawach. Złapałam się na tym, że nawet w najniewinniejszych zdaniach doszukuję się podtekstów.

– Moim zdaniem facet przywarował – kontynuował Wingo. – Chce się ukryć, dopóki wszystko nie przycichnie. – Urwał i ostatnim pociągnięciem

szmatki dokończył mycie stołu. – Albo to, albo też zamordował kogoś zeszłej nocy, tylko jeszcze nie znaleziono ciała.

Nic nie odpowiedziałam, czując, że wzbiera we mnie irytacja.

– Chociaż sam nie wiem. Trudno jest mi uwierzyć, żeby jednak spróbował. Moim zdaniem to by było zbyt ryzykowne. Ale wiem, jakie są teorie na ten temat... Mówią, że niektórzy tacy faceci dostają z czasem absolutnej szajby. Niby wodzą wszystkich za nosy, ale tak naprawdę to chcą, żeby ich złapano. Nie potrafią się powstrzymać od popełniania przestępstw i błagają, by ktoś to zrobił za nich...

– Wingo – ostrzegłam go, lecz mnie nie słuchał.

– Możliwe, że jest po prostu chory... – ciągnął. – Jestem pewien, że zdaje sobie z tego sprawę. Może błaga, by ktoś go uratował od samego siebie...

– Wingo! – Podniosłam głos i gwałtownie odwróciłam się do niego na krześle. Chciałam odwołać te słowa, lecz już było za późno; wisiały w ciszy kostnicy... – On nie chce zostać złapany!

Rozchylił usta, zdziwiony moim gniewem.

– Ojej... Nie chciałem pani zdenerwować, doktor Scarpetta, ja tylko...

– Wcale nie jestem zdenerwowana – warknęłam. – Ale ludzie tacy jak ten sukinsyn wcale nie chcą zostać złapani, okay? On nie jest chory! Okay? To psychopata, zły do szpiku kości... robi to, bo to właśnie lubi, okay? On chce to robić.

Wingo, skrzypiąc cicho butami po podłodze, przeszedł do zlewu i zaczął go myć małą szczoteczką. Nie patrzył na mnie.

Przyglądałam mu się długą chwilę; poczułam wyrzuty sumienia.

Mył zlew, nie podnosząc głowy, a ja czułam się naprawdę fatalnie.

– Wingo? – Wstałam od biurka. – Wingo? – Niechętnie podszedł do mnie, a ja lekko dotknęłam jego ramienia. – Przepraszam. Nie miałam żadnego powodu, by na ciebie naskakiwać.

– Nie ma sprawy – odparł; niepokój w jego oczach działał mi na nerwy.
– Wiem, co pani teraz przechodzi... Te sprawy mnie też przyprawiają o szaleństwo. Cały czas siedzę i usiłuję coś wymyślić... Ma pani na głowie strasznie dużo rzeczy, a ja zupełnie nie wiem, jak pomóc. Po prostu chciałbym jakoś pomóc, to wszystko...

O to więc chodzi! Nie tyle zraniłam jego uczucia, ile raczej wzmogłam niepokój. Wingo martwił się o mnie. Wiedział, że w ostatnich dniach nie jestem sobą, wiedział, że zbliżam się do granic załamania nerwowego. Może wszyscy inni widzieli to równie wyraźnie? Przecieki do prasy, włamanie do komputera, źle naklejone etykiety. Może nikogo właściwie nie zdziwi, jeżeli ktoś oskarży mnie o brak kompetencji...

„Już od dawna widać było oznaki – powiedzą. – Była taka nerwowa”.

Źle sypiałam. Nawet jeżeli próbowałam się odprężyć, okazywało się, że mój mózg jest maszyną bez wyłącznika. Pracował i pracował, dopóki nie zaczynał się przegrzewać, a nerwy nie napinały się jak postronki.

Zeszłego wieczora usiłowałam rozweselić Lucy, zabierając ją na kolację i do kina; cały czas, gdy siedziałyśmy w restauracji, a potem gdy oglądałyśmy film, czekałam, aż odezwie się mój pager, a co dwie minuty sprawdzałam, czy przypadkiem baterie się nie wyładowały. Nie wierzyłam, by piątkowy wieczór mógł minąć w spokoju.

Do trzeciej po południu skończyłam dyktować dwa raporty z autopsji i właśnie szłam w stronę windy, gdy w moim gabinecie zadzwonił telefon. Popędziłam z powrotem i chwyciłam słuchawkę.

Dzwonił Bill.

– Nadal jesteśmy na dziś umówieni?

Nie mogłam odmówić.

– Już nie mogę się doczekać – odparłam, siląc się na entuzjazm, którego wcale nie czułam. – Jednak wcale nie jestem przekonana, czy moje

towarzystwo jest dziś cokolwiek warte.

– Zaryzykuję.

Wyszłam z biura.

Był kolejny słoneczny dzień, gorętszy niż wszystkie poprzednie. Trawa dokoła mego budynku zaczęła schnąć, a jadąc do domu, usłyszałam przez radio, że jeżeli nie spadnie deszcz, cały zbiór pomidorów tego lata wyschnie na polach. Była to doprawdy dziwna i niepokojąca wiosna; po długich tygodniach palącego słońca, na niebie pojawiały się, dosłownie znikąd, czarne chmury, błyskawice odcinały prąd w całym mieście, a ogromne krople deszczu zbijały kwiaty, pąki i owoce z drzew i krzewów. To było tak, jakby wylać spragnionemu człowiekowi wiadro wody na głowę – nie miałby nawet czasu napić się paru kropli.

Czasem ze zdumieniem odkrywałam podobieństwa rządzące moim życiem i przyrodą – związek z Billem był dokładnie taki jak tegoroczna pogoda. Zawojował mnie gwałtownie i dziko, podczas gdy tak naprawdę do szczęścia wystarczyłby mi tylko delikatny deszczyk. Czekaając na niego tego popołudnia, jednocześnie miałam nadzieję, że nie przyjedzie.

Jak zwykle był punktualny – podjechał pod mój dom dokładnie o piątej.

– To jest i dobre, i złe zarazem – zauważył, gdy siedzieliśmy na patio z tyłu domu i smażyliśmy steki na grillu.

– Złe? – spytałam. – Chyba nie mówisz poważnie, Bill.

Mimo iż słońce stało już dość nisko na niebie, nadal prażyło mocno; chmury co chwilę je zasłaniały, rzucając na nas to chłodny cień, to gorące białe światło, a wiatr wiał dość gwałtownie i w powietrzu czuć było nadchodzącą zmianę pogody.

Wytarł twarz rękawem koszuli i spojrzał na mnie spod oka. Powiewy wiatru przyginały gałęzie, papierowy ręcznik pofrunął na drugą stronę patio.

– Złe, Kay, bo cisza może oznaczać, że wyjechał z miasta.

Cofnęliśmy się od rozpalonych węgli i powoli piliśmy piwo z puszek. Nie mogłam znieść myśli, że morderca przeniósł się do innego miasta; chciałam, żeby pozostał w Richmond. Przynajmniej tu znaleźliśmy jego zwyczaje. Bałam się, że może zacząć polować na kobiety w innych regionach stanu czy może nawet kraju, gdzie nad jego ofiarami będą pracowali inni koronerzy i inni policjanci, nie wiedzący na jego temat tyle, ile my. Nic tak nie rozkłada śledztwa, jak zaangażowanie policjantów z kilku jurysdykcji. Gliniarze są zazdrośni o swe podwórko, a każdy inspektor sam chce dokonać aresztowania; każdy uważa, że sam najlepiej rozwiąże sprawę i nie chce z nikim współpracować.

Podejrzewam, że ja także zbliżałam się do takiego punktu. Ofiary Dusiciela stały się moimi bliskimi znajomymi, a jedyną nadzieją na sprawiedliwość był proces w Richmond. Jeżeli nie udowodnimy mu zabójstw dokonanych tutaj, a zostanie oskarżony w innym mieście, nikt nie upomni się o ofiary z Richmond; zostaną potraktowane jako wstęp, ćwiczenie. Było to oburzające! Może się jeszcze okazać, że niepotrzebnie spotkały mnie te wszystkie przykrości w pracy.

Bill polał rozżarzone węgle specjalnym płynem zapalającym i cofnął się od płomienia. Potem odwrócił się do mnie; twarz miał zaczerwienioną z gorąca.

– Co z twoim komputerem? – spytał. – Są jakieś nowe wieści?

Zawahałam się; wykręcanie się od odpowiedzi nie miało sensu, gdyż Bill doskonale wiedział, iż nie posłuchałam rozkazu Amburgeya i nie zmieniłam hasła na serwerze ani nie zrobiłam nic innego, by „zabezpieczyć” bazę danych. Stał tuż obok mnie, gdy w poniedziałek wieczorem włączałam tryb automatycznego przyjmowania zgłoszeń i aktywowałam echo, jakby zapraszając intruza do ponownego włamania.

– Zdaje się, że jak na razie nikt więcej się nie włamał, jeżeli o to ci chodzi.

– A to ciekawe – mruknął, pociągając długi łyk piwa. – To nie ma sensu. Można by pomyśleć, że ten, komu zależało na wydostaniu akt sprawy Lori Petersen, spróbuje jeszcze raz.

– Jej sprawy nie ma w bazie danych – przypomniałam mu. – Nic nowego nie zostanie wprowadzone do komputera, dopóki te sprawy nie zostaną zakończone.

– No więc akt nie ma w komputerze, ale skąd niby ona może o tym wiedzieć, jeżeli nie sprawdzi.

– Ona?

– Ona, on... co za różnica? Ten, kto się wcześniej włamał.

– No, cóż... za pierwszym razem ten ktoś usiłował wyciągnąć akta Lori i nie udało mu się.

– Nadal nic z tego nie rozumiem, Kay – nalegał. – Jeżeli się nad tym dobrze zastanowić, to sam fakt, iż ktoś próbował, nie ma zbyt wiele sensu. Każdy, kto choćby trochę zna się na wprowadzaniu danych do komputera, powinien wiedzieć, że akta autopsji z soboty raczej nie będą w bazie danych w poniedziałek rano.

– Zawsze warto spróbować – odparłam.

Ostatnio w obecności Billa byłam podenerwowana; nie potrafiłam się odprężyć i cieszyć mile spędzonym wieczorem.

Butelka czerwonego winna oddychała na blacie w kuchni; Lucy robiła sałatkę i była w zaskakująco dobrym nastroju, biorąc pod uwagę fakt, że jej matka nie raczyła się do nas odezwać ani słowem, odkąd wyjechała ze swoim ilustratorem do Nevady. Lucy wydawała się zadowolona z życia; zaczęła chyba wierzyć, że już na zawsze zostanie ze mną i coraz częściej

wspominała – co bardzo mnie irytowało – że miło byłoby, gdybym „wyszła za mąż za pana Boltza”.

Prędzej czy później jej marzenia wezmą w łeb – wróci do domu, gdy tylko jej matka na powrót pojawi się w Miami, a ja na pewno nie wyjdę za mąż za Billa.

Przyglądałam mu się tak, jakbym widziała go po raz pierwszy w życiu. Wpatrywał się w płonące węgle, puszkę piwa trzymał w obu dłoniach, na rękach i nogach miał drobne złote włoski. Widziałam go przez cienki welon unoszącego się żaru i dymu; zastanawiałam się, czy to symbol rosnącego między nami dystansu?

Dlaczego jego żona zastrzeliła się z rewolweru należącego do niego? Czy było to po prostu dla niej najwygodniejsze? Rewolwer miał tylko spełnić swoje zadanie? Czy może miał ukarać Billa za grzechy, o których nic nie wiedziałam?

Jego żona strzeliła sobie w pierś, siedząc w łóżku – ich małżeńskim łóżku. Pociągnęła za spust w poniedziałek rano, parę godzin czy może raczej minut po tym, jak skończyli się kochać. PERK z jej sprawy zareagował pozytywnie na obecność spermy. Kiedy przyjechałam na scenę, by zabrać ciało do kostnicy, w powietrzu unosił się jeszcze delikatny zapach perfum. Jakie były ostatnie słowa Billa, zanim tego ranka wyszedł do pracy?

– Ziemia do Kay... – Z trudem skupiłam na nim wzrok. – O czym tak myślisz? – spytał, obejmując mnie w talii ramieniem. Na policzku poczułam ciepło jego oddechu. – Powiesz mi?

– Tak tylko się zastanawiałam...

– Nad czym? I tylko mi nie mów, że znowu nad tymi sprawami.

Postanowiłam mu powiedzieć.

– Bill, brakuje kilku papierów z teczki z aktami, które przeglądaliście w poniedziałek wraz z Amburgeyem i Tannerem...

Dłoń, która gładziła mnie do tej pory po plecach, zamarła.

– Jakich papierów?

– Nie jestem do końca pewna – odparłam ze zdenerwowaniem. Nie odważyłam się podać mu szczegółów, powiedzieć o zaginionej etykietce PERK-u ze sprawy Lori Petersen. – Zastanawiałam się tylko, czy może zauważyłeś, by ktoś coś przez przypadek...

Gwałtownie cofnął ramię i wypalił:

– Cholera! Czy nie możesz zapomnieć o tych cholernych sprawach na jeden pieprzony wieczór?

– Bill...

– Dość już tego, dobra? – Wepchnął ręce w kieszenie spodni i odwrócił ode mnie wzrok. – Jezu, Kay. Ty mnie doprowadzasz do szaleństwa! One nie żyją. Te kobiety już od dawna nie żyją, do kurwy nędzy! Są martwe! Sztywnie! Ale my żyjemy, okay? Życie toczy się nadal! A w każdym razie powinno... Jeżeli nie przestaniesz tak się tym przejmować, zginiesz... oboje zginiemy.

Lecz przez resztę wieczoru, podczas gdy Bill i Lucy gawędzili o mało ważnych rzeczach, ja wsłuchiwałam się w ciszę; w każdej chwili spodziewałam się telefonu od Marino.

Kiedy wreszcie rozległ się dzwonek, było już rano i deszcz bił monotennie o dach mego domu. Nie mogłam sobie przypomnieć, co mi się śniło.

Po omacku odnalazłam słuchawkę.

Nikt nie odpowiedział.

– Halo? – powtórzyłam, włączając lampkę przy łóżku.

Po drugiej stronie drutu słychać było cicho grający telewizor; słyszałam też odległe głosy wypowiadające słowa, których nie potrafiłam odróżnić. Serce waliło mi jak oszalałe; z głośnym trzaskiem odłożyłam słuchawkę na widełki. Ogarnęło mnie obrzydzenie.

W poniedziałek przed południem przeglądałam raporty laboratoryjne dotyczące testów wykonywanych przez naukowców na górze.

Dali sprawom Dusiciela najwyższy priorytet i wszystkie inne sprawy – poziomy alkoholu we krwi denatów, narkotyki oraz zatrucia związkami chemicznymi – chwilowo czekały na spokojniejsze czasy. Jak na razie czterech doskonałych naukowców pracowało dla mnie nad śladowymi ilościami świecącej substancji, która mogła być tanim mydłem w proszku, jakie można znaleźć w każdej publicznej toalecie w mieście.

Wstępne raporty nie były zbyt pomyślne; jak na razie nie potrafili powiedzieć zbyt wiele nawet o próbce borawashu, którą przyniosłam im z toalety na dole. W przybliżeniu mydło składało się z dwudziestu pięciu procent obojętnego chemicznie związku oraz siedemdziesięciu pięciu procent boranu sodowego. Wiedzieliśmy aż tyle, bo uświadomili nas chemicy pracujący dla wytwórcy borawashu. Jednak pod skaningowym mikroskopem elektronowym zobaczyliśmy coś dziwnego – wszystko, od boranu sodowego, przez azotan sodowy, po węglan sodowy, wyglądało dokładnie tak samo. Śladowe ilości świecącej substancji za każdym razem wskazywały na obecność sodu. Było to mniej więcej tak dokładne, jak powiedzenie, że coś zawiera śladowe ilości ołowiu – ołów znajduje się wszędzie: w powietrzu, w ziemi, w deszczu. Nigdy nie wykonywaliśmy testów na obecność ołowiu w domach zastrzelonych ofiar, gdyż wyniki pozytywne nie byłyby warte funta kłaków.

Innymi słowy, nie wszystko, co się świeci, musi być od razu boraksem.

Substancja znaleziona na ciałach zamordowanych kobiet mogła być czymś zupełnie innym, na przykład azotanem sodowym, którego używa się w produkcji sztucznych nawozów i materiałów wybuchowych, albo krystalicznym węglanem sodowym, wchodzącym w skład wywoływacza fotograficznego. Teoretycznie morderca mógł spędzać całe dni, pracując w ciemni, w szklarni albo na farmie. Bóg jeden wie, w skład ilu substancji wchodzi sól.

W laboratorium na górze Vander badał pod laserem różne związki sodu, by sprawdzić, które z nich reagują na promienie; była to najszybsza droga, by skreślić niepotrzebne substancje z naszej listy.

W tym czasie ja usiłowałam się dowiedzieć, kto w okręgu miasta Richmond oprócz Departamentu Zdrowia Publicznego zamawia tonami borawash. Zadzwoiłam więc do firmowego dystrybutora w New Jersey; połączyłam się z jakąś sekretarką, która przełączyła mnie do działu sprzedaży, skąd połączono mnie z księgowością, potem z działem informatycznym, potem z działem public relations, a na koniec odesłano mnie z powrotem do księgowości.

I tu zaczęła się awantura.

– Lista naszych klientów jest ściśle tajna. Nie wolno mi udzielać takich informacji. Właściwie to skąd pani dzwoni?

– Z Departamentu Zdrowia Publicznego w Wirginii – odparłam, powoli cedząc słowa. – Jestem doktor Scarpetta i...

– Och. To wy wydajecie licencje dla lekarzy...

– Nie. Prowadzimy sekcje nieboszczyków.

Chwila ciszy.

– Chce pani powiedzieć, że... jest pani koronerem, tak? – Wreszcie do niego dotarło. – Nic nie rozumiem. Sugeruje pani, że używanie borawashu jest fatalne w skutkach? Ależ to niemożliwe. Z tego, co wiem, borawash z

całą pewnością nie jest toksyczny. Nigdy nie mieliśmy z nim problemu... Czyżby ktoś to zjadł? Muszę panią przełączyć do mego przełożonego...

Wyjaśniłam, że substancja, która może być borawashem, została znaleziona na kilku ofiarach morderstwa, lecz mydło nie miało nic wspólnego z ich śmiercią, a potencjalna toksyczność środka zupełnie mnie nie interesuje. Dodałam też, że mogę zdobyć nakaz sądowy udzielenia mi koniecznych informacji, ale to tylko zajęłoby jeszcze więcej cennego czasu nas obojga. Usłyszałam klikanie klawiszy komputera.

– Chyba będzie lepiej, jeżeli przefaksuję pani całą listę. Mam tu siedemdziesiąt trzy nazwy klientów w samym Richmond.

– Taak, byłabym bardzo wdzięczna, gdyby przysłał mi pan faks jak najszybciej. Ale proszę, niech pan zrobi dla mnie coś jeszcze: proszę mi przeczytać te listę przez telefon, dobrze?

Mimo iż bardzo mu się ten pomysł nie podobał, spełnił moją prośbę, i dobrze się stało. Nie rozpoznałam nazw większości przedsiębiorstw, oprócz Departamentu Policji, Biura Zaopatrzenia Miasta, no i, rzecz jasna, Departamentu Zdrowia Publicznego. Codziennie ponad dziesięć tysięcy osób używało borawashu, od sędziów przez obrońców z urzędu, po wszystkich policjantów w mieście, aż do mechaników w warsztatach samochodowych. Gdzieś w tym ogromnym oceanie ludzi znajdował się Pan Nikt z obsesyjną manią czystości.

Było parę minut po trzeciej i właśnie siadałam za biurkiem z kubkiem gorącej kawy, gdy Rose powiedziała, że na drugiej linii dzwoni do mnie Marino.

– Nie żyje już od jakiegoś czasu – powiedział tylko.

Zapomniałam o kawie, chwyciłam torebkę i wybiegłam.

Rozdział jedenasty

Wedle słów Marino policjanci nadal szukali sąsiadów, którzy widzieli ofiarę podczas weekendu. Koleżanka z pracy usiłowała się do niej dodzwonić w sobotę i w niedzielę, lecz nikt nie odbierał telefonów. Kiedy przyjaciółka nie zjawiała się w poniedziałek, by poprowadzić zajęcia o pierwszej po południu, zadzwoniła na policję. Policjant, który odpowiedział na zgłoszenie, obszedł budynek dokoła i zobaczył, że okno na trzecim piętrze jest otwarte na oścież. Ofiara mieszkała z współlokatorką, która najwyraźniej wyjechała na weekend z miasta.

Jej dom znajdował się niecałą milę od śródmieścia, tuż obok kampusu Uniwersytetu Stanowego Wirginii, ogromnego konglomeratu zamieszkanego przez ponad dwadzieścia tysięcy studentów. Wiele wydziałów uniwersytetu porozmieszczanych było w zwykłych domach i kamienicach przy West Main. Mimo lata część katedr prowadziła letnie kursy, więc wielu studentów przebywało jeszcze w mieście. Jeździli na rowerach i skuterach, przesiadywali w małych kafejkach i barach, popijając kawę i rozmawiając z przyjaciółmi i wygrzewając się w promieniach czerwcowego słońca.

Henna Yarborough miała trzydzieści jeden lat i uczyła dziennikarstwa, jak poinformował mnie Marino. Zeszłej jesieni przeprowadziła się do Richmond z jakiejś miejsciny w Karolinie Północnej. Nic więcej o niej nie wiedzieliśmy, oprócz faktu, że nie żyje od kilku dni.

Reporterzy i policjanci kręcili się, wtykając nosy w każdy kąt.

Od czasu do czasu obok trzypiętrowej kamienicy z czerwonej cegły przejeżdżał wolno samochód; przy wejściu do domu na wietrze łopotała

niebiesko-zielona, ręcznie zrobiona flaga. Na oknach stały skrzynki z różowymi i białymi pelargoniami, a dach z blachy falistej pomalowany był na jasnożółty kolor.

Ulica była tak zastawiona, że musiałam zaparkować nieomal przecznicę dalej; nie umknęło mojej uwadze, że dziennikarze byli tym razem nieco spokojniejsi niż zazwyczaj. Ledwie na mnie spojrzeli, gdy koło nich przechodziłam. Nie osaczyli mnie, obrzucając pytaniami, ani nie podsuwali mi pod twarz mikrofonów; byli poważni, skupieni, jakby wyczuwali, że to kolejna ofiara Dusiciela – numer piąty na jego liście. Kobieta taka sama jak ich koleżanki lub żony, czy kochanki, została brutalnie zamordowana.

Umundurowany policjant uniósł nieco żółtą taśmę przyczepioną do framugi drzwi, bym mogła przejść. Weszłam do mrocznego korytarza i wspięłam się na trzecie piętro. Na ostatnim podeście zobaczyłam szefa policji, kilku wysokich rangą oficerów, paru detektywów i umundurowanych policjantów. Stał tam także Bill, najbliżej otwartych drzwi; właśnie zaglądał do środka. Jego twarz miała nienaturalny, szarawy odcień.

Ledwie na niego spojrzałam; zatrzymałam się w progu i ogarnęłam spojrzeniem niedużą sypialnię, którą przepęlniał przykry zapach rozkładającego się ludzkiego ciała, nie przypominający żadnego innego zapachu na ziemi. Marino był odwrócony do mnie tyłem; kucając przy komodzie, otwierał jedną szufladę po drugiej i przesuwiał rękoma po równo ułożonych ubraniach.

Na wierzchu komody stało kilka buteleczek perfum, kilka pojemniczków z kremami, szczotka do włosów i suszarka elektryczna. Po lewej stronie, przy ścianie znajdowało się biurko przykryte morzem papierów, pośrodku których stała elektryczna maszyna do pisania. Na wiszącej półce piętrzyły się książki; wiele leżało bezpośrednio na drewnianej podłodze. Drzwi szafy

z ubraniami były uchylone, lecz światło w środku się nie paliło. Na podłodze brakowało dywanu, na półkach zdjęć, a na ścianach obrazów – jakby zamordowana kobieta nie mieszkała tu zbyt długo lub jej pobyt w tym miejscu był tymczasowy.

Daleko w prawym kącie znajdowało się podwójne łóżko; z daleka widziałam rozrzuconą pościel i ciemne, potargane włosy. Uważając, po czym idę, podeszłam do zwłok.

Jej twarz była zwrócona w moją stronę, lecz z powodu upału napuchła tak strasznie, że nie mogłam rozpoznać rysów twarzy – widziałam tylko, że ofiara jest biała i ma długie do ramion ciemnobrązowe włosy. Była naga i leżała na lewym boku z wysoko odciągniętymi do tyłu nogami i rękoma ciasno związanymi na plecach. Okazało się, że do związania jej morderca użył sznurów z żaluzji, a węzły były przerażająco znajome. Granatowa narzuta leżała w poprzek jej bioder, a na podłodze w nogach łóżka znajdowały się rozcięte po bokach spodnie od pidżamy; obok nich leżała góra, nadal zapięta na wszystkie guziczki, rozcięta od kołnierzyka po sam dół.

Marino powoli przeszedł przez pokój i stanął obok mnie.

– Wszedł po drabinie – rzekł.

– Jakiej drabinie? – spytałam.

Pokój miał dwa duże okna; to znajdujące się bliżej łóżka było otwarte na całą szerokość.

– Do muru przyczepiona jest stara metalowa drabina przeciwpożarowa – wyjaśnił. – W ten sposób wszedł do środka. Stopnie są mocno pordzewiałe... trochę rdzy znajduje się jeszcze na parapecie; pewnie spadła z butów tego drania.

– I wyszedł tą samą drogą – mruknęłam.

– Wołałbym się nie zakładać, lecz wszystko na to wskazuje. Drzwi na dole były zamknięte, musieliśmy je wyważyć – objaśnił. – Jednak na dole, pod drabiną rośnie wysoka trawa. Żadnych śladów. Nic. Poza tym całą sobotę lało, więc marne nasze szanse.

– Czy w tym domu nie ma klimatyzacji? – Pociłam się strasznie w dusznym, przepełnionym zapachem zgnilizny pomieszczeniu.

– Nie. Nie ma też żadnych wiatraków... ani jednego. – Marino otarł ręką zaczerwienioną twarz. Mokre kosmyki siwych włosów przyklejały mu się do czoła, oczy nabiegły krwią, a pod nimi malowały się ciemne sińce. Marino wyglądał tak, jakby nie spał ani nie przebierał się co najmniej od tygodnia.

– Czy okno było zamknięte? – spytałam.

– Oba były otwarte... – zaczął, lecz urwał prawie natychmiast. W tej samej chwili odwróciliśmy się ku drzwiom. – Co u licha...?

W korytarzu dwa piętra niżej jakaś kobieta zaczęła krzyczeć. Dały się słyszeć tupot i jakieś męskie, gniewne głosy.

– Wynoś się z mojego domu! Och, Boże!... Wynoś się z mojego domu, cholerny sukinsynu! – krzyczała kobieta.

Marino przeszedł szybko obok mnie, a zaraz potem jego kroki zadudniły po schodach. Usłyszałam, jak coś mówi, i krzyki nieomal natychmiast ucichły.

Zaczęłam oględziny ciała.

Miało tę samą temperaturę co powietrze w pokoju, a stężenie pośmiertne przyszło i poszło. Ostygła i zeszywniała zaraz po śmierci, a potem gdy temperatura w pokoju wzrosła, podobnie stało się z ciepłotą jej ciała. Wreszcie ustąpiło także stężenie i mięśnie się rozluźniły.

Nie musiałam zbytnio odsuwać prześcieradeł, by zobaczyć, co się pod nimi kryje; przez jedną chwilę przestałam oddychać i odniosłam wrażenie,

że także moje serce przestało bić. Delikatnie odłożyłam pościel na miejsce i zdjęłam chirurgiczne rękawiczki – nic więcej nie mogłam dla niej uczynić. Kompletnie nic.

Kiedy usłyszałam kroki Marino na schodach, odwróciłam się, by przypomnieć mu, żeby ciało zostało odwiezione do kostnicy wraz z prześcieradłem i resztą pościeli, jednak słowa ugrzęzły mi w gardle. Gapiłam się w bezbrzeżnym zdumieniu.

W drzwiach, obok Marino, stała Abby Turnbull. Czy on oszalał, na miłość boską? Co on wyprawia? Przy tym asie reporterów rekin żarłacz wyglądałby jak złota rybka.

Dopiero po chwili zauważyłam, że Abby Turnbull ma na sobie niebieskie dżinsy, bawełnianą koszulkę i sandały; była bez makijażu, nie miała przy sobie dyktafonu ani notatnika. Przez ramię przewiesiła tylko zwykły skórzany plecak. Gdy spojrzała na łóżko, jej twarz wykrzywiła się w przerażeniu, a oczy rozszerzyły się z niedowierzaniem.

– Dobry Boże, nie! – Zakryła usta dłonią.

– W takim razie to ona – mruknął cicho Marino.

Panna Turnbull podeszła bliżej do łóżka.

– Mój Boże, Henna. Och, mój Boże...

– Czy to był jej pokój?

– Tak. Tak. Och, Boże, proszę...

Marino skinął głową na umundurowanego policjanta stojącego za drzwiami, by wyprowadził Abby Turnbull z pokoju. Usłyszałam jeszcze szuranie stóp na schodach i jej ciche jęki.

– Czy na pewno wiesz, co robisz? – spytałam Marino.

– Hej! Ja zawsze wiem, co robię.

– To ona krzyczała, prawda? – ciągnęłam jak ogłuszona. – Czemu krzyczała na policjantów?

– Nie, nie na chłopców. Wydarła się w chwili, gdy zobaczyła Boltza schodzącego po schodach.

– Boltza? – Nic z tego nie rozumiałam.

– Właściwie trudno się jej dziwić – dodał Marino. – W końcu to jej dom. Nic dziwnego, że się na nas wściekła za kręcenie się po jej mieszkaniu. A gdy na dodatek usłyszała, że nie może wejść do środka...

– Boltz? – zapytałam idiotycznie. – Boltz powiedział jej, że nie może wejść?

– I kilku innych gliniarzy. – Wzruszył ramionami. – To będzie temat dnia. – Spojrzał na ciało zamordowanej kobiety i dodał z dziwną miną: – Ta kobieta tutaj... to jej siostra.

Salon znajdujący się na drugim piętrze wypełniały kwiaty i słońce; najwyraźniej też niedawno go odnowiono i umeblowano. Lakierowaną drewnianą podłogę pokrywał biały dywan w niebieskie i zielone geometryczne wzory, niska, szeroka kanapa była biała, a na niej leżały nieduże poduszki w pastelowych kolorach. Na białych ścianach wisiało kilka abstrakcyjnych obrazów Gregga Carbo. Był to niepraktyczny pokój, który Abby zaprojektowała wyłącznie z myślą o sobie – zimne, imponujące gniazdko, mówiące o sukcesie i braku sentymentu, doskonale oddające charakter właścicielki.

Skulona w rogu kanapy, Abby paliła jednego cienkiego papierosa za drugim; nigdy nie widziałam jej z bliska i teraz zaskoczyła mnie jej niecodzienna powierzchowność. Oczy miała nieco inne – jedno bardziej zielone od drugiego – a pełne usta nie pasowały do wydatnego, wąskiego nosa. Miała ciemnobrązowe lekko siwiejące włosy do ramion; wysokie kości policzkowe i głębokie zmarszczki wokół oczu i ust. Długonoga i szczupła, była mniej więcej w moim wieku, może kilka lat młodsza.

Przyglądała się nam ogromnymi, nieruchomymi oczyma śmiertelnie przerażonej sarny. Umundurowany policjant wyszedł, a Marino zamknął za nim drzwi.

– Bardzo mi przykro, wiem, jakie to dla pani trudne... – zaczął standardową gadkę. Spokojnie wyjaśnił, dlaczego jest tak ważne, by odpowiedziała na wszystkie nasze pytania, przypomniała sobie najdrobniejsze szczegóły o zwyczajach siostry, jej przyjaciółkach, rutynowych czynnościach. Abby siedziała naprzeciw mnie i nic nie mówiła. – Z tego, co wiem, wyjechała pani na weekend z miasta? – spytał Marino.

– Tak. – Głos jej drżał i trzęsa się na całym ciele, jakby jej było zimno. – W piątek po południu wyjechałam na spotkanie do Nowego Jorku.

– Jakie spotkanie?

– Jestem w trakcie negocjowania kontraktu na napisanie książki. Miałam spotkanie z agentem... nocowałam u znajomych.

Mały dyktafon na stoliku do kawy nagrywał jej słowa. Abby wpatrywała się w niego szklanym wzrokiem.

– Czy miała pani jakiś kontakt z siostrą, kiedy przebywała pani w Nowym Jorku?

– Usiłowałam dodzwonić się do niej wczoraj wieczorem, by powiedzieć, o której mam pociąg. – Odetchnęła głęboko. – Kiedy nikt nie odebrał, trochę się zdziwiłam... a potem założyłam, że gdzieś wyszła. Kiedy przyjechałam do miasta, nawet nie próbowałam ponownie dzwonić. Wiedziałam, że miała zajęcia dziś po południu. Złapałam taksówkę... nie miałam pojęcia... Dopiero gdy zobaczyłam wszystkie te samochody, policję...

– Jak długo siostra mieszkała z panią?

– Od zeszłego roku; odkąd wraz z mężem podjęli decyzję o separacji. Henna chciała zmiany... mówiła, że musi przemyśleć kilka spraw.

Zaproponowałam, żeby zamieszkała ze mną, dopóki się nie zdecyduje, co chce robić. To było zeszłej jesieni, pod koniec sierpnia. Wprowadziła się do mnie pod koniec sierpnia i podjęła pracę na uniwersytecie.

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

– W piątek po południu. – Głos ugrzązł jej w gardle. – Odwiozła mnie na stację. – W oczach Abby pojawiły się łzy.

Marino wyciągnął z kieszeni pomiętą chusteczkę i podał jej.

– Czy wie pani, jakie miała plany na weekend?

– Chciała popracować. Powiedziała, że będzie siedzieć w domu... chciała przygotować się do poniedziałkowych zajęć. O ile wiem, nie miała żadnych innych planów. Henna nie była zbyt rozrywkowa... Miała kilkoro dobrych znajomych, innych profesorów. Mówiła, że cały weekend będzie siedzieć nad przygotowaniem zajęć, a tylko w sobotę wyskoczy na chwilę po zakupy. To wszystko.

– A czy wie pani, do którego sklepu zamierzała pójść na zakupy?

– Nie mam pojęcia. Przecież to nie ma znaczenia... Wiem, że nigdzie nie poszła. Jeden z policjantów kazał mi przed kilkoma minutami sprawdzić kuchnię... nie zrobiła żadnych zakupów. W lodówce jest tak pusto jak w piątek. To musiało się zdarzyć w nocy z piątku na sobotę, jak wszystkie inne. Cały weekend siedziałam w Nowym Jorku, a ona leżała w takim stanie...

Przez długą chwilę nikt nic nie mówił. Marino rozglądał się po salonie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Drżącymi rękami Abby zapaliła następnego papierosa i odwróciła się do mnie.

Wiedziałam, co zamierza powiedzieć, zanim jeszcze otworzyła usta.

– To tak jak pozostałe? Prawda? Wiem, że już ją pani oglądała. – Zawahała się, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Miałam wrażenie, że

za chwilę się załamie i rozplacze, lecz zaskoczyła mnie, pytając spokojnie:
– Co on jej zrobił?

– Nic nie mogę powiedzieć, dopóki nie obejrzę wszystkiego w odpowiednim świetle – odparłam.

– Na miłość boską, to moja siostra! – zawołała. – Chcę wiedzieć, co to zwierzę zrobiło! Och, Boże! Czy bardzo cierpiała? Proszę, niech pani powie, że nie cierpiała...

Pozwoliliśmy jej płakać. Straszny szloch wstrząsał ciałem Abby; ból, który przeżywała, był zbyt wielki, by jakikolwiek człowiek mógł teraz pomóc. Siedzieliśmy więc naprzeciw niej; Marino przyglądał się jej nieruchomymi oczyma.

W tego typu sytuacjach czułam do siebie niechęć; byłam tylko profesjonalistką, zimnym i cynicznym, nieporuszonym bólem drugiego człowieka. Niby co miałam jej powiedzieć? Oczywiście, że cierpiała! Kiedy zobaczyła go w swoim pokoju, gdy zrozumiała, co się zaraz stanie, musiała odczuwać przerażenie wzmocnione jeszcze przez wszystko, co wyczytała w gazetach, z chłodnych, pełnych szczegółów artykułów napisanych przez siostrę. No i jeszcze ból, fizyczny, okrutny ból...

– Dobrze, oczywiście, że nic podobnego mi nie powiecie. – Abby zaczęła mówić krótkimi, urywanymi zdaniami. – Wiem, jak to jest. Nic mi nie powiecie, choć to moja siostra. Wiem, że zawsze trzymacie wszystko dla siebie... I po co? Jak wiele kobiet ten sukinsyn musi zamordować? Sześć? Dziesięć? Pięćdziesiąt? Może dopiero wtedy gliniarze ruszą dupy!

Marino nadal patrzył na nią bez wyrazu.

– Proszę nie winić policji, panno Turnbull – rzekł. – Jesteśmy po pani stronie i tylko usiłujemy pomóc...

– Tak! Pewnie! – przerwała mu ze złością. – Wy i wasza pomoc! Tak jak strasznie pomogliście mi w zeszłym tygodniu, co?! Gdzie wtedy byliście,

do ciężkiej cholery?!

– W zeszłym tygodniu? O czym pani mówi?

– Mówię o tym draniu, który mnie śledził... jechał za mną całą drogę z redakcji gazety do domu – wykrzyknęła. – Siedział mi na ogonie i skręcał zawsze tam, gdzie ja skręcałam. Żeby się go pozbyć, zatrzymałam się nawet przy sklepie. Gdy wyszłam z niego dwadzieścia minut później, facet czekał na mnie, jakby nigdy nic! W tym samym samochodzie! Jak najszybciej wróciłam do domu i zadzwoniłam na policję. I co oni zrobili? Nic! Jacyś gliniarze przyjechali pod dom dwie godziny później, by upewnić się, że wszystko jest w porządku! Dokładnie opisałam im samochód i podałam nawet numery rejestracyjne. Czy sprawdzili to? A skąd! Nawet się do mnie nie odezwali! Moim zdaniem to ta świnka, co mnie śledziła, winna jest tych wszystkich zbrodni! Moja siostra nie żyje. Została zamordowana, bo jakiemuś przekłętemu gliniarzowi nie chciało się ruszyć dupy zza biurka!

Marino przyglądał się jej z nagłym zainteresowaniem.

– Kiedy to dokładnie było?

Zawahala się.

– We wtorek. Tak mi się zdaje. W zeszły wtorek. Późnym wieczorem, o dziesiątej, może wpół do jedenastej. Pracowałam do późna, kończyłam artykuł...

Marino spojrział na nią trochę zdziwiony.

– Hm, proszę mnie poprawić, jeżeli nie mam racji, ale wydawało mi się, że we wtorek pracowała pani na pieskiej zmianie, od szóstej do drugiej nad ranem, tak?

– W tamten wtorek jeden z kolegów mnie zastępował. Musiałam przyjść wcześniej, w ciągu dnia, by dokończyć coś, co wydawca chciał puścić nazajutrz...

– Taak, rozumiem – odparł Marino. – Okay, więc jeżeli chodzi o ten samochód. Kiedy zaczął za panią jechać?

– Trudno powiedzieć. Zauważyłam go dopiero parę minut po tym, jak wyjechałam z parkingu przed redakcją. Mógł gdzieś na mnie czekać. Może zobaczył mnie na ulicy, nie wiem. Siedział mi na tylnym zderzaku... miał włączone długie światła. Zwolniłam, mając nadzieję, że mnie wyprzedzi, ale on także zwolnił. Gdy przyspieszyłam, on zrobił to samo. Nie mogłam go zgubić. Postanowiłam pojechać do sklepu, bo nie chciałam, by jechał za mną do domu... ale nie pomogło. Zaczekał na mnie na parkingu albo na ulicy obok i znowu wsiadł mi na zderzak.

– Jest pani pewna, że to był ten sam samochód?

– Nowy czarny cougar, jestem tego na sto procent pewna. Skoro gliniarze nie chcieli mi pomóc, skontaktowałam się ze znajomym w drogówce, który sprawdził dla mnie numery rejestracyjne; to samochód z wypożyczalni. Mam gdzieś zapisany adres i numery rejestracyjne, jeżeli jest pan zainteresowany.

– Pewnie, że jestem – odparł Marino.

Abby pogrzebała w plecaku i wyjęła z niego złożoną na pół kartkę papieru; gdy mu ją podawała, zauważyłam, że drżą jej ręce.

Zerknąwszy na nią, Marino schował karteczkę do kieszeni i spytał:

– Co było dalej? Ten samochód pojechał za panią aż pod dom?

– Nie miałam innego wyjścia; przecież nie mogłam jeździć po mieście całą noc. Nic nie mogłam na to poradzić! Zobaczył, gdzie mieszkam. Gdy tylko weszłam do domu, złapałam za telefon... On chyba nie zatrzymał się na ulicy, lecz pojechał dalej... Nie widziałam, by zaparkował przed domem.

– Czy kiedykolwiek wcześniej widziała pani ten samochód?

– Nie wiem. Widywałam już wcześniej czarne cougary, ale nie mogę powiedzieć, czy widziałam akurat ten.

– Przyjrzała się pani kierowcy?

– Było zbyt ciemno, no i jechał cały czas za mną; z całą pewnością mogę jedynie powiedzieć, że w tamtym wozie siedziała jedna osoba. Kierowca.

– Jest pani pewna, że to był mężczyzna?

– Widziałam tylko dużą postać z krótko obciętych włosami, okay? Oczywiście, że to był mężczyzna! Coś okropnego, siedział tam i wpatrywał się we mnie. Jechał tuż za mną! Powiedziałam o tym Hennie... opowiedziałam jej wszystko ze szczegółami. Mówiłam, żeby uważała, a jeżeli kiedykolwiek zobaczy koło domu czarnego cougara, niech natychmiast dzwoni na policję. Wiedziała, co się dzieje w mieście! O tych morderstwach. Rozmawialiśmy o tym... Dobry Boże! Nie mogę w to uwierzyć! Przecież ona wiedziała! Mówiłam jej, żeby nie zostawiała pootwieranych okien! Mówiłam, żeby uważała!

– Więc pani siostra miała w zwyczaju otwierać okna w mieszkaniu i spać, nie zamknawszy ich wieczorem?

Abby skinęła głową, ocierając łzy z policzków.

– Zawsze spała przy otwartym oknie. Tutaj czasem jest naprawdę okropnie gorąco. Planowałam w lipcu zainstalować klimatyzację... wprowadziłam się na krótko przed jej przyjazdem, w sierpniu zeszłego roku. Wtedy miałam mnóstwo spraw na głowie, a że zbliżała się zima, więc zupełnie się nie przejmowałam. Och, Boże, powtarzałam jej to z tysiąc razy! Ale ona zawsze żyła we własnym świecie... po prostu niektóre rzeczy do niej nie docierały. Nigdy nie mogłam jej zmusić do zapinania pasów w samochodzie... Henna jest młodsza ode mnie... nigdy nie lubiła, gdy mówiłam jej, co ma robić... Czasem wszystkie moje prośby puszczała mimo uszu, jakby ich nie słyszała. Ostrzegałam ją, co się dzieje... mówiłam nie tylko o tych morderstwach, ale i o gwałtach, napadach... lecz ona zupełnie nie chciała mnie słuchać. Denerwowała się; mówiła: „Oj, Abby, ty

tylko widzisz straszne rzeczy! Porozmawiajmy o czymś innym!” Mam rewolwer; powtarzałam jej setki razy, by trzymała go na szafce koło łóżka, gdy ja wyjeżdżam z miasta... ale ona nawet nie chciała go dotknąć. O, nie! Proponowałam, że nauczę ją strzelać, żeby mogła sobie kupić własny, ale nie! Nie chciała! A teraz już jej nie ma... Och, Boże... Wszystkie te rzeczy, które mam wam niby o niej powiedzieć, o jej zwyczajach, znajomych i innych takich, zupełnie nie mają znaczenia. Już nie...

– Właśnie, że mają znaczenie. Wszystko jest ważne...

– Nic nie ma znaczenia, bo ja wiem, że ten drań nie ją chciał zabić, lecz mnie!

Cisza.

– Dlaczego pani tak myśli? – zapytał wreszcie Marino, bardzo spokojnie.

– Jeżeli to on faktycznie śledził mnie w tym czarnym cougarze, to chciał zabić mnie. Bez względu na to, kim on jest, to ja o nim pisałam... czytał moje artykuły, więc wie, kim jestem.

– Może.

– To o mnie mu chodziło! O mnie!

– Możliwe, że to pani była jego celem – odparł Marino. – Ale nie możemy być tego pewni, panno Turnbull. Ja muszę rozważyć tu wszystkie możliwe scenariusze... na przykład taki, że on gdzieś zauważył pani siostrę już wcześniej, w sklepie, restauracji albo w kawiarni. Może nie wiedział, że mieszka z kimś... zwłaszcza jeżeli śledził ją, gdy pani była w pracy... Chodzi mi o to, że ten facet mógł przypuszczać, iż Henna mieszkała sama. Ale z drugiej strony, mógł to być tylko przypadek. Czy pani siostra miała jakieś ulubione bary albo restauracje?

Abby znowu wytarła twarz i zastanowiła się dłużej chwilę.

– Jest takie małe bistro na rogu Ferguson, dosłownie kilkadziesiąt jardów od szkoły... Henna uczyła dziennikarstwa na uniwersytecie. Zdaje

mi się, że jadała tam lunch dwa, trzy razy w tygodniu. Nie chodziła do barów. Od czasu do czasu szłyśmy na kolację do restauracji Angeli na Southside... ale zawsze razem, nigdy nie chodziła tam sama. Mogła chodzić w inne miejsca, na przykład do sklepów, samotnie... nie mam pojęcia. Nie wiem, jak spędzała dni... minuta po minucie.

– Powiedziała pani, że wprowadziła się tu w zeszłym roku w sierpniu. Czy często wyjeżdżała, na weekendy albo na wycieczki, czy do znajomych za miasto?

– Dlaczego? – Abby patrzyła na niego ze zdumieniem. – Myślicie, że zrobił to ktoś spoza miasta, kto przyjechał za nią do Richmond?

– Ja tylko usiłuję ustalić, jak często przebywała poza domem.

– W zeszły czwartek pojechała do Chapel Hill spotkać się z mężem i spędzić trochę czasu z przyjaciółmi. Nie było jej prawie przez cały tydzień, wróciła w środę w następnym tygodniu. Dziś miała rozpocząć zajęcia ze studentami, pierwsze zajęcia letniego kursu dziennikarstwa.

– Czy jej mąż tu przyjeżdżał?

– Nie – odparła zmęczonym głosem.

– Czy kiedykolwiek źle ją traktował, czy bywał brutalny?...

– Nie! – przerwała mu gwałtownie. – To nie Jeff jej to zrobił! Oboje chcieli separacji, wszystko potoczyło się bardzo spokojnie! Nie było między nimi żadnych animozji! Jestem pewna, że zamordowała ją ta sama świnią, co zabiła te pozostałe kobiety!

Marino zapatrzył się na dyktafon stojący na stoliku; w rogu czarnego prostokąta migąło małe czerwone światełko. Przeszukawszy kieszenie, wstał z irytacją.

– Muszę wyskoczyć do samochodu na minutkę. Przepraszam.

To powiedziawszy, wyszedł, zostawiając mnie z Abby sam na sam w białym salonie.

Zapanowała długa, niemila cisza, aż wreszcie Abby popatrzyła w moją stronę.

Oczy miała zaczerwienione, a twarz opuchniętą.

– Tyle razy chciałam z panią porozmawiać – odezwała się gorzko. – No i teraz wreszcie mam okazję. Pewnie w głębi duszy jest pani zadowolona; wiem, co ludzie myślą... Założę się, iż uważa pani, że zasłużyłam na to, co mnie spotkało. Właśnie dobrze poznałam to, o czym tak długo pisałam... To się nazywa poetycka sprawiedliwość.

– Abby, nie zasłużyłaś na to – odparłam cicho, lecz z wielkim przekonaniem; jej uwaga ubodła mnie. – Nigdy w życiu nie życzyłabym ani tobie, ani nikomu innemu czegoś podobnego.

Wpatrując się w swe zaciśnięte mocno dłonie, dodała:

– Proszę, zajmij się nią... Proszę... To moja siostra. Och, Boże... proszę, zajmij się Henną...

– Obiecuję...

– Nie możecie pozwolić, by uszło mu to płazem! Po prostu nie możecie! Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Spojrzała na mnie i przeraziłam się, widząc w jej oczach oprócz cierpienia dziki, zwierzęcy strach.

– Ja już nic nie rozumiem! Nie rozumiem, co tu się dzieje... Słyszałam tyle dziwnych rzeczy... a teraz to. Usiłowałam się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi... usiłowałam dowiedzieć się tego od ciebie... A teraz to. Już nie wiem, kto tu jest dobry, a kto zły. Kto gra dla naszej drużyny, a kto dla przeciwnej.

– Nie bardzo cię rozumiem, Abby – odparłam bardzo cicho. – Czego usiłowałaś się ode mnie dowiedzieć?

– Tamtej nocy... – Nagle zaczęła mówić bardzo szybko. – W zeszłym tygodniu. Usiłowałam z tobą porozmawiać, ale on był u ciebie...

Chyba już wiedziałam, o co jej chodzi.

– Kiedy w zeszłym tygodniu? – spytałam.

Popatrzyła na mnie lekko zdziwiona, jakby nie mogła sobie przypomnieć.

– W środę – odrzekła. – W środę wieczorem.

– To ty podjechałaś pod mój dom, a potem nagle się wycofałaś i odjechałaś z wielkim pośpiechem? Dlaczego?

– Bo miałaś... towarzystwo – wyjąkała.

Bill. Pamiętam że staliśmy bezpośrednio pod lampą na ganku; widać nas było bardzo wyraźnie, a jego samochód znajdował się na podjeździe. Więc to była ona. To Abby podjechała pod mój dom i zobaczyła mnie z Billem. Ale to jeszcze nie wyjaśniało jej zachowania. Dlaczego spanikowała? Nagłe wyłączenie świateł i wycofanie się z mojej uliczki wydawało się odruchową reakcją bardzo przestraszonej osoby.

– Te śledztwa... – kontynuowała. – Słyszałam wiele plotek na ich temat. O tym, że gliniarze mają nie udzielać ci żadnych informacji... właściwie, że nikt nie powinien z tobą rozmawiać. Coś w twoim biurze nawaliło i dlatego wszystkie telefony mają być automatycznie kierowane do Amburgeya. Ale ja musiałam z tobą porozmawiać! Wiem, że mówią, iż spieprzyłaś próbki serologiczne w sprawie tej lekarki... Lori Petersen. Plotka głosi, że całe śledztwo wzięło w łeb, ponieważ twoje biuro zawaliło sprawę i że gdyby nie to, gliniarze już dawno złapaliby zabójcę... – Była wściekła i jednocześnie niepewna, wpatrywała się we mnie dzikim spojrzeniem. – Muszę wiedzieć, czy to prawda! Muszę! Muszę wiedzieć, co stanie się z moją siostrą!

Skąd wiedziała o źle przyklejonej etykietce na dodatkowym folderze PERK-u? Przecież Betty by jej o tym nie powiedziała. Ale Betty skończyła testy serologiczne, a kopie – kopie wszystkich przeprowadzanych testów w

moich laboratoriach – miały być przesyłane do Amburgeya. Czy to on jej o tym powiedział? Czy ktoś z jego biura ma za długi język? Czy Amburgey powiedział Tannerowi? Albo może Billowi?

– Kto ci o tym wszystkim powiedział?

– W moim zawodzie człowiek ma wiele kontaktów. – Głos jej drżał.

Patrzyłam na jej twarz ściągniętą w wyrazie bólu i szoku.

– Abby – odpowiedziałam bardzo łagodnie. – Wiem, że masz wiele kontaktów i słyszysz wiele informacji. Jestem też pewna, że nie wszystko, co słyszysz, jest prawdą. A nawet jeżeli w plotkach jest ziarenko prawdy, to ludzie często opacznie je interpretują... Zapytaj sama siebie, dlaczego ktoś udzielił ci takich informacji? Jaki miał w tym motyw?

Zawahała się.

– Ja tylko chcę wiedzieć, czy to prawda? Czy to wszystko wina twojego biura. – Nie miałam pojęcia, co na to odpowiedzieć. – Tak czy inaczej dowiem się prawdy... Już teraz mogę ci powiedzieć, że lepiej zrobisz, doceniając mnie. Gliny dały dupy, zawały sprawę. Nie sądz, że o tym nie wiem. Zawały sprawę w moim przypadku, gdy nie zareagowały, kiedy ten drań mnie śledził. Zawały także sprawę w przypadku Lori Petersen... kiedy zadzwoniła pod 911 i przez ponad godzinę nikt nie przyjechał sprawdzić, co się dzieje. Palanty zjawily się na miejscu, gdy ona od dawna nie żyła!

Na mojej twarzy musiało odbić się zdumienie; Abby kontynuowała, a w jej oczach błyszczały już nie tylko łzy, ale i wściekłość.

– Kiedy ludzie się o tym dowiedzą, szef policji pożałuje, że się kiedykolwiek narodził. Zapłaci mi za to! Wszyscy zapłacą! A chcesz wiedzieć dlaczego? – Patrzyłam na nią tępo. – Bo nikogo, kto się liczy w tym mieście, nic to nie obchodzi. W dupie mają to, że ktoś gwałci i morduje kobiety! Te same dranie, które prowadzą śledztwo w tych sprawach,

wyjeżdżają na weekendy poza miasto i oglądają brutalne filmy pornograficzne, na których kobiety są gwałcone, bite i upokarzane. Ich to podnieca! Lubią na to patrzeć. Lubią fantazjować... Założę się, że onanizują się, patrząc na zdjęcia miejsc zbrodni. Przekleci gliniarze! Oni się z tego śmieją, opowiadają dowcipy! Nieraz słyszałam, jak się śmieją na miejscu zbrodni! Jak dowcipkują na ostrym dyżurze!

– Ależ oni nie mówią tego poważnie. – Zaschło mi w ustach. – To tylko jeden ze sposobów radzenia sobie z napięciem...

Na schodach rozległy się ciężkie kroki Marino.

Spoglądając z przerażeniem w stronę drzwi, Abby pospiesznie wygrzebała z plecaka wizytówkę i naskrobała na niej jakiś numer.

– Proszę, jeżeli będziesz miała mi coś do powiedzenia, kiedy... kiedy już tu skończymy, zadzwoń do mnie, dobrze? – Podała mi wizytówkę i odetchnęłam z ulgą, gdy już ją schowałam do kieszeni. – Zapisałam mój numer pagera... nie wiem jeszcze, gdzie się zatrzymam. Na pewno nie w tym domu. Przez jakiś czas nie będę tu mieszkać. Może już nigdy...

Do salonu wszedł Marino; Abby popatrzyła na niego ze złością.

– Wiem, o co mnie teraz zapytacie – warknęła, gdy zamknął za sobą drzwi. – I odpowiedź brzmi: nie. W życiu Henny nie było żadnego mężczyzny; nikogo z Richmond. Nie spotykała się z nikim ani z nikim nie sypiała.

Bez słowa wcisnął nową kasetkę do dyktafonu i wcisnął przycisk „nagrywanie”. Popatrzył na nią spod oka.

– A co z panią, panno Turnbull?

Oddech ugrzązł jej w gardle.

– Jestem związana... mam kogoś... spotykam się z kimś w Nowym Jorku – odparła wreszcie, zacinając się. – Nikogo w Richmond. Tylko znajomi z pracy.

– Rozumiem. A jaka jest pani definicja „znajomego z pracy”?

– Nie rozumiem? – W jej oczach pojawił się strach.

Marino zamyślił się na chwilę, po czym odparł spokojnie:

– Zastanawiam się, czy zdaje pani sobie sprawę z tego, że ten, kto panią śledził w zeszły wtorek, w rzeczy samej ma na panią oko już od kilku tygodni. Ten facet w czarnym cougarze jest policjantem. Pracuje jako detektyw w obyczajówce.

Abby wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Widzi pani – ciągnął lakonicznie Marino, – to dlatego nikt się nie przejął pani skargą, gdy zadzwoniła pani na policję, panno Turnbull. Z drugiej strony, gdybym ja się wtedy o tym dowiedział, z całą pewnością bym się przejął... bo facet wyznaczony do takiej roboty powinien być lepszy. Jeżeli panią śledził, to nie powinna była się pani o tym dowiedzieć. Chodzi mi o to, że w ogóle nie powinna była pani go zauważyć.

Marino mówił coraz zimniejszym głosem; w jego słowach czuć było jad.

– Ale ten konkretny gliniarz niespecjalnie panią lubi. Kiedy kilka minut temu zszedłem do samochodu po kasetę, wywołałem go przez radio i spytałem, o co mu wtedy, u diabła, chodziło. Przyznał, że celowo panią nękał. Mówi, że stracił panowanie nad sobą tego wieczora, gdy panią śledził.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zawołała Abby z przerażeniem. – Nęka mnie, bo jestem dziennikarką?

– No, cóż... to trochę bardziej osobista sprawa, panno Turnbull. – Marino zapalił papierosa. – Może przypomina pani sobie taki duży artykuł, jaki napisała pani kilka lat temu o gliniarzu z obyczajówki, który zbierał haracze od handlarzy narkotykami i sam zaczął ćpać? Na pewno pani pamięta. Skończyło się to tak, że włożył służbowy rewolwer do ust i pociągnął za spust. Z pewnością pani to pamięta... No cóż, tamten gliniarz z obyczajówki

był partnerem tego, który panią śledził. Wydawało mi się, że osobiste zaangażowanie w sprawę pomoże mu w pracy, lecz nieco przesadził...

– Pan?! – zawołała z niedowierzaniem. – To pan mu kazał mnie śledzić? Ależ dlaczego?

– Zaraz wszystko pani wyjaśnię. Skoro mój przyjaciel zrobił z siebie głupca i spaprał całą sprawę, równie dobrze mogę wyłożyć karty na stół. I tak, prędzej czy później, dowiedziałyby się pani, że to glina. Powiem wszystko przy doktorku, bo cała sprawa i jej dotyczy.

Abby spojrzała na mnie z przerażeniem, a Marino niespiesznie strzepnął popiół z papierosa. Zaciągnął się głęboko i kontynuował:

– Tak się składa, że biuro koronera okręgowego dostaje ostatnio ostro po dupie, gdyż po mieście krążą plotki, że to właśnie stamtąd przeciekają informacje do prasy, czy bezpośrednio do pani, panno Turnbull. Ktoś włamał się do bazy danych doktor Scarpetty, a Amburgey nie daje jej przez to żyć, sprawia mnóstwo kłopotów i oskarża ją o różne bzdury. Ja mam na ten temat inne zdanie. Uważam, że przecieki nie mają nic wspólnego z włamaniem do komputera; wydaje mi się, że ktoś włamał się do niego, by wyglądało na to, że to stamtąd pochodzą informacje wypisywane w gazetach. Jednak tak naprawdę dostarczył ich pani Bill Boltz.

– Toż to szaleństwo!

Marino palił spokojnie papierosa, ze wzrokiem wbitym w reporterkę; najwyraźniej jej zmieszanie bardzo go bawiło.

– Absolutnie nie miałam nic wspólnego z żadnym włamaniem do komputera! – wybuchnęła wreszcie Abby. – Nawet gdybym wiedziała, jak się do tego zabrać, nigdy bym tego nie zrobiła! Nie mogę uwierzyć w podobne oskarżenia! Moja siostra nie żyje... – W jej oczach znowu pojawiły się łzy. – Jezu Chryste... Boże drogi! Co to ma wszystko wspólnego z Henną?

– W chwili obecnej nie mam zielonego pojęcia, kto i z czym ma coś wspólnego – odrzekł Marino lodowato. – Wiem tylko, że część z informacji, jakie pani wypisuje na łamach gazet, nie powinna trafić do publicznego obiegu. Ktoś wewnątrz, kto je zna, szepcze je pani do ucha i rozpieprza dochodzenie od środka! Zastanawiam się, po co ktoś miałby to robić, chyba że ma coś do ukrycia lub zyskania.

– Nie mam pojęcia, do czego pan zmierza...

– Zaraz pani zrozumie – przerwał. – Wydaje mi się, że to trochę dziwne, iż jakieś pięć tygodni temu, zaraz po drugim morderstwie, robiła pani duży reportaż o Boltzu. Jeden dzień z życia ulubieńca Richmond. Spędziliście wspólnie cały dzień, nieprawdaż? Tak się składa, że tamtej nocy byłem na służbie i widziałem was wyjeżdżających z parkingu przed restauracją Franco około dziesiątej wieczorem. Gliniarze są wścibscy, szczególnie gdy nie mają nic konkretnego do roboty, a ruch na ulicach jest niewielki. Więc tak się złożyło, że pojechałem za wami...

– Niech pan przestanie! – szepnęła, potrząsając gwałtownie głową. – Niech pan przestanie!

Ale Marino ją zignorował.

– Boltz nie odwiózł pani do redakcji gazety, zabrał panią prosto do domu, a gdy przejeżdżałem tamtędy kilka godzin później – bingo! To jego śliczne białe audi nadal stało na podjeździe, a światła w pani domu były zgaszone. I co dalej? Wkrótce potem w pani artykułach zaczęły się pojawiać krwiste szczegóły dotyczące śledztwa! Zdaje mi się, że to jest właśnie pani definicja „znajomego z pracy”, tak?

Abby trzęsła się na całym ciele; siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie patrzyłam na nią. Nie potrafiłam spojrzeć Marino w oczy – zbyt wytrącił mnie z równowagi tymi oskarżeniami. Nie mogłam uwierzyć, że uderzył ją w tak okrutny sposób zaraz po tym, co ją spotkało.

– Nie spałam z nim. – Głos drżał jej tak bardzo, że ledwie mogła mówić.
– Nie spałam z nim. Nie chciałam. On... on mnie wykorzystał.

– Jasne – burknął Marino.

Gwałtownie podniosła wzrok, po czym na chwilę przymknęła oczy.

– Spędziłam z nim cały dzień – zaczęła. – Ostatnie spotkanie, na które z nim poszłam, skończyło się po siódmej wieczorem; zaproponowałam kolację, powiedziałam, że to na koszt gazety. Pojechaliśmy do restauracji Franco. Wypiłam jeden kieliszek wina, to wszystko. Jeden. Niedługi czas potem zaczęło mi się strasznie kręcić w głowie. Wprost nieprawdopodobnie. Jak przez mgłę pamiętam, że wyszliśmy z restauracji... wsiedliśmy do jego samochodu. Potem pamiętam, jak ujął mnie za rękę i powiedział, że jeszcze nigdy nie robił tego z dziennikarką. Nie za wiele pamiętam z tego, co się działo tamtej nocy... Obudziłam się wczesnym rankiem następnego dnia i on tam był...

– Co mi przypomina... – Marino zgasił papierosa w popielniczce. – Gdzie w tym czasie była pani siostra?

– Tutaj. W swoim pokoju. Nie pamiętam. To i tak nie ma znaczenia. My byliśmy na parterze... na podłodze czy na kanapie... nie pamiętam... Nie jestem pewna, czy w ogóle o tym wiedziała!

Marino patrzył na nią z obrzydzeniem.

– Nie mogłam w to uwierzyć! – ciągnęła Abby, a w jej głosie pobrzmiwały nutki hysterii. – Byłam przerażona... źle się czułam, zupełnie jakbym się zatrula. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to, że gdy byłam w toalecie, Boltz wsypał mi coś do wina. Wiedział, że może sobie na to pozwolić... że nie pójdę na policję. Kto by mi uwierzył, gdybym powiedziała, że prokurator okręgowy... zrobił coś takiego? Nikt by mi nie uwierzył!

– Ma pani rację – wtrącił Marino. – Hej! Przecież Boltz to przystojny facet. Nie musi wsypywać babce środka nasennego, żeby się z nią zabawić!

– To szuja! – wrzasnęła Abby. – Pewnie robił to już wiele razy i za każdym razem uchodziło mu na sucho! Postraszył mnie, że jeżeli kiedykolwiek komukolwiek o tym wspomnę, zrobi ze mnie szmatę! Powiedział, że mnie zrujnuje!

– I co potem? – nalegał Marino. – Potem zaczął mieć wyrzuty sumienia i zaczął przekazywać pani informacje?

– Nie! Więcej nie miałam nic do czynienia z tym ścierwem! Gdybym znalazła się w odległości dziesięciu jardów od niego, rozwalilibym mu łeb! Żadna z moich informacji nie pochodziła od niego!

To nie mogła być prawda.

To, co mówiła Abby, musiało być kłamstwem. Chciałam jakoś wymazać z pamięci jej słowa, lecz jak? Wszak tylko potwierdzały wcześniejsze wydarzenia.

Tamtego wieczora musiała od razu rozpoznać białe audi Billa zaparkowane na podjeździe przed moim domem. Tego ranka, gdy zastała go w swoim domu, krzykiem kazała mu się wynosić, bo nie mogła znieść jego widoku.

Bill ostrzegał mnie przed nią; twierdził, że jest pełna złości i chęci zemsty, że nie cofnie się przed niczym. Dlaczego mi to powiedział? Dlaczego? Czyżby przygotowywał sobie grunt obrony, gdyby Abby kiedykolwiek ośmieliła się go oskarżyć?

Okłamał mnie. Nie odrzucił jej awansów, kiedy odwiózł ją do domu po kolacji, jak mi powiedział... jego samochód stał przed jej domem do wczesnych godzin rannych.

Przed oczyma miałam wspomnienia tych kilku razy, gdy byliśmy z Billem sam na sam w moim salonie, na kanapie. Słabo zrobiło mi się na

myśl o tym, jak bardzo był brutalny... lecz wtedy winę za jego agresywne zachowanie zrzuciłam na wypity alkohol. Czyżby takie właśnie było jego drugie oblicze? Czyżby znajdował przyjemność w braniu siłą?

Kiedy przyjechałam na miejsce, już tu był, w tym domu. Nic dziwnego, że tak szybko zareagował; jego zainteresowanie znacznie wykraczało poza ramy profesjonalizmu. Na pewno rozpoznał adres Abby i pewnie wiedział, do czyjego domu dostał wezwanie, na długo zanim policja sprawdziła dane w swych rejestrach. Chciał zobaczyć ciało na własne oczy; upewnić się.

Może nawet miał nadzieję, że to Abby padła ofiarą Dusiciela? Wtedy nie musiałby już się martwić, że komukolwiek piśnie słowo na temat tego, co jej zrobił.

Siedząc bez ruchu, usiłowałam zachować kamienną twarz. Nie mogłam tego po sobie okazać! Och, Boże... nie mogłam przecież tego po sobie okazać...

W drugim pokoju zaczął nagle dzwonić telefon; dzwonił i dzwonił, lecz nikt nie poszedł go odebrać.

Od strony schodów znowu dały się słyszeć kroki oraz brzęczenie metalu ocierającego się o stopnie i ciche buczenie krótkofalówek. To sanitariusze wnosili nosze na trzecie piętro.

Abby usiłowała zapalić papierosa, lecz ręce drżały jej zbyt mocno; w końcu wrzuciła papierosa i zapaloną zapałkę do popielniczki.

– Jeżeli naprawdę kazał pan mnie śledzić – odezwała się cichym głosem – i zrobił to pan, chcąc się przekonać, czy sypiam z Boltzem, by wyciągnąć od niego informacje, to powinien pan wiedzieć, że mówię prawdę. Po tym, co się wydarzyło tamtej nocy, nie zbliżyłam się do skurwysyna!

Marino nic nie odpowiedział, lecz cisza wystarczyła.

Abby nie spotkała się z Boltzem od tamtego czasu. Później, gdy sanitariusze znosili nosze, stała oparta o framugę, zaciskając na niej palce

tak mocno, aż pobielaly jej klykcie. Z twarzą zamienioną w maskę bólu i rozpaczy obserwowała biały kształt na noszach.

Delikatnie dotknęłam ramienia Abby i wyszłam, wiedząc, że w żaden sposób nie jestem w stanie złagodzić jej bólu. Na schodach czuć było zapach zgnilizny; gdy wyszłam wreszcie przed dom, jasne słońce zupełnie mnie oślepiło.

Rozdział dwunasty

Ciało Henny Yarborough, mokre od wielokrotnego mycia, lśniło na metalowym stole niczym marmur. Byłam z nią sama w sali autopsyjnej, zaszywając ostatni kawałek długiego cięcia w kształcie litery Y, biegnącego od jej wzgórka łonowego do mostka i rozgałęziającego się na piersi.

Wingo, zanim wyszedł wieczorem do domu, zajął się jej głową; górna część czaszki znajdowała się idealnie na miejscu, a nacięcie z tyłu przykryte zostało zgrabnie ciemnymi włosami ofiary. Od jasnej skóry szyi odcinało się czerwone znamię po stryczku, którym została uduszona. Jej twarz była nabrzmiała i purpurowa, czego ani ja, ani specjaliści z domu pogrzebowego nigdy już nie zmienią.

Przy drzwiach do kostnicy zabrzączał dzwonek; zerknęłam na zegar – było parę minut po dziewiątej wieczorem.

Przeciawszy nic skalpelem, przykryłam ciało prześcieradłem i zdjęłam rękawiczki. Kiedy wiozłam ciało do chłodni, usłyszałam jak Fred, nocny strażnik, rozmawia z kimś przy drzwiach.

Gdy wyszłam z chłodni i zamknęłam za sobą ciężkie stalowe drzwi, zobaczyłam Marino opierającego się o biurko i palącego papierosa.

Przyglądał się w milczeniu, jak zbieram próbki tkanki i krwi i przyklejam etykiety na tubki.

- Znalazłaś coś, o czym powinienem wiedzieć?
- Przyczyną jej śmierci jest niedotlenienie spowodowane uduszeniem przez zadzierzgnięcie sznura wokół szyi – odparłam mechanicznie.
- A co z włóknami, śladami...
- Znalazłam kilka różnych włókien...

– No, cóż – przerwał mi. – Za to ja mam kilka spraw.

– No, cóż – odrzekłam dokładnie tym samym tonem. – A ja chcę stąd jak najszybciej wyjść.

– Hej, doktorcu! Sam chciałem ci to zaproponować. Mam ochotę na przejażdżkę, co ty na to?

Przerwałam pracę i spojrzałam na niego; wilgotne włosy przyklejały mu się do łysiejącej głowy, krawat zwisał luźno, a tył koszuli z krótkimi rękawami był okropnie pomarszczony, jakby Marino cały dzień siedział za kierownicą. Pod lewym ramieniem miał skórzaną kaburę na rewolwer o długiej lufie. W ostrym świetle jarzeniówek wyglądał nieomal groźnie; oczy skrywały mu się w cieniu, a na policzku drgał mięsień.

– Lepiej będzie, jeżeli pojedziesz ze mną – dodał spokojnie. – Zaczekam sobie tutaj, dopóki się nie przebierzesz i nie zadzwonisz do domu.

Zadzwonię do domu? Skąd on wiedział, że w domu czeka na mnie ktoś, kogo powinnam powiadomić o spóźnieniu na kolację? Nigdy nie mówiłam mu o odwiedzinach siostrzenicy. Nigdy nie wspominałam o Bercie. Moim zdaniem to, co robiłam poza godzinami pracy, nie należało do zakresu obowiązków pana sierżanta Marino.

Właśnie chciałam mu powiedzieć, że nie mam najmniejszej ochoty nigdzie z nim jechać, ale powstrzymało mnie jego ponure spojrzenie.

– No, dobra – mruknęłam. – Dobra.

Kiedy szłam do szatni, kątem oka widziałam, że nadal opiera się o biurko i spokojnie pali papierosa. Umyłam twarz nad zlewem, zdjęłam fartuch i włożyłam z powrotem bluzkę i spódnicę. Byłam tak rozkojarzona, że otworzyłam szafkę i wyjęłam czysty fartuch, zanim zdałam sobie sprawę z tego, co robię. Po co mi fartuch? Przecież nie wracam już dziś do pracy. Aktówkę i żakiet zostawiłam w biurze na piętrze.

Poszłam po nie, po czym dołączyłam do Marino. Gdy znaleźliśmy się na parkingu, otworzyłam drzwi od strony pasażera, strzepnęłam okruchy i zmięte serwetki z siedzenia i wsiadłam.

Marino wycofał wóz z parkingu, nie odzywając się do mnie ani słowem. Czerwone światełko skanera radiowego mrugało na mnie, przekazując wiadomości, które najwyraźniej nie interesowały Marino, a których bardzo często w ogóle nie mogłam zrozumieć. Gliniarze mamrotali dziwne wyrazy do mikrofonów, a niektórzy chyba coś jedli w tym czasie.

– Trzy-czterdzieści-pięć, dziesięć-pięć, jeden-sześćdziesiąt-dziewięć na kanale trzecim.

– Jeden-sześćdziesiąt-dziewięć, wyłączam się.

– Jesteś wolny?

– Dziesięć-dziesięć. Dziesięć-siedemnaście na odwyk. Mam ze sobą podejrzanego.

– Dziesięć-cztery.

– Cztery-pięćdziesiąt-jeden X.

– Dziesięć-dwadzieścia-osiem na Adam Ida Lincoln jeden-siedem-zero...

Nagle wiadomości umilkły i dało się słyszeć basowe buczenie sygnału alarmowego. Marino prowadził w milczeniu, mijając śródmiejskie sklepiki z żelaznymi żaluzjami spuszczoneymi na drzwi i okna. Gdzieś nad wejściami żarzyły się niebieskie i czerwone neony reklamujące lombardy i szewców. Hotele Sheraton i Marriott rozświetcone były tysiącami świateł, niczym choinki, lecz na ulicach właściwie nie widać było przechodniów, a i ruch samochodowy bardzo zmalał.

Dopiero po kilku minutach zdałam sobie sprawę, dokąd jedziemy. Na Winchester Place Marino zwolnił, a gdy zatrzymaliśmy się przed domem z numerem 498, rozpoznałam mieszkanie Abby Turnbull. Potężny kształt

budynku rysował się na tle nieba; od frontu nie zobaczyłam żadnego samochodu – Abby nie było w domu. Zastanawiałam się, gdzie dziś nocuje.

Marino powoli zjechał z ulicy, skręcając w wąską alejkę między domem Abby a sąsiednią posesją. Samochód zakołysał, przejeżdżając po korzeniach, a reflektory podskoczyły, oświetlając ściany budynku zrobione z czerwonej cegły, kosze na śmieci przypięte łańcuchami do słupków oraz potłuczone butelki i inne śmiecie. Przejechawszy jakieś dwadzieścia jardów w głąb tego klaustrofobicznego tunelu, Marino zatrzymał samochód i wyłączył silnik oraz światła. Po naszej lewej stronie znajdował się trawnik za domem Abby, wąski pasek zieleni otoczony żelaznym płotem, na którym wisiał znak ostrzegający intruzów przed „groźnym psem”, który naprawdę wcale nie istniał.

Marino wyciągnął latarkę i omiótł snopem światła pordzewiałą drabinę przyczepioną do ściany domu. Wszystkie okna były zamknięte, a szyby odbijały blask. Siedzenie kierowcy zaskrzypiało cicho, gdy Marino przekręcił się i oświetlił trawnik za domem.

– No, mów – odezwał się. – Ciekaw jestem, czy myślisz sobie to, co ja.

– Ten znak. – Zaczęłam od najbardziej oczywistej rzeczy. – Znak na płocie. Gdyby morderca uwierzył, że Abby ma psa, zastanowiłby się dwa razy przed wejściem na teren jej posesji. Żadna z jego ofiar nie miała psa. Gdyby miały, pewnie żyłyby po dziś dzień.

– Bingo!

– Czyli – ciągnęłam – podejrzewam, że morderca musiał wiedzieć, iż znak nic nie znaczy; wiedział, że Abby albo Henna nie mają psa. Tylko skąd mógł to wiedzieć?

– Taak. Skąd mógł wiedzieć? – powtórzył Marino z wolna. – A może jednak miał skąd?

Nic nie odpowiedziałam. Marino włączył zapalniczkę elektryczną i czekał.

– Może na przykład był już wcześniej w tym domu.

– Nie wydaje mi się...

– Przestań zgrywać idiotkę, doktorku – przerwał mi cicho.

Wyciągnęłam z kieszeni paczkę papierosów.

– Wyobrażam to sobie wcale nieźle; wydaje mi się, że ty również. Zrobił to jakiś facet, który już wcześniej był w domu Abby; nie ma pojęcia o istnieniu siostry, ale wie, że nie ma żadnego cholernego psa. Panna Turnbull nie należy do jego ulubienic, gdyż wie o nim coś, czego nikt inny na całym świecie nie powinien się dowiedzieć.

Urwał; czułam, że odwraca się ku mnie, lecz nie chciałam patrzeć na niego ani odpowiadać na podobne oskarżenia. Widziałam, do czego zmierza.

– Widzisz, on już zrobił z nią swoje, nie? Może nie mógł się powstrzymać, może to u niego zachowanie kompulsywne, czy jakie tam gównno. Ale jest zaniepokojony; boi się, że ona komuś wygada. Do diabła, przecież jest reporterką! Jej płacą za opowiadanie świńskich sekretów innych ludzi. Więc facet boi się, że to, co zrobił, wyjdzie na jaw.

Znowu popatrzył na mnie, lecz nadal milczałam.

– No więc co robi? Postanawia ją załatwić i upozorować wszystko tak, by wyglądało na robotę Dusiciela. Jego jedynym problemem jest to, że nie ma pojęcia o istnieniu Henny. Nie wie też, gdzie znajduje się sypialnia Abby. Bo choć wcześniej był już w jej domu, dotarł tylko do salonu na dole. Więc włamuje się tu w piątek wieczorem i idzie nie do tej sypialni, co powinien – do sypialni Henny. A dlaczego? Bo w tej wieczorem paliło się światło... bo Abby wyjechała z miasta. Ale jest już za późno, żeby się

wycofać... Podjął decyzję i musi sprawę doprowadzić do końca. Więc ją morduje...

– Przecież on nie mógł tego zrobić! – Usiłowałam się opanować, by głos nie drżał tak bardzo. – Boltz nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego! Przecież on nie jest mordercą, na miłość boską!

Cisza.

Potem Marino powoli spojrzał na mnie i strzepnął popiół z papierosa.

– A to ciekawe. Ja nie wymieniłem żadnego nazwiska. Ale skoro ty to zrobiłaś, może pociągniemy temat trochę dalej, co?

Znowu się nie odezwałam. Czułam, jak łyzy nabiegają mi do oczu. Do diabła! Nie będę przy nim płakać! Cholera! Niech to szlag! Nie pozwolę, by Marino zobaczył moje łyzy!

– Posłuchaj, doktorku – rzekł, zadziwiająco spokojnie, nieomal łagodnie. – Wcale nie usiłuję grać ci na nerwach, okay? Widzisz, to co robisz w życiu prywatnym, to nie mój interes; oboje jesteście dorosłymi ludźmi bez innych zobowiązań. Ale trudno, żebym się czegoś nie domyślił, gdy co rusz widuję jego samochód na twoim podjeździe...

– Na moim podjeździe? – spytałam zaskoczona. – Co ty...?

– Hej! Ja co dzień jeżdżę po tym cholernym mieście, a ty mieszkasz w jego granicach, nie? Wiem, jak wygląda twój służbowy samochód; znam jego białe audi. Wiem też, że gdy kilkanaście razy widziałem je zaparkowane pod twoim domem w ciągu ostatnich paru miesięcy, nie rozmawialiście o procesach.

– Masz rację. Może i nie. Ale to także nie twój interes.

– I tu się mylisz. Teraz to już mój interes, z powodu tego, co zrobił pannie Turnbull. – Wyrzucił peta za okno i sięgnął po następnego papierosa. – Przez to zacząłem się zastanawiać, co on jeszcze może mieć na sumieniu.

– Morderstwo Henny jest identyczne z pozostałymi – powiedziałam zimno. – Nie mam najmniejszych wątpliwości, że zamordował ją ten sam osobnik co pozostałe cztery kobiety.

– A co z wymazami?

– Betty zajmie się nimi z samego rana. Nie mam pojęcia...

– Cóż, zaoszczędzę ci kłopotu, doktoru. Boltz jest nonsekreterem. Zdaje mi się, że dobrze o tym wiesz.

– W tym mieście mieszka kilka tysięcy mężczyzn, którzy są nonsekreterami. Ty możesz być jednym z nich, wiesz?

– Taak – odparł ponuro. – Może i mógłbym być, ale nie wiesz tego na pewno. A faktem jest, że wiemy to o Boltzu ze stuprocentową pewnością. Kiedy robiłaś sekcję jego żony w zeszłym roku, pobrałaś wymazy PERK, które potwierdziły obecność spermy jej męża. W raporcie laboratoryjnym napisałaś, że zanim wysłała się na tamten świat, miała stosunek z nonsekreterem. Do diabła, nawet ja to pamiętam! Przecież to ja prowadziłem dochodzenie.

Nic nie odpowiedziałam.

– Po wejściu do ich sypialni i zobaczeniu jej siedzącej w łóżku w ślicznym negligu z wielką dziurą na piersi, nie miałem zamiaru wykluczyć żadnej możliwości. Zawsze na początku podejrzewam morderstwo. Samobójstwo znajduje się znacznie dalej na mojej liście, bo jeżeli od początku nie podejrzewasz brudnej roboty, potem może już być za późno. Jedynym błędem, jaki wtedy popełniłem, było niepobranie próbek krwi od Boltza. Po przeczytaniu raportu z autopsji uważałem sprawę za tak czysty przypadek samobójstwa, że zamknąłem dochodzenie; może nie powinienem był tego robić? Wtedy miałem dobre wytłumaczenie do pobrania jego krwi... mogłem powiedzieć, że to po to, by się upewnić, czy sperma znaleziona w ciele jego żony jest naprawdę jego. Powiedział, że

tak... że kochali się tego ranka, zanim wyszedł do pracy. Więc odpuściłem sobie... Ale teraz nie mam najmniejszych podstaw, by brać od niego próbki czegokolwiek.

– Musiałbyś pobrać więcej niż tylko próbki krwi – odparłam idiotycznie.
– Jeżeli jest A pozytywny, B negatywny według systemu grup krwi Lewisa, nie mogłabym określić, czy jest nonsekreterem... musiałbyś pobrać próbki śliny...

– Hej! Przecież wiem, jak to się robi. Ale teraz to i tak bez znaczenia. I tak wiemy, że jest nonsekreterem.

Znowu zamilkłam.

– Wiemy, że facet, który załatwia te kobiety, także jest nonsekreterem. Wiemy też, że Boltz zna wszystkie szczegóły śledztwa i wcale nie byłoby mu trudno zamordować Henny i upozorować to na jeszcze jedną robotę Dusiciela.

– W takim razie zbierz próbki i przeprowadzimy analizę porównawczą DNA – burknęłam ze złością. – No, na co czekasz! Przecież to będzie ostateczna odpowiedź na wszystkie twoje pytania!

– Hej! Bardzo możliwe, że to zrobię. Może nawet podświetlę go laserem, żeby sprawdzić, czy nie świeci!

Przypomniałam sobie świecąca substancję na źle oznakowanym folderze PERK-u. Czy to draństwo naprawdę pochodziło z moich rąk? Czy Boltz zazwyczaj mył ręce borawashem?

– Czy na ciele Henny znaleźliście jakieś świejące gwiazdki? – spytał Marino.

– Na pidżamie... i trochę na pościeli.

Żadne z nas nie odezwało się przez długą chwilę, po czym dodałam:

– To ten sam facet. Wiem, co mówię.

– Taak. Może masz rację. Ale to wcale nie poprawia mi samopoczucia.

– Jesteś pewien, że to, co opowiedziała nam Abby, jest prawdą?

– Wpadłem do jego biura dziś popołudniu.

– Poszedłeś do Boltza? – wyjąkałam.

– O, taak.

– I co? Przyznał się? – Ledwo powstrzymałam się od krzyku.

– Taak – odpowiedział, zerkając na mnie. – Mniej więcej tak.

Nic nie powiedziałam; bałam się mówić cokolwiek.

– Oczywiście zaprzeczył wszystkiemu i bardzo się zapienił. Postraszył, że oskarży ją o pomówienie. Ale nie zrobi tego; nie ma mowy, by to zrobił, bo kłamie i wie, że ja o tym wiem.

Zobaczyłam, że jego lewa ręka wędruje na zewnętrzną stronę lewego uda i nagle spanikowałam. Dyktafon!

– Jeżeli robisz tam to, co mi się wydaje!... – wypaliłam.

– Co takiego? – odparł zaskoczony.

– Jeżeli masz tam ten swój cholerny dyktafon...

– Hej! – zaprotestował. – Tylko się drapałem, okay? Do licha, sama sprawdź! Przeszukaj mnie, jeżeli poprawi ci to samopoczucie.

– Chciałbyś!

Roześmiał się; był naprawdę szczerze rozbawiony.

– Chcesz znać prawdę? – ciągnął. – Zastanawiam się, co tak naprawdę przydarzyło się jego żonie?

– Nie znalazłam nic podejrzanego – odparłam, przełykając z trudem. – Miała proch na prawej dłoni...

– Och, jasne – przerwał mi Marino. – To ona pociągnęła za spust. Nie wątpię w to, lecz może właśnie teraz dowiedzieliśmy się, dlaczego to zrobiła? Może odstawiał takie numery od lat, a ona to odkryła?

Przekręcił kluczyki w stacyjce i włączył światła. Chwilę później wycofał samochód na ulicę.

– Posłuchaj. – Nie zamierzał sobie tego odpuścić. – Nie chcę być nachalny; powiem inaczej, istnieją lepsze rozrywki niż wtrącanie się w cudze życie, okay? Ale znasz go, doktorku, spotykałaś się z nim, prawda?

Chodnikiem, w naszą stronę szedł transwestyta – żółta spódnica kołysała się dokoła zgrabnych kolan, a sztuczne piersi wyglądały na jędrne i krągłe pod opiętym materiałem białej bluzki. Szklanym wzrokiem powiódł za naszym samochodem.

– Widywałaś się z nim, prawda? – powtórzył Marino.

– Tak – odparłam ledwie słyszalnie.

– A w zeszły piątek?

Z początku nie mogłam sobie przypomnieć; nie potrafiłam się skupić.

– Zabrałam siostrzenicę na kolację i do kina.

– Boltz był z wami?

– Nie.

– Wiesz, gdzie był w zeszły piątek? – Potrząsnęłam głową.

– Nie dzwonił ani nic?

– Nie.

Cisza.

– Cholera – mruknął Marino z wyraźną frustracją. – Gdybym tylko wtedy wiedział o nim to, co wiem teraz, przejechałbym koło jego domu. Zobaczyłbym, czy jest na miejscu, czy może gdzieś się wybrał. Cholera!

Znowu milczenie.

Marino wyrzucił niedopałek przez okno i zaraz zapalił następnego papierosa; kopał jak komin.

– Jak długo się z nim spotykasz?

– Kilka miesięcy; od kwietnia tego roku.

– Wiesz, czy widywał się z innymi kobietami, czy tylko z tobą?

– Nie mam pojęcia, czy spotyka się z kimś innym. Nie wiem. Ale najwyraźniej wiele jest rzeczy, których o nim nie wiedziałam.

– Czy kiedykolwiek coś w jego zachowaniu wydało ci się dziwne? – ciągnął niezmordowanie Marino. – Coś zaskakującego? Niezwykłego?

– Nie wiem, o co pytasz. – Coraz trudniej było mi się skupić; miałam wrażenie, że odpływam z rzeczywistości w sen.

– Czy zrobił kiedyś coś dziwnego? Na przykład w łóżku? – Nie odpowiedziałam. – Bywał może brutalny? Zmuszał cię do czegoś? – Zawahał się. – Jaki on jest? Czy naprawdę jest takim zwierzakiem, jakiego opisała Abby Turnbull? Możesz go sobie wyobrazić robiącego te rzeczy, o których ona mówiła?

Miałam kłopoty z koncentracją; jednocześnie słyszałam słowa Marino i nie słyszałam ich. Moje myśli galopowały i powoli coraz bardziej pograżałam się we wspomnieniach.

– ...mówię o agresji. Czy Boltz jest agresywny? Zauważyłaś może coś dziwnego?...

Wspomnienia. Bill. Jego ręce ugniatające moje piersi; zdzierające ubranie... jego ciało przygniatające mnie do kanapy...

– ...tacy faceci mają zazwyczaj określony sposób działania. To nie o seks im chodzi, ale o zdobywanie. Wiesz, o podbój...

Był tak gwałtowny! Sprawiał mi ból. Wpychał mi język do ust. Nie mogłam oddychać, dusiłam się. To nie był on. To było tak, jakby w mgnieniu oka stał się kimś innym.

– I nie ma żadnego znaczenia, że to przystojniak... że mógłby mieć każdą. Rozumiesz? To szajbus...

Zupełnie jak Tony, kiedy się upił i był na mnie wściekły.

– ...chodzi mi o to, że to pieprzony gwałciciel, doktorku. Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale taka jest prawda, do ciężkiej cholery! Moim

zdaniem powinnaś coś wyczuć...

Bill za dużo pił; a gdy się wstawił, bywał jeszcze gorszy.

– ...zdarza się cały czas. Nie uwierzyłabyś, ile młodych babek wzywa mnie do swoich mieszkań nawet w dwa miesiące po fakcie. Wreszcie zdobywają się na odwagę, by komuś powiedzieć. Jakaś przyjaciółka przekonuje je, by poszły na policję. Bankierzy, biznesmeni, politycy; spotykają kociaka w barze, kupują jej drinka, niepostrzeżenie wsypują do niego wodzian chloralu. Bum! A potem dziewczyna budzi się w łóżku z takim zwierzęciem i czuje się tak, jakby przejechała ją ciężarówka...

Nigdy nie spróbowałby podobnej rzeczy ze mną! Zależało mu na mnie. Nie byłam dla niego obcą osobą... obiektem do wyładowania żądz... Albo może po prostu trzymał się na wodzy... Zbyt dużo wiedziałam. Nigdy nie udałooby mu się z tego wykręcić.

– ...tym draniom przez wiele lat uchodzi to na sucho. Niektórym nawet przez całe życie. Idą do grobu z większą ilością nacięć na pasie niż Jack Wielki Zabójca...

Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. Nie miałam pojęcia, jak długo już jedziemy.

– To odpowiednia aluzja, co? Jack to ten idiota, co zabijał muchy, i po każdym polowaniu robił sobie nacięcia na pasku, za każdą zabita sztukę...

Światło nadal nie chciało się zmienić na zielone.

– Czy on ci to kiedyś zrobił, doktorku? Czy Boltz cię zgwałcił?

– Co takiego? – Powoli odwróciłam się i spojrzałam na niego. Nie patrzył na mnie; siedział z rękoma na kierownicy, wpatrując się w czerwone światło nad jezdnią. – Co takiego? – powtórzyłam, czując, jak serce zaczyna mi dziko łomotać w piersi.

Światło zmieniło się wreszcie na zielone i ruszyliśmy.

– Czy on cię zgwałcił? – nalegał Marino, jakby mnie nie znał; jakbym była jedną z tych „babeł”, które go wzywały w przeszłości. Poczułam, że krew napływa mi do twarzy. – Czy kiedykolwiek sprawił ci ból? Usiłował dusić czy coś w tym stylu?...

Pociemniało mi przed oczyma; usłyszałam krew pulsującą w skroniach. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak wściekła.

– Nie! Powiedziała ci o nim wszystko, co wiem! Nie zamierzam mówić już nic więcej, do ciężkiej cholery! Koniec i kropka!

Marino był tak zdumiony, że zamilkł; przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jesteśmy.

Dokładnie na wprost nas znajdowała się biała twarz zegara; cienie i rozmazane kształty wreszcie złożyły się w całość i zobaczyłam parking przed kostnicą, budynek mego biura i samochód stojący nieopodal.

Trzęsącymi się dłońmi odpięłam pasy i wysiadłam z wozu Marino. Drżałam na całym ciele.

We wtorek padało; deszcz lał się z szarego nieba tak potężnymi strumieniami, że wycieraczki nie nadążały ściągać go z przedniej szyby. Wraz z kilkoma tysiącami innych samochodów pełzłam powoli w korku na autostradzie.

Pogoda doskonale odzwierciedlała mój nastrój; po rozmowie z Marino czułam się jak chora; było mi niedobrze. Od jak dawna wiedział? Jak często widywał audi Billa zaparkowane na podjeździe przed moim domem? Czy przejeżdżał moją ulicą powodowany zwykłą ciekawością, czy było w tym coś więcej? Ciekawiło go, jak mieszka pani naczelny koroner. Założę się, że wiedział, ile wynosi moja pensja i jak wielką zaciągnęłam hipotekę na dom.

Widząc przed sobą migające światła, zjechałam na lewy pas i minęłam ambulans; policjanci kierowali ruchem, przepuszczając samochody obok

nieźle pokierszowanej furgonetki. Moje myśli przerwały wiadomości radiowe.

– ...Henna Yarborough została zgwałcona i uduszona, policja uważa, że zbrodnię popełnił ten sam człowiek, który w ostatnich dwóch miesiącach zamordował w Richmond już cztery kobiety...

Zrobiłam głośniej radio i słuchałam informacji, które powtarzano po raz kolejny tego ranka. Zdawało się, że w ostatnich dniach mieszkańców Richmond interesują tylko morderstwa.

– ...ostatnie doniesienie: wedle informacji dostarczonych nam przez źródło blisko związane z dochodzeniem, doktor Lori Petersen najprawdopodobniej usiłowała dodzwonić się na policję tuż przed tym, jak została brutalnie zamordowana...

Ten interesujący szczegół został dokładnie opisany na pierwszej stronie porannych gazet.

– ...Dyrektora do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego, Normana Tannera, zastaliśmy w domu...

Tanner przeczytał najwyraźniej wcześniej przygotowane oświadczenie.

– Policja została już poinformowana o zaistniałej sytuacji. Ze względu na dobro dochodzenia nie mogę udzielić żadnych innych komentarzy...

– Czy wie pan, kto dostarczył tę informację, panie Tanner? – zapytał jeden z dziennikarzy.

– Nie mam prawa z kimkolwiek o tym rozmawiać.

Nie mógł o tym rozmawiać, bo nie miał pojęcia.

Ale ja wiedziałam.

Tak zwanym źródłem blisko związanym z dochodzeniem była z całą pewnością sama Abby. Nigdzie nie znalazłam artykułu podpisanego jej nazwiskiem. Najwyraźniej szef zdjął ją z tego przydziału. A ponieważ nie mogła pisać tego, co chciała, dostarczała informacji kolegom po fachu.

Przypomniałam sobie jej groźbę: „Ktoś mi za to zapłaci...” Chciała, żeby zapłacił Bill, policja, władze miasta i sam Pan Bóg. Czekałam, kiedy pojawią się wiadomości o włamaniu do mojego komputera i źle oznakowanym folderze PERK-u – wtedy to ja bym jej zapłaciła.

Do biura dojechałam dopiero o wpół do dziewiątej; telefony już się urywały.

– Ciągłe wydzwaniania dziennikarzy z gazet i telewizji, a przed chwilą chciał z panią rozmawiać jakiś facet z New Jersey, który podobno ma zamiar napisać książkę o tych sprawach – powiadomiła mnie Rose, podając mi jednocześnie gruby plik karteczek z wiadomościami.

Zapaliłam papierosa.

– Byłoby strasznie, gdyby się okazało, że Lori Petersen faktycznie usiłowała zadzwonić na policję – dodała; na jej twarzy zobaczyłam troskę.

– Po prostu odsyłaj wszystkich ciekawskich na drugą stronę ulicy – odparłam. – Każdy, kto chce coś wiedzieć, niech dzwoni do Amburgeya.

Komisarz przysłał mi już kilka elektronicznych wiadomości, domagając się natychmiastowego dostarczenia mu raportu z autopsji Henny Yarborough; w ostatniej słowo „natychmiast” zostało wytłuszczone i podkreślone, a na końcu drań dopisał: „Spodziewam się wyjaśnienia dotyczącego rewelacji w »Timesie«.”

Czyżby implikował, że w jakiś sposób byłam odpowiedzialna za ten ostatni przeciek informacji? Czyżby oskarżał mnie o powiedzenie dziennikarzom o oddalonym wezwaniu Lori?

Nie zamierzałam mu się z niczego tłumaczyć. Nic dziś ode mnie nie dostanie, nawet gdyby przysłał mi jeszcze dwadzieścia podobnych wiadomości, a potem zjawił się tu osobiście!

– Przyszedł sierżant Marino – dodała Rose, zupełnie wyprowadzając mnie z równowagi. – Przyjmie go pani?

Wiedziałam, czego chce Marino; już zrobiłam dla niego kopię raportu z autopsji. Miałam jednak nadzieję, że przyjdzie do biura później, kiedy ja już stąd wyjdę.

Właśnie podpisywałam stertę raportów toksykologicznych, gdy usłyszałam w korytarzu jego ciężkie kroki. Odwróciłam się; miał na sobie granatowy płaszcz przeciwdeszczowy, a rzadkie siwe włosy przykleiły mu się do czaszki. Był ponury.

– Jeżeli chodzi o wczorajszy wieczór... – zaczął, lecz najwyraźniej moja mina powstrzymała go przed dalszymi wynurzeniami. Rozejrzał się nerwowo po pokoju, rozpiął płaszcz i wyciągnął papierosy z kieszeni. – Leje jak z cebra – mruknął. – Cokolwiek by to znaczyło... Jak się nad tym tak porządnie zastanowić, żadne z tego typu powiedzonek nie ma za wiele sensu. – Urwał, a po chwili dodał: – Podobno po południu ma przestać.

Bez słowa podałam mu fotokopię raportu z sekcji Henny Yarborough wraz ze wstępnym raportem serologicznym Betty. Nie usiadł, lecz stał na środku pokoju i czytał; woda z płaszcza ściekała na dywan, tworząc małe kałuże.

Zauważyłam, że gdy dotarł do niesmacznych szczegółów, przeskoczył oczyma od razu na dół strony.

– Kto o tym wie? – spytał, patrząc mi prosto w oczy.

– Właściwie nikt.

– Komisarz już to widział?

– Nie.

– Tanner?

– Dzwonił jakiś czas temu; poinformowałam go tylko o przyczynie śmierci. Nic nie wspominałam o pozostałych obrażeniach.

Marino jeszcze przez parę minut czytał raport.

– Ktoś jeszcze? – spytał, nie podnosząc wzroku.

– Nikt inny tego nie widział.

Cisza.

– W gazetach nic nie było – odezwał się. – W radiu ani telewizji też nic nie mówili. Innymi słowy, ten, kto przekazuje im informacje, też gównowicie.

Patrzyłam na niego w milczeniu.

– Cholera. – Marino złożył raport na pół i wsadził do kieszeni. – Ten facet to pieprzony Kuba Rozpruwacz. – Spoglądając na mnie, dodał: – Zakładam, że Boltz się do ciebie nie odzywał? Jeżeli zadzwoni, olej go.

– A to niby co ma znaczyć? – Na sam dźwięk jego imienia zrobiło mi się słabo.

– Nie przyjmuj jego telefonów, nie umawiaj się z nim. Nie chcę, by w tej chwili miał dostęp do jakichkolwiek informacji. Nie chcę, by zobaczył ten raport... by dowiedział się czegokolwiek więcej na temat tych spraw.

– Nadal go podejrzewasz? – spytałam, siląc się na spokój.

– Do diabła, sam już nie wiem, co mam myśleć – odrzekł. – Chodzi o to, że on jest prokuratorem okręgowym i ma prawo robić, co tylko mu się żywnie podoba, tak? Jednak mnie gównowicie to obchodzi; jak dla mnie, może być samym gubernatorem... Jeżeli to jego sprawka, odpowie mi za to. W tym czasie proszę cię tylko, byś go unikała. Dobrze?

Byłam pewna, że Bill nie odezwie się do mnie. Wiedział, co Abby powiedziała o nim, i wiedział, że ja także byłam przy tym obecna.

– I jeszcze jedno – dodał Marino, zapinając płaszcz i stawiając kołnierz. – Jeżeli jesteś na mnie wkurzona, to niech tak będzie, twoje prawo. Wczoraj wieczorem tylko wykonywałam swoją pracę; jeśli uważasz, że sprawiło mi to przyjemność, grubo się mylisz.

Odwrócił się, słysząc za plecami ciche kasznięcie; w drzwiach mego gabinetu stał Wingo z rękoma w kieszeniach eleganckich białych spodni.

Na twarzy Marino pojawiło się obrzydzenie. Grubiańsko przepchnął się obok chłopaka i wyszedł na korytarz.

Wingo, nerwowo spoglądając za nim, podszedł do mego biurka. Ze zdenerwowania brzęczał miedziakami w kieszeni.

– Um... pani doktor? Na dole czekają jacyś dziennikarze...

– Gdzie jest Rose? – spytałam, zdejmując okulary. Piekły mnie oczy.

– Chyba w toalecie... Um... chce pani, żebym im kazał się wynosić?

– Wyślij ich na drugą stronę ulicy – odparłam z lekką irytacją. – Tak samo jak wszystkich innych.

– Jasne – mruknął, lecz nie ruszył się z miejsca. Najwyraźniej coś jeszcze leżało mu na wątrobie; znowu zabrzęczały miedziaki w jego kieszeni.

– Coś jeszcze? – zapytałam, siląc się na spokój.

– Taak, coś mnie ciekawi – odrzekł. – Chodzi o komisarza... o Amburgeya. Czy on nie jest przypadkiem zaciętym wrogiem palaczy i nie obnosi się z tym wszędzie? To on czy też pomyliłem go z kimś innym?

Przyjrzałam mu się uważnie; zupełnie nie mogłam zrozumieć, po co mu ta informacja.

– Tak, jest zagorzałym wrogiem palenia i często publicznie daje temu wyraz.

– Tak też myślałem. Zdawało mi się, że słyszałem parę jego przemówień na ten temat, ale nie byłem pewny. Obiło mi się o uszy, że od przyszłego roku chce zabronić palenia w budynkach należących do Departamentu Zdrowia Publicznego.

– To prawda – odpowiedziałam, czując, że ponosi mnie złość. – O tej porze w przyszłym roku twoja szefowa będzie paliła papierosy na chodniku, w deszczu, niczym jakaś nastolatka kryjąca się przed rodzicami.
– Przyjrzałam mu się z zainteresowaniem. – Czemu pytasz?

Ale Wingo tylko wzruszył ramionami.

– Po prostu byłem ciekawy. – Jeszcze raz poruszył barkami. – Zakładam, że sam kiedyś palił i nawrócił się czy coś w tym stylu?

– Wedle moich informacji, Amburgey nigdy w życiu nie miał papierosa w ustach – odparłam.

Znowu odezwał się telefon stojący na moim biurku, a gdy podniosłam wzrok, Wingo już wyszedł.

Pomijając wszystko inne, Marino nie mylił się co do pogody. Kiedy tego popołudnia jechałam do Charlottesville, niebo zrobiło się błękitne, a jedyną oznaką porannej niepogody była mgła unosząca się nad pastwiskami ciągnącymi się wzdłuż drogi.

Gnębiły mnie oskarżenia Amburgeya; chciałam na własne uszy usłyszeć to, o czym powiedział mu doktor Spiro Fortosis. Taki przynajmniej był oficjalny powód mojej wizyty u specjalisty od psychologii klinicznej i psychiatrii. Ale miałam jeszcze jeden – znaleźmy się od początków mojej zawodowej kariery i nigdy nie zapomniałam, że zaprzyjaźnił się ze mną podczas pierwszych nieprzyjemnych miesięcy, gdy zaczęłam jeździć na ogólnonarodowe zebrania patologów, na których nie znałam żywej duszy. Rozmowa z nim była najlepszą formą terapii – poza pójściem do psychologa – jaką mogłam sobie wyobrazić.

Znalazłam go na korytarzu czwartego piętra, w ceglanym budynku, w którym mieścił się jego departament. Na mój widok uśmiechnął się szeroko i powitał mnie ojcowskim uściskiem, po czym delikatnie pocałował w czubek głowy.

Był starszy ode mnie o piętnaście lat; od wielu lat pracował jako wykładowca psychiatrii i medycyny sądowej na uniwersytecie. Białe jak śnieg włosy zawijały mu się dokoła uszu, a oczy błyszczały dobrocią zza szkieł okularów. Jak zwykle miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i

wąski krawat w prążki, który tak dawno temu wyszedł z mody, że wszyscy już o tym zapomnieli i znowu był na topie. Odkąd pamiętam, Spiro uosabiał dla mnie „miejskiego lekarza” z płócien Normana Rockwella.

– Właśnie przemalowują mój gabinet – wyjaśnił, otwierając ciemne drzwi przy końcu korytarza. – Jeżeli więc nie masz nic przeciwko temu, że potraktuję cię jak pacjenta, siądziemy tutaj.

– W tej chwili czuję się zupełnie tak, jak jeden z twoich pacjentów – odparłam, gdy zamknął za nami drzwi.

Przestronny pokój urządzony był na podobieństwo salonu; usiadłam na beżowej skórzanej kanapie i rozejrzałam się dokoła. Na ścianach wisiały blade, abstrakcyjne akwarele i kilka roślin doniczkowych. Brakowało czasopism, książek i telefonu. Po obu stronach stołu stały lampy, a żaluzje były przysłonięte akurat na tyle, by słońce nie raziło nas w oczy, a łagodnie oświetlało całe pomieszczenie.

– Jak się czuje twoja mama? – spytał Fortosis, przyciągając sobie bujany fotel.

– Żyje. Coś mi się zdaje, że przeżyje nas wszystkich.

Uśmiechnął się lekko.

– Zawsze tak myślimy o naszych matkach, lecz niestety bardzo rzadko mamy rację.

– A jak tam twoja żona i córka?

– Doskonale. – Przyjrzał mi się uważnie. – Wyglądasz na przemęczoną, Kay.

– Bo tak właśnie się czuję.

Milczał przez dłuższą chwilę.

– Prowadziłaś zajęcia fakultatywne na VMC – odezwał się łagodnie. – Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie spotkałaś tam kiedyś Lori Petersen.

Bez zbędnych wstępów opowiedziałam mu to, do czego nie przyznałam się jeszcze nikomu innemu. Musiałam to z siebie wyrzucić.

– Spotkałam ją tylko raz – rzekłam. – A w każdym razie jestem prawie pewna, że to była ona.

Bezustannie wysilałam pamięć, szczególnie podczas długich dojazdów do domu i do pracy albo gdy doglądałam w ogrodzie moich róż. Widziałam wtedy przed oczyma twarz Lori Petersen i usiłowałam dopasować ją do niezliczonej ilości twarzy młodych studentów na VMC, którzy gromadzili się wokół mnie w laboratoriach albo siedzieli przede mną na sali wykładowej. Byłam pewna, że gdy po raz pierwszy zobaczyłam jej zdjęcia, w domu w Berkley Downs, poznałam ją.

W zeszłym miesiącu prowadziłam wykład pod tytułem „Kobiety w medycynie”. Pamiętam, jak stałam za katedrą i spoglądałam w morze młodych twarzy na audytorium w college medycznym. Studenci przynieśli ze sobą drugie śniadania i siedząc wygodnie na miękkich fotelach, jedli kanapki i pili soki. Nie było w tym nic niezwykłego; wykład jak każdy inny.

Nie byłam zupełnie pewna, ale wydaje mi się, że Lori była jedną z kilku dziewcząt, które podeszły do mnie po wykładzie, by zadać mi kilka pytań. Jak przez mgłę pamiętam atrakcyjną blondynkę w białym fartuchu, o zielonych, poważnych oczach. Zapytała, czy naprawdę uważam, że kobieta może pogodzić życie rodzinne z karierą tak wymagającą czasu i poświęcenia, jak kariera lekarza. Zapamiętałam to, bo nie od razu odpowiedziałam na jej pytanie; mnie samej udało się to tylko w pięćdziesięciu procentach.

Obsesyjnie odgrywałam w myślach tę scenę, jakbym mogła zobaczyć jej twarz w pełnej ostrości, jeżeli tylko dostatecznie mocno się skupię. Czy to naprawdę Lori Petersen rozmawiała ze mną tamtego dnia? Już chyba nigdy

nie będę w stanie przejść korytarzem VMC, nie oglądając się za blondynkami w lekarskich fartuchach. Nie wydaje mi się, bym ją znalazła.

– Ciekawe – odezwał się Fortosis w zamyśleniu. – Dlaczego tak bardzo gnębi cię to, czy ją spotkałaś w przeszłości?

Przyglądałam się smużce dymu unoszącej się z papierosa.

– Nie jestem pewna... może przez to jej śmierć jest dla mnie jeszcze bardziej realistyczna?

– Gdybyś mogła się cofnąć do tamtego dnia, zrobiłabyś to?

– Tak.

– Po co?

– Żeby ją jakoś ostrzec – powiedziałam. – Żeby jakoś odkręcić to, co on jej zrobił.

– Co zrobił morderca?

– Tak.

– A co o nim myślisz?

– Wcale nie chcę o nim myśleć. Chcę tylko zrobić wszystko, co w mojej mocy, by został schwytany.

– I ukarany?

– Nie ma kary odpowiedniej dla zbrodni, które popełnił. Żadna kara nie będzie dla niego wystarczająca.

– A czy jeżeli skazą go na śmierć, nie będzie to dostateczna kara?

– Umrzeć może tylko jeden raz.

– Więc chcesz, by cierpiał. – Cały czas patrzył mi w oczy.

– Tak – odparłam.

– W jaki sposób? Masz na myśli ból fizyczny?

– Strach – powiedziałam. – Chcę, by był równie przerażony jak one, gdy zrozumiały, że umrą.

Nie mam pojęcia, jak długo mówiłam, lecz gdy wreszcie skończyłam, w pokoju było znacznie ciemniej.

– Zdaje się, że ta sprawa załazła mi za skórę znacznie bardziej niż jakakolwiek inna – przyznałam.

– To jest tak jak ze snami. – Odchylił się do tyłu na fotelu i splótł palce.
– Ludzie często mówią, że nic im się nie śni, gdy tak na prawdę tylko nie pamiętają swoich snów. Wszystkie te sprawy dają ci się w kość, Kay, ale najczęściej odcinasz się od męczących cię uczuć.

– Najwyraźniej w tym wypadku mi się to nie udaje, Spiro.

– Dlaczego?

Podejrzewam, że doskonale wiedział dlaczego, lecz chciał, bym to powiedziała.

– Może dlatego, że Lori Petersen była lekarzem. Potrafię wczuć się w jej sytuację... w końcu kiedyś byłam w jej wieku. Byłam taka jak ona.

– W pewnym sensie kiedyś byłaś nią.

– W pewnym sensie.

– A to, co się z nią stało... równie dobrze mogło przytrafić się tobie, tak?

– Nie wiem, czy pociągnęłabym to aż tak daleko.

– A mnie się zdaje, że już pociągnęłaś. – Uśmiechnął się smutno. – Odnoszę wrażenie, że zbyt wiele spraw zaszło za daleko. Co jeszcze cię dręczy?

Amburgey. Co też Fortosis mu powiedział?

– Znajduję się pod ciągłą presją.

– Jaką?

– Polityczną. – W końcu to wykrztusiłam.

– Ach, tak. – Delikatnie stukał o siebie opuszkami palców. – Zawsze jest polityka...

– Chodzi mi o przecieki informacji do prasy. Amburgey martwi się, że mogą pochodzić z mego biura. – Zawahałam się, usiłując wyczytać z jego miny, czy wie już coś na ten temat. – Jego zdaniem artykuły w gazetach sprawiają, iż morderca czuje coraz większą potrzebę szybkiego rozładowywania napięcia, co owocuje coraz częstszymi zabójstwami. Jeszcze trochę i powie mi, że to pośrednio spowodowało śmierć Lori Petersen i Henny Yarborough.

– Czy jest możliwe, by przecieki faktycznie pochodziły z twojego biura?

– Ktoś... z zewnątrz... włamał się do mojej komputerowej bazy danych. Czyli jest to prawdopodobne i jednocześnie stawia mnie w koszmarnej sytuacji, gdzie nie bardzo mam jak się bronić.

– Chyba że dowiesz się, kto włamał się do twego komputera – odparł spokojnie.

– Nie mam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać – odrzekłam. – Rozmawiałeś z Amburgeyem, prawda? – nalegałam.

Spojrzał mi w oczy.

– Tak. Ale on stanowczo przesadza z interpretacją moich słów, Kay. Nigdy nie posunąłbym się tak daleko, by twierdzić, że przecieki informacji z twojego biura były przyczyną dwóch ostatnich morderstw. Innymi słowy, że te dwie kobiety żyłyby do dnia dzisiejszego, gdyby nie ukazały się pełne szczegółów artykuły w gazetach. Tego nie wiem i nie powiedziałem.

Ułga, którą poczułam, była tak wielka, że z pewnością odzwierciedlała się na mojej twarzy.

– Jednak jeżeli Amburgey albo ktokolwiek inny chce rozdmuchać sprawę tych rzekomych przecieków, które mogą pochodzić z twojej bazy danych, obawiam się, że niewiele mogę na to poradzić. Szczerze mówiąc, jestem przekonany, że istnieje powiązanie pomiędzy artykułami a działaniem zabójcy. Jeżeli dzięki ściśle tajnym informacjom

przedostającym się do prasy artykuły faktycznie są bardziej szczegółowe, a nagłówki większe, to Amburgey – czy ktokolwiek inny – może zacytować moje słowa i użyć ich przeciwko tobie. – Przyglądał mi się przez długą chwilę. – Rozumiesz, co mówię?

– Mówisz, że nie możesz rozbroić bomby – odparłam załamana.

Pochylając się nieco, Fortosis odparł poważnie:

– Mówię, że nie potrafię rozbroić bomby, której nie widzę. Jakiej bomby? Chcesz powiedzieć, że ktoś cię wrabia, Kay?

– Nie wiem – odrzekłam ostrożnie. – Wiem tylko, że władze miasta z Departamentem Policji na czele będą pływać po uszy w gównie, jeżeli ludzie dowiedzą się, że Lori Petersen zadzwoniła na policję w chwilę przed tym, zanim została zamordowana, a gliniarze nawet palcem nie kiwnęli. Pewnie czytałeś o tym.

Skinął głową, a w jego oczach pojawiło się zainteresowanie.

– Amburgey wezwał mnie do siebie i powiedział o tym na długo przed ukazaniem się tego artykułu; byli tam także Tanner i Boltz. Powiedzieli, że może wybuchnąć skandal, że rodzina Lori Petersen może pozwać policję do sądu. Wtedy też Amburgey kazał mi przysyłać wszystkich dziennikarzy do siebie i nie udzielać im żadnych informacji. Powiedział, że według ciebie te historie w prasie powodują eskalację zachowań mordercy. Dość długo przesłuchiwał mnie w sprawie możliwości przeciekania informacji z mojego biura; musiałam przyznać, że ktoś włamał się do bazy danych.

– Rozumiem.

– W miarę rozwoju wypadków – ciągnęłam – zaczęłam mieć takie niepokojące podejrzenie, że jeżeli wybuchnie jakiś skandal, to będzie on dotyczył czegoś, co rzekomo dzieje się w moim biurze. Wniosek: to ja zaszkodziłam śledztwu, być może pośrednio przeze mnie zginęły dwie kobiety... – Urwałam. Złapałam się na tym, że bezwiednie unoszę głos. –

Innymi słowy, miewam wizje, w których wszyscy ignorują zaniedbania policji, bo są zbyt wściekli na biuro koronera, czyli na mnie. – Fortosis nie skomentował; dokończyłam więc kulawo: – Ale możliwe, że robię z igły widły.

– A może nie.

To nie to chciałam od niego usłyszeć.

– Teoretycznie – wyjaśnił – wszystko może dziać się dokładnie tak, jak przed chwilą opisałaś. Jeżeli pewne wysoko postawione osoby chcą ratować własne tyłki, mogą sobie szukać kozła ofiarnego, a koroner jest idealny do tego celu. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie nie mają pojęcia, na czym polega twoja praca, i wyobrażają sobie jak najkoszmarniejsze scenariusze. Zazwyczaj nie podoba im się pomysł, że ktoś może rozcinać ciała ich ukochanych, uważają to za ostateczne zbezczeszczenie...

– Proszę! – przerwałam mu trochę zbyt gwałtownie.

– Ale rozumiesz, o co mi chodzi – odrzekł spokojnie.

– Aż za dobrze.

– To włamanie do twojego komputera nie mogło się zdarzyć w gorszym momencie.

– Boże... żałuję, że postęp techniczny w ogóle się zdarzył i że nadal nie używamy maszyn do pisania.

Fortosis odwrócił się do okna.

– Mówiąc językiem prawniczym, Kay, sugeruję, żebyś była bardzo ostrożna. – Znowu obrócił się ku mnie, miał ponurą minę. – Jednak stanowczo odradzam ci zbyt mocne zaangażowanie w tę sprawę; niech to nie odciąga cię od dochodzenia. Brudna polityka lub obawa przed nią może być tak rozprasająca, że człowiek zaczyna popełniać błędy... tym samym zaoszczędzając przeciwnikowi kłopotu z preparowaniem dowodów winy.

Przez myśl przebiegły mi źle oznakowane wymazy PERK-u. Nieomal zazgrzytałam zębami.

– To przypomina zachowanie ludzi na tonącym statku – dodał. – Każdy walczy o własne życie i lepiej nie stawać mu na drodze. Nie możesz podkładać się ludziom, których ogarnęła panika. A ludzie w Richmond zaczęli panikować.

– Niektórzy z całą pewnością tak – zgodziłam się cicho.

– I jest to zrozumiałe. Śmierci Lori Petersen można było zapobiec. Policja popełniła niewybaczalny błąd, nie nadając jej zgłoszeniu najwyższego priorytetu; mordercy nie złapano, a w mieście nadal giną młode kobiety. Ludzie winią za to policję i władze miasta, które tylko szukają, na kogo rzucić winę. Taka jest natura strachu. Jeżeli policja i politycy znajdą sobie jakąś zastępczą ofiarę, na pewno właśnie na nią zrzucą winę za swoje niepowodzenia.

– Czyli na moją skromną osobę – rzekłam gorzko; automatycznie pomyślałam o moim poprzedniku, Cagneyu.

Czy jemu przytrafiłoby się to samo? Znałam odpowiedź na to pytanie i wyartykułowałam ją.

– Nie mogę pozbyć się wrażenia, że jestem łatwą ofiarą ze względu na swoją płęć.

– Jesteś kobietą w świecie zdominowanym przez mężczyzn – odparł Fortosis. – Zawsze będziesz uważana za łatwą ofiarę, dopóki chłopcy nie przekonają się, że i ty masz ostre zęby. A masz. – Uśmiechnął się. – Musisz im to tylko udowodnić.

– Jak?

– Czy masz w biurze kogoś, komu absolutnie ufasz? – spytał.

– Moi pracownicy są bardzo lojalni...

Machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Chodzi mi o zaufanie, Kay. Czy powierzyłabyś komuś z nich swoje życie? Na przykład twojej analityczce od komputerów?

– Margaret zawsze była uczciwa... – odrzekłam z wahaniem. – Ale czy powierzyłabym jej życie? Nie sądzę. Właściwie prawie jej nie znam... poza pracą.

– Chodzi mi o to, że twoim zabezpieczeniem, najlepszą obroną, jeżeli tak wolisz to nazwać, byłoby ustalenie, kto włamał się do bazy danych w twoim komputerze. To może nie być możliwe... ale jeżeli istnieje szansa, to podejrzewam, że ktoś znający się na komputerach mógłby ci pomóc w rozwiązaniu problemu. Ktoś, komu jednocześnie ufasz. Uważam też, że głupotą byłoby zatrudnienie kogoś, kogo ledwie znasz, a kto mógłby wszystko rozgadać.

– Nikt taki nie przychodzi mi na myśl – powiedziałam. – A nawet gdybym się dowiedziała prawdy o tym hakerze... nowiny mogą nie przynieść mi żadnej korzyści. Jeśli to faktycznie jakiś dziennikarz włamuje się do mojej bazy danych, zupełnie nie rozumiem, jak udowodnienie mu tego miałyby mi w czymkolwiek pomóc.

– Może i w niczym by ci nie pomogło, ale na twoim miejscu bym zaryzykował.

Zastanawiałam się przez dłuższą chwilę, do czego Spiro mnie popycha. Odniosłam wrażenie, że ma już podejrzanego, lecz nie chce mi o tym mówić, nie mając żadnych dowodów.

– Będę o tym pamiętał – obiecał. – Na przykład, jeżeli ktoś będzie mnie wypytywał o te sprawy... jeżeli będzie wywierać na mnie presję. – Zawahał się. – Nie chcę, by ktoś wykorzystał moje słowa przeciwko tobie, lecz jednocześnie nie mogę kłamać. Faktem jest, że reakcja mordercy na artykuły w gazetach i jego modus operandi są nieco dziwne. – Słuchałam uważnie. – Prawda wygląda tak, że nie wszyscy seryjni mordercy lubią

czytywać o sobie w gazetach. Ludzie mają tendencję do uogólniania; uważają, że każdy, kto popełnia okrutną zbrodnię, pragnie rozgłosu, pragnie czuć się ważny i zauważany. Jak na przykład Hickley. Strzelił do prezydenta i z dnia na dzień cały świat się o nim dowiedział. Z biednego, niedostosowanego faceta o słabo zintegrowanej osobowości, który nie potrafił utrzymać kontaktu emocjonalnego z innymi ludźmi ani zagrzać miejsca na dłużej w żadnej pracy, zrobił się facetem numer jeden na świecie. Moim zdaniem takie typy osobowości są bardzo rzadkie i jednocześnie ekstremalne. Na drugim końcu osi są ludzie tacy jak Lucas czy Tooles. Robią, co chcą, i często nawet nie pozostają w jednym miejscu dostatecznie długo, by poczytać w gazetach o swych wyczynach. Nie chcą, by ktokolwiek dowiedział się o tym, co robią. Chowają ciała i zacierają za sobą ślady. Większość swego życia spędzają w drodze, podróżując od miasta do miasta, a ofiary wybierają spośród bezimiennych nieznanym. Moim zdaniem, wyrobionym w oparciu o porównania modus operandi tych ostatnich zbrodni, morderca z Richmond łączy w sobie oba ekstrema: zabija, bo to dla niego obsesja, i absolutnie nie chce zostać schwytany. Ale jednocześnie zależy mu na uwadze; chce, by wszyscy wiedzieli, co, kiedy i komu zrobił.

– I to właśnie powiedziałaś Amburgeyowi? – zapytałam.

– Wtedy nie miałem jeszcze tak dokładnie sformułowanej opinii. Przekonało mnie dopiero morderstwo Henny Yarborough.

– Z powodu Abby Turnbull.

– Tak.

– Jeżeli to ona miała paść ofiarą Dusiciela – ciągnęłam – byłby to szok dla miasta. Cóż bardziej wstrząsnęłoby opinią publiczną niż śmierć znanej reporterki z rąk mordercy, o którym pisała.

– Jeśli ją chciał tym razem zamordować, wydaje mi się to dość osobistym wyborem. Wydawać by się mogło, że pierwsze cztery były bezosobowe; zabijał zupełnie obce sobie kobiety. Zobaczył je gdzieś, ruszył za nimi i gdy nadarzyła się okazja, uderzył.

– Wyniki testów DNA wykażą, czy wszystkich zbrodni dokonał ten sam mężczyzna – powiedziałam, uprzedzając to, co, jak założyłam, chodziło mu po głowie. – Ale ja jestem pewna. Ani przez chwilę nie wierzyłam, że Hennę zamordował ktoś inny. Ktoś, kto tak naprawdę chciał pozbyć się jej siostry.

– Abby Turnbull jest powszechnie znana w mieście – odrzekł Fortosis. – Z jednej strony, zadałem sobie pytanie, czy gdyby to ona była zamierzoną ofiarą, to czy popełnienie błędu i zamordowanie jej siostry przez pomyłkę pasowałoby do schematu działania mordercy? Z drugiej strony, czy jeśli od początku chciał zabić Hennę Yarborough, to fakt, że jest siostrą Abby Turnbull, to tylko zbieg okoliczności czy coś więcej? – Widziałam już dziwniejsze rzeczy na tym świecie.

– Oczywiście. Nie ma nic pewnego. Możemy się nad tym zastanawiać przez całe życie i nigdy nie mieć pewności. Dlaczego jest tak, a nie inaczej? Na przykład, jakie motywy kierują zabójcą. Czy miał dominującą matkę? A może był przez nią wykorzystywany emocjonalnie lub seksualnie? Tak można ciągnąć w nieskończoność. Czy on odpłaca społeczeństwu za swe krzywdy? Mści się na całym świecie? Okazuje pogardę kobietom? Im dłużej żyję na tym świecie, tym bardziej jestem przekonany co do jednej rzeczy, o której psychiatrzy zazwyczaj nie chcą słyszeć: ci dranie zabijają, bo to lubią.

– Doszłam do takiego wniosku już bardzo dawno temu – odparłam ze złością.

– Uważam, że morderca z Richmond doskonale się bawi – kontynuował Fortosis spokojnie. – Jest bardzo ostrożny, bardzo przebiegły. Nie popełnia błędów. Nie mamy tu do czynienia z jakimś psychicznie upośledzonym idiotą, który ma uszkodzony płat skroniowy mózgu. Ten facet z całą pewnością nie jest także psychotykiem. To psychopatyczny seksualny sadysta, którego iloraz inteligencji wynosi pewnie znacznie powyżej przeciętnej i który zapewne doskonale funkcjonuje w społeczeństwie. Uważam, że jest zatrudniony gdzieś w Richmond na intratnym stanowisku. Wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby miał pracę lub hobby, dzięki którym może mieć stały kontakt z rannymi albo przestraszonymi ludźmi... Takimi, których łatwo jest mu kontrolować.

– Jakiego rodzaju zajęcie masz na myśli? – spytałam niespokojnie.

– Właściwie to może być wszystko. Założę się, że facet jest na tyle przebiegły, by robić w życiu wszystko, co mu się żywnie podoba.

– Może być lekarzem, prawnikiem albo wodzem indiańskim – zacytowałam słowa Marino. – Zmieniłeś zdanie na jego temat – przypomniałam Fortosisowi. – Wcześniej zakładałeś, że może mieć przeszłość kryminalną albo historię choroby psychicznej. Lub też jedno i drugie. Mówiłeś, że jest prawdopodobne, by niedawno wyszedł z więzienia albo zakładu zamkniętego dla umysłowo chorych...

Spiro przerwał mi.

– W świetle tych ostatnich dwóch zabójstw, a zwłaszcza jeżeli ostatnią ofiarą miała być Abby Turnbull, zmieniłem zdanie. Psychotycy rzadko tak dobrze orientują się w otaczającej ich rzeczywistości, by długo wymykać się policji. Uważam, że morderca z Richmond jest doświadczony; prawdopodobnie zabijał kobiety już wcześniej, w innym mieście, i uciekał wymiarowi sprawiedliwości równie skutecznie jak teraz.

– Twoim zdaniem on przeprowadza się z miasta do miasta, morduje przez kilka miesięcy, a potem rusza dalej?

– Niekoniecznie – odparł. – Możliwe, że jest na tyle zdyscyplinowany, by przeprowadzić się w nowe miejsce, zaaklimatyzować, znaleźć sobie dobrze płatną pracę... Możliwe, że żyje spokojnie jak każdy inny obywatel, dopóki znowu nie wyruszy na łowy. Kiedy zacznie, nie może się już powstrzymać. A z każdym nowym terytorium potrzeba więcej, by zaspokoić jego żądzę. Robi się coraz odważniejszy, a jednocześnie coraz mniej się kontroluje. Naigrawa się z policji, wodzi ją za nos i doskonale bawi się skupioną na nim uwagą mieszkańców miasta... Czerpie radość z czytania artykułów o sobie oraz z wybierania następnych ofiar.

– Abby – mruknęłam. – Jeżeli faktycznie to na nią chciał zapolować...

Fortosis skinął głową.

– To byłoby nowe, odważne, trochę szalone... Gdyby odważył się zamordować słynną w całym mieście reporterkę, zagrałby wszystkim na nosie. To byłoby jego najdoskonalsze zabójstwo. Mogłyby być w tym jeszcze inne składniki, na przykład projekcja czy przeniesienie; Abby pisze o nim, a on zaczyna uważać, że wywiązała się między nimi jakaś osobista więź. Uważa, że istnieje między nimi bliski związek... więc jego złość oraz fantazje ogniskują się na jej osobie.

– Ale nawalił – odparłam z gniewem. – Jego rzekomo najdoskonalsze zabójstwo okazuje się największą klapą.

– Dokładnie tak. Możliwe, że nie miał pojęcia, jak Abby wygląda ani że od zeszłej jesieni mieszka z siostrą. – Patrząc mi prosto w oczy, dodał: – Jest prawdopodobne, że dopiero z gazet i telewizji dowiedział się, iż kobieta, którą zabił, wcale nie była Abby Turnbull.

Zaskoczyło mnie to; w ten sposób o tym nie myślałam.

– I to bardzo mnie martwi – dodał po chwili Spiro, pochylając się w fotelu.

– Co takiego? Chcesz powiedzieć, że może spróbować jeszcze raz? – Szczerze w to wątpiłam.

– Powiedziałem, że się martwię. – Wydawało się, że myśli na głos. – Morderstwo nie poszło tak, jak sobie zaplanował. We własnym odczuciu zrobił z siebie idiotę. Przez to może stać się jeszcze okrutniejszy.

– Niby jak to zdefiniujesz, co? Co to znaczy „okrutniejszy”?! – wypaliłam z wściekłością. – Przecież wiesz, co zrobił Lori... A teraz Hennie...

Jego mina powstrzymała mnie.

– Zadzwoiłem do Marino na krótko przed twoim przyjściem, Kay.

Wiedział.

Wiedział, że wymazy z pochwy Henny Yarborough były negatywne.

Morderca prawdopodobnie nie zdążył. Większość spermy zdjęłam z prześcieradła i tylnych powierzchni ud. Właściwie jedynym narzędziem, jakie udało mu się w nią wepchnąć, był nóż. Pościel pod ciałem była sztywna i czarna od zakrzepłej krwi. Gdyby jej nie udusił, zmarłaby pewnie z upływu krwi.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie w milczeniu, zastanawiając się nad potwornością umysłu osoby, która może czerpać przyjemność z zadawania innym tak straszliwych tortur.

Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam smutne oczy Fortosisa i jego zmęczoną twarz. Chyba dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak wiele okropności widział w życiu. Jeszcze dokładniej niż ja potrafił wyobrazić sobie to, co wydarzyło się w sypialni Henny. Widział takich potworności znacznie więcej niż ja.

Oboje wstaliśmy w tym samym momencie.

Poszłam do mego samochodu okrężną drogą przez campus; w oddali widziałam masyw górski Blue Ridge. Długie cienie rozciągały się na trawnikach, nadal rozgrzanych od słońca; w powietrzu unosił się zapach kwitnących drzew.

Mijały mnie grupki studentów, śmiejących się i rozmawiających. Nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi. Kiedy przechodziłam pod ogromnym rozłożystym dębem, nagle usłyszałam za sobą tupot stóp i serce podeszło mi do gardła. Gwałtownie obróciłam się na pięcie i ze zdumieniem zobaczyłam młodego mężczyznę w czerwonym dresie. Biegł spokojnie brzegiem chodnika; przez chwilę przyglądał mi się ciekawie, pewnie zdziwiony moim zachowaniem, po czym skręcił i zniknął za drzewami.

Rozdział trzynasty

Następnego ranka przyjechałam do biura już o szóstej. Oprócz mnie w całym budynku nie było nikogo, a telefony w recepcji nadal były podłączone do centrali automatycznej.

Czekając, aż kawa zaparzy się w ekspresie, poszłam do gabinetu Margaret; tryb automatycznego przyjmowania zgłoszeń nadal nęcił hakera, jednak nikt zeszłej nocy nie usiłował dostać się do bazy danych.

To nie miało sensu. Czyżby włamywacz wiedział, że odkryliśmy jego robotę, kiedy w zeszłym tygodniu usiłował wyciągnąć dane na temat sprawy Lori Petersen? Czyżby się przestraszył? A może podejrzewał, że nie wprowadziliśmy od tamtej pory żadnych nowych danych?

Możliwe, że był i inny powód. Wpatrywałam się w ciemny monitor. Kim jesteś? – zastanawiałam się. – Czego ode mnie chcesz?

Przy frontowych drzwiach odezwał się telefon; zadzwonił trzy razy, a potem nastąpiła cisza, gdy automatyczna centrala przełączyła połączenie.

„Jest bardzo ostrożny i bardzo przebiegły...”

Fortosis nie musiał mi tego mówić.

„Nie mamy tu do czynienia z jakimś psychicznie upośledzonym idiotą...”

Nie spodziewałam się, że będzie podobny do nas; ale z drugiej strony mógł być.

Może był?

„...doskonale funkcjonuje w społeczeństwie... jest zatrudniony gdzieś w Richmond na intratnym stanowisku...”

Może być dostatecznie kompetentny, by pracować w każdym zawodzie, jaki tylko sobie wymarzy. Mógł używać do pracy komputera lub mieć go w domu dla własnej przyjemności.

Mógł chcieć wniknąć do mego umysłu, dokładnie tak jak ja chciałam wniknąć do jego. Byłam jedynym realnym połączeniem między nim a jego ofiarami. Kiedy zbadałam obrażenia, połamane kości i głębokie cięcia w tkance miękkiej, zdałam sobie sprawę z tego, jak strasznej siły i brutalności trzeba było użyć, by zadać podobne rany. U młodych, zdrowych ludzi żebra są giętkie i wytrzymałe; drań strzaskał żebra Lori, uderzając w nie kolaniem od góry, z całej siły. Leżała wtedy na plecach; zrobił to już po tym, jak wyrwał ze ściany kabel telefoniczny.

Uszkodzenia jej palców powstały na skutek wygięcia, brutalnego wykręcenia kości ze stawów. Zakneblował ją i związał, a potem połamał jej palce jeden po drugim. Nie miał żadnego powodu, by to robić, z wyjątkiem sprawienia jej straszliwego bólu – przedsmaku tego, co ją za chwilę czekało.

Cały czas Lori usiłowała złapać choć trochę powietrza w płuca, ogarnęła ją panika, gdy pod wpływem wzmożonego ciśnienia krew rozsadzała mniejsze naczynka krwionośne i przyprawiała ją o zawrót głowy.

Im bardziej się szarpała, tym bardziej kabel wrzynał się jej w szyję, aż wreszcie straciła przytomność i umarła.

Zrekonstruowałam to wszystko; wiedziałam, co zrobił każdej z nich.

Pewnie zastanawiał się, czy wiem. Był arogancki; paranoidalny.

Wszystko, co zrobił Brendzie, Patty i Cecile, znajdowało się w komputerze... opis każdej rany, każdy skrawek dowodu jego winy, wyniki każdego testu laboratoryjnego, jaki poleciłam wykonać.

Czy przeczytał słowa, które wcześniej podyktowałam? Czy starał się czytać w moich myślach?

Płaskie obcasy moich butów ostro stukwały o kafelki podłogi, gdy biegłam do gabinetu; w nagłym przypiływie energii wyrzuciłam wszystko z torebki. Znalazłam portfel i wyciągnęłam z niego papiery, dokumenty i karty kredytowe, dopóki nie dotarłam do wizytówek. Między nimi znajdowała się biała karteczka z napisem TIMES biegnącym przez środek, na jej odwrocie widniał numer napisany drżącą ręką.

Chwilę później zadzwoniłam na numer pagera Abby Turnbull.

Umówiłam się z nią na popołudnie, gdyż w chwili gdy rozmawiałyśmy przez telefon, ciało jej siostry znajdowało się jeszcze w kostnicy. Nie chciałam, by Abby przebywała w tym budynku, dopóki Henny nie odwieżą do domu pogrzebowego i wszystkie formalności nie zostaną załatwione.

Abby przyszła punktualnie; Rose cicho wprowadziła ją do mego gabinetu, a ja równie cicho zamknęłam za nią drzwi.

Wyglądała okropnie. Na twarzy, która miała teraz nieomal szary odcień, widać było głębokie zmarszczki; włosy miała luźno rozpuszczone i potargane. Ubrana była w zwykłą białą bluzkę i spódnicę khaki. Kiedy zapalała papierosa, zauważyłam, że trzęsą się jej ręce. Gdzieś na samym dnie jej przygaszonych oczu tlił się gniew.

Zacząłam mówić to wszystko, co zawsze powtarzam rodzinom ofiar, nad którymi pracuję.

– Przyczyną śmierci twojej siostry, Abby, było uduszenie spowodowane zadziergnięciem stryczka dokoła szyi.

– Jak długo? – Wydmuchnęła drżącą smużkę dymu. – Jak długo żyła po tym... jak on się do nie dobrał?

– Nie potrafię ci powiedzieć z absolutną pewnością, ale to, co zobaczyłam, pozwala mi przypuszczać, że miała szybką śmierć.

Ale nie dość szybką; tego jednak nie powiedziałam. W ustach Henny znalazłam włókna, co oznacza, że została zakneblowana. Potwór chciał, by

pożyła jakiś czas, lecz by nie sprawiała hałasu. W oparciu o ilość utraconej przez nią krwi oceniłam rany cięte jako zadane przed śmiercią, lecz ze stuprocentową pewnością powiedzieć mogłam tylko tyle, że zostały zadane mniej więcej w czasie śmierci ofiary. Po tym, jak usiłował zgwałcić ją nożem, krwawiła bardzo niewiele; możliwe, że już nie żyła, albo straciła przytomność.

Ale najprawdopodobniej było jeszcze gorzej. Podejrzywałam, że sznur z żaluzji zacisnął się na jej szyi dopiero w momencie, gdy wyprostowała nogi w odruchowej reakcji na ból.

– Miała pęknięte drobne naczynka krwionośne w skórze szyi i twarzy, oraz w białkówce oczu. Zostało to spowodowane podniesionym ciśnieniem krwi w głowie...

– Jak długo żyła? – powtórzyła Abby bezbarwnym tonem.

– Minuty – odparłam.

Tylko tyle zamierzałam jej powiedzieć. Zdawało się, że nieco jej ulżyło. Szukała pocieszenia w nadziei, że siostra zbyt długo nie cierpiała. Pewnego dnia, gdy ból trochę minie i gdy Abby będzie silniejsza, dowie się o nożu. Niech Bóg ma ją w swej opiece.

– I to wszystko? – zapytała drżącym głosem.

– To wszystko, co mogę ci teraz powiedzieć – odrzekłam. – Przykro mi. Naprawdę strasznie mi przykro.

Palila papierosa w milczeniu, zaciągając się nerwowo, jakby nie wiedziała, co zrobić z rękoma. Przygryzała dolną wargę, usiłując powstrzymać ją od drżenia.

Gdy wreszcie popatrzyła na mnie, w jej oczach wyczytałam podejrzenie i niechęć.

Wiedziała, że nie zaprosiłam jej tu tylko po to, by poinformować ją o przyczynie śmierci Henny. Wyczuła, że miałam jeszcze inny powód.

– To nie dlatego poprosiłaś mnie o przyjście, prawda?

– Nie do końca – odpowiedziałam uczciwie.

Cisza.

Widziałam jej niechęć; po chwili zaczęła się w niej gotować złość.

– Co? – zapytała gniewnie. – Czego jeszcze chcesz ode mnie?

– Chcę wiedzieć, co zamierzasz zrobić.

– Och, rozumiem! – Oczy jej zabłyśły z wściekłości. – Martwisz się tylko o siebie, co? Jezu Chryste! Jesteś taka sama jak oni wszyscy!

– Nie martwię się o siebie, Abby – odparłam bardzo spokojnie. – Jestem ponad to. Masz wystarczająco dużo informacji, by wpędzić mnie w kłopoty. Jeżeli chcesz zrównać moje biuro z ziemią, to zrób to. Decyzja należy do ciebie.

Spojrzała na mnie niepewnie, a po chwili odwróciła wzrok.

– Rozumiem twój gniew – dodałam cicho.

– W żaden sposób nie możesz go rozumieć.

– Ależ rozumiem. Lepiej niż możesz sobie wyobrazić. – Przed oczyma zobaczyłam twarz Billa; doskonale rozumiałam wściekłość Abby.

– Nie możesz! Nikt nie może! – wykrzyknęła. – On ukradł mi siostrę! Ukradł część mego życia. Mam już dość tego, że ludzie ciągle mi coś odbierają! Na jakim my świecie żyjemy! – Urwała. – O, Jezu! Jeszcze nie wiem, co zrobię...

– Wiem, że zamierzasz prowadzić prywatne dochodzenie w sprawie śmierci siostry, Abby – powiedziałam spokojnie. – Proszę, nie rób tego.

– Ktoś musi! – zawołała z rozpaczą. – Co? Mam siedzieć i czekać, aż pojawi się Samotny Mściciel?

– Niektóre sprawy lepiej jest zostawić policji. Ale możesz pomóc... jeżeli naprawdę tego chcesz.

– Nie praw mi tu kazań!

- Wcale tego nie robię.
- Zrobię to, na co będę miała ochotę...
- Nie. Nie zrobisz tego tak, jak będziesz chciała, Abby. Powstrzymasz się od tego przez wzgląd na Hennę. – Wpatrywała się we mnie zaczerwienionymi oczyma. – Zaprosiłam cię tu, gdyż chcę podjąć ryzykowną grę i potrzebuję twojej pomocy.
- Pewnie! Chcesz, bym ci pomogła, wyjeżdżając z miasta i wynosząc się do wszystkich diabłów z twojego życia...
- Powoli potrząsnęłam głową. Przyjrzała mi się zaskoczona.
- Znasz Bentona Wesleya? – spytałam.
- Tego psychologa z FBI? – odparła z wahaniem. – Wiem, kto to taki.
- Zerknęłam na zegar wiszący na ścianie.
- Będzie tu za dziesięć minut.
- Abby wpatrywała się we mnie przez długi czas.
- Po co? Co chcesz, żebym dla ciebie zrobiła?
- Chcę, byś posłużyła się swymi dziennikarskimi znajomościami i pomogła nam go znaleźć.
- Tego drania? – Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.
- Wstałam, by zaparzyć świeżej kawy.

Gdy wyjaśniłam Wesleyowi swój plan przez telefon, miał dużo wątpliwości, jednak kiedy siedzieliśmy we trójkę w moim gabinecie, zrozumiałam, że go zaakceptował.

- Twoja pełna współpraca jest najważniejsza – powiedział do Abby z naciskiem. – Muszę mieć twoje przyrzeczenie, że zrobisz dokładnie to, co ci powiemy. Nie może być mowy o żadnym improwizowaniu czy kreatywnym myśleniu... to mogłoby tylko rozpieprzyć całą sprawę. No i musisz zachować dyskrecję.

Abby skinęła głową, po czym wytknęła nam:

– Jeżeli to morderca włamał się do komputerowej bazy danych, dlaczego zrobił to tylko raz?

– Wiemy o jednym razie, mogło ich być więcej – przypomniałam jej.

– Tak czy inaczej, nie włamał się ponownie, odkąd odkryłaś, co się stało.

– Żyje w wielkim napięciu – odparł Wesley. – Zamordował dwie kobiety w ciągu dwóch tygodni i podejrzewam, że w prasie pojawiło się dostatecznie dużo informacji na jego temat, by czuł się usatysfakcjonowany. Może siedzieć gdzieś w kącie i śmiać się z nas do rozpuku, gdyż mimo wszystkich artykułów na jego temat nadal nie mamy pojęcia, kim jest.

– Musimy go rozdrażnić – dodałam. – Musimy zrobić coś, by wyprowadzić go z równowagi... sprawić, by stał się tak paranoiczny, że zacznie popełniać błędy. Jednym ze sposobów jest przekonanie go, że odkryłam coś, co może mieć dla nas przełomowe znaczenie.

– Jeżeli to on włamywał się do komputera – podsumował Wesley – podobna wiadomość w prasie może go nakłonić do ponownego wejścia do bazy danych Kay. – Spojrzał na mnie.

Prawda była taka, że nie odkryłam nic, co miałoby przełomowe znaczenie. Na czas nieokreślony wyrzuciłam Margaret z jej biura, zostawiając komputer z cały czas włączonym trybem automatycznego przyjmowania zgłoszeń; Wesley przysłał mi fachowca, który miał wytropić, skąd łączono się z jej komputerem. Chcieliśmy posłużyć się maszyną do wytropienia mordercy, a Abby miała nam w tym pomóc, drukując w „Timesie” artykuł o tym, jak to biuro koronera okręgowego znalazło „ważny dowód”.

– Ma tak wielką paranoję, że uwierzy w to. – Miałam nadzieję, że tak. – Na przykład, jeżeli kiedykolwiek był poddany leczeniu szpitalnemu, będzie

się martwić, że wytropiliśmy go przez starą kartę chorobową. Jeżeli kupuje na receptę jakieś leki w aptekach, też będzie go to gryzło.

Cały pomysł opierał się na dziwnym zapachu, o którym powiedział policji Matt Petersen. Nie istniał żaden inny „dowód”, do którego moglibyśmy nawiązać.

Jedynym fragmentem układanki, z którym morderca tak łatwo sobie nie poradzi, jest DNA.

Mogłam sobie blefować, posługując się wiedzą o DNA, a on nawet nie będzie wiedział, o co mi chodzi.

Kilka dni temu dostałam kopie raportu z pierwszych dwóch spraw. Bardzo długo przyglądałam się układowi pałeczek o różnych kształtach, cieniach i długościach, układających się we wzór zadziwiająco przypominający kod kreskowy przyklejany na każdym produkcie w supermarkecie. W każdej ze spraw były trzy radioaktywne próbki, a pozycje pałeczek w każdej z próbek ze sprawy Patty Lewis zupełnie nie różniły się od ułożenia pałeczek w próbkach ze sprawy Brendy Steppe.

– Oczywiście, dzięki temu nie poznamy tożsamości zabójcy – wyjaśniłam Wesleyowi i Abby. – Możemy natomiast powiedzieć, że jeżeli jest czarny, to teoretycznie podobny układ nici DNA ma jeden na sto trzydzieści pięć milionów mężczyzn. A jeżeli to przedstawiciel typu kaukaskiego, jeden na pięćset milionów.

DNA jest mikrokosmosem całego człowieka, jego kodem życia. Inżynierowie genetyczni w prywatnych laboratoriach w Nowym Jorku wyizolowali DNA z pobranych przeze mnie próbek spermy. Nałożyli próbki na specjalne powierzchnie; różne fragmenty powędrowały w różne strony elektrycznie naładowanej powierzchni, grubo pokrytej specjalnym żelem. Pole naładowane dodatnio znajdowało się na jednej stronie powierzchni, a pole naładowane ujemnie na przeciwnej.

– DNA ma ładunek ujemny – wyjaśniłam. – A przeciwnieństwa się przyciągają.

Krótsze fragmenty powędrowały szybciej i dalej w stronę pola dodatniego niż dłuższe... w efekcie końcowym ułożyły się na powierzchni żelu w osobliwe wzory, które przeniesiono na nylonową membranę i porównano ze wzorcem.

– Nie rozumiem – przerwała mi Abby. – Z jakim znowu wzorcem?

Wyjaśniłam więc:

– Fragmenty podwójnej helisy DNA mordercy były połamane, rozłączone na pojedyncze pasma. Mówiąc obrazowo, zostały rozpięte niczym zamek błyskawiczny. Wzorec to roztwór pojedynczej nici DNA o specyficznej sekwencji podstawowej, która jest oznaczona radioaktywnym markerem. Gdy roztwór albo inaczej wzorec, zostanie nałożony na nylonową membranę, wyszukuje i wiąże się z komplementarnymi pojedynczymi nićmi DNA mordercy.

– Suwak z powrotem się zasuwa? – spytała. – Ale czy nie staje się przez to cały radioaktywny?

– Chodzi o to, że w promieniach rentgenowskich można teraz zobaczyć układ chromosomów charakterystyczny dla mordercy.

– Taak, jego kod paskowy... Szkoda tylko, że nie możemy przepuścić go pod skanerem i dowiedzieć się, jak facet ma na nazwisko i gdzie mieszka – dodał Wesley sucho.

– W tym kodzie paskowym, jak nazwał go Benton, znajdują się wszystkie informacje na temat mordercy – kontynuowałam. – Problem polega na tym, że nasza technika nie jest jeszcze na tyle zaawansowana, by wyczytać z kodu genetycznego kolor oczu i włosów czy cechy charakterystyczne osobnika. Istnieje zbyt wiele chromosomów opisujących zbyt wiele cech szczegółowych w genetycznym obrazie człowieka, by na

ich podstawie wnioskować o czymś więcej niż tylko pasowaniu czy niepasowaniu do podobnego zbioru chromosomów.

– Ale morderca o tym nie wie. – Wesley popatrzył na mnie zamyślonym wzrokiem.

– Masz rację.

– Chyba że jest jakiegoś rodzaju naukowcem czy kimś takim – wtrąciła Abby.

– Zakładamy, że nie jest naukowcem – powiedziałam autorytatywnie. – Podejrzewam, że nigdy w życiu nie interesował się inżynierią genetyczną czy DNA... a gdy przeczyta o tym w gazetach, będzie już nieco za późno. Wątpię, czy zrozumie podstawowe założenia.

– W artykule wyjaśnię procedurę bardzo ogólnikowo – myślała Abby na głos – ale wystarczająco dokładnie, by się wystraszył.

– Wyjaśnisz to dostatecznie dokładnie, by zaczął się bać, iż wiemy o jakimś jego defekcie – zgodził się Wesley. – Jeżeli ma jakiś defekt... To właśnie mnie niepokoi, Kay. – Spojrzał mi w oczy. – A co będzie, jeżeli nie ma żadnego defektu?

Cierpliwie powtórzyłam jeszcze raz to, w co gorąco wierzyłam.

– Cały czas pamiętam słowa Matta Petersena, opisujące słodkawy zapach, podobny do zapachu naleśników, wedle jego słów...

– Konkretnie do syropu klonowego – przypomniał sobie Wesley.

– Właśnie. Jeżeli morderca wydziela zapach przypominający zapach syropu klonowego, może mieć jakąś drobną anomalię metaboliczną. A dokładnie rzecz biorąc „chorobę nadającą moczowi zapach syropu klonowego”.

– I to jest uwarunkowane genetycznie? – Wesley pytał mnie o to już po raz drugi.

– Na tym polega cała tego uroda. Jeżeli ją ma, to jest to gdzieś zapisane w jego kodzie DNA.

– Nigdy nie słyszałam o czymś takim – odezwała się Abby. – Czy taka choroba w ogóle istnieje?

– No cóż, nie jest tak popularna jak zwykle zaziębienie, ale z pewnością istnieje.

– W takim razie co to jest?

Wstałam od biurka i podeszłam do biblioteczki. Wyciągnęłam opasy tom „Podręcznika medycyny”, otworzyłam go na właściwej stronie i położyłam na biurku przed nimi.

– To defekt enzymatyczny – wyjaśniłam, siadając. – Przez niego w organizmie człowieka niczym trucizna odkładają się aminokwasy. W klasycznej postaci tego defektu osobnik przeżywa umysłowe zaburzenie i/lub śmierć w okresie okołoporodowym i dlatego bardzo rzadko spotyka się zdrowe fizycznie i psychicznie osoby z tym zaburzeniem. Jednak jest to możliwe. W łagodnej postaci, na którą prawdopodobnie cierpi morderca, chorobę można zwalczać za pomocą niskobiałkowej diety oraz dostarczania organizmowi witamin, szczególnie tiaminy, czyli witaminy B₁, w porcjach dziesięciokrotnie przekraczających zapotrzebowanie zdrowego człowieka.

– Innymi słowy – odezwał się Wesley, pochylając nad biurkiem i marszcząc brwi – może cierpieć na łagodną postać choroby, wieść w miarę normalne życie, być cwany jak wszyscy diabli i tylko trochę śmierdzieć?

Skinęłam głową.

– Najpopularniejszą oznaką tej choroby jest charakterystyczny zapach... bardzo wyraźny zapach syropu klonowego w moczu i pocie chorego. Symptomy z pewnością nasilają się, gdy znajduje się pod wpływem stresu... czyli gdy morduje swe ofiary, wydziela szczególnie silny zapach, który

głównie wsiąka w ubranie. Pewnie już od dawna zdaje sobie sprawę z tego, że pachnie inaczej niż inni ludzie i stanowi to dla niego ogromny problem.

– Czy nie wyczułabyś tego zapachu w jego spermie? – spytał Wesley.

– Niekoniecznie.

– No, cóż... – odezwała się Abby. – Jeżeli wydziela dziwny zapach, to pewnie często się myje. A jeśli pracuje wśród ludzi, to jego współpracownicy powinni coś zauważyć.

Nie odpowiedziałam.

Abby nie wiedziała o świecącej substancji, którą znajdowaliśmy na ciałach ofiar, a ja nie miałam zamiaru jej o tym mówić. Ale jeżeli morderca ciągle wydzieliał dziwny zapach, to pewnie obsesyjnie mył twarz i ręce... żeby ludzie dokoła niego nie zauważyli nic niezwykłego. Możliwe, że mył się w pracy, korzystając z publicznej toalety zaopatrzonej w borawash.

– To ryzykowana zagrywka. – Wesley odchylił się na krześle. – Jezu! – Potrząsnął głową. – Jeżeli zapach, o którym mówił Petersen, nie istnieje, albo pomylił go z jakimś innym... na przykład wodą kolońską zabójcy... wyjdziemy na idiotów. Facet upewni się, że nadal nie mamy pojęcia, co robimy.

– Wątpię, by Petersen wymyślił sobie ten zapach – odparłam z przekonaniem. – Kiedy znalazł ciało żony, był w głębokim szoku, zapach musiał więc być wyjątkowo silny i charakterystyczny, by Matt go zapamiętał. Poza tym nie przychodzi mi do głowy ani jedna woda kolońska, która pachniałaby jak syrop klonowy. Moim zdaniem morderca był strasznie spocony, gdy wyszedł z sypialni Petersenów na krótko przed tym, jak Matt do niej wszedł.

– Ale ta choroba wywołuje upośledzenie umysłowe... – mruknęła Abby, nadal przeglądając podręcznik medyczny.

– Jeżeli nie zaczniesz się terapii wkrótce po urodzeniu, tak – odrzekłam.

– No, cóż... ten sukinsyn na pewno nie jest upośledzony. – Spojrzała na mnie zimno.

– Oczywiście, że nie jest upośledzony – zgodził się z nią Wesley. – Psychopaci nie są głupi. Chcemy doprowadzić do tego, by facet myślał, że uważamy go za idiotę. Uderzymy w najczulsze miejsce... w jego cholerną dumę, która najprawdopodobniej ma związek z wysokimi notowaniami w testach inteligencji.

– Możemy to zrobić za pomocą tej choroby – powiedziałam. – Jeżeli faktycznie ją ma, pewnie wie o tym. Możliwe, że jest dziedziczna w jego rodzinie. Będzie wyjątkowo wrażliwy nie tylko na jakiegokolwiek wspomnienie o zapachu, który wydziela, ale także o upośledzeniu umysłowym...

Abby pospiesznie sporządzała notatki. Wesley wpatrywał się w ścianę z zaciętą miną. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Po prostu nie jestem przekonany, Kay – rzekł wreszcie. – Jeżeli facet nie jest chory na to klonowe świństwo... – Potrząsnął głową. – Wykorzysta nasz słaby punkt bez zastanowienia... możliwe, że cofnie śledztwo do punktu wyjścia.

– Nie możesz cofnąć czegoś, co już stoi przyparte plecami do muru – powiedziałam spokojnie. – Nie mam zamiaru wymieniać choroby z nazwy. – Odwróciłam się do Abby. – Napiszesz o niej jako o dysfunkcji metabolicznej. Pod to można podciągnąć wiele chorób. Może to być coś, co on ma, lecz o tym nie wie? Może uważa, że cieszy się doskonałym zdrowiem? Skąd niby może mieć pewność? Nigdy wcześniej nie poddawał się kompleksowym badaniom genetycznym. Nawet jeżeli sam jest lekarzem, nie może wykluczyć prawdopodobieństwa, że ma jakąś utajoną anomalię, ukrytą w jego organizmie niczym bomba zegarowa czekająca na właściwy moment, by wybuchnąć. Zasiejemy w jego głowie ziarenko

zwątpienia. Niech sobie nad nim pogłównuje. Do diabła, niech myśli, że to śmiertelna choroba... Może pobiegnie do najbliższej biblioteki medycznej, by sprawdzić w podręcznikach? Policja może kontrolować gabinety miejskich lekarzy, by zobaczyć, kto nagle wpada po poradę dotyczącą dysfunkcji metabolicznych? Jeżeli to on włamywał się do mojego komputera, pewnie zrobi to znowu, by dowiedzieć się więcej szczegółów. Mam przeczucie, że facet coś z tym robi... nie wiem jeszcze co, ale coś na pewno.

Przez następną godzinę sprawdzaliśmy słownictwo dla artykułu Abby.

– Nie możemy zostawić cytatu – kłóciła się z nami. – Nie ma mowy. Najpierw nie udzielasz żadnych komentarzy, a potem cytuję cię w artykule? Lepiej, żeby wyglądało na to, że dostałam te informacje od kogoś innego.

– No, cóż – odparłam sucho. – Podejrzewam, że możesz w to wciągnąć swe słynne „anonimowe źródło”.

Abby przeczytała na głos całość. Nie podobało mi się; było stanowczo zbyt ogólnikowe.

Gdybym tylko miała próbkę jego krwi. Defekt enzymów, jeżeli istniał, mógł mieć swe źródło w leukocytach, białych ciałkach krwi. Gdybym miała cokolwiek...

W tej samej chwili zadzwonił telefon na moim biurku.

– Przepraszam, że przeszkadzam, doktor Scarpetta – odezwała się Rose.
– Przyszedł sierżant Marino. Mówi, że to bardzo pilne.

Spotkałam się z nim na korytarzu; w ręce miał dużą szarą torbę, jedną z tych, w których zazwyczaj przechowywano ubrania związane ze sprawą kryminalną.

– Nie uwierzysz mi. – Uśmiechał się od ucha do ucha, a jego szeroka twarz była zaczerwieniona z podniecenia. – Znasz Srokę? – Wpatrywałam się w wypchaną torbę z jawnym zdumieniem. – No, wiesz... Srokę? Włóczy

się po całym mieście, pchając swój ziemski dobytek w starym wózku, który gdzieś gwizdnął? Całymi dniami przeszukuje śmietniki?

– To jakiś bezdomny? – O czym Marino gada?

– Aha. To wielki guru bezdomnych. W weekend grzebał po śmietnikach mniej więcej jakąś przecznicę od miejsca, gdzie nasz ptaszek zamordował Hennę Yarborough, i wiesz co? Znalazł śliczny granatowy kombinezon. Problem polega na tym, że kombinezon cały jest uwalany krwią. Sroka jest także moim informatorem, wsadził więc szmatę do plastikowego worka na śmiecie i ruszył na poszukiwania mojej skromnej osoby. Jakiś czas temu zamachał do mnie, gdy stałem na skrzyżowaniu, i za dziesięć dolarów dał mi prezent.

Otworzył torbę i dodał:

– Powąchaj.

Zapach omal nie zwalił mnie z nóg; nawet nie chodziło o smród zakrzepłej krwi, lecz mocny zapach syropu klonowego. Dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Hej! – ciągnął Marino. – Wiesz, co jeszcze? Wpadłem na chwilę do mieszkania Petersena i poprosiłem go, by powąchał.

– To jest zapach, który pamięta?

Marino wycelował we mnie wskazujący palec i mrugnął porozumiewawczo.

– Bingo!

Przez dwie godziny pracowałam wraz z Vanderem nad granatowym kombinezonym; co prawda analiza plam krwi zajmie Betty sporo czasu, lecz nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że ubranie należało do zabójcy i że miał je na sobie podczas popełniania zbrodni. Pod promieniami lasera świeciło mnóstwem małych gwiazdek.

Podjerzewaliśmy, że gdy skończył ciąć Hennę, był cały pochlapany krwią, a na dodatek wytarł ręce o spodnie. Mankiety rękawów także były sztywne od zakrzepłej krwi. Bardzo możliwe, że za każdym razem wkładał na ubranie ochronny kombinezon i możliwe, że rutynowo wyrzucał go do kosza na śmiecie po dokonaniu przestępstwa. Jednak szczerze w to wątpiłam. Wyrzucił ten kombinezon, bo po raz pierwszy zachlapał go krwią.

Mogłam się założyć, iż był wystarczająco bystry, by wiedzieć, że plam z krwi nie można sprać. Gdyby kiedykolwiek miał zostać aresztowany, lepiej dla niego, by nie miał w szafie żadnych ubrań poplamionych starą krwią. Nie chciał też, by ktokolwiek namierzył, skąd pochodzi kombinezon – odpruł wszystkie metki.

Kombinezon był granatowy, prawdopodobnie w rozmiarze L lub XL, materiał wyglądał na mieszankę bawełny z czymś syntetycznym. Przypomniałam sobie ciemne włókna zebrane z ciała Lori Petersen i parapetu okna w łazience. Na ciele Henny Yarborough także znalazłam sporo ciemnych włókien.

Żadne z naszej trójki nie powiedziało Marino o tym, co zamierzamy zrobić. Pewnie teraz włóczył się gdzieś po ulicach albo siedział przed telewizorem, pijąc piwo. Nie miał o niczym pojęcia. Kiedy artykuł Abby ukaże się w prasie, uwierzy w informacje w nim zawarte; pomyśli, że Abby namówiła kogoś do gadania, a wiadomości połączy z kombinezonem, który mi przekazał, oraz raportami z Nowego Jorku dotyczącymi DNA. I dobrze; chcieliśmy, by wszyscy, absolutnie wszyscy, uwierzyli w prawdziwość tych informacji.

Fakt faktem, zabójca najprawdopodobniej był chory – nie przychodziło mi do głowy żadne inne wytłumaczenie dla zapachu, który wokół siebie

rozsiewał. Chyba że Matt Petersen miał przywidzenia, a na kombinezon w śmietniku wylał się syrop klonowy.

– Doskonale – odezwał się Wesley. – Nigdy mu do głowy nie przyszło, że znajdziemy jego ubranie. Drań miał wszystko dokładnie zaplanowane; możliwe, że znał nawet dokładną lokalizację kosza na śmieci, do którego zamierzał wrzucić kombinezon. Myślał, że nigdy go nie znajdziemy.

Zerknęłam na Abby; trzymała się zadziwiająco dobrze.

– Dobra, myślę, że to, co mamy, w zupełności wystarczy – dodał Wesley. Już widziałam nagłówki jutrzejszych gazet:

NOWE DOWODY W SPRAWIE DUSICIELA TESTY DNA WYKAZAŁY ZABURZENIA METABOLIZMU

Jeżeli faktycznie był chory, taki artykuł na pierwszej stronie powinien zwalić go z nóg.

– Jeśli w ten sposób chcesz nakłonić go do ponownego włamania się do twojej komputerowej bazy danych – mruknęła Abby – musimy sprawić, by wyglądało na to, iż wszystkie dane znajdują się w komputerze. Rozumiesz?

Zamyśliłam się na chwilę.

– Okay. Możemy tego dokonać, pisząc, że komputer znalazł wprowadzone dane, informacje odnoszące się do dziwnego zapachu obecnego w jednym z miejsc zbrodni i połączył je z niedawno odkrytym dowodem poszlakowym. Dotyczy on przyczyn podobnego zapachu, lecz anonimowe źródło blisko związane z dochodzeniem nie mówi dokładnie, jakie typu jest to defekt czy choroba... albo czy został on potwierdzony przez wyniki niedawno ukończonych testów DNA.

Wesleyowi bardzo się to spodobało.

– Doskonale! Niech się męczy! Niech się zastanawia, czy znaleźliśmy jego kombinezon... Abby, nie pisz żadnych szczegółów. Może wspomnij, że

policja odmówiła udzielenia informacji dotyczących natury owego znalezionej dowodu.

Abby szybko pisała w notatniku.

– A wracając jeszcze do tego twojego „medycznego źródła blisko związanego z dochodzeniem”, dobrze by było, gdybyś umieściła w artykule kilka cytatów słów tej osoby.

Abby spojrzała na mnie.

– Na przykład?

Zerknęłam na Wesleya i odparłam:

– Niech ten twój „informator” nie zgodzi się ujawnić żadnych szczegółów dotyczących domniemanej choroby. Ale jednocześnie niech powie, że może ona powodować silne upośledzenie umysłowe, a potem... um... – Po chwili zaimprovizowałam na głos: – Ekspert od genetyki twierdzi, iż tego typu zaburzenia metabolizmu powodują bardzo poważne upośledzenia umysłowe. Choć policja uważa, że morderca nie może być upośledzony umysłowo, dowody wskazują jednoznacznie, iż jest on niedostosowany i niezorganizowany w stopniu utrudniającym codzienne kontakty z rzeczywistością.

– To go doprowadzi do szału – mruknął Wesley. – Absolutnie go rozsądzi.

– Najważniejsze jest, byśmy nie sugerowali jego niepoczytalności – dodałam. – Później, już w sądzie, może się to na nas zemścić.

– Niech nasze „źródło” powie to jasno i wyraźnie – zaproponowała Abby. – Niech rozróżni upośledzenie umysłowe od niepoczytalności.

Miała już z pół tuzina kartek wypełnionych notatkami.

Pisząc dalej, spytała:

– A co z tym syropem klonowym? Chcemy dokładnie określić rodzaj zapachu?

– Tak – odrzekłam bez zastanowienia. – Ten facet może pracować w miejscu publicznym... a przynajmniej wśród ludzi. Możliwe, że gdy ktoś coś zauważy, powie nam o tym.

– Jedno jest pewne – wtrącił Wesley. – To jeszcze bardziej go zdenerwuje.

– Chyba że tak naprawdę wcale nie wydziela żadnego dziwnego zapachu – powiedziała Abby.

– A niby skąd może być tego pewien? – spytałam. Oboje rzucili mi zdziwione spojrzenia. – Nigdy nie słyszeliście powiedzenia, że lis nie wyczuwa własnego zapachu? – dodałam.

– Chcesz powiedzieć, że ten facet śmierdzi i nie zdaje sobie z tego sprawy? – zapytała Abby.

– To już jego zmartwienie – odparłam.

Skinęła głową i znowu pochyliła się nad notatkami.

Wesley poprawił się na krześle.

– Co jeszcze wiesz o tym defekcie, Kay? Może powinniśmy sprawdzić w miejskich aptekach, czy ktoś nie wykupuje niezwykłych ilości witamin lub leków?

– Moglibyście sprawdzić, czy ktoś regularnie nie kupuje ogromnych ilości witaminy B₁ – odrzekłam. – Istnieje jeszcze coś takiego jak MSDU; to taki proszek, dodatek białkowy do jedzenia... Możliwe, że zabójca stara się kontrolować chorobę, przestrzegając specjalnej diety. Uważam jednak, że jest zbyt ostrożny, by zostawiać za sobą tak oczywiste ślady... i szczerze mówiąc, nie sądzę, by jego choroba była tak poważna, by wymagała rygorystycznego stosowania specjalnej diety. Uważam, że funkcjonuje w miarę normalnie, pomijając zapach, jaki wydziela pod wpływem stresu.

– Emocjonalnego stresu?

– Raczej fizycznego – odparłam. – Choroba rozwija się pod wpływem fizycznego stresu. Na przykład, gdy ma gorączkę albo gripę... To fizjologiczna reakcja organizmu; założę się, że drań za mało sypia. Zbyt wiele energii poświęca na tropienie ofiar, włamywanie się do domów i mordowanie. Emocjonalny stres jest ściśle związany z fizycznym... działają jak sprzężenie zwrotne. Jedno wzmacnia drugie. Im bardziej jest zestresowany emocjonalnie, tym większy jest także jego stres fizyczny i vice versa.

– I co dalej?

Spojrzałam mu spokojnie w oczy.

– I co dalej, gdy choroba się rozwinie? – powtórzył.

– Zależy od tego, w jakim stadium facet się znajduje.

– Powiedzmy, że w zaawansowanym.

– To ma prawdziwy problem.

– To znaczy?

– W jego organizmie odkładają się aminokwasy; staje się coraz bardziej ospały, poirytowany, ataktyczny i powoli zapada w letarg. Symptomy są podobne do hiperglikemii. Możliwe, że konieczna byłaby w takim przypadku hospitalizacja.

– Mów po angielsku – burknął Wesley. – Co, u diabła, znaczy ataktyczny?

– Niepewny; będzie chodził, jakby był pijany... nie będzie mógł wejść na drabinę czy okno. W miarę pogarszania się jego stanu fizycznego wzmagają się będzie także poziom stresu... jeżeli chory nie podda się leczeniu, choroba wymknie mu się spod kontroli.

– Choroba wymknie się spod kontroli? – nalegał. – Przecież my go stresujemy... taki jest cel tego artykułu, który Abby ma napisać. Chcesz, żeby się wymknęła?

– Możliwe.

– Okay. – Zawahał się. – Co dalej?

– Ciężki stan hiperglikemii; pobudzenie stale rośnie, a wraz z nim lęk. Jeżeli nie zapanuje nad swoim ciałem, przestanie logicznie myśleć. Prawdopodobnie będzie miał duże wahania nastroju.

Urwałam.

Jednak Wesley nie zamierzał mi tego tak łatwo odpuścić. Pochylił się na krzesło i wpatrzył we mnie.

– Ty nie wymyśliłaś sobie tej choroby tak z księżycą, co? – nalegał.

– Powiedzmy, że zastanawiałam się nad taką możliwością już od dłuższego czasu.

– Ale nic na ten temat nie wspominałaś.

– Nie miałam pewności – odrzekłam. – Nie widziałam powodu, by o niej wspominać. Aż do teraz.

– Dobrze. Okay. Mówisz, że chcesz go wkurzyć, zestresować go tak bardzo, by przestał logicznie myśleć. Zróbmy to. Powiedz mi tylko jeszcze, jakie jest końcowe stadium choroby? Co się dzieje, gdy choroba jest naprawdę nie do opanowania?

– Chory traci przytomność i dostaje konwulsji. Jeżeli taki stan się przedłuży, może prowadzić do poważnego uszkodzenia organicznego.

Wesley przyglądał mi się z niedowierzaniem, aż wreszcie w jego oczach pojawiło się zrozumienie.

– Jezu, ty chcesz zabić tego skurwysyna.

Abby przestała pisać i zaskoczona uniosła na mnie wzrok.

– To tylko teoria – odparłam. – Jeżeli on faktycznie cierpi na tę chorobę, to na bardzo łagodne stadium. Żył z nią od urodzenia i jest mało prawdopodobne, by mógł przez nią umrzeć.

Wesley nadal wpatrywał się we mnie; nie uwierzył mi.

Rozdział czternasty

Całą noc nie mogłam zasnąć; mój umysł nie chciał wziąć wolnego i przewracałam się z boku na bok rozdarta między niepokojącą rzeczywistością a koszmarnymi snami. Postrzeliłam kogoś, a Bill był koronerem wezwanym na miejsce wypadku, jednak gdy pojawił się na miejscu, zamiast czarnej medycznej torby miał ze sobą śliczną blondynkę, której nigdy wcześniej nie widziałam...

Gwałtownie otworzyłam oczy w ciemnościach, jakby zimna dłoń dotknęła mego serca. Wstałam z łóżka na długo przed dzwonkiem budzika i przygnębiona pojechałam do pracy.

Nie pamiętałam, bym kiedykolwiek w życiu czuła się tak samotna; nie odzywałam się do nikogo w biurze, aż wreszcie współpracownicy zaczęli rzucać mi podejrzliwe, nerwowe spojrzenia.

Kilka razy już sięgałam po słuchawkę, by zadzwonić do Billa, lecz za każdym razem coś mnie powstrzymywało; wreszcie około południa załamalam się. Jego sekretarka poinformowała mnie radośnie, że pan Boltz jest na wakacjach i nie wróci aż do pierwszego lipca.

Nie zostawiłam żadnej informacji. Wiedziałam, że wcześniej nie planował tych wakacji; wiedziałam też, dlaczego nie powiedział mi o nich ani słowa. W przeszłości na pewno by mnie powiadomił, lecz to było dawno temu. Wtedy nie było między nami kulawych przeprosin, uników czy beczelnych kłamstw. Boltz odciął mnie od siebie na zawsze, gdyż nie potrafił stawić czoła własnym grzechom.

Po lunchu poszłam na górę do laboratorium serologicznego i ze zdumieniem zobaczyłam tam Wingo i Betty stojących tyłem do drzwi z

głowami nieomal zetkniętymi razem, przyglądających się czemuś, co znajdowało się w niedużej plastikowej torebce.

– Cześć – odezwałam się od progu.

Wingo z widocznym zdenerwowaniem wsunął plastikową torebkę do kieszeni fartucha Betty, jakby był to napiwek.

– Skończyłeś już na dole? – zapytałam, udając, że byłam zbyt pogrążona we własnych myślach, by zauważyć to ich dziwaczne zachowanie.

– Uch, taak. Oczywiście, że tak, doktor Scarpetta – odpowiedział, pospiesznie kierując się do drzwi. – McFee, ten facet z raną postrzałową... zabrali go do domu pogrzebowego jakiś czas temu, natomiast tego gościa z pożaru w Albamerle dowiozą do nas dopiero po czwartej.

– Doskonale. Przechowamy go przez noc i dopiero rano zrobimy sekcję.

– Oczywiście – dotarła do mnie jego odpowiedź już z korytarza.

Na szerokim stole pośrodku pomieszczenia leżał powód mojej wizyty w laboratorium Betty – granatowy kombinezon. Leżał płasko, porządnie rozłożony, wygładzony i z podciągniętym do samej góry suwakiem z przodu. Mógł należeć do kogokolwiek; każdą z wielu kieszeni przetrząsnęłam z pół tuzina razy, miałam nadzieję, że znajdę coś, co pomoże nam w ustaleniu tożsamości właściciela, ale wszystkie były puste. Na nogawkach i rękawach znajdowały się ogromne dziury, miejsca, z których Betty wykroiła zaplamiony krwią materiał.

– Pogrupowałaś już próbki krwi? – spytałam, starając się nie gapić na plastikową torebkę wystającą z jej kieszeni.

– Część już udało mi się rozpracować. – Skinęła ręką, bym poszła za nią do jej gabinetu.

Na biurku leżał gęsto zapisany notes wypełniony literkami i cyframi, które dla niewtajemniczonego wyglądałyby jak hieroglify.

– Henna Yarborough miała krew grupy B – zaczęła Betty. – Tu mamy szczęście, bo zaledwie dwanaście procent populacji Wirginii ma tę grupę krwi. Niestety wszystkie podgrupy są bardzo popularne i występują mniej więcej u osiemdziesięciu dziewięciu procent mieszkańców naszego stanu.

– A jak popularna jest kombinacja, którą odkryłaś? – Plastikowa torebka wychylająca się z kieszeni jej fartucha działała mi na nerwy.

Betty zaczęła wciskać przyciski kalkulatora, mnożąc odsetki i dzieląc je przez liczbę podgrup.

– Ma ją jakieś siedemnaście procent. Siedemnastu na stu ludzi będzie miało podobną konfigurację podgrup.

– Niespecjalnie rzadkie – mruknęłam.

– Nie.

– A co z plamami krwi na kombinezonie?

– Tu mieliśmy więcej szczęścia. Musiał już nieco przeschnąć, zanim znalazł go ten bezdomny. Jest w zadziwiająco dobrym stanie. Mogłam wydzielić nieomal wszystkie podgrupy... zgadzają się co do joty z próbkami krwi Henny Yarborough. Testy DNA wykażą nam to z całkowitą pewnością, ale będziemy je mieć dopiero za jakiś miesiąc, może nawet sześć tygodni.

– Powinniśmy urządzić tu własne laboratorium – odezwałam się cicho.

Betty przyjrzała mi się uważnie; w jej oczach dostrzegłam sympatię.

– Wyglądasz na absolutnie wycieńczoną, Kay.

– To aż tak oczywiste?

– Dla mnie tak. – Nic nie odpowiedziałam. – Nie pozwól, by te sprawy cię zniszczyły. Po trzydziestu latach pracy w tym zawodzie...

– Co Wingo kombinuje? – wypaliłam ni stąd, ni zowąd.

Zaskoczona, zawahała się przez moment.

– Wingo? No, wiesz...

Wpatrywałam się w jej kieszeń; roześmiała się nerwowo i poklepała po niej.

– A, o to ci chodzi. To tylko przysługa, o którą mnie prosił.

Nie zamierzała powiedzieć mi nic więcej. Może Wingo miał w życiu jeszcze jakieś zmartwienia, oprócz tych spraw. Może chciał sobie zrobić test na obecność HIV; dobry Boże, nie pozwól, by miał AIDS!

Zebrałam myśli i wróciłam do bardziej naglących rzeczy.

– A co z włóknami? Znalazłaś coś?

Betty porównała włókna z kombinezonu z tymi znalezionymi w domu Lori Petersen oraz na ciele Henny Yarborough.

– Włókna znalezione na oknie w domu Petersenów mogły pochodzić z tego kombinezonu lub z jakiegokolwiek innego, zrobionego z ciemnej mieszanki bawełny z poliestrem.

Ze zdumieniem pomyślałam, że w sądzie nie będzie to miało żadnej mocy dowodowej, gdyż tego typu tkaniny były bardzo rozpowszechnione; robiło się z nich spodnie dla robotników budowlanych, mundury dla policjantów i sanitariuszy, a także sukienki dla kobiet i ubranka dla dzieci.

Czekało mnie jeszcze jedno rozczarowanie; Betty była w stu procentach pewna, że włókna znalezione w ustach Henny Yarborough nie pochodziły z tego kombinezonu.

– Są bawełniane – rzekła. – Mogą pochodzić z jakiegoś ubrania, które nosiła w ciągu dnia, albo nawet ze zwykłego ręcznika. Kto wie? Ludzie noszą na sobie całe mnóstwo różnych włókien. Jednak wcale mnie nie zaskoczyło, że kombinezon nie zostawia po sobie zbyt wielu włókien.

– Dlaczego?

– Dlatego, że tego typu mieszane tkaniny są zazwyczaj bardzo gładkie; nie zostawiają po sobie włókien, chyba że wejdą w kontakt z czymś chropowatym.

– Na przykład z ceglanym murem albo drewnianym parapetem?

– Możliwe; ciemne włókna znalezione w sprawie Lori Petersen z całą pewnością mogły pochodzić z granatowego kombinezonu, bardzo prawdopodobne, że właśnie z tego. Ale nie sądzę, byśmy kiedykolwiek mogli to powiedzieć z całkowitą pewnością.

Wróciłam na dół do swego biura i usiadłam za biurkiem. Myślałam długo, po czym wyciągnęłam opasłą teczkę z aktami pięciu zamordowanych kobiet.

Co miały ze sobą wspólnego? Dlaczego morderca wybrał akurat je? Jak i gdzie je spotykał?

Musiał istnieć jakiś punkt wspólny. W głębi duszy nie wierzyłam, by morderca wybierał swe ofiary na chybił trafił... by jeździł po ulicach, wypatrując odpowiedniej kandydatki. Uważałam, że jego wyborem kierowała jakaś reguła; że najpierw miał z nimi jakiś kontakt, a dopiero potem je śledził.

Położenie geograficzne, praca, wygląd zewnętrzny. Nie istniał żaden zwyczajny punkt wspólny, spróbowałam więc zacząć sprawę od końca. Wróciłam myślami do sprawy Cecile Tyler.

Była Murzynką; wszystkie pozostałe ofiary były białe. Na początku bardzo mnie to niepokoiło, a z biegiem czasu było coraz gorzej. Czy morderca popełnił błąd? Może nie zdawał sobie sprawy z tego, że przyszła ofiara jest czarna? Czy tak naprawdę chciał uderzyć w kogoś innego? W jej przyjaciółkę Bobbi, na przykład?

Przerzucałam strony raportu autopsyjnego, który sama podyktowałam. Przejrzałam spis dowodów rzeczowych, spis rzeczy znalezionych w jej mieszkaniu oraz stare karty chorobowe ze Szpitala Świętego Łukasza, w którym była leczona pięć lat temu z powodu ciąży pozamacicznej. Kiedy dotarłam do raportu policyjnego, zobaczyłam, że jej jedyną krewną jest

siostra mieszkająca w Madras, w stanie Oregon. To od niej Marino dowiedział się o dzieciństwie Cecile oraz o jej nieudanym małżeństwie z dentystą z Tidewater.

Zdjęcia rentgenowskie zaszeleściły, gdy wyciągałam je po kolei z koperty i unosiłam pod światło. Cecile nie miała żadnych uszkodzeń kośćca oprócz wyleczonego obłupania lewego łokcia; trudno było mi określić wiek obrażenia – wiedziałam tylko, że na pewno nie było świeże. Mogło pochodzić nawet z dzieciństwa Cecile.

Znowu zastanowiłam się nad powiązaniem ofiar z VMC. Zarówno Lori Petersen, jak i Brenda Steppe na krótko przed śmiercią znajdowały się tam na ostrym dyżurze – Lori z powodu swej pracy, a Brenda po wypadku samochodowym. Możliwe, że przypuszczenie, iż Cecile Tyler miała tam opatrywany łokieć, było zbyt daleko idące, lecz w tej chwili gotowa byłam sprawdzić każdy trop.

Zadzwoiłam pod numer domowy jej siostry, który Marino zapisał w swym raporcie.

Po pięciu sygnałach ktoś wreszcie podniósł słuchawkę.

– Halo?

Połączenie było fatalne, lecz najwyraźniej popełniłam błąd.

– Przepraszam, to chyba pomyłka – rzekłam pospiesznie.

– Przepraszam?

Powtórzyłam to samo, dwa razy głośniej.

– A z jakim numerem chciała się pani połączyć? – Głos brzmiał kulturalnie, kobieta, najwyżej dwudziestoletnia, mówiła z akcentem z Wirginii Zachodniej.

Przeczytałam numer z raportu Marino.

– To jest ten numer. Z kim chciała pani rozmawiać?

– Z Fran O'Connor – odparłam, znowu pomagając sobie raportem.

– Przy telefonie – odrzekł młody głos, najwyraźniej należący do osoby wykształconej.

Przedstawiłam się, na co po drugiej stronie rozległo się ciche sapnięcie.

– Jak rozumiem, jest pani siostrą Cecile Tyler.

– Tak. Dobry Boże. Nie chcę o tym mówić. Proszę...

– Pani O'Connor, strasznie jest mi przykro z powodu śmierci Cecile, ale jestem koronerem pracującym nad jej sprawą i dzwonię do pani, gdyż muszę dowiedzieć się jednej rzeczy. Znalazłam dokumentację medyczną świadczącą o tym, że pani siostra była swego czasu hospitalizowana... miała stłuczoną kość lewego łokcia. Właśnie patrzę na zdjęcie rentgenowskie. Czy coś pani wiadomo na ten temat?

Zawahała się; chyba zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Miała wypadek podczas biegania. Swego czasu regularnie biegała; pewnego dnia poślizgnęła się, potknęła o krawężnik i upadła na jezdnię. Siła uderzenia strzaskała jej łokieć. Pamiętam to, gdyż przez trzy miesiące nosiła gips, a było to najgorętsze lato w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Była wtedy taka nieszczęśliwa...

– Kiedy to było? Czy w Oregonie?

– Nie, Cecile nigdy nie mieszkała w Oregonie. To było we Fredricksburgu, gdzie dorastałyśmy.

– Jak dawno temu zdarzył się ten wypadek?

Znowu chwila zastanowienia.

– Dziewięć, może dziesięć lat temu.

– A wie pani, w którym szpitalu założono jej gips?

– Nie mam pojęcia. W którymś ze szpitali we Fredricksburgu... nie pamiętam nazwy.

Cecile nie była na ostrym dyżurze w VMC, a jej wypadek zdarzył się zbyt dawno temu, by mieć znaczenie w tej sprawie. Jednak mnie to już nie

interesowało. Co innego miało znaczenie.

Nigdy nie spotkałam osobiście Cecile Tyler. Nigdy z nią nie rozmawiałam. Po prostu założyłam, że będzie mówiła, jak osoba „kolorowa”.

– Pani O’Connor, czy pani jest Murzynką?

– Oczywiście, że jestem Murzynką. – Usłyszałam lekkie zdenerwowanie w jej głosie.

– Czy pani siostra mówiła tak jak pani?

– Mówiła tak jak ja? – spytała, podnosząc głos.

– Wiem, że to wydaje się dziwnym pytaniem...

– Chce pani spytać, czy podobnie jak ja mówiła jak dobrze wykształcona biała kobieta, tak? – ciągnęła Fran O’Connor, szczerze oburzona. – Tak! Właśnie w ten sposób mówiła! Czy właśnie nie po to mamy równouprawnienie w edukacji? Żeby Murzyni mogli mówić jak biali ludzie?

– Proszę – przerwałam jej. – Ja naprawdę nie chciałam pani obrazić, ale to dla mnie bardzo ważne...

Mówiłam jednak do ciągłego sygnału; Fran O’Connor rzuciła słuchawkę na widełki.

Lucy wiedziała o piątym morderstwie; wiedziała wszystko o uduszonych kobietach. Wiedziała także, że trzymam w szafie rewolwer kalibru 38 i zapytała mnie o niego już dwukrotnie podczas obiadu.

– Lucy – rzekłam, płucząc talerze i wsadzając je do zmywarki. – Nie chcę, byś zaprzętała sobie głowę bronią palną. Gdybym nie mieszkała sama, pewnie bym jej nie kupiła.

Bardzo kusiło mnie, by schować rewolwer w jakieś miejsce, gdzie Lucy nigdy by go nie znalazła, ale po historii z modemem, który ponownie podłączyłam do komputera parę dni temu, przysięgłam sobie zawsze być

wobec niej szczerza. Rewolwer pozostał na miejscu, na górnej półce szafy z ubraniami, w tekturowym pudełku po butach; nie był naładowany. Ostatnimi czasy wyjmowałam z niego naboje każdego ranka, a wieczorem ładowałam je z powrotem. Kule chowałam w miejscu, do którego Lucy z pewnością nigdy by nie zajrzała.

Kiedy odwróciłam się do niej, oczy mojej siostrzenicy były wielkie jak spodeczki.

– Wiesz, dlaczego mam broń, Lucy. Uważam też, że jesteś dostatecznie dorosła, by zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo niebezpieczne są podobne przedmioty.

– Można z nich kogoś zabić.

– Tak – odparłam, gdy przeszliśmy już do salonu. – Z całą pewnością jest to możliwe.

– Dlatego masz rewolwer, żebyś mogła kogoś zastrzelić.

– Wolę nie myśleć o podobnej możliwości – powiedziałam bardzo poważnie.

– Ale to prawda – nalegała Lucy. – To dlatego trzymasz go w domu. Z powodu złych ludzi. Wiem, że tak jest.

Podniosłam pilot od telewizora i włączyłam program z wiadomościami.

Moja siostrzenica podciągnęła rękawy różowej bluzy i odezwała się jęśliwym głosem:

– Tu jest strasznie gorąco, ciociu Kay. Dlaczego tu jest zawsze tak okropnie gorąco?

– Chcesz, żebym włączyła klimatyzację? – zapytałam.

– Nie. Nie znoszę klimatyzacji.

Zapaliłam papierosa, i to także się jej nie spodobało.

– W twoim gabinecie zawsze jest potwornie gorąco i śmierdzi papierosami. Otwieram okna, ale to nic nie pomaga. Jesteś lekarzem, a

palisz papierosy. Mamusia powtarza, że powinnaś postępować mądrzej.

Dorothy zadzwoniła wczoraj wieczorem; byli gdzieś w Kalifornii – nie pamiętam gdzie – tylko we dwoje: ona i jej mąż, ilustrator. Zrobiłam, co w mojej mocy, by zachować się uprzejmie. Chciałam jej przypomnieć: „Masz córkę, ciało z twojego ciała, krew z twojej krwi. Pamiętasz Lucy? Pamiętasz? To twoje dziecko”. Zamiast tego życzyłam jej szczęścia, co wyszło mi nieomal szczerze; zachowywałam pozory tylko ze względu na Lucy, która siedziała przy stole w kuchni z mocno zaciśniętymi ustami.

Rozmawiała z matką niecałe dziesięć minut, po czym nie miała mi absolutnie nic do powiedzenia. Od tamtej pory jednak była wobec mnie straszliwie krytyczna, złośliwa i nieprzyjemna. Wedle słów Berthy, nie lepiej zachowywała się przez cały dzień; ani na chwilę nie wyszła z mego gabinetu. Odkąd rano wyjechałam z domu, do momentu kiedy wróciłam, siedziała przed komputerem; Bertha już dawno zrezygnowała z wołania ją do kuchni na posiłki i Lucy jadła lunch przy moim biurku.

Opera mydlana, która właśnie zaczęła się w telewizji, była niczym w porównaniu z tą, jaka zdarzyła się w moim salonie.

– Andy mówi, że o wiele niebezpieczniej jest mieć broń i nie wiedzieć, jak się nią posługiwać, niż wcale nie mieć rewolweru – odezwała się w pewnym momencie Lucy.

– Andy? – spytałam.

– Ten przed Ralfem. Miał zwyczaj chodzić na podwórko za domem i strzelać do puszek po piwie. Trafiał do nich z naprawdę dużej odległości. Założę się, że ty byś tak nie potrafiła. – Popatrzyła na mnie oskarżycielsko.

– Masz rację. Prawdopodobnie nie potrafię strzelać równie dobrze jak Andy.

– A widzisz!

Nie powiedziałam jej, że w rzeczy samej wiedziałam całkiem sporo o broni palnej. Zanim kupiłam mojego rugera kalibru 38, poszłam do krytej strzelnicy mieszczącej się w podziemiach naszego budynku i eksperymentowałam z różnego rodzaju pistoletami i rewolwerami pod okiem doświadczonego specjalisty. Od czasu do czasu ćwiczyłam strzelanie do celu i wcale nieźle mi to wychodziło. Wątpię, czy zawahałabym się przed użyciem broni, gdyby wynikła taka potrzeba.

Ale nie zamierzałam ciągnąć tego tematu z moją siostrzenicą.

– Lucy, dlaczego się mnie czepiasz? – spytałam cicho.

– Bo jesteś starą idiotką! – Jej oczy wypełniły się łzami. – Jesteś tylko głupią starą idiotką i gdybyś próbowała, zrobiłabyś sobie krzywdę, a on i tak by ci go odebrał! A potem ciebie też by już nie było! Gdybyś spróbowała, zastrzeliłby cię, tak jak robią w telewizji!

– Gdybym spróbowała? – zapytałam zaskoczona. – Gdybym co spróbowała, Lucy?

– Gdybyś spróbowała pierwsza kogoś zastrzelić!

Gwałtownym ruchem otarła łzy; jej wąska klatka piersiowa unosiła się spazmatycznie. Niewidzącymi oczyma wpatrywałam się w rodzinny cyrk w telewizji i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Pod wpływem impulsu chciałam uciec do mego gabinetu i zatrzaskać za sobą drzwi. Zakopać się w pracy i nie myśleć. Z wielkim wahaniem przysunęłam się do niej i przytuliłam ją mocno. Przez bardzo długie minuty siedziałyśmy w milczeniu.

Zastanawiałam się, z kim Lucy rozmawia w domu? Nie wyobrażałam sobie, by o czymkolwiek mogła dyskutować z moją siostrą. Książki dla dzieci, które pisała Dorothy, przez wielu krytyków były nazywane „wyjątkowo wnikliwymi”, „głębokimi” i „pełnymi czułości”. Cóż za ironia! Dorothy poświęcała wszystko, co miała najlepszego, dla dziecięcych

postaci, które sama wymyśliła. Troszczyła się o nie, spędzała niezliczone godziny, kontemplując każdy ich ruch, sposób uczesania, rodzaj ubrania i sekretne obyczaje. A cały ten czas, pod jej bokiem, Lucy usychała z braku miłości.

Przypominałam sobie czasy, które wraz z Lucy spędzałyśmy w Miami; święta, gdy byłyśmy tylko we cztery: moja matka, Dorothy, ona i ja. Pomyślałam o ostatniej wizycie Lucy u mnie. Nie pamiętam, by wymieniła z imienia choć jedną przyjaciółkę; wątpię, by ją w ogóle miała. Bez przerwy opowiadała o nauczycielkach i niekończącym się ciągu „narzeczonych” matki, pani Spooner, mieszkającej po drugiej stronie ulicy, ogrodniku Jake’u i często zmieniających się sprzątaczkach. Lucy była drobnutką, poważną osobką w okularach, która uważała, że zjadła wszelkie rozumy – starsze dzieci nie lubiły jej, a rówieśnicy nie potrafili zrozumieć. Nie pasowała do nikogo; była dokładnie taka sama jak ja w jej wieku.

– Wczoraj ktoś zadał mi poważne pytanie – odezwałam się z ustami tuż przy jej włosach.

– Jakie?

– Dotyczące zaufania. Ktoś zapytał mnie, komu najbardziej ufam na całym świecie. I wiesz co?

Odchyliła się do tyłu i spojrzała mi w oczy.

– Wydaje mi się, że to ty jesteś tą osobą.

– Naprawdę? – spytała z niedowierzaniem. – Ufasz mi bardziej niż komukolwiek na świecie?

Skinęłam głową i dodałam:

– I skoro już o tym mówimy, chcę cię prosić, byś mi w czymś pomogła.

Usiadła wyprostowana; w jej oczach dostrzegłam iskierki zainteresowania i podniecenia.

– Jasne! Wystarczy, że powiesz, o co chodzi! Pomogę ci, ciociu Kay!

– Muszę ustalić, jak komuś udało się włamać do mojego komputera w śródmieściu...

– Ja tego nie zrobiłam! – wypaliła natychmiast Lucy ze zrozpaczoną miną. – Przecież już ci powiedziałam, że to nie ja!

– Wierzę ci. Ale ktoś to zrobił, Lucy. Może będziesz mogła mi pomóc w ustaleniu, kto to mógł być.

Szczerze w to wątpiłam, lecz pod wpływem impulsu postanowiłam dać jej szansę.

Podekscytowana, pełna energii i zapału, Lucy powiedziała pewnie:

– Każdy mógł to zrobić, bo to jest bardzo łatwe.

– Łatwe? – Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Z powodu System/Manager.

Gapiłam się na nią z jawnym, bezbrzeżnym zdumieniem.

– Skąd wiesz o System/Manager?

– Przeczytałam w książce. On jest Bogiem.

W tego typu wypadkach przypomiinałam sobie o poziomie inteligencji Lucy; gdy po raz pierwszy poddano ją testowi, uzyskała tak wysoki wynik, że psycholog nalegał, by badanie powtórzyć, „bo na pewno gdzieś jest błąd”. Był – następnym razem Lucy uzyskała dziesięć punktów więcej.

– W ten sposób wchodzi się do SQL – zaczęła Lucy; spojrzała na mnie, a chwilę potem wyrzucała z siebie informacje w zawrotnym tempie. – Widzisz, nie możesz stworzyć żadnych poleceń, jeżeli nie masz do tego uprawnień. Po to właśnie jest System/Manager, czyli Bóg. Dzięki niemu możesz się dostać do SQL, a potem robić tam, co ci się żywnie podoba.

Wszystko, co ci się żywnie podoba; dopiero teraz zrozumiałam. Możesz na przykład stworzyć nazwy użytkowników oraz hasła dostępu do bazy danych. Było to potworne objawienie; rozwiązanie tak genialnie proste, że

nigdy nie przyszło mi do głowy. Podejrzewam, że Margaret także nigdy by na to nie wpadła.

– Wystarczyło, by ktoś połączył się z twoim komputerem – ciągnęła spokojnie Lucy – i jeżeli wiedział o Bogu, mógł stworzyć jakiegokolwiek hasło, sprawić, by system odczytał je jako ABD i wejść do twojej bazy danych.

ABD, czyli administrator bazy danych, mógł zrobić wszystko, włącznie z wpisywaniem nowych danych i wymazywaniem starych.

– Więc wchodzisz do SQL poprzez System/Manager, wpisujesz ustalone hasło, ABD do cioci zidentyfikowanej jako kay i możesz dalej robić, co ci się żywnie spodoba.

– Może właśnie tak się stało – zaczęłam myśleć na głos. – Mając dostęp do ABD, ktoś mógł nie tylko przejrzeć, ale i faktycznie zmienić dane w zbiorze.

– Jasne, że tak! ABD robi wszystko, co mu Bóg każe. On jest Jezusem.

Te teologiczne aluzje były tak oburzające i niespodziewane, że roześmiałam się wbrew sobie.

– Właśnie w ten sposób udało mi się dostać do SQL-a – przyznała Lucy poufnym tonem. – Nie podałaś mi hasła dostępu, a bardzo zależało mi na wejściu do SQL-a, żebym mogła poćwiczyć różne zadania wyjaśnione w książce. Tak więc podałam twojemu ABD hasło, które sama wymyśliłam, i już mogłam dalej robić, co mi się spodobało.

– Zaczekaj chwilę – przerwałam jej. – Poczekaj! Co to znaczy, że przydzieliłaś administratorowi bazy danych hasło przez siebie wymyślane? Skąd wiedziałaś, jaka jest moja nazwa użytkownika? Przecież tego też ci nie powiedziałam.

– Ale to jest zapisane w plikach systemowych – wyjaśniła. – Znalazłam je w dyrektywie Home, gdzie masz zapisane nazwy wszystkich tabel, jakie

kiedykolwiek stworzyłaś. Masz na przykład plik nazwany „Hasła. SQL”, w którym siedzą wszystkie hasła dostępu do twoich tabel.

Ale to nie ja go stworzyłam; nie miałabym pojęcia, jak się do tego zabrać. Stworzyła go Margaret i właśnie zaczęłam się zastanawiać, czy podobnego pliku nie ma w komputerze w moim biurze w śródmieściu.

Wzięłam Lucy za rękę i wstałam z kanapy; przeszliśmy do gabinetu. Posadziłam ją przed komputerem, a sobie przyciągnęłam obok fotel.

Weszliśmy do programu komunikacyjnego i połączyliśmy się z numerem Margaret. Obserwowałyśmy małe cyferki migające na dole ekranu; połączenie było nieomal natychmiastowe. Lucy wstukała kilka poleceń i po ostatnim ekran zrobił się cały czarny, tylko na samej górze błyskało się małe C:/. Nagle komputer wydał mi się magicznym lustrem, po którego drugiej stronie znajdowały się wszystkie sekrety biura, oddalonego od nas o dziesięć mil.

Trochę niepokoiła mnie świadomość, że w chwili gdy połączyliśmy się z komputerem Margaret, specjalista Wesleya z pewnością zaczął namierzać połączenie. Będę musiała powiedzieć Wesleyowi, o co chodzi, gdyż w przeciwnym razie gotów sobie jeszcze pomyśleć, że to ja sama włamywałam się do bazy danych.

– Znajdź plik, który może dotyczyć haseł – poprosiłam Lucy.

W niedługim czasie na ekranie wyświetlił się komunikat, że „Nie znaleziono żadnych plików”. Spróbowałyśmy jeszcze raz; szukałyśmy pliku o nazwie „synonimy”, ale nie miałyśmy wiele szczęścia. Potem Lucy wpadła na pomysł, by poszukać wszystkich plików o rozszerzeniu „SQL”, bo zazwyczaj wszystkie pliki zawierające komendy, hasła i nazwy użytkowników SQL-owych mają takie właśnie rozszerzenia. Natychmiast na ekranie pojawił się długi ciąg nazw. Jedna z nich przyciągnęła moją uwagę. Brzmiała „Publiczne. SQL”.

Lucy otworzyła go i zaczęłyśmy przeglądać jego zawartość. Moje podniecenie dorównywało zdumieniu; w pliku znajdowały się komendy wpisane przez Margaret wieki temu, gdy tworzyła publiczne synonimy dla nazw oraz haseł dostępu do wszystkich tabel, jakie powstały w moim biurze. Nie byłam programistką i zupełnie nie znałam się na programowaniu; słyszałam o publicznych synonimach, lecz nie miałam pojęcia, co to takiego.

Lucy kartkowała podręcznik; znalazła rozdział o publicznych synonimach i szybko go przeczytała.

– To proste – odezwała się w końcu. – Kiedy tworzysz jakiś plik, musisz stworzyć go pod nazwą użytkownika i odpowiednim hasłem. – Spojrzała na mnie; w jej oczach, skrytych za grubymi szklami okularów, kryło się podniecenie.

– Okay – powiedziałam. – To ma sens.

– Więc jeżeli twoją nazwą użytkownika jest „ciocia”, a przydzielonym ci hasłem „Kay”, to gdy tworzysz plik, dajmy na to, pod nazwą „gry”, komputer tak naprawdę nadaje temu plikowi nazwę „Ciocia. Gry”. Łączy nazwę pliku z nazwą użytkownika; jeśli nie chcesz przed wejściem do niego za każdym razem wpisywać „Ciocia. Gry”, musisz stworzyć publiczny synonim. Wpisujesz komendę utwórz publiczny synonim dla ciocia. gry. gry. To ponownie nadaje nazwę plikowi; tym razem po prostu „Gry”.

Przyglądałam się długiej liście komend wyświetlonej na ekranie; liście ujawniającej wszystkie pliki w bazie danych mojego biura, liście ujawniającej także ABD wszystkie nazwy, pod którymi owe pliki zostały stworzone.

Zastanawiałam się głośno:

– Ale nawet jeżeli ktoś zobaczył te dane, Lucy, nie znałby przecież hasła dostępu. Tu jest zapisana tylko i wyłącznie nazwa użytkownika przydzielona ABD, a przecież nie można otworzyć pliku, na przykład zawierającego dane ze sprawy, bez podania hasła.

– Założysz się? – Palce Lucy zawisły nad klawiaturą. – Jeżeli znasz nazwę użytkownika ABD, możesz zmienić hasło, na jakie tylko chcesz, i wejść do każdego pliku. Komputera nic to nie obchodzi. Pozwala ci zmienić hasło, kiedy zechcesz... Nie zmienia przez to plików ani danych. Ludzie czasem zmieniają hasła dostępu ze względów bezpieczeństwa.

– Można więc wziąć nazwę użytkownika, przypisać jej nowe hasło i wejść za jego pomocą do bazy danych? – Skinęła głową. – Pokaż.

Lucy spojrzała na mnie niepewnie.

– Ale przecież zabroniłaś mi wchodzić kiedykolwiek do twoich biurowych plików.

– Tym jednym, jedynym razem robię wyjątek.

– Jeszcze jedno... jeżeli nadam twojemu administratorowi nowe hasło, stare przestanie działać.

Przypomniałam sobie, co Margaret powiedziała, kiedy po raz pierwszy odkryła włamanie do pliku z aktami spraw; wspomniała, że hasło ABD nie działa, i że musi stworzyć nowe.

– Stare hasło przestanie działać, bo zostanie zastąpione nowym, które ja stworzę. To oznacza, że nie będziesz się mogła za jego pomocą zalogować.

– Popatrzyła na mnie. – Ale zamierzałam to naprawić.

– Naprawić? – Ledwie słyszałam jej słowa. – Mówię o twoim komputerze. Twoje stare hasło nie działa, bo zmieniłam je, by dostać się do SQL-a, ale naprawię to, obiecuję.

– Później – odparłam pospiesznie. – Naprawisz to później. Chcę, żebyś mi pokazała, jak ktoś mógł się włamać do mojej bazy danych, krok po

kroku.

Usiłowałam dopatrzeć się w tym wszystkim sensu. Najprawdopodobniej osoba, która dostała się do bazy danych w moim biurze, wiedziała dostatecznie dużo o komputerach, by wiedzieć, że może stworzyć nowe hasło i przydzielić je nazwie użytkownika, którą znajdzie w pliku „Publiczne. SQL”... Jednak osoba ta nie miała pojęcia, że tworząc nowe hasło, dezaktywuje stare, tym samym uniemożliwiając nam ponowne wejście do pliku, który naruszyła. Oczywiście, mogła to zauważyć; mogła się zastanawiać nad skutkami swego postępuku, ale najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, że echo na komputerze będzie włączone i na ekranie zostaną wszystkie wpisane przez nią komendy. Czyli włamanie było tylko jednorazową zabawą!

Gdyby ktoś włamał się do systemu już wcześniej, nawet gdy echo było wyłączone, wiedziałybyśmy o tym, gdyż Margaret odkryłaby, iż jej hasło nie działa. Dlaczego?

Dlaczego ktoś usiłował dostać się do pliku z danymi o sprawie Lori Petersen?

Palce Lucy biegały po klawiaturze.

– Widzisz, udaję, że jestem włamywaczem, usiłującym się dostać do twojej bazy danych – odezwała się w pewnym momencie. – Robię to w ten sposób.

Dostała się do SQL-a, łącząc się najpierw z System/Manager, potem wpisała POŁĄCZ/ŹRÓDŁO/ABD w miejscu hasła, a następnie słowo BIGOS – nowe, wymyślone przez siebie hasło. Połączenie zostało zagwarantowane, a po chwili mogła już wejść do każdego pliku i robić w nim wszystko, co jej się żywnie podobało.

Mogła, na przykład, zmienić wprowadzone do pliku dane.

W ten sam sposób ktoś mógł wejść do pliku ze sprawą Brendy Steppe i zmienić dane wpisane w poszczególne tabelki, na przykład zamiast „pary rajstop” wpisać „beżowy pasek z materiału”.

Czy on to zrobił? Znał szczegóły morderstw, których sam dokonywał. Czytał o nich w gazetach. Z całą pewnością miał obsesję na temat dokładności danych i rozpoznałby fałszywe lub mylne informacje pojawiające się w artykułach. Był arogancki. Chciał zadziwić nas wszystkich swą inteligencją. Czyżby zmienił dane w plikach mojej bazy danych, by zrobić ze mnie idiotkę?

Przecież włamanie do komputera miało miejsce prawie dwa miesiące po tym, jak szczegół o „beżowym pasku” pojawił się w artykule Abby Turnbull, dotyczącym śmierci Brendy Steppe.

A jednak ktoś włamał się tylko jeden raz, i to niedawno.

Szczegół dotyczący „beżowego paska” w artykule Abby nie mógł pochodzić z mojego komputera. Czy jest możliwe, by dane wpisane do komputera pochodziły z artykułu w gazecie? Możliwe, że ten, kto się włamał do mojej bazy danych, dokładnie sprawdził akta spraw wpisane do komputera i wyszukał w nich szczegół nie pasujący do raportów w gazetach. Możliwe, że wszedł do akt sprawy Brendy Steppe i znalazł to, czego szukał. Zmienił dane, wpisując „beżowy pasek z materiału” w miejsce „pary jasnych rajstop”. Możliwe, że ostatnią rzeczą, jaką zrobił, była próba wyciągnięcia danych o sprawie Lori Petersen? To by wyjaśniło, dlaczego akurat te komendy Margaret znalazłam na ekranie swego monitora.

Czy paranoja nie miesza mi zmysłów?

Czy istnieje jakieś połączenie między tym a źle oznaczonym folderem PERK-u? Na nim także znaleźliśmy świecąca substancję. Może jednak nie pochodziła z moich rąk?

– Lucy, czy możemy się w jakiś sposób dowiedzieć, czy ten, kto włamał się do mojego komputera, zmienił wprowadzone do niego dane? – spytałam.

– Tworzysz kopie wszystkich danych, prawda? – odparła bez zastanowienia. – Albo ktoś robi to za ciebie?

– Tak.

– Więc je znajdź i porównaj z danymi, które obecnie siedzą w komputerze.

– Problem polega na tym, że nawet jeżeli odkryję różnice, to nie będę miała pewności, czy nie wynikają one na przykład z pomyłki przy wprowadzaniu nowych danych do komputera. Widzisz, te sprawy są strasznie zagmatwane, a nowe dane spływają do nas w wiele tygodni albo nawet miesiące po tym, jak sprawa została wprowadzona do komputera.

– Moim zdaniem, powinnaś zapytać o to osoby, które są odpowiedzialne za wprowadzanie nowych danych do komputera, ciociu Kay. Zapytaj, czy coś zmieniały? Jeżeli powiedzą, że nie, i jeżeli znajdziesz starą kopię, której dane różnią się od danych w obecnym pliku, to czy to ci nie pomoże?

– Pewnie pomoże – przyznałam.

Lucy zmieniła hasło na takie, jakie zastała, wchodząc do bazy danych i wyczyściła ekran tak, by jutro rano nikt pracujący przy serwerze w moim biurze w mieście nie zobaczył wpisanych przez nią poleceń.

Dochodziła już jedenasta wieczorem. Zadzwoiłam do Margaret do domu i chyba ją obudziłam. Wypytałam ją o kopie danych i zapytałam, czy może mieć w swym zbiorze cokolwiek datującego się tuż sprzed włamania do komputera. Niestety, zawiodła mnie.

– Nie. Nie będę miała nic równie starego. Kopie danych robimy co wieczór i nic starszego niż jeden dzień nie ma prawa istnieć.

– Cholera... W jakiś sposób muszę dostać w swoje ręce wersję bazy danych, która nie była zmieniana od kilku tygodni.

Margaret dość długo myślała, po czym rzekła:

– Chwileczkę... Możliwe, że mam jakieś stare pliki...

– Dotyczące czego?

– Nie wiem... nie pamiętam. – Zawahała się. – Wydaje mi się, że to dane z ostatniego pół roku... Dział statystyczny chciał, bym dostarczyła im wszystkich naszych danych... kilka tygodni temu eksperymentowałam przrzucanie plików stanowych na jedną partycję dysku, a potem importowanie wszystkich plików do innego katalogu, by je uporządkować. Mam je sama poukładać i przesłać modemem prosto do ich bazy danych.

– Kiedy to było? – przerwałam. – Kiedy bawiłaś się w przrzucanie danych z katalogu do katalogu?

– Na początku miesiąca... niech się zastanowię. Wydaje mi się, że było to około pierwszego czerwca.

Nerwy mnie ponosiły; musiałam wiedzieć! Gdybym mogła udowodnić, że ktoś zmienił dane w plikach komputerowych już po tym, jak pojawiły się w gazecie, przynajmniej nikt nie oskarży mojego biura o przeciek informacji do prasy.

– Muszę mieć wydruk tych danych jak najszybciej!

Nastąpiła długa cisza, a potem Margaret odezwała się niepewnie:

– Miałam z tym trochę problemów. – A po następnej chwili przerwy: – Ale zrobię, co w mojej mocy. Jutro z samego rana dam ci wszystko, co mam.

Zerknęłam na zegarek i zadzwoniłam na pager Abby; pięć minut później miałam ją na linii.

– Abby, wiem, że twoje źródła informacji są dla ciebie świętością, ale muszę coś wiedzieć. – Nie odpowiedziała, ciągnęłam więc: – W artykule

dotyczącym zabójstwa Brendy Steppe napisałaś, że została uduszona beżowym paskiem z materiału. Skąd zdobyłaś ten szczegół?

– Nie mogę...

– Proszę! To dla mnie bardzo ważne! Po prostu muszę znać źródło tej informacji.

Po bardzo długim milczeniu Abby rzekła:

– No, dobrze. Ale żadnych nazwisk! Od jednego z policjantów obecnych na miejscu zbrodni. Znam wielu gliniarzy i jeden z nich mi powiedział...

– Jesteś pewna, że ta informacja w żadnej postaci nie pochodziła z mego biura?

– Oczywiście, że nie – odparła z naciskiem. – Nadal martwisz się o to włamanie do twojego komputera, o którym wspomniał sierżant Marino... Przysięgam, że nigdy nie wydrukowałam nic, co by pochodziło z twojego biura.

– Możliwe, że ten, kto włamał się do mojej bazy danych, zmienił dane o tym pasku z materiału, żeby wyglądało na to, iż informacje do artykułu uzyskałaś z mego biura – wypaliłam, zanim zdążyłam się nad tym zastanowić. – Ktoś chce przekonać opinię publiczną, że z mojego biura przeciekają informacje do prasy. Uważam, że ten, kto się włamał do mojego komputera, uzyskał dane o beżowym pasku z twojego artykułu.

– Dobry Boże.

Rozdział piętnasty

Marino rzucił poranną gazetę na stół konferencyjny z takim impetem, że strony zaszeleściły, a dodatki reklamowe wysunęły się ze środka.

– Co to ma znaczyć, u wszystkich diabłów? – Jego twarz była mocno zaczerwieniona z gniewu. – Jezu Chryste!

W odpowiedzi Wesley spokojnie kopnął krzesło pod stołem, wysuwając je dla Marino i gestem zaprosił go, by usiadł.

Na pierwszej stronie czwartkowej gazety wielkimi literami było napisane:

NOWE DOWODY W SPRAWIE DUSICIELA MOŻLIWE, ŻE
MORDERCA MA DEFECT GENETYCZNY

Artykuł podpisany był nazwiskiem dziennikarza, który zazwyczaj pisał sprawozdania z sądów. Nazwiska Abby nigdzie nie było widać.

Obok głównego artykułu zamieszczono niewielki fragmencik o testach DNA i procesie uzyskiwania danych genetycznych człowieka z podwójnych nici chromosomów. Rozmyślałam nad zachowaniem zabójcy; wyobraziłam go sobie czytającego ten artykuł, ciągle od nowa, z dziką wściekłością. Byłam gotowa się założyć, że gdziekolwiek by pracował, tego dnia wziął sobie wolne.

– Chcę wiedzieć, dlaczego nikt mnie o tym nie powiadomił? – Marino wpatrywał się we mnie z wściekłością. – Oddałem wam kombinezon, zrobiłem, co do mnie należało, a zaraz potem czytam to gówno! Jaki znowu

defekt genetyczny?! Dostaliście raport z Nowego Jorku i ktoś już zdążył przekazać informacje dziennikarzom? O co w tym wszystkim chodzi?

Nie odpowiedziałam.

– To nie ma znaczenia, Pete – odparł spokojnie Wesley. – Artykuł w gazetach to nie nasze zmartwienie. Uznaj go za błogosławieństwo. Wiemy, że morderca ma charakterystyczny zapach ciała, a w każdym razie wydaje się to wielce prawdopodobne. Uważa, że biuro koronera wpadło na jakiś ślad, jest więc wściekły, może popełni jakiś błąd. – Spojrzał na mnie. – Masz już coś?

Potrząsnęłam głową. Jak na razie nikt nie spróbował włamać się do komputera; gdyby Wesley albo Marino weszli do pokoju konferencyjnego dwadzieścia minut wcześniej, zastaliby mnie stojącą po kostki w wydrukach komputerowych.

Nic dziwnego, że Margaret niechętnie zgodziła się na wydrukowanie mi danych z tego starego pliku: zawierał ponad trzy tysiące spraw, które wydarzyły się w maju w całym stanie.

Co więcej, dane były skompresowane w format nie nadający się do czytania; odczytywanie ich przypominało szukanie kompletnych zdań w garnku alfabetycznego bigosu.

Ponad godzinę zajęło mi znalezienie numeru sprawy Brendy Steppe. Nie wiem, czy bardziej byłam podniecona, czy przerażona – może i jedno, i drugie – gdy w tabelce pod tytułem „ubrania, przedmioty osobiste” przeczytałam: „para jasnobezowych rajstop zadziergnięta wokół szyi”. Nigdzie nie mogłam znaleźć „beżowego paska z materiału”; żaden z moich pracowników nie przypominał sobie zmieniania danych w pliku ani dodawania danych po tym, jak sprawa już została wprowadzona do komputera. Ktoś zmienił dane w pliku zawierającym akta sprawy, lecz nie był to nikt z mojego biura.

– A co z tym upośledzeniem umysłowym? – Marino gwałtownie popchnął gazetę w moim kierunku. – Chcesz mi wmówić, że znalazłaś coś w tym całym hokus-pokus związanym z DNA, co sugerowałoby, że facet nie jedzie na wszystkich cylindrach?

– Nie – odparłam szczerze. – Uważam, że reporter, który napisał ten artykuł, miał na myśli, że niektóre dysfunkcje metaboliczne mogą powodować podobne uszkodzenia, nie mam jednak żadnych dowodów, by tak istotnie było w tym wypadku.

– No, cóż... ja na pewno nie uważam tego faceta za niedorozwiniętego! Znowu ktoś wciska nam ten kit! Świr jest głupi, taki mały półmózg... Pewnie pracuje w myjni samochodowej albo czyści ulice, albo jeździ śmieciarką...

Wesley zaczął się niecierpliwić.

– Daj temu spokój, Pete.

– Podobno jestem odpowiedzialny za to dochodzenie, a muszę czytać w gazetach, co się dzieje...

– Jak na razie mamy na głowie większe problemy, okay? – warknął Wesley.

– Taak? Na przykład jakie? – spytał Marino.

Opowiedzieliśmy mu o mojej rozmowie telefonicznej z siostrą Cecile Tyler. W miarę jak zaczął pojmować, o co chodzi, gniew zniknął z jego oczu, a na jego miejscu pojawiło się zdumienie.

Jedyną rzeczą, jaka łączyła pięć zamordowanych kobiet, był głos.

Przypomniałam mu rozmowę z Mattem Petersenem.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, powiedział coś o tym, gdy mówił o swoim pierwszym spotkaniu z Lori. Na przyjęciu. Wspomniał coś o jej głosie. Powiedział, że miała bardzo miły kontralt, taki, jakiego ludzie chętnie słuchają. Zaczynam rozważać możliwość, że cechą wspólną łączącą te

zabójstwa jest głos ofiar. Morderca nie zobaczył ich na mieście, lecz gdzieś usłyszał ich głos.

– Do tej pory nie przyszło nam do głowy – podjął wątek Wesley – że psychopata może reagować nie tylko na widok, ale i głos ofiary. Mógł go usłyszeć w sklepie, w centrum handlowym lub przez otwarte okno domu. Jeżeli założymy, że morderca dzwoni do swych ofiar, to robi to już po pierwszym kontakcie. Wykręca domowy numer ofiary i nie odzywa się, napawając się dźwiękiem jej głosu. To, co teraz rozważamy, jest znacznie bardziej przerażające, Pete. Zabójca może wykonywać jakąś pracę umożliwiającą mu dzwonienie do obcych kobiet. Ma dostęp do ich domowych numerów i adresów. Jeżeli coś w jej głosie go podnieca, wybiera ją na następną ofiarę.

– No, nie... – mruknął – Marino. – To nam dopiero pokomplikowało życie. Teraz musimy sprawdzić, czy numery telefonów wszystkich zamordowanych kobiet znajdowały się w książce telefonicznej. Później musimy zastanowić się nad możliwym miejscem pracy tego świra. Chodzi mi o to, że na przykład do mojej żony ciągle dzwonią obcy faceci. Jeden chce sprzedać super-odkurzacz, drugi mieszkanie, a trzeci wycieczkę za granicę. Są też ankieterzy, w typie „czy-mogę-pani-zadać-pięćdziesiąt-pytań?” Chcą wiedzieć, czy jesteś mężatką, czy mieszkasz sama, ile pieniędzy zarabiasz, czy nosisz spodnie w kratkę i czy jadasz na śniadanie płatki kukurydziane.

– Więc już rozumiesz, o co mi chodzi – odpowiedział cicho Wesley.

– Mamy do czynienia z facetem, którego podnieca gwałt i morderstwa – ciągnął Marino bez chwili przerwy. – Możliwe, że płacą mu osiem dolarów za godzinę siedzenia w domu na tyłku i przetrząsania książki telefonicznej. Jakaś babka mówi mu, że mieszka sama i zarabia dwadzieścia patyków

rocznie, a tydzień później przywożą ją do ciebie na stół. – Popatrzyl na mnie. – Więc pytam: jak mamy go znaleźć, do wszystkich diabłów?

Nie wiedzieliśmy.

Prawdopodobieństwo, że morderca typował ofiary po usłyszeniu ich głosu, wcale nie zawężało naszego pola działania. Marino miał rację. Mogliśmy ustalić, z kim ofiara widziała się tego a tego dnia; lecz nie było sposobu, byśmy mogli odszukać każdą osobę, z którą rozmawiała przez telefon. Sprzedawcy, ankieterzy lub ludzie, którzy przez pomyłkę wykręcili zły numer, najczęściej się nie przedstawiają. Wszyscy odbieramy mnóstwo telefonów w dzień i w nocy, lecz bardzo rzadko dokładnie pamiętamy każdy z nich.

– Czas, w jakim dokonywane są te morderstwa, skłania mnie do rozważania możliwości, że facet pracuje gdzieś poza domem, od poniedziałku do piątku. W ciągu tygodnia jego stres przybiera na sile, a gdy w piątek wieczorem wychodzi z pracy, musi się rozładować. Jeżeli wielokrotnie w ciągu dnia używa mydła, w którego skład wchodzi boraks, to raczej nie pochodzi ono z jego łazienki. O ile wiem, mydła kupowane w zwykłych drogeriach nie zawierają boraksu. Jeśli morderca myje się mydłem boraksowym, to musi to robić w pracy.

– Jesteś pewna, że to boraks? – zapytał Wesley.

– W laboratorium zidentyfikowali to dzięki chromatografii jonowej. Świecąca substancja, którą za każdym razem znajdowałam na ciałach ofiar, zawiera boraks. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Rozważał to przez długą chwilę.

– Jeżeli używa mydła z boraksem w pracy i wraca do domu po piątej, wątpię, by o pierwszej rano nadal miał na ciele tak wielkie zagęszczenie tego świństwa. Może pracuje na nocną zmianę? Tuż przed wyjściem do

domu myje się w łazience w pracy i od razu idzie do domu upatrzonej ofiary.

Ten scenariusz był bardziej niż prawdopodobny, wyjaśniłam. Jeżeli morderca pracował w nocy, dawało mu to sposobność obserwowania domów swych ofiar w ciągu dnia, gdy ani ich, ani sąsiadów nie było w pobliżu i nikt nie zwracał na niego uwagi. Potem, po północy, mógł znowu pojawić się w okolicy, gdy ofiary spały, podobnie jak większa część sąsiadów.

– Jakie prace na nocną zmianę wymagają korzystania z telefonu?

Rozważaliśmy różne możliwości.

– Ankieterzy i ludzie sprzedający produkty przez telefon dzwonią zazwyczaj w porze obiadu – powiedział Wesley. – Wydaje mi się, że nigdy nie telefonują po dziewiątej wieczorem.

Miał rację.

– Pracownicy pizzerii – zaproponował Marino. – Oni pracują całą dobę. Możliwe, że nasz świr to facet przyjmujący zamówienia telefoniczne. Kiedy do nich dzwonisz, po pierwsze pytają cię o numer telefonu. Jeżeli kiedykolwiek wcześniej zamawiałeś coś w tej restauracji, na ekranie komputera wyświetla się twój domowy adres. Pół godziny później do twoich drzwi puka jakiś łepok z podwójną pepperoni z serem. Może mordercą jest facet dowożący ludziom pizzę; szybko spostrzeże, że babka mieszka sama... Albo może gość przyjmujący zgłoszenia telefoniczne; podoba mu się jej głos, zna jej adres, uderza.

– Sprawdź to – polecił Wesley. – Skrzyknij kilku chłopaków, niech obkoczą wszystkie pizzerie, w których można zamawiać żarcie telefonicznie, a oni dowożą je do domu.

– Jutro jest piątek!

– Sprawdź, czy istnieje jakaś pizzeria, w której zaopatrywały się wszystkie ofiary. Powinny istnieć zapisy w ich komputerze.

Marino wyszedł na chwilę, po czym wrócił z książką telefoniczną, znalazł w niej strony z pizzeriami i zaczął spisywać ich telefony i adresy.

Cały czas staraliśmy się wymyślić jak najwięcej możliwych prac dla naszego zabójcy; operatorzy centrali telefonicznych w szpitalach przez całą dobę przyjmują telefony. Ludzie z organizacji charytatywnych, zbierający pieniądze na chwalebny cel, nie wahali się dzwonić do prywatnych mieszkań nawet po dziesiątej wieczorem, nie przejmując się tym, że przerywają człowiekowi ulubiony program telewizyjny. Zawsze istniała też możliwość, że ktoś gra w ruletkę za pomocą książki telefonicznej – strażnik nocny nie mający nic lepszego do roboty albo znudzony pracownik stacji benzynowej.

Byłam coraz bardziej zmęczona i zniechęcona. Nie mogłam logicznie myśleć, lecz cały czas coś mnie dręczyło.

Coś na dnie mego umysłu powtarzało mi, że zbyt komplikujemy sobie życie, coraz dalej i dalej odsuwając się od rzeczywistości.

Spojrzałam na wilgotną, mięsistą twarz Marino, jego oczy stale błędzące po pokoju. Był zmęczony i zestresowany... i nadal hołubił w sobie głęboko zakorzeniony gniew. Dlaczego był tak drażliwy? Co on też kiedyś powiedział na temat zachowania mordercy? Wspomniał coś, że nie lubi kobiet robiących karierę, gdyż jednocześnie stają się zbyt zarozumiałe.

Za każdym razem, gdy usiłowałam się do niego dodzwonić, znajdował się „w terenie”; był także obecny na każdym miejscu zbrodni.

W domu Petersenów był rozbudzony i czujny; czy w ogóle kładł się do łóżka tamtej nocy? Czy jego usiłowanie udowodnienia winy Matta Petersena nie było trochę zbyt nachalne?

Ale Marino jest już za stary na takie zabawy, powiedziałam sobie.

Większość swego czasu spędza w samochodzie i nie odpowiada na niczyje telefony, nie istniało więc żadne powiązanie między nim a zmarłymi kobietami.

A co najważniejsze, Marino nie wydziela żadnego specyficznego zapachu; poza tym gdyby kombinezon znaleziony w śmietniku faktycznie należał do niego, przecież nie oddałby mi go do analizy!

Chyba że – pomyślałam – wywraca system do góry nogami i gra przeciwko sobie, bo i tak wie wszystko. W końcu jest ekspertem od tego typu spraw, dowodzi śledztwem i ma dostatecznie dużo doświadczenia, by grać rolę zarówno zbawiciela, jak i szatana.

Chyba od samego początku bałam się, że mordercą może być gliniarz.

Marino nie pasował do portretu psychologicznego, ale zabójcą mógł być ktoś od dawna pracujący w policji, kupujący granatowe kombinezony w sklepach po całym mieście, myjący ręce mydłem borawash w toalecie w którymś z komisariatów; mógł to być ktoś, kto dostatecznie dużo wiedział o medycynie sądowej i dochodzeniach kryminalnych, by oszukać swych braci i mnie. Policjant, który zszedł na psy. Albo ktoś, kogo pociąga praca w wymiarze sprawiedliwości – wielu psychopatów marzy o tym, by zostać policjantami.

Sprawdziliśmy wszystkich funkcjonariuszy, którzy odpowiadali na wezwania na miejsce zbrodni; nigdy wcześniej nie przyszło nam do głowy sprawdzić mundurowych policjantów, którzy przyjmowali zgłoszenia od zamordowanych kobiet.

Może jakiś gliniarz – po godzinach lub w czasie zmiany – kartkował książkę telefoniczną; może jego pierwszym kontaktem z ofiarami był ich głos? Mordował je i dopilnowywał, by być w pobliżu, gdy centrala donosiła o popełnionym przestępstwie.

– Naszym atutem nadal jest Matt Petersen – odezwał się Wesley patrząc na Marino. – Jest jeszcze w mieście?

– Taak. Jak ostatnio słyszałem, tak. – Lepiej będzie, jeżeli do niego pojedziesz i zapytasz, czy żona nie wspominała mu o kimś, kto do niej dzwonił, by coś sprzedać albo by powiedzieć, że wygrała jakiś konkurs, lub poprosić, by odpowiedziała na pytania z ankiety. Cokolwiek, co by dotyczyło telefonu.

Marino odepchnął krzesło do tyłu.

Stara asekurantka, nie przyznałam się, o czym przed chwilą myślałam, i nic nie wspomniałam o swoich podejrzeniach.

– Jak trudno będzie uzyskać wydruki i taśmy z zapisem wszystkich telefonów na policję dotyczących znalezionych ciał? – spytałam zamiast tego. – Chcę sprawdzić dokładny czas zgłoszeń i zobaczyć, o której godzinie policja przyjechała na miejsce, zwłaszcza w przypadku zabójstwa Lori Petersen. Czas śmierci może być dla nas bardzo przydatny w ustalaniu, kiedy morderca kończy pracę, zakładając, że pracuje nocami.

– Nie ma problemu – odparł Marino, najwyraźniej znajdujący się myślami zupełnie gdzie indziej. – Możesz pojechać ze mną. Wpadniemy do Petersena, a potem na centralę.

Nie zastaliśmy Matta Petersena w domu; Marino zostawił swą wizytówkę pod mosiężną kołatką u drzwi.

– Wątpię, by do mnie oddzwonił – mruknął pod nosem, gdy wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy w dalszą drogę.

– Dlaczego nie?

– Kiedy pojechałem do niego kilka dni temu z tym kombinezonem, nie zaprosił mnie do mieszkania. Stał na progu niczym jakaś barykada. Był na tyle uprzejmy, że powąchał kombinezon, zanim powiedział mi, że mam spadać. Praktycznie zatrzasnął mi drzwi przed nosem; dodał jeszcze, żebym

na przyszłość kontaktował się z jego adwokatem. Powiedział, że wykrywacz kłamstw oczyścił go z zarzutów i mam go więcej nie nękać.

– Bo pewnie go nękałeś – skomentowałam sucho.

Marino spojrzał na mnie i nieomal się uśmiechnął.

Opuściliśmy West End i pojechaliśmy z powrotem do śródmieścia.

– Powiedziałaś, że jakiś tam jonowy test wykazał obecność boraksu. – Zmienił temat. – Czy to oznacza, że w szminkach Petersena nie znalazłaś nic ciekawego?

– Ani odrobiny boraksu – odparłam. – Jakieś świństwo o nazwie „sun blush” reagowało na laser, ale nie zawiera boraksu. Z badań wynika, że odciski, które Matt Petersen zostawił na ciele żony, to właśnie „sun blush” z jego rąk.

– A co ze świecą substancją na rękojeści noża?

– Jej ilość była tak śladowa, że nie dało rady poddać jej badaniom. Ale nie sądzę, by był to „sun blush”.

– Niby dlaczego nie?

– Bo to nie jest proszek ani granulaty. To podkład w kremie... pamiętasz taki duży biały słoik z ciemnoróżowym kremem, który przyniosłeś mi do analizy? – Skinął głową. – To właśnie był „sun blush”. Czymkolwiek byłoby to świństwo, które świeci pod laserem, nie gromadzi się na wszystkich możliwych powierzchniach tak jak boraks. Podkład kosmetyczny raczej przywrze do opuszków palców i przeniesie się na inne powierzchnie w postaci smug.

– Tak jak na obojczyku Lori?

– Tak. I na karcie z odciskami palców Petersena; tylko na tych powierzchniach, do których przycisnął palce. Nigdzie na karcie nie było porzucanych lśniących gwiazdeczek, tylko dokoła odcisków tuszu.

Gwiazdki na rękojeści noża myśliwskiego nie były tak zbite; znajdowały się w luźnych skupiskach, zupełnie tak jak na ciałach ofiar.

– Chcesz mi powiedzieć, że gdyby Petersen miał ten „sun blush” na rękach i dotknął noża, na rękojeści zostałyby lśniące smugi, a nie małe gwiazdki tu i tam.

– Dokładnie to mówię.

– No, cóż... a co z tym świecącym draństwem, które znalazłaś na ciałach, więzach i tym podobnych?

– Na nadgarstkach Lori było wystarczająco dużo tej substancji, by poddać ją testom; wyszło, że to boraks.

Marino spojrział na mnie.

– Więc to były jednak dwa rodzaje błyszczącego świństwa, co?

– Tak.

– Hmm.

Jak większa część miasta i budynków rządowych w Richmond, kwatera główna policji zbudowana jest z płyt betonowych, właściwie niczym nie różniących się od betonu na chodnikach. Jediną jasną iskierką tej ponuro szarej budowli jest kolorowa amerykańska flaga powiewająca na dachu. Marino objechał budynek dokoła i zaparkował na tyłach, pomiędzy innymi nieoznakowanymi policyjnymi samochodami.

Weszliśmy do środka i przeszliśmy korytarzem obok osłoniętego kuloodpornymi szybami biurka informacji; policjant w ciemnogramowym mundurze uśmiechnął się do Marino, a mnie pozdrowił uprzejmie „Witam panią doktor”. Zerknęłam w dół i z ulgą zobaczyłam, iż mam na sobie kostium i nie zapomniałam zdjąć fartucha laboratoryjnego. Byłam tak przyzwyczajona do noszenia go, że czasem zapomniałam go zostawić w biurze; gdy przypadkowo znalazłam się w nim na ulicy, czułam się tak, jakbym wyszła z domu w pidżamie.

Minęliśmy korkową tablicę, na której wisiało mnóstwo portretów podpalaczy, kieszonkowców i różnego rodzaju innych paskudnych typów; przyczepione pineskami znajdowały się tu także policyjne zdjęcia złodziei, gwałcicieli i morderców. Niektórzy z nich uśmiechali się do kamery! Te typy spod ciemnej gwiazdy tworzyły miejską galerię sław.

Poszłam za Marino w dół mrocznych schodów; jedynym dźwiękiem, jaki słyszeliśmy, było przytłumione echo naszych kroków. Zatrzymaliśmy się przed jakimiś nieoznakowanymi drzwiami; Marino zajrzał do środka przez niewielkie okienko i pomachał komuś przez szybkę.

Elektroniczny zamek otworzył drzwi i weszliśmy.

Był to pokój radiowy, maleńkie pomieszczenie wypełnione komputerami połączonymi z telefonicznymi konsolami; po drugiej stronie szklanej tafli znajdowało się następne pomieszczenie, gdzie siedzieli policjanci rozdzielający zgłoszenia wozom patrolowym aktualnie przebywającym na mieście. Operatorzy obsługujący telefony alarmowe – 911 – przyglądali się nam z zainteresowaniem. Niektórzy pochłonięci byli telefonami, które właśnie przyjmowali, inni siedzieli ze słuchawkami zawieszonymi na szyi, spokojnie paląc papierosy i rozmawiając.

Marino zaprowadził mnie do rogu, gdzie stały rzędy półek zapchanych pudełkami z taśmami. Każde pudełko oznakowane było według daty. Stukając palcem we wszystkie po kolei, Marino wyciągnął pięć pudełek, każde zawierało taśmę z nagraniami rozmów telefonicznych prowadzonych przez tydzień.

- Wesołych świąt – powiedział, podając mi je.
- Co takiego? – Popatrzyłam na niego, jakby zupełnie oszalał.
- Hej! – Wyciągnął papierosy. – Ja mam do obskoczenia wszystkie pizzerie w mieście. Tam w kącie stoi maszyna do odtwarzania tych taśm. – Wskazał placem na pokój dystrybutorów za szklaną taflą. – Albo

przesłuchaj je tutaj, albo weź je do swego biura. Na twoim miejscu zabrałbym się z tym majdanem jak najdalej od tego domu wariatów, ale ode mnie nic nie usłyszałaś, okay? Nie ja ci to powiedziałem. Te taśmy nie powinny opuszczać tego pokoju. Po prostu, gdy już skończysz, oddaj mi je do ręki.

Zaczynała mnie boleć głowa.

Potem Marino zaprowadził mnie do jeszcze mniejszego pomieszczenia, w którym pracowała drukarka laserowa, wypluwając na podłogę sterty papieru.

– Zanim wyjechaliśmy z twojego biura, zadzwoniłem do chłopców i kazałem im wydrukować wszystko, co mają w komputerach z ostatnich dwóch miesięcy – wyjaśnił lakonicznie.

Dobry Boże.

– Adresy i wszystko inne znajdziesz tutaj. – Patrzył na mnie bez zmrużenia tymi nieprzyjaznymi brązowymi oczyma. – Będziesz musiała zerknąć na adresy, żeby zorientować się, czego dotyczy poszczególne wezwania. Bez adresów zginiesz. Nie rozróżnisz poszczególnych telefonów.

– A nie możemy po prostu wyciągnąć potrzebnych nam danych z komputera i wydrukować, bez tego wszystkiego? – spytałam z rozpaczą, patrząc na cały czas rosnącą stertę wydruków.

– Czy znasz się na obsłudze mainframe'ów^[6]

– Oczywiście, że nie.

Marino rozejrzał się dokoła i rzekł konspiracyjnym szeptem:

– Nikt w tej dziurze nie ma o nich pojęcia; na górze mamy tylko jednego gościa od komputerów. Tak się akurat składa, że w tej chwili ma wakacje. Jedynym sposobem na ściągnięcie tu eksperta jest totalne załamanie systemu. Wtedy departament ściągnie fachowca i straci siedemdziesiąt

dolarów na godzinę; nawet jeżeli moi szefowie chcieliby współpracować, te dupki zawsze się ociągają i mielibyśmy specja od komputerów na jutro, poniedziałek albo w ogóle pod koniec przyszłego tygodnia, i to też, jeżeli masz szczęście, doktoru. Prawda wygląda w ten sposób, że mieliśmy cholerne szczęście, iż znalazłem w tej budzie kogoś, kto potrafił włączyć drukarkę.

Przez następne pół godziny staliśmy w tym pokoju; wreszcie drukarka przestała pracować i Marino oderwał wydruk. Sterta papieru na podłodze miała blisko trzy stopy wysokości. Marino wsadził ją do pudełka po papierze do drukarki, które gdzieś znalazł i podniósł wszystko z cichym jękiem.

Kiedy wychodziliśmy już na korytarz, odwrócił się do przystojnego czarnego oficera łącznościowego.

- Jeżeli zobaczysz Corcka, przekażesz mu coś ode mnie? – spytał.
- Strzelaj – odparł tamten z szerokim ziewnięciem.
- Powiedz mu, żeby nie jeździł swoją bryką jak osiemnastokołową ciężarówką, i że życie to nie „Mistrz kierownicy ucieka”.

Czarny policjant roześmiał się głośno; w tej chwili do złudzenia przypominał Eddiego Murphy’ego.

Przez następne półtora dnia nawet się nie ubierałam; siedziałam w domu, mając na sobie zwykły dres i słuchawki na uszach.

Bertha zachowała się jak anioł i zabrała Lucy na całodzienny spacer.

Nie chciałam pojechać do biura w mieście, gdzie z całą pewnością ktoś ciągle by mi przerywał. Toczyłam wyścig z czasem, modląc się, bym coś znalazła, zanim piątek zacznie przechodzić w sobotę i nastaną pierwsze poranne godziny weekendu. Byłam przekonana, że w tym tygodniu morderca znowu uderzy.

Dwukrotnie kontaktowałam się z Rose; powiedziała, że sekretarka Amburgeya usiłowała się ze mną skontaktować aż cztery razy, odkąd wczoraj po południu wyszłam z biura w towarzystwie Marino. Komisarz domagał się, bym natychmiast do niego przyszła; żądał, bym wytłumaczyła mu wczorajszy artykuł w gazecie i wyjaśniła, jak doszło „do tego ostatniego i najbardziej oburzającego przecieku”. Żądał ode mnie raportu DNA; był tak wściekły, że osobiście zadzwonił do Rose i zaczął jej grozić, nieświadom faktu, że moja Różyczka ma całe mnóstwo kolców.

– I co mu odpowiedziałas? – spytałam w bezbrzeżnym zdumieniu.

– Że zostawię ci wiadomość na biurku. Kiedy zagroził, że wywali mnie z roboty, jeżeli natychmiast go z tobą nie połączę, odparłam, że nie ma sprawy. Jeszcze nigdy w życiu nie zaskarżyłam pracodawcy do sądu, ale co tam...

– Nie powiedziałaś tego...

– Oczywiście, że powiedziałam. Gdyby palant miał drugi mózg, może by zrozumiał, ale tak...

Od wczoraj miałam na stałe włączoną automatyczną sekretarkę i nie przyjmowałam żadnych telefonów. Gdyby Amburgey usiłował dodzwonić się do mnie do domu, nadziałby się na moje mechaniczne ucho.

Taśmy były istnym koszmarem – każda zawierała telefony z całej doby. Na szczęście żadna nie była aż tak długa, gdyż zdarzały się na przykład dwa lub trzy kilkuminutowe telefony na godzinę. Wszystko zależało od tego, jak pracowity dzień mieli policjanci przyjmujący zgłoszenia 911. Moim największym problemem było odnalezienie dokładnego czasu, kiedy zgłoszono morderstwo; gdybym się zniecierpliwiła, mogłabym przewinąć taśmę za daleko, przegapić to, co ważne, i wracać do samego początku. To było okropne.

I przygnębiające jak wszyscy diabli. Telefony pod numer 911 wykonywali wszyscy: od umyślowo niedostosowanych czubków, których ciała zostały zagarnięte przez kosmitów, przez pijanych osobników, którzy sami nie wiedzieli, czego chcą, po biednych ludzi, których bliscy właśnie zmarli na zawał czy wylew. Zgłaszano mnóstwo wypadków samochodowych, włamań, szczekających psów, zbyt głośno puszczonej magnetofonów i urągających sąsiadów.

Szybko przewijałam taśmę za taśmą. Jak na razie udało mi się znaleźć trzy telefony: zgłoszenia śmierci Brendy, Henny i, dopiero co, Lori.

Przewijałam taśmę do tyłu, dopóki nie znalazłam telefonu Lori, który tak bezmyślnie został odrzucony przez operatora. Lori wykręciła 911 dokładnie o 0:49 w nocy, w sobotę, siódmego czerwca; na taśmie zapisany był tylko spokojny głos policjanta przyjmującego zgłoszenie i długi sygnał.

Złożyłam z powrotem papier wydruku komputerowego, starając się znaleźć odpowiedni fragment. Gdy na ekranie policyjnego komputera pojawiło się nazwisko Lori, obok niego widniał adres domu zarejestrowanego na nazwisko L.A. Petersen. Nadając zgłoszeniu czwarty priorytet, policjant przy telefonie przekazał zgłoszenie dystrybutorowi siedzącemu za szklaną ścianą; trzydzieści dziewięć minut później wóz patrolowy numer 211 otrzymał polecenie sprawdzenia domu L.A. Petersen. Sześć minut po tym przejechał koło posiadłości, a następnie odjechał wezwany do kłótni rodzinnej.

Adres Petersenów pojawił się ponownie na ekranie komputera dokładnie sześćdziesiąt osiem minut po tym, jak pierwsze wezwanie pomocy zostało zignorowane. O 1:57 Matt Petersen znalazł ciało swej żony; gdyby tylko nie miał tamtego wieczora próby kostiumowej, pomyślałam. Gdyby tylko wrócił do domu godzinę, półtorej wcześniej...

Włączyłam taśmę.

– 911, słucham.

Dyszenie.

– Moja żona! – Głos przepełniony paniką. – Ktoś zabił moją żonę! Proszę, pospieszcie się! – Krzyk. – Och, Boże! Ktoś ją zamordował! Błagam, pospieszcie się!

Ten przepełniony histerią głos dosłownie mnie sparaliżował; Petersen nie potrafił sklecić poprawnego zdania, gdy oficer dyżurny pytał, czy ma w komputerze dobry adres.

Zatrzymałam taśmę i przeliczyłam szybko w pamięci; Petersen pojawił się w domu dwadzieścia dziewięć minut po tym, jak pierwszy wóz patrolowy odpowiedział na wezwanie, a policjant z patrolu zaświecił latarką w okna i powiedział centrali, że wszystko jest w porządku. Odrzucone zgłoszenie nadeszło o 0:49, a policja przyjechała do domu Petersenów o 1:34.

Gdzieś zginęło czterdzieści pięć minut; morderca nie mógł z nią być dłużej niż te trzy kwadranse.

Ale o 1:34 już go nie było. Światło w sypialni było zgaszone. Gdyby nadal przebywał w tym pokoju, lampy musiałyby być włączone. Tego jednego jestem pewna. Wątpię, by aż tak dobrze widział w ciemności, żeby bez zapalania światła odciąć kable od lamp i związać nimi ofiarę.

Poza tym był sadystą; na pewno chciał, by ofiara widziała jego twarz, tym bardziej jeżeli nosił maskę. Chciał, żeby ofiara widziała każdy jego ruch... żeby z drzeniem czekała na każdą następną niewyobrażalną rzecz, jaką planował jej zrobić...

Kiedy było już po wszystkim, spokojnie wyłączył światło i wyszedł przez okno w łazience, prawdopodobnie na kilka minut przed tym, jak wóz patrolowy przejechał ulicą, i niecałe pół godziny przed powrotem Matta

Petersena. Dziwaczny zapach jego ciała wisiał jeszcze w powietrzu, niczym smród dobywający się z kosza na śmiecie.

Jak na razie nie znalazłam ani jednego wozu patrolowego, który odpowiedziałby na zgłoszenia do wszystkich spraw; zawód i zmęczenie zaczęły dawać o sobie znać.

Zrobiłam sobie przerwę, gdy usłyszałam chrobot klucza we frontowych drzwiach. Bertha i Lucy wróciły zmęczone i szczęśliwe, opowiedziały mi dokładnie, co robiły podczas tego długiego dnia, a ja robiłam, co w mej mocy, by uśmiechać się i wyglądać na zadowoloną.

– Brzuch mnie boli – jęknęła Lucy.

– I nic dziwnego – odparła Bertha. – Mówiłam ci, żebyś nie jadła tych wszystkich śmieci. Wata cukrowa, prażona kukurydza... – Potrząsnęła głową.

Przyrządziłam Lucy rosół z kurczaka i położyłam ją do łóżka.

Wróciłam do gabinetu i niechętnie nałożyłam z powrotem słuchawki.

Straciłam poczucie czasu.

– 911, słucham.

– 911, słucham.

W kółko i w kółko od nowa.

Kilka minut po dziesiątej byłam tak wykończona, że ledwie mogłam myśleć. Przewinęłam znowu taśmę, usiłując znaleźć zgłoszenie o odnalezieniu ciała Patty Lewis. Wsłuchując się w nagranie, zerknęłam na wydruk z komputera, który leżał przede mną.

To, co zobaczyłam, zupełnie nie miało sensu.

W połowie strony, przy dacie dwunastego maja i godzinie 21:23 widniało nazwisko Cecile Tyler.

To chyba jakaś pomyłka.

Cecile zamordowano dopiero trzydziestego pierwszego maja.

Jej adres powinien znajdować się o wiele dalej na wydruku, a rozmowa nie powinna w ogóle być zarejestrowana na tej taśmie!

Przewinęłam do przodu, zatrzymując się co kilka sekund. Znalezienie odpowiedniego fragmentu zajęło mi dwadzieścia minut. Odtworzyłam go aż trzy razy, usiłując zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

O dokładnie 23:23 męski głos powiedział:

– 911, słucham.

Łagodny, kobiecy, kulturalny głos odpowiedział po chwili ciszy:

– Ojej! Strasznie przepraszam.

– Czy coś się stało, proszę pani?

Zażenowany śmiech.

– Chciałam dodzwonić się do informacji. – Znowu śmiech. – Zdaje się, że nacisnęłam dziewiątkę zamiast czwórki.

– Hej! Nie ma problemu. Dobrze choć czasem słyszeć, że nic się nie stało. – A po chwili: – Życzę pani miłego dnia.

Cisza. Kliknięcie odkładanej słuchawki.

Na komputerowym wydruku, pod nazwiskiem Cecile Tyler, widniał adres zamordowanej Murzynki.

I nagle wszystko zrozumiałam.

– Jezu! Słodki Jezu... – wymamrotałam, czując, że robi mi się niedobrze.

Brenda Steppe zadzwoniła na policję, gdy przydarzył się jej niegroźny wypadek samochodowy; wedle słów męża, Lori Petersen dzwoniła na policję, gdy usłyszała jakiś hałas za domem, który okazał się spowodowany przez kota buszującego w śmieciach. Abby Turnbull zadzwoniła na policję, gdy zauważyła śledzącego ją mężczyznę w czarnym cougarze; Cecile Tyler zadzwoniła na policję przez pomyłkę – pomyliły się przyciski na telefonie.

Wystukała 911 zamiast 411.

Pomyłka!

Cztery kobiety na pięć! Wszystkie dzwoniły z domów... a ich adresy automatycznie pojawiały się na ekranie komputera. Jeżeli zarejestrowane były na ich nazwisko, policjant przyjmujący zgłoszenie wiedział, że prawdopodobnie mieszkają same.

Pobiegłam do kuchni. Nie wiem dlaczego: przecież w moim gabinecie także stał aparat.

Gwałtownie wystukałam numer do wydziału zabójstw.

Marino był nieobecny.

– Potrzebuję jego numer domowy.

– Przykro mi, proszę pani, ale nie wolno nam udzielać żadnych prywatnych informacji.

– Do ciężkiej cholery! Mówi doktor Scarpetta, naczelny koroner stanu Wirginia! Dajcie mi jego pieprzony domowy telefon! – nie wytrzymałam.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem policjant, który przyjął telefon, zaczął mnie gwałtownie przeproszać. Na koniec podał mi domowy numer Marino.

Wykręciłam go pospiesznie.

– Dzięki Bogu – sapnęłam, gdy usłyszałam jego głos w słuchawce.

– Nie kitujesz? – spytał, gdy pospiesznie wytłumaczyłam, czemu dzwonię. – Jasne, że to sprawdzę, doktorku.

– Nie sądzisz, że lepiej by było, gdybyś natychmiast pojechał do centrali i sprawdził, czy tego drania tam nie ma? – nieomal wrzasnęłam.

– Co ten facet mówił? Rozpoznałaś jego głos?

– Oczywiście, że nie!

– Co, dokładnie, powiedział do Cecile Tyler?

– Zaraz ci puszczę. – Pobiegłam do gabinetu i podniosłam słuchawkę telefonu stojącego na biurku. Przewinęłam taśmę, wyciągnęłam wtyczkę od słuchawek i dałam maksymalną głośność.

– Poznajesz ten głos? – spytałam po chwili. Marino nie odpowiedział. – Jesteś tam jeszcze? – zawołałam.

– Hej! Wyluzuj się, doktorku. To był ciężki dzień, okay? Zostaw sprawy w moich rękach, a obiecuję, że się wszystkim zajmę.

Odłożył słuchawkę.

Siedziałam, wpatrując się w telefon; nie poruszyłam się, dopóki głośny długi sygnał się nie urwał i mechaniczny głos nie odezwał się jękliwie:

– Jeżeli chcesz zadzwonić, to odwieś słuchawkę i spróbuj jeszcze raz...

Sprawdziłam, czy frontowe drzwi są zamknięte na klucz, a system alarmowy włączony, i wróciłam na górę. Moja sypialnia znajdowała się na końcu korytarza, a jej okna wychodziły na las za domem. W ciemności za szybami błyskały ogniki robaczków świętojańskich; nerwowo zaciągnęłam żaluzje.

Bertha miała takie irracjonalne przekonanie, że słońce powinno wpadać do pokoju bez względu na to, czy ktoś w nim siedzi, czy nie.

– To zabija zarazki, doktor Kay – mawiała.

– Taak i jednocześnie sprawia, że dywany i obicia mebli blakną – odpowiadałam.

Jednak Bertha miała zwyczaj stawiać na swoim; strasznie nie lubiłam wchodzić do pokoju po zmroku i widzieć odsłonięte żaluzje. Zamykałam je przed zapaleniem światła, by nikt z zewnątrz nie mógł mnie zobaczyć. Jednak dziś wieczorem zapomniałam. Nie zdjęłam także dresu, pomyślałam, że doskonale posłuży mi jako pidżama.

Weszłam na stołeczek, który trzymam w szafie, i z górnej półki wyciągnęłam tekturowe pudełko na buty. Zdjęłam pokrywkę i wsadziłam rewolwer pod poduszkę.

Śmiertelnie się bałam, że telefon zadzwoni w środku nocy i zostanę wezwana na miejsce zbrodni; wtedy będę musiała potrząsnąć mocno

Marino i wrzasnąć mu w twarz: „A nie mówiłam?! Ty głupi sukinsynu! A nie mówiłam?!”

Tak, przy okazji, ciekawe, co on w tej chwili robi? Wyłączyłam lampę i naciągnęłam kołdrę pod brodę. Pewnie pije piwo i ogląda telewizję.

Usiadłam i z powrotem włączyłam lampę. Telefon na stoliku przy łóżku drażnił mnie; nie miałam już do kogo zadzwonić. Gdybym powiadomiła Wesleya o moich podejrzeniach, on natychmiast zadzwoniłby do Marino. Gdybym połączyła się z wydziałem zabójstw, to każdy, kto odebrałby mój telefon – i potraktował go poważnie – przekazałby wiadomość także jemu.

Marino. To on prowadził to dochodzenie. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

Wyłączyłam znowu lampkę i wpatrywałam się w ciemność.

„911, słucham”.

„911, słucham”.

Cały czas słyszałam ten głos; przewracałam się na łóżku, nie mogąc zasnąć.

Było już po północy, gdy zesłam na dół i znalazłam w barku butelkę koniaku. Lucy nie poruszyła się nawet; odkąd położyłam ją do łóżka, spała jak zabita. Jakże ja bym tak chciała! Przełknęłam dwa łyki koniaku niczym lekarstwo, wróciłam do sypialni i znowu zgasiałam światło. Słyszałam cykanie zegarka przy łóżku.

Cyk.

Cyk.

Na wpół drzemiąc, na wpół rozmyślając o wydarzeniach dnia, przewracałam się z boku na bok.

„...co dokładnie powiedziała Cecile Tyler?”

Klik. Taśma znowu się włączyła.

„Ojej! Strasznie przepraszam. – Zażenowany śmiech. – Chyba wcisnęłam dziewiątkę zamiast czwórki...”

„...Hej! Nie ma problemu... Życzę miłego dnia...”

Klik.

„...wcisnęłam dziewiątkę zamiast czwórki...”

„911, słucham...”

„Hej!...to przystojny facet. Nie musi wsypywać kobiecie narkotyku do drinka, żeby się z nią zabawić...”

„To szuja!”

„...bo wyjechał z miasta, Lucy. Pan Boltz pojechał na wakacje...”

„Och! – Oczy wypełnione bezgranicznym smutkiem. – Kiedy wróci?”

„Dopiero w lipcu...”

„Ojej. Dlaczego nie możemy do niego dołączyć, ciociu Kay? Czy pan Boltz pojechał na plażę?”

„...nigdy nie mówisz prawdy o naszym związku. – Jego twarz ukryta za welonem dymu i rozgrzanego powietrza i jasne włosy lśniące w promieniach słońca”.

„911, słucham”.

Byłam w domu mojej matki, która coś do mnie mówiła.

Na niebie krążył ogromny ptak, a ja jechałam vanem z kimś, kogo nie znałam ani nie widziałam. Wysokie palmy mijały nas w pędzie. Na mokradłach stały długoszyje białe czaple; obracały głowy, spoglądając na nas. Na mnie.

Odwróciłam się na plecy, szukając wygodniejszej pozycji.

Mój ojciec siedział na łóżku i obserwował mnie, gdy opowiadałam, jak minął mi dzień w szkole. Jego twarz miała kolor popiołu. Nie mrugał powiekami, a ja nie słyszałam wypowiedzianych przez siebie słów. Nie

odpowiadał mi, lecz tylko wpatrywał się we mnie nieruchomym wzrokiem. Strach przeszył mi serce; jego twarz była blada, a oczy puste, nieruchome.

Nie żył.

– Tatoooo!!!

Nozdrza wypełnił mi słodkawy zapach zgnilizny, gdy wtuliłam twarz w jego pierś...

Coś nagle we mnie zaskoczyło.

Ocknęłam się powoli, niczym bańka powietrza wypływająca z głębin. Wiedziałam, że coś jest nie tak. Czułam, że serce wali mi jak oszalałe.

Ten zapach.

Czy istniał naprawdę, czy tylko mi się przyśnił?

Ten zgniły, słodkawy zapach! Czy istniał naprawdę?

Poczułam ogarniające mnie przerażenie; serce tłukło mi się w piersi.

Coś poruszyło się w śmierdzącym powietrzu i otarło o łóżko.

Rozdział szesnasty

Odległość między moją prawą dłonią a rewolwerem ukrytym pod poduszką wynosiła nie więcej niż dwanaście cali.

A jednak był to największy dystans, jaki mi przyszło w życiu pokonać. Był niekończący się; niemożliwy. Nie myślałam o niczym innym, tylko o odległości między ręką a bronią, podczas gdy serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe. Krew huczała mi w uszach. Każdy najmniejszy mięsień w moim ciele napiął się pod wpływem stresu i panicznego strachu. Wewnątrz sypialni było czarno.

Powoli skinęłam głową, czując, jak jego dłoń rozgniata mi wargi o zęby. Kiwnęłam głową, by zapewnić go, że nie wrzasnę.

Nóż, który przyciskał mi do gardła, był ogromny niczym maczeta. Łóżko przechyliło się na prawą stronę i na chwilę oślepiłam; gdy oczy przyzwyczyły mi się do światła, spojrzałam na niego i ledwie powstrzymałam krzyk.

Nie mogłam się poruszyć ani oddychać. Czułam ostrą niczym brzytwa, lodowatą krawędź noża przyciśniętą do szyi.

Jego twarz była biała, a rysy rozmazane i rozpląszczone pod maską z białej nylonowej pończochy. Z dziur wyciętych na oczy patrzyły na mnie ciemne, zwierzęce ślepie, ziejące nienawiścią. Pończocha wydymała się i wciągała w rytm jego oddechu. Twarz, nieludzka i straszliwa, znajdowała się zaledwie kilka cali od mojej.

– Piśniesz, a poderżnę ci gardło do ucha do ucha.

Myśli przebiegały mi przez głowę z zawrotną szybkością i w różnych kierunkach. Lucy. Usta mi zdrętwiały i poczułam w nich metaliczny,

słonawy smak krwi. Lucy, tylko się nie obudź. Umrę.

Nie. Nie rób tego. Nie chcesz tego zrobić. Nie musisz tego robić.

Jestem człowiekiem, jak twoja matka czy siostra. Nie chcesz mi tego zrobić. Jestem ludzką istotą, tak jak ty. Mogę ci powiedzieć bardzo wiele ciekawych rzeczy o tych sprawach. O tym, co wie policja. Chcesz wiedzieć, ile ja wiem.

Nie rób tego. Jestem człowiekiem. Ludzką istotą! Mogę z tobą porozmawiać. Musisz mi pozwolić z sobą porozmawiać!

Fragmenty zdań; niewypowiedziane, bezużyteczne. Tkwiłam w milczeniu. Proszę, nie dotykaj mnie. Och, Boże, tylko mnie nie dotykaj.

Musiałam jakoś przekonać go, by zdjął rękę z moich ust i pozwolił mi odezwać się do siebie.

Usiłowałam zmusić moje ciało do odprężenia się, zwiotczenia; poskutkowało. Rozluźniłam się nieco, a on to wyczuł.

Cofnął rękę z moich ust, a ja wolno przełknęłam ślinę.

Miał na sobie granatowy kombinezon. Pot zabrudził kołnierzyk, a pod pachami widniały ogromne półksiężyce. Dłoń trzymająca nóż na mojej szyi obleczona była w cieniutką chirurgiczną rękawiczkę. Czułam zapach gumy; czułam zapach, jaki on wydzielał.

Zobaczyłam kombinezon leżący na stole w laboratorium Betty i poczułam słodkawy smród zgnilizny, gdy Marino otworzył plastikową torbę.

„Czy to ten zapach, który pamięta Petersen?” – przypomniałam sobie własne słowa, niczym dialog ze starego filmu. Marino wycelował we mnie wskazujący palec i mrugnął radośnie: „Bingo!”

Oddychał chrapliwie.

– Proszę – szepnęłam, nie ruszając się ani na centymetr.

– Zamknij się!

– Mogę ci powiedzieć...

– Zamknij się! – Jego ręka znowu zacisnęła się na moich ustach. Jeszcze chwila i szczęka trzaśnie mi jak skorupka jajka!

Rozglądał się po pokoju; jego oczy zatrzymały się na chwilę na żaluzjach i zwisających przy nich sznurach. Wiedziałam, o czym myśli. Wiedziałam, co chce z nimi zrobić. Potem jego wzrok przeskoczył na kabel idący od lampy przy łóżku do ściany. Coś białego błysnęło w jego ręce; wyciągnął białą szmatkę z kieszeni i wepchnął mi ją do ust. Dopiero wtedy odsunął nóż od mego gardła.

Szyję miałam tak zeszywniałą, że ledwie mogłam ruszyć głową. Wargi mnie bolały; usiłowałam przepchnąć szmatę w ustach nieco do przodu, tak by on tego nie zauważył. Ślina ściekała mi do przetyku.

W domu panowała absolutna cisza. W uszach słyszałam dudnienie krwi. Lucy. Och, Boże, proszę.

Inne kobiety robiły to, co on im kazał; widziałam, jak skończyły... widziałam ich napuchnięte twarze i martwe oczy...

Usiłowałam przypomnieć sobie wszystko, co o nim wiedziałam, i uporządkować to w jakąś logiczną całość. Nóż nadal znajdował się kilka cali od mej twarzy, lśniąc złowroźnie w blasku lampy. Rzuć się do przodu i rozbij lampę.

Moje ręce i nogi były uwięzione pod kołdrą. Nie mogłam poruszyć się, kopnąć ani wierzgnać. Jeżeli lampa spadłaby na podłogę, pokój pogrążyłby się w ciemnościach.

Nie mogłabym nic zobaczyć, a on miał nóż.

Mogłabym go od tego odciągnąć, gdybym tylko była w stanie go przekonać; gdybym tylko była w stanie mówić.

Ich nabrzmiałe twarze, kable wpijające się w ich szyje.

Dwanaście cali, nie więcej. Był to najdłuższy dystans, jaki kiedykolwiek musiałam pokonać.

Nie miał pojęcia, że pod moją poduszką leży broń.

Był zdenerwowany, niepewny i chyba zdziwiony. Widziałam rumieniec na jego szyi, pot ściekający po ubraniu i gwałtowne unoszenie się klatki piersiowej z każdym wysiłonym oddechem.

Nie patrzył na moją poduszkę; rozglądał się po całym pokoju, lecz nie patrzył na poduszkę.

– Jeżeli drgniesz... – Lekko przycisnął ostry koniuszek noża do mego gardła.

Patrzyłam na niego rozszerzonymi oczyma.

– Spodoba ci się to, suko. – Miał zimny, niski głos; z piekła rodem. – Zaoszczędziłem cię na koniec. – Pończocha wydymała się coraz szybciej. – Chciałaś się dowiedzieć, jak to robię... zaraz ci pokażę. Powolutku.

Ten głos. Znajomy.

Moja prawa dłoń; gdzie jest ten rewolwer? Bardziej na prawo czy bardziej na lewo? A może dokładnie pośrodku poduszki? Nie mogłam sobie przypomnieć. Po prostu nie mogłam! Musiał jakoś dobrać się do kabli od lampy... nie mógł odciąć ich teraz, gdyż pokój pogrążyłby się w mroku. Musiał najpierw zapalić górne światło. Widziałam, że przygląda się włącznikowi obok drzwi.

Przesunęłam prawą dłoń o cal w stronę poduszki.

Spojrzał na mnie, a potem znowu na żaluzje.

Prawą rękę miałam zakrytą kołdrą nieomal po ramię.

Poczułam, jak krawędź materaca unosi się, gdy wstał z łóżka; plamy potu pod jego pachami robiły się coraz większe. Był już prawie całkiem mokry.

Spoglądał to na kontakt przy drzwiach, to na sznur od żaluzji i zdawało się, że nie potrafi się zdecydować.

Wszystko potem wydarzyło się strasznie szybko. Dotknęłam dłonią zimnego, znajomego kształtu, schwyciłam go mocno i zsunęłam się z łóżka na podłogę, pociągając za sobą kołdrę. Odciągnęłam kurek z głośnym kliknięciem; usiadłam wyprostowana, z kołdrą owiniętą dokoła bioder. Wszystko stało się jednocześnie.

Nie pamiętam, bym cokolwiek z tego zrobiła świadomie. Działalam instynktownie, jakby decyzję podjął ktoś inny. Położyłam palec na spuście; ręce trzęsły mi się tak bardzo, że lufa rewolweru podskakiwała w górę i w dół.

Nie pamiętam, kiedy wyjęłam knebel z ust.

Słyszałam tylko swój głos.

Wrzeszczałam na niego z dziką nienawiścią:

– Ty sukinsynu! Ty cholerny sukinsynu!

Broń podskakiwała w moich dłoniach, a ja krzyczałam, wyrzucając z siebie nienawiść i przerażenie; przeklinałam go tak okropnymi słowami, jakich jeszcze nigdy nie użyłam do nikogo. Krzyczałam, by zdjął maskę.

Zamarł pod drugiej stronie łóżka; zdawało mi się, że obserwuję tę sytuację gdzieś z daleka. Zauważyłam, że nóż w jego dłoni to tylko zwykły składany scyzoryk.

Wpatrywał się w rewolwer.

– Zdejmij maskę!

Jego ramię poruszyło się powoli i biały pasek materiału spłynął na podłogę...

Morderca obrócił się na pięcie...

Krzyczałam... a w tej chwili w pokoju rozległy się huk wystrzałów... szybko, jeden po drugim, a potem brzęk tłuczonego szkła... Nie

wiedziałam, co się dzieje.

To było szaleństwo. Szyba rozprysła się w drobny mak, nóż, padając na podłogę, błysnął w świetle lampy... morderca rąbnął o krawędź nocnego stolika i lecąc na ziemię, pociągnął za sobą lampę.

W pokoju zapanowała ciemność.

Chwilę potem od strony drzwi rozległo się pospieszne skrobanie po ścianie...

– Gdzie się zapala światło w tym przeklętym pokoju?

Zrobiłabym to.

Wiem, że bym to zrobiła.

Nigdy w życiu nie pragnęłam niczego równie mocno, jak pociągnąć za spust.

Chciałam przestrzelić mu serce na wylot i zostawić w nim dziurę wielkości księżyca.

Wałkowaliśmy to już po raz piąty. Marino sprzeczał się ze mną i uważał, że sprawy potoczyły się nieco inaczej, niż pamiętam.

– Hej! W chwili gdy zobaczyłem go wchodzącego do twojego domu przez okno, śledziłem go, doktorku. Nie mógł być w twojej sypialni dłużej niż trzydzieści sekund, zanim ja tam wpadłem. I wcale nie wyciągnęłaś broni. Usiłowałaś to zrobić, stoczyłaś się z łóżka, a wtedy wszedłem i zastrzeliłem skunksa.

Siedzieliśmy w moim biurze w mieście; był poniedziałek rano. Właściwie nie pamiętałam, co działo się przez ostatnie dwa dni. Czułam się tak, jakbym znajdowała się przez ten czas pod wodą albo na innej planecie.

Bez względu na to, co mówił Marino, święcie wierzyłam, że mierzyłam do mordercy z rewolweru, gdy on nagle stanął w drzwiach mej sypialni i władował w drania cztery kule ze swojego magnum 357. Nie sprawdziłam mu pulsu; nie usiłowałam zatamować krwawienia. Siedziałam na podłodze,

na zwiniętej kołdrze i trzymałam rewolwer na kolanach, podczas gdy łzy strumieniami ciekły mi po twarzy; dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że ruger nie był naładowany.

Kiedy tego wieczora poszłam do sypialni, byłam tak zdenerwowana i zmęczona, że zapomniałam go naładować. Kule nadal tkwiły w pudełku w szafie z ubraniami, gdzie je schowałam, by Lucy nie mogła ich znaleźć.

Morderca nie żył.

Był już martwy, gdy padł na dywan koło mego łóżka.

– Nie zdjął też maski – ciągnął Marino. – Pamięć płata dziwne figle, co? Sam ściągnąłem tę przekłętą pończochę z jego twarzy, gdy dołączyli do nas Snead i Riggy. A wtedy on już był martwy.

Był zaledwie chłopcem.

Chłopcem o twarzy pokrytej bliznami po trądziku i popielatoblond włosach; pod nosem miał cieniutki wąsik.

Nigdy nie zapomnę jego oczu; okna, przez które nie widać było duszy. Były tylko pustymi oknami otwartymi na ciemność, jak te, przez które wchodził do mieszkań swych ofiar, gdy ich głosy usłyszał przez telefon.

– Wydawało mi się, że coś powiedział – mruknęłam do Marino. – Wydawało mi się, że usłyszałam, jak coś mówi, padając na podłogę. – Po chwili wahania zapytałam: – Powiedział coś?

– O, tak.

– Co? – Drżącą ręką sięgnęłam do popielniczki i strzepnęłam popiół z papierosa.

Marino uśmiechnął się złośliwie.

– Te same ostatnie słowa, jakie zazwyczaj rejestrują czarne skrzynki samolotów, które uległy katastrofom. Te same ostatnie słowa, które wypowiada większość łajdaków. Powiedział: „O, cholera!”

Jedna kula przebiła aortę, druga płuca. Inna przeszła przez żołądek i utknęła w kręgosłupie. Czwarta przeszła na wylot przez miękkie ciało i strzaskała szybę w moim oknie.

Nie ja robiłam jego sekcję; raport podpisany przez jednego z moich podwładnych leżał już na moim biurku. Nie pamiętam, bym wzywała go do tej roboty, lecz musiałam to zrobić.

Nie czytałam gazet. Nie miałam na to sił. Wystarczyły mi nagłówki wczorajszego wieczornego wydania „Timesa”. Wpadły mi w oczy, gdy wrzucałam wszystkie gazety do śmieci chwilę po tym, jak wylądowały na moim trawniku.

DUSICIEL ZASTRZELONY PRZEZ DETEKTYWA W SYPIALNI DOKTOR KAY SCARPETTY KORONERA OKRĘGOWEGO STANU WIRGINIA

Pięknie. Ciekawe, co też sobie ludzie pomyślą; że kto był w mojej sypialni o drugiej nad ranem, Marino czy morderca?

Pięknie.

Zastrzelonym psychopatą okazał się oficer łącznościowy zatrudniony przez władze miasta jakiś rok temu. Oficerowie łącznościowi w Richmond nie są nawet policjantami; to cywile. Pracował na zmianie od szóstej po południu do północy. Nazywał się Roy McCorkle, czasem przyjmował zgłoszenia 911. Czasem pracował przy rozdzielaniu zgłoszeń wozom patrolowym i dlatego Marino rozpoznał jego głos na taśmie, którą odegrałam mu przez telefon. Co prawda wtedy się do tego nie przyznał, lecz rozpoznał ten głos.

McCorkle nie pracował w piątek wieczorem. Zadzwoił z domu, że jest chory. Nie pojawił się w pracy od czasu ukazania się artykułu napisanego przez Abby Turnbull. Jego koledzy z pracy nie mieli o nim sprecyzowanego

zdania, oprócz tego, że podobały im się jego żarty i sposób przekazywania wiadomości przez radio. Lubili drażnić się z nim na temat jego częstych wycieczek do toalety, czasem nawet kilkunastu w czasie dyżuru. Za każdym razem mył twarz, ręce i szyję. Pewnego razu jeden z jego kolegów zastał go w łazience praktycznie kąpiącego się w zlewie za pomocą małej gąbki.

W męskiej toalecie nieopodal pokoju radiowego wisiał na ścianie duży dystrybutor mydła borawash.

McCorkle był „fajnym facetem”, lecz nikt z współpracowników nie znał go za dobrze. Założyli, że po godzinach widywał się z kobietą, „odlotowo wyglądającą blondynką” o imieniu „Christie”. Tylko że żadna Christie nie istniała; jedyne kobiety, z jakimi widywał się po pracy, były jego ofiary. Żaden z jego kolegów nie mógł uwierzyć, że to właśnie McCorkle był Dusiciem siejącym postrach w mieście.

Doszliśmy do wniosku, że istniało prawdopodobieństwo, iż to on zamordował owe trzy kobiety w okolicy Bostonu wiele lat temu; wtedy jeździł ogromną ciężarówką, przewożąc towary z jednego krańca Stanów Zjednoczonych na drugi. Jednym ze stałych przystanków na jego trasie był właśnie Boston, gdzie dostarczał kurczaki do fabryki przetworów mięsnych. Jednak nie istniał żaden sposób, w jaki moglibyśmy to udowodnić; prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się, jak wiele kobiet zamordował w całym kraju. Możliwe, że dziesiątki; mógł zacząć jako podglądacz, potem przekształcić się w gwałciciela, aż wreszcie w mordercę. Nie miał żadnej przestępczej przeszłości. Największym udowodnionym mu przestępstwem było przekroczenie prędkości na autostradzie.

Miał zaledwie dwadzieścia siedem lat.

Według tego, co napisał w swym podaniu o pracę, gdy ubiegał się o posadę oficera łącznościowego w Departamencie Policji Richmond,

pracował w różnych zawodach: jako kierowca ciężarówki, dostawca cementu w Cleveland, listonosz i dostawca kwiatów dla kwiaciarni w Filadelfii.

Marino nie mógł go znaleźć w piątek wieczorem, ale też zbyt nie przyłożył się do poszukiwań. Od godziny 23:30 czaił się w mroku między drzewami na mojej posiadłości i obserwował; miał na sobie ciemnogrnatowy policyjny kombinezon, by wtapiać się w mroki nocy. Kiedy zobaczyłam go stojącego w otwartych drzwiach mojej sypialni z rewolwerem w dłoni, przez jedną zapierającą dech w piersi sekundę nie byłam pewna, który z nich jest policjantem, a który mordercą.

– Widzisz – wyjaśniał mi teraz – długo zastanawiałem się nad tym, co przydarzyło się Abby Turnbull; o tym, iż prawdopodobnie to ją drań chciał zamordować, a przez pomyłkę dobrał się do jej siostry. To mnie niepokoiło. Więc zadałem sobie pytanie, jaka jeszcze kobieta w tym mieście może przyciągać jego uwagę. – Popatrzył na mnie z zamyślonym wyrazem twarzy.

Kiedy pewnego wieczora Abby myślała, że ktoś ją śledzi w drodze powrotnej do domu, i zadzwoniła na policję, to McCorkle odebrał jej zgłoszenie. W ten sposób dowiedział się, gdzie Abby mieszka. Może już wtedy rozważał zamordowanie czołowej reporterki Richmond, a może nie przyszło mu to do głowy, dopóki nie odebrał jej telefonu. Nigdy się tego nie dowiemy.

Wiedzieliśmy natomiast, że wszystkie zamordowane kobiety w przeszłości dzwoniły pod numer 911. Patty Lewis zadzwoniła na policję mniej więcej dwa tygodnie przed tym, jak została zamordowana – we czwartek, o 20:23, tuż po burzy, by zgłosić podejrzaną zagęszczenie świateł samochodów na autostradzie jakąś milę od jej domu. Była dobrą obywatelką i nie chciała, by komukolwiek stała się krzywdą.

Cecile Tyler wcisnęła dziewiątkę zamiast czwórki na swoim telefonie i dodzwoniła się na policję przez przypadek.

Ja nigdy nie dzwoniłam pod 911.

Nie musiałam.

Mój adres i numer domowy znajdują się w każdej książce telefonicznej, bo koroner okręgowy ma być gotowy na każde wezwanie. Rozmawiałam także z kilkoma oficerami łącznościowymi przy różnych okazjach, kiedy na przestrzeni ostatnich tygodni usiłowałam porozumieć się z Marino. Jednym z nich mógł być McCorkle. Nigdy się tego nie dowiem; nie chcę tego wiedzieć.

– Twoje zdjęcia co jakiś czas pojawiały się w gazetach i telewizji – ciągnął Marino. – Pracowałeś nad jego ofiarami i pewnie zastanawiał się, ile wiesz na jego temat. Myślał o tobie, a mnie to bardzo niepokoiło. A potem jeszcze całe to gównio o jego metabolizmie i o tym, że znalazłaś jakiś dowód przeciwko niemu. – Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. – Wiedział, że ziemia zaczyna mu się palić pod nogami i cała sprawa zrobiła się dla niego trochę bardziej osobista. Wścibska pani doktor zaczęła podważać jego inteligencję, wątpić w jego męskość...

Te głuche telefony, które otrzymywałam późnymi wieczorami...

– I to go rozpałiło... Nie podobało mu się, że jakieś bezczelne babsko traktuje go jak idiotę. Więc pomyślał sobie: „Suka uważa, że jest ode mnie mądrzejsza. Już ja jej pokażę. Załatwię ją”.

Pod fartuchem miałam na sobie gruby sweter; oba zapięłam aż po szyję, a jednak nie mogłam się rozgrzać. Przez ostatnie dwie noce spałam w pokoju Lucy. Chciałam zmienić wystrój sypialni; rozważałam sprzedaż domu.

– Podejrzewam więc, że ten artykuł faktycznie rozzłościł sukinsyna. Benton twierdził, że to dobrze wpłynie na śledztwo... że facet będzie tak

wściekły, iż przestanie uważać na to, co robi. Pamiętasz, jaki byłem wtedy wkurzony? Chcesz wiedzieć dlaczego?

Skinęłam głową.

– Naprawdę chcesz znać powód mojej wściekłości?

Popatrzyłam mu w oczy; Marino był jak dziecko. Był z siebie szalenie dumny. Spodziewał się, że go pochwalę, że będę uszczęśliwiona, bo z odległości dziesięciu kroków zastrzelił człowieka uzbrojonego tylko w scyzoryk, po prostu skosił go wewnątrz mojej sypialni. Czyżby spodziewał się, że tamten rzuci nim w niego?

– No, cóż... po pierwsze, już wtedy dostałem cynk.

– Cynk? – spytałam. – Jaki znowu cynk?

– Złoty Chłopiec Boltz – odparł Marino bardzo spokojnie, strząsając popiół z papierosa. – Był na tyle wspaniałomyślny, że podzielił się ze mną czymś, na krótko przed tym, jak wyfrunął z miasta. Powiedział mi, że martwi się o ciebie.

– O mnie? – wypaliłam ze zdumieniem.

– Powiedział, że gdy pewnego dnia wpadł do ciebie późnym wieczorem, zauważył w okolicy dziwny samochód. Martwił się, że może ktoś cię śledzi, może zabójca...

– To była Abby! – wtrąciłam zaskoczona. – Przyjechała, by się ze mną zobaczyć, zadać mi kilka pytań, lecz gdy zobaczyła samochód Boltza, spanikowała i odjechała...

Przez moment Marino miał zdumioną minę, a potem wzruszył ramionami.

– No, tak... w każdym razie dobrze, że zwrócił na to uwagę, nie?

Nic nie odpowiedziałam; zbierało mi się na płacz.

– Wystarczyło, bym zaczął się bać. W rzeczy samej już od dłuższego czasu obserwowałem twój dom. A gdy pojawił się ten artykuł o DNA,

pomyślałem sobie „Teraz to już świr całkiem oszaleje i wszystko może się skupić na naszym doktorcu. Ta historia nie podkusi go do włamania się do komputera, lecz prosto do jej domu”.

– Miałeś rację – odparłam, odkaszlnąwszy cicho.

– A pewnie, że miałem rację.

Marino nie musiał go zabijać, ale nikt się nigdy o tym nie dowie. To zostanie naszą tajemnicą; nigdy nikomu o tym nie powiem. I nie żałuję, że to zrobił. Sama bym tak postąpiła; niedobrze robiło mi się na myśl, że gdybym spróbowała, zawiodłabym – rewolwer nie był naładowany. Klik. Tylko tyle. Było mi niedobrze, bo sama nie potrafiłam się obronić, a nie chciałam być wdzięczna Marino za uratowanie mi życia.

Gadał i gadał; nie mógł skończyć, a we mnie zaczęła się gotować dawna złość.

I wtedy, nagle, do pokoju wszedł Wingo.

– Och. – Z dłońmi wsadzonymi w kieszenie spojrzał niepewnie na Marino, który przyglądał mu się z jawną irytacją. – Przepraszam, pani doktor... wiem, że to nie jest najodpowiedniejszy moment. Chodzi mi o to, że wiem, iż musi być pani nadal zdenerwowana...

– Wcale nie jestem zdenerwowana!

Oczy mu się rozszerzyły i cofnął się nieco.

Zniżyłam głos i dodałam:

– Przepraszam, Wingo. Tak, jestem zdenerwowana i zmęczona. Nie jestem sobą. Co cię trapi?

Sięgnął do kieszeni błękitnych spodni i wyciągnął z nich plastikową torebkę; w środku znajdował się pet od papierosa marki Benson and Hedges 100.

Położył ją delikatnie przede mną; spojrzałam mu w oczy, nic nie rozumiejąc. Czekałam.

– Pamięta pani, jak pytałem, czy komisarz pali papierosy? – Skinęłam głową; Marino rozglądał się dokoła ze śmiertelnie znużoną miną. – Widzi pani, mam takiego przyjaciela... Patricka. Pracuje w dziale księgowości, po drugiej stronie ulicy, w tym samym biurowcu co Amburgey. No, cóż... – Zarumienił się lekko. – Czasem spotykamy się z Patrickiem w porze lunchu i jedziemy coś zjeść. Ma przydzielone miejsce na parkingu nieopodal komisarza... dosłownie dwa samochody dalej. I często go tam widzujemy...

– Widujecie? – powtórzyłam, nic nie rozumiejąc. – Jak to?

Wingo nachylił się ku mnie i wyznał szeptem:

– Widujemy, jak siedzi w swoim samochodzie i pali papierosy. – Znowu się wyprostował. – Przysięgam, doktor Scarpetta. Przed południem i zaraz po lunchu... nieraz. Często po posiłku siedzimy w samochodzie Patricka, rozmawiamy i słuchamy muzyki... Nieraz widzieliśmy, jak Amburgey wsiada do tej swojej czarnej bryki i zapala papierosa. Nawet nie używa popielniczki, bo nie chce, by ktokolwiek się dowiedział. Cały czas rozgląda się dokoła, a potem wyrzuca peta przez okno i idzie z powrotem do pracy, psikając sobie w usta specjalnym dezodorantem...

Wingo przyglądał mi się z niedowierzaniem.

Śmiałam się tak mocno, że łzy leciały mi z oczu; to chyba była histeria, gdyż nie mogłam przestać. Uderzałam dłonią o blat stołu i wycierałam policzki. Jestem pewna, że słyszeli mnie nawet pracownicy na dole w kostnicy.

Wingo także zaczął się śmiać.

Marino przyglądał się nam tak, jakbyśmy byli parą imbecyli; chwilę później walczył z uśmiechem, a potem dławił się papierosem i śmiał głośno.

Wingo wreszcie się uspokoił.

– Chodzi o to, doktor Scarpetta – ciągnął – chodzi o to, że jakiś czas temu specjalnie czekałem, aż Amburgey skończy palić i wróci do budynku, po czym wyskoczyłem z samochodu i zebrałem niedopałek z chodnika. Poszedłem z nim prosto do Betty, by przeprowadziła testy serologiczne.

– Co takiego? – Aż sapnęłam ze zdumienia. – Zabrałeś peta do Betty? To właśnie dałeś jej tamtego dnia? Ale po co? Chciałeś przetestować jego ślinę? Po co?

– Żeby dowiedzieć się, jaką ma grupę krwi. Wyszło, że AB, doktor Scarpetta.

– O mój Boże.

A więc to było aż takie proste. Grupa krwi na wymazach zle oznakowanego PERK-u, który Wingo znalazł na dnie lodówki, była właśnie AB.

AB jest wyjątkowo rzadko spotykaną grupą; ma ją zaledwie cztery procent populacji.

– Dużo myślałem na jego temat – wyjaśnił Wingo. – Wiem, jak bardzo on pani... hm... nienawidzi. Zawsze bardzo mnie boli, że on panią tak źle traktuje. Więc spytałem Freda...

– Strażnika?

– Tak; spytałem go, czy przypadkiem kogoś nie widział. No, rozumie pani... czy nie widział nikogo niepowołanego wchodzącego do kostnicy. A on mi na to, że widział jakiegoś gościa w poniedziałkowy wieczór. Fred robił obchód i zatrzymał się, by skorzystać z toalety znajdującej się na dole, obok sali autopsyjnej. Wychodził właśnie w chwili, gdy tamten biały gość wchodził. Fred powiedział, że tamten niósł coś w rękach, jakieś papiery... paczkę czy coś w tym rodzaju.

– Amburgey? To był Amburgey?

– Fred nie wiedział; mówi, że wszyscy biali wyglądają dla niego tak samo. Ale tego akurat zapamiętał, bo miał na palcu duży srebrny pierścień z niebieskim kamieniem. Starszy facet, chudy, prawie łysy.

– Więc może Amburgey wszedł do kibla, zrobił sobie wymazy... – odezwał się Marino.

– Wszystkie pochodziły z ust – przypomniałam sobie słowa Betty. – Nie miały w sobie ciałek Barra ani chromosomów Y... Mówiąc krótko, męskie.

– Uwielbiam, gdy tak mówisz. – Marino wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Więc Amburgey robi sobie w kiblu wymazy z ust, wkłada do folderu z PERK-iem, nakleja etykietkę...

– Etykietkę, którą musiał wcześniej zwinąć z akt sprawy Lori Petersen – znowu mu przerwałam, tym razem z niedowierzaniem.

– Potem wszystko wkłada do twojej lodówki, by wyglądało na to, że spieprzyłaś sprawę. Do diabła, możliwe, że to on włamał się do twojego komputera. Nie do wiary! – Marino znowu się roześmiał. – Udupimy drania! Czyż to nie piękne?

Do komputera włamano się w ciągu weekendu, najprawdopodobniej w piątek, kilka godzin po opuszczeniu biura przez pracowników. Wesley zauważył komendy na ekranie serwera Margaret, gdy w sobotę przed południem przyszedł do biura po raport z autopsji McCorkle'a. Ktoś usiłował wejść do danych ze sprawy Henny Yarborough. Oczywiście, połączenie można namierzyć. Wszyscy czekaliśmy, aż Wesley skontaktuje się ze swoimi magikami komputerowymi.

Do tej pory zakładałam, że to McCorkle usiłował dostać się do danych w piątek wieczorem.

– Jeżeli to komisarz faktycznie włamywał się do mojej bazy danych – przypomniałam im – to nie mamy jak pociągnąć go za to do odpowiedzialności. Z urzędu ma prawo dostępu do danych z mojego biura.

Nigdy nie będę mogła udowodnić mu, że zmienił dane wprowadzone do komputera.

Wszyscy spojrzeliśmy na leżący przed nami niedopałek papierosa.

Mieszanie w dowodach rzeczowych, oszustwo – nawet gubernatorowi nie uszłoby to na sucho; przestępstwo jest przestępstwem; jednak wątpiłam, bym kiedykolwiek mogła mu to udowodnić.

Wstałam, odwiesiłam fartuch na haczyk za drzwiami i włożyłam żakiet; potem zebrałam z krzesła opasłą teczkę z aktami. Za dwadzieścia minut miałam zeznawać w sądzie w jeszcze jednej sprawie o morderstwo.

Marino i Wingo odprowadzili mnie do windy; zostawiłam ich na korytarzu i weszłam do środka.

W chwili, gdy drzwi się zamykały, uśmiechnęłam się do nich i przesłałam im pocałunek.

Trzy dni później siedziałam wraz z Lucy na tylnym siedzeniu forda tempo zmierzającego w kierunku lotniska. Moja siostrzenica wracała do Miami, a ja jechałam wraz z nią z dwóch doskonałych powodów.

Po pierwsze chciałam na własne oczy przekonać się, jak wygląda sytuacja rodzinna mojej siostry i jej męża ilustratora, a po drugie – od dawna należał mi się urlop.

Zamierzałam zabrać Lucy na plażę, na wyspy, do wesołego miasteczka i oceanarium. Będziemy oglądać popisy delfinów i fok; będziemy patrzeć, jak słońce zachodzi nad zatoką i jak flamingi kłóć się na jeziorach. Wypożyczymy kasetę z „Buntem na Bounty” a potem wybierzemy się na wycieczkę słynnym jachtem i będziemy wyobrazać sobie, że widzimy na pokładzie Marlona Brando. Pojedziemy na zakupy na Coconut Grove i będziemy objadać się lodami i ciastem bananowym, dopóki brzuchy nas nie rozbolą. Zrobimy wszystko, o czym marzyłam, gdy byłam w jej wieku.

Porozmawiamy także o szoku, który przeżyła. Istnym cudem przespała wszystko i obudziła się dopiero, gdy Marino otworzył ogień. Jednak Lucy doskonale wiedziała, że jej ciotka o mało co nie padła ofiarą mordercy.

Wiedziała, że wszedł do domu przez okno w moim gabinecie, które było zamknięte na klamkę, lecz nie na zamek, gdyż ona zapomniała je zamknąć ponownie po tym, jak wietrzyła pokój kilka dni wcześniej.

McCorkle przeciął druty systemu alarmowego znajdujące się na zewnątrz domu. Wszedł przez okno na parterze, przeszedł obok sypialni Lucy i skierował się prosto do mego pokoju. Skąd wiedział, że spiam na piętrze?

Musiał w przeszłości obserwować mój dom.

Miałam z Lucy wiele spraw do omówienia. Czułam równie wielką potrzebę porozmawiania z nią, jak ona ze mną. Planowałam załatwić jej wizyty u dobrego dziecięcego psychologa. Może i ja powinnam znaleźć sobie kogoś, z kim mogłabym o tym porozmawiać?

To Abby odwoziła nas na lotnisko; była na tyle uprzejma, by to zaproponować i uprzeć się, gdy powiedziałam, by nie robiła sobie kłopotu.

Zatrzymała się przed wejściem do terminalu i obróciła do nas ze smutnym uśmiechem.

– Jakże chciałabym móc z wami pojechać.

– Ależ jedź – odparłam szczerze. – Naprawdę. Byłoby nam bardzo miło. Zostanę w Miami przez trzy tygodnie... masz telefon do mojej matki... Jeżeli tylko uda ci się stąd wyrwać, wskakuj do samolotu i razem pójdziemy na plażę.

Wiedziałam jednak, że nie odezwie się do nas. Ani jutro, ani pojutrze, ani w przyszłym tygodniu.

Zanim nasz samolot wzbije się w powietrze, znowu będzie gonić za wozami patrolowymi i ambulansami. To było całe jej życie; potrzebowała

tej pracy tak, jak inni potrzebują powietrza, by żyć.

Przekonaliśmy się, że to Amburgey włamywał się do mojej bazy danych; połączenie zostało wysłedzone – prowadziło do jego domowego telefonu. Komisarz był zamiłowanym hakerem, a w domu miał komputer z modemem.

Wydaje mi się, że za pierwszym razem włamał się do mego komputera, bo jak zwykle monitorował to, co robię. Wydaje mi się, że przeglądając akta spraw w komputerze, zauważył, iż dane wprowadzone do kartoteki Brendy Steppe różnią się od tego, co napisała Abby w swym artykule. Zrozumiał, że przecieki informacji nie mogą pochodzić z mojego biura, choć bardzo chciał, by tak właśnie było – zmienił więc dane w aktach, by wszyscy uważali mnie za winną.

Potem specjalnie zdalnie włączył echo i usiłował wyciągnąć dane o sprawie Lori Petersen, byśmy znaleźli jego komendy na ekranie komputera na kilka godzin przed tym, jak zawoła mnie na dywanik przed Tannerem i Boltzem.

Jeden grzech prowadził do następnego. Nienawiść go zaślepiała i gdy zobaczył etykiety w aktach sprawy Lori Petersen, nie mógł się powstrzymać. Długi czas zastanawiałam się nad tym, co zaszło w sali konferencyjnej, gdy trzech mężczyzn przeglądali akta spraw. Założyłam, że etykieta PERK-u została ukradziona, gdy teczki z papierami spadły z kolan Billa i rozsypały się po podłodze. Przypomniałam sobie, że gdy Tanner i Bill segregowali akta według numerów spraw, teczki z dokumentacją Lori Petersen nie było wśród nich – w tym czasie przeglądał ją Amburgey. Później wyszedł wraz z Tannerem, lecz został na chwilę, by skorzystać z toalety i wtedy właśnie podłożył wymazy.

To był jego pierwszy błąd. Drugi to niedocenianie Abby. Wściekła się, gdy dowiedziała się, że ktoś usiłuje wykorzystać jej artykuły do zniszczenia

mojej kariery. Podejrzewam, że nie miało dla niej znaczenia, o czyją karierę chodzi; po prostu nie lubiła być wykorzystywana. Była niczym krzyżowiec – prawda, sprawiedliwość i honor. Poza tym jej serce przepelniała wściekłość, dla której nie potrafiła znaleźć ujścia.

Kiedy napisała artykuł, poszła zobaczyć się z Amburgeyem; już wtedy go podejrzewała, przyznała mi później, gdyż to on potajemnie przekazał jej informację o źle oznakowanym folderze PERK. Na jego biurku leżały wyniki testów serologicznych oraz notatki, które robił sam dla siebie na temat „niezgodnych dowodów” oraz „niezgodnych testów PERK z poprzednimi”. Podczas spotkania z Abby na chwilę wyszedł z pokoju, zostawiając ją samą tuż przy słynnym chińskim biurku, miała więc okazję zobaczyć, jakie papiery leżą na blacie.

Wszyscy wiedzieli, co zamierza Amburgey. Uczucia, jakie do mnie żywił, były powszechnie znane, a Abby nie jest głupia. Zrozumiawszy, co się święci, stała się agresorem – w ostatni piątek rano ponownie się z nim spotkała i spytała o włamanie do komputerowej bazy danych.

Udawał zdumienie i przerażenie, twierdził, że nie powinna drukować takich rzeczy w gazecie, lecz w głębi duszy triumfował. Już czuł smak swego zwycięstwa i mojej hańby.

Podpuściła go, mówiąc, że ma za mało informacji, by napisać artykuł.

– Włamanie do bazy danych w biurze koronera okręgowego zdarzyło się tylko jeden raz – powiedziała. – Jeżeli zdarzy się ponownie, doktorze Amburgey, nie będę miała innego wyjścia, jak tylko napisać o tym artykuł, gdyż społeczeństwo ma prawo wiedzieć, iż istnieje poważny problem z wiarygodnością naczelnego koronera.

Dlatego włamanie się powtórzyło.

– A tak przy okazji – odezwała się Abby, pomagając nam wyciągnąć bagaże z samochodu. – Wydaje mi się, że Amburgey nie będzie ci więcej

bruździł.

– Nie wymagaj, by hiena zmieniła swe instynktowne zachowanie – odparłam, spoglądając na zegarek.

Abby uśmiechnęła się tajemniczo.

– Po prostu nie zdziw się, gdy po powrocie do Richmond nie zastaniesz go na stanowisku.

Nie zadawałam żadnych pytań.

Miała mnóstwo na Amburgeya – a ktoś musiał jej zapłacić. Billa nie mogła tknąć.

Zadzwoił do mnie wczoraj, mówiąc, iż bardzo się cieszy, że nic złego mi się nie stało. Słyszał o ostatniej napaści Dusiciela i jej ostatecznym wyniku. Nie wspomniał nic na temat własnych zbrodni, a i ja do nich nie nawiązałam, gdy powiedział, że wiele przemyślał i że lepiej będzie, gdy przestaniemy się spotykać.

– Dużo nad tym myślałem i wydaje mi się, że nic nam z tego nie wyjdzie, Kay.

– Masz rację – zgodziłam się równie spokojnie, zdziwiona ogromną ulgą, jaką poczułam. – Po prostu nie pasujemy do siebie, Bill.

Uściskałam Abby na pożegnanie.

Lucy mocowała się z ogromną różową walizką; minę miała ponurą, a brwi zmarszczone.

– Cholera – utyskiwała. – Mamusia ma w komputerze tylko edytory tekstów. Cholera! Żadnej bazy danych ani nic ciekawego!

– Pojedziemy na plażę. – Zarzuciłam dwie torby na ramiona i poszłam za nią przez szklane drzwi. – Będziemy się świetnie bawić, zobaczysz, Lucy. Mogłabyś sobie na trochę darować ślęczenie nad komputerem... Zepsujesz oczy.

– Jakąś milę od domu znajduje się sklep z oprogramowaniem...

– Mówiłam o plaży, Lucy. Należą ci się wakacje. Słońce, plaża, morze... dobrze ci to zrobi. Ponad dwa tygodnie siedziałaś zagrzebana w moim gabinecie.

Podeszłyśmy do okienka z biletami. Wygładziłam kołnierzyk Lucy i zapytałam, dlaczego nie wzięła ze sobą kurtki.

– Klimatyzacja w samolotach zawsze jest zbyt mocna...

– Ciociu Kay...

– Będzie ci zimno.

– Ciociu Kay...

– Mamy jeszcze czas, by coś zjeść przed odlotem.

– Nie jestem głodna!

– Musisz coś zjeść. Jak wsiądziemy do samolotu, aż do Dulles nie dostaniemy nic do jedzenia. Nie można podróżować o pustym żołądku.

– Jesteś taka sama jak babcia!

[1] Farenheita – około 21,6 stopnia Celsjusza; 93,5 – 34,2 stopnia Celsjusza.

[2] W tym miejscu musimy przeprosić Czytelników, że nieco spolszczyliśmy angielski termin, ale nie ma on odpowiednika w języku polskim

[3] VMC – Virginian Medical College – college medyczny stanu Wirginia.

[4] SQL – język programowania baz danych (przyp. tłum.)

[5] Physical Evidence Recovery Kit – zestaw wymazów z ciała ofiary służący do identyfikacji DNA (przyp. tłum.).

[6] Mainframe – bardzo stary typ komputerowego serwera, od dawna nie używany (przyp. tłum.)